

Koniec scenarzyistów

Śledztwo w sprawie **zaginięcia** w Hollywood
pięknej aktorki odsłania **mroczną stronę** słynnej Fabryki Snów...



Wojciech
NERKOWSKI



Wojciech
NERKOWSKI
Koniec
scenarzystów

Copyright © Wojciech Nerkowski, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Malwina Błażejczak / panbook.pl

Korekta: Katarzyna Smardzewska / panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Yurii Zymovin / Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-160-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-2519

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[Podziękowania](#)

Justynie Toczyskiej

Żyjemy w świecie symulacji, w którym najwyższą funkcją znaku jest wymazanie rzeczywistości i jednocześnie ukrycie jej zniknięcia.

Jean Baudrillard, *Spisek sztuki*
(tłum. Sławomir Królak)

17 maja, piątek

1

– Tylko mi tu nie umieraj! – W gardle producentki Lidii Wybickiej zabulgotała panika. – Słyszysz? Nie pozwalam!

Jej dociążone tuzinami metalowych bransolet ręce z trudem obracały kierownicą. Turkusowe Porsche 911 Carrera wystrzeliło z bramy wytwórni filmowej i z piskiem opon skręciło w lewo, w Chełmską.

– Mów do mnie, nie zasypiaj. Bo jak zaśniesz, to już się nie obudzisz!

Sylwia nie dała rady odpowiedzieć. Jęknęła tylko z bólu, kiedy auto ostro zahamowało przed przejściem dla pieszych, na które weszła właśnie młoda kobieta pchająca granatową spacerówkę na dużych kołach ze szprychami. Kilka sekund później silnik zawył i w okamgnieniu porsche przecięło trzy przecznice: Sielecką, Stępińską i Górską.

To nie był sen ani film, ani serial. Ani powieść. To działo się naprawdę.

Kolejny rajdowy skręt i... oto utknęły w sznurze samochodów wlokących się Sobieskiego w kierunku centrum.

– Boże, wiedziałam! – histeryzowała Lidia. – Korek! W takim momencie... No nie! Ta

Gronkiewicz-Waltz... Zabiłabym babę. Himalaje nieudolności! Karakorum pychy!

Sylwia miała ochotę wyjaśnić, że już od dawna kto inny jest prezydentem Warszawy, ale odpuściła. Nie miała siły, poza tym bała się rozpraszać kierowcę. Ale już żałowała, że nie zaczekały na karetkę, tylko gnały do szpitala prywatnym samochodem Lidii.

Producentka, zwana Palomą Bis, odwróciła się i omiotła przerażonym wzrokiem pasażerkę, która blada jak ściana leżała na tylnym siedzeniu, trzymając się kurczowo jego krawędzi. Sylwia oddychała ciężko. Na jej czole perlił się zimny pot, a mina wyrażała jedną wielką determinację, żeby tylko przetrwać.

– I co ja mam teraz robić, Matko Boska?! – Producentka zatrzymała na chwilę rozbiegane spojrzenie. – I tapicerkę mi zapaskudziłaś. A samochód jeszcze nieubezpieczony!

– Przepraszam... – z najwyższym trudem jęknęła Sylwia.

Próbowała opanować strach. I ból. Raz było lepiej, raz gorzej, ale ogólnie źle. Czuła, że jeśli natychmiast nie trafi w ręce lekarzy, rozegra się dramat.

A co, jeśli chimeryczna producentka dostanie teraz ataku hysterii? Stanie nagle na środku drogi i odmówi dalszej jazdy? Jak wtedy, kiedy pewien aktor grający w ich serialu zgolił brodę

i trzeba było przekręcać dwanaście scen z jego udziałem. Sylwii zrobiło się słabo na samą myśl, że jej los jest w tej chwili całkowicie w rękach Palomy Bis.

– Puszczę ci coś... – Producentka zaczęła majstrować przy panelu radia. – Czekaj, mam tu taką piękną klasykę...

Z doskonałej jakości głośników huknęła msza żałobna Mozarta.

– Nnnie, nie... – stęknęła Sylwia.

– Wybitne wykonanie! – przekonywała Lidia. – Wsłuchaj się!

– Nie... – Sylwia jęczała, usiłując przekrzyczeć wyjący posępnie chór.

– Za batutą... No...? Zgadniesz? – Producentka nie dawała za wygraną. – Maestro Herbert von Karajan!

– Nie...

– To mam jeszcze w wersji dyrygowanej przez Zubina Mehtę. Słynne wykonanie ze zbombardowanego Sarajewa... – nęciła Lidia. – W roli tenora Jose Carreras...

– Nie!!! – wyartykułowała w końcu Sylwia z całą mocą.

– Dobrze! Już się tak nie drzyj! – wrzasnęła producentka, by po chwili dodać już cichym, choć obrażonym tonem: – Jak chcesz umierać przy dźwiękach Krzysztofa Krawczyka, proszę bardzo.

– Lidia, błagam cię, jedź... – Sylwia, skręcając się z bólu, usiłowała utrzymać wzrok na podsufitce w kolorze kawy z mlekiem.

Z trudem mieściła się na tylnej kanapie sportowego auta. Nawet na leżąco. Zastanawiała się, jak to możliwe, że taki drogi samochód może być taki ciasny. Swobodnie by się tu zmieściło jedynie dziecko, i to góra dwunastoletnie. Powinna była usiąść na siedzeniu pasażera.

„Jak minął dzień?” – śpiewał Krzysztof Krawczyk. „Jak ci się dziś pożyło? Jak minął dzień? Czy ci się coś skończyło?”

– Jedź, proszę... – jęczała cicho Sylwia, czując, że świat wokół niej zaczyna wirować.

– No przecież nie przefrunę! – fuknęła producentka i trzykrotnie nacisnęła klakson.

Oczywiście niczego to nie dało. Samochody w stronę centrum posuwały się w ślimaczym tempie. Lidia zaklęła pod nosem. Widząc we wstecznym lusterku wykrzywioną bólem twarz pasażerki, w mgnieniu oka podjęła decyzję. Skręciła na buspas.

– Wytrzymaj! – wykrzyczała niczym zakłęcie.

Sylwia zacisnęła powieki, spod których pociekły dwie łzy i spłynęły po policzkach. Stęknęła z bólu, kiedy przyspieszenie wbiło ją w kanapę. Niecałe pięć sekund do setki. Modliła się, żeby nie zatrzymała ich policja za

przekroczenie prędkości i bezprawne korzystanie z buspasa. Tu gdzieś przecież zaraz, po prawej stronie, jest komenda. I to chyba jakaś główniejsza. Znając szczęście Sylwii, a raczej jego brak, na pewno je zatrzymają.

A przecież liczyła się każda minuta.

Teraz już strach przeradzał się w panikę. Mózg wyrwał się spod kontroli. Wszystkie racjonalne myśli pierzchły. Gdyby Sylwia miała siłę krzyżeć, wrzeszczałaby. Ale czuła, że z każdą chwilą słabnie. Stać ją już było tylko na niemy szloch.

– A mogłam jechać Czerniakowską – mamrotała pod nosem Lidia, kiedy minawszy Belweder, zatrzymały się na światłach na wysokości ambasady Szwecji. – Życie składa się z błędów, ale wygrywa ten, kto popełni ich najmniej.

– Lidia! – zawołała ostrzegawczo Sylwia, bo stały na podjeździe i samochód zaczął się staczać.

Kierowca w czarnym fiacie bravo za nimi zatrąbił ostrzegawczo. Producentka w ostatniej chwili zaciągnęła ręczny.

– Czego trąbisz?! – odwróciła się. – Na wsi jesteś?

Znów spojrzała kontrolnie na Sylwię.

– Może zadzwoń, ja nie wiem, do tego szpitala,

żeby ktoś po nas wyszedł?! Niech dezynfekują narzędzia! Szykują chloroform!

Sylwia nie była w stanie spełnić prośby Palomy Bis. W tej chwili nie dałaby rady kiwnąć nawet palcem u nogi. Czuła, jak zimny pot zaczyna spływać jej po twarzy i mieszać się ze łzami. W takich chwilach człowieczeństwo zostaje wyparte przez zwierzęcą naturę. Włącza się instynkt przetrwania. Tylko proste komunikaty: Wdech! Wydech! Wszystko inne jest nieważne, znika z pola widzenia. Nie ma wczoraj, nie ma jutra, liczy się tylko kolejna przeżyta sekunda. A ból jest jak alarm, który wyje, żeby ostrzec przed złodziejem. Kostuchą, która chce ukraść to, co najcenniejsze – życie.

– Który dziś jest? – spytała Sylwia, kiedy kolejna fala bólu przeszła, a następna dopiero zaczynała wzbierać.

– Co?! – Lidia rzuciła jej w lusterku nieprzytomne spojrzenie. Światło szybko zmieniło się na zielone. Wdepnęła gaz i pomknęły wzdłuż Ogrodu Botanicznego oraz Kancelarii Premiera, by zatrzymać się znów na światłach przed placem Na Rozdrożu.

– Który... Dziś... Dzień?

– Siedemnasty.

Siedemnasty maja. Sylwia czuła, że to jedna z tych dwóch najważniejszych w życiu dat, które pojawiają się na nagrobku.

Jeszcze godzinę temu nic nie zapowiadało, że ten dzień będzie miał dramatyczny przebieg. Sylwia pierwszy raz od dawna pojawiła się w wytwórni filmowej na Chełmskiej. Rok wcześniej postanowiła odejść z pisanego z bratem serialu. Jej chłopak, grający w nim główną rolę, przespał się z koleżanką z planu, piękną aktorką. Wyrażał potem skruchę, oświadczył się nawet, ale Sylwia nie wyobrażała sobie przejść nad tym, ot tak, do porządku dziennego. A dalej pisać im scenariusz? To już w ogóle! Pikanterii sprawie dodawał fakt, że postaci grane przez oboje aktorów były w serialu parą.

Tak się złożyło, że Sylwia i Kuba dostali w tamtym czasie propozycję z Hollywood. Brat wprawdzie uważał, że Sylwia nie powinna „odpuszczać cudzołożnikom”, ale ostatecznie przekazali stery serialu scenarzystom wskazanym przez Lidę, między innymi jej córce. Izabella Pluta, którą rozczarowała praca w charakterze drugiego reżysera i asystentki producenta, zapragnęła spróbować swych sił jako literat.

Niestety, kiedy tylko odcinki pisane przez nową ekipę trafiły do emisji, oglądalność zaczęła pikować. Urodziwa para policjantów nadal rozwiązywała zagadki, ale coś było nie tak. Trochę jak w trylogii „Millenium”,

kontynuowanej po śmierci Stiega Larssona. To już nie było to samo. Paloma Bis wczesną wiosną zaczęła lobbować za tym, żeby Leśniewscy wrócili. Po Wielkanocy rozpoczęły się błagania.

Jego rezultatem była dzisiejsza narada, podczas której Sylwia omówiła z Lidią wstępne planowanie siódmego sezonu Stój, bo strzelam!. To miał być koniec serialu. Producentka chciała odejść w chwale. Z przytupem i w blasku Telekamer.

– Co oni, posnęli z tymi światłami?! – wrzasnęła Lidia, wpatrując się jak sroka w gnat w sygnalizator, który bronił im wstępu na plac Na Rozdrożu. Po czym klnąc pod nosem, odpuściła sprzęgło, mimo że dla niej nadal świeciło się czerwone.

Przez moment wydawało się, że nielegalny manewr ujdzie im na sucho, ale nagle od alei Szucha nadjechało z dużą prędkością czarne audi z niebieską rejestracją korpusu dyplomatycznego.

– Jak jedziesz, baranie! – zdążyła krzyknąć Lidia, a Sylwia zamknęła oczy i odruchowo zasłoniła twarz w obronnym geście, widząc wielkie stalowe bydlę zmierzające prosto na nie.

Kierowca audi desperacko próbował skręcić, żeby uniknąć zderzenia. W rezultacie mocno

i po długości przetarł bok porsche. Lusterka obu aut wyprysnęły w górę, a Sylwia usłyszała huk i poczuła drżenie wgniatanych drzwi. Impet odrzucił samochód w prawo, ale Lidia skontrowała kierownicą.

Wrzeszcząc wniebogłosy, walczyła, żeby zapanować nad autem. Uratowała je zatoczka przystanku autobusowego, która dała kilka dodatkowych metrów na wyprostowanie toru jazdy. Kierowca audi miał mniej szczęścia. Mógł wylądować na trawiastym klombiku rozdzielającym pasy jezdni, ale trafił prosto w słup pięciopalczastej latarni. Wystrzeliły poduszki powietrzne.

Wszystko mignęło przerażonej Sylwii przed oczami i w ułamku sekundy zostało w tyle, bo Lidia nie zdjęła nawet nogi z gazu.

– Kurwa mać, zapamiętaj numer! – wrzasnęła Lidia. – Nie daruję szmaciarzowi!

Gnały Alejami Ujazdowskimi. Po chwili dało się słyszeć przytłumione wycie syreny, trudno powiedzieć, czy policyjnej, czy pogotowia.

Sylwia czuła, że słabnie i za chwilę straci przytomność. Już była na granicy jawy i snu. Martwiła się, że luksusowe auto Lidii zostało uszkodzone, że pobrudziła tapicerkę, że kierowca audi mógł być ranny, może też jego pasażerowie.

Nawet w takiej chwili nie myślała o sobie.

Skupiając się na oddychaniu, spoglądała przez przednią szybę. Na końcu Alej Ujazdowskich majaczył już plac Trzech Krzyży z kościołem świętego Aleksandra, w którym cztery lata wcześniej odbyło się nabożeństwo pogrzebowe Pauliny Gadomskiej, czyli pierwszej Palomy.

Sylwia odwróciła wzrok w prawo, żeby spojrzeć na park Ujazdowski z pomnikiem Paderewskiego, potem po drugiej stronie Alej mignęła kamieniczka przedstawicielstwa dyplomatycznego Szwajcarii, a zaraz za nią modernistyczna kostka Ambasady USA.

W ostatnim przebłysku świadomości Sylwia zdała sobie sprawę, że wszystko to, co skończy się dziś, zaczęło się niemal dokładnie rok temu, również w maju, kiedy odebrała amerykańską wizę, a bramy Hollywood wreszcie stanęły przed nią otworem. Wówczas nie miała pojęcia, że wdepnie w sprawę, która przebiega wszystkie napisane przez nią scenariusze...

Rok wcześniej – Los Angeles
25 maja, piątek

2

Kuba Leśniewski nie sądził, że kiedykolwiek postawi stopę na Księżycu. A jednak. Stało się to 25 maja w piątek, parę minut po dwudziestej pierwszej.

Ale po kolei. Kiedy po czternastu godzinach lotu wylądowali w Los Angeles, powitał ich czterdziestolatek z lichymi tlenionymi włosami do ramion, w czarnym garniturze, białej koszuli bez krawata, trzymający przed sobą zalaminowaną kartkę formatu A4 z napisem „Sylwia and Kuba Lesniewski”. Przedstawił się jako Fausto, co zabrzmiało bardziej zabawnie niż złowieszczo. Zaproponował, że pomoże im nieść walizki, a kiedy odmówili, zdziwił się, ale nie protestował. Tak naprawdę to bardziej Sylwia odmówiła – zawsze była trochę lewicująca. Kuba nie miałby nic przeciwko posiadaniu służby, nie mówiąc już o tym, że wolne ręce przydałyby mu się do przeprowadzania relacji na żywo na Instagramie, na którą tysiąc stu dwunastu subskrybentów czekało z zapartym tchem.

Fausto zaprowadził ich na parking, gdzie czekał czarny mercedes klasy C z przyciemnianymi szybami i zbawienną

klimatyzacją.

Takie czasy – pomyślał Kuba. Na zewnątrz gorąco jak w piekle, a u Fausta chłodek!

Pół godziny później Leśniewscy instalowali się już w hotelu Candor Grand, każde w swoim pokoju. Wykąpali się, zjedli czekoladkę spod poduszki... Nie zdążyli jednak rozpakować walizek, bo oto już dzwonił recepcjonista z informacją, że w lobby czeka na nich kolejny szofer. A mówiąc bardziej swojsko – kierowca. Taki luksus Kuba powitał z otwartymi ramionami, uznając go za preludium do hollywoodzkiego blichtru i należnego im uznania. Wreszcie ktoś traktuje scenarzystów z czią, zamiast podcierać sobie nimi dupę – cieszył się, jadąc na parter przeszkloną windą, w której rozpylono dyskretny zapach wanilii.

Szoferem numer dwa była Rebecca, która również zaprezentowała się w czarnym garniturze i białej koszuli bez krawata. Miała krótko obcięte farbowane na rudo włosy, bladą cerę, podkrążone oczy i zmęczony uśmiech. Wyglądała na trzydzieści parę lat, choć równie dobrze mogła być dwudziestolatką. Zaprowadziła ich do zaparkowanej przed hotelem czarnej toyoty avalon czwartej generacji, co sprawiło, że Leśniewscy zaczęli zastanawiać się, czy marka limuzyny jest skorelowana z płcią kierowcy. Pan – mercedes,

pani – toyota.

Pomknęli przecinającą Los Angeles drogą szybkiego ruchu, „dziesiątką”. Sprawnie przebili się do Santa Monica, a potem już wolniej, ale wciąż bez korków, dojechali do Marina del Rey, gigantycznej, największej na świecie przystani jachtowej. Maszty ciągnęły się aż po horyzont, a wszystkie jednostki, mniejsze i większe, cumowały równiutko, w idealnym porządku.

Leśniewscy przesiedli się na motorówkę i niejako ich trzecim szoferem tego dnia okazał się Luis, chudy jak szczapa, śniady czterdziestolatek o kanciastych ruchach. Podobnie jak dwoje poprzedników, był ubrany w czarny garnitur i białą koszulę. Bez krawata. Przedstawił się i od razu spytał, czy czegoś im nie potrzeba.

Sylwia uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– A ja chlapnę sznapsa i nagram relację na Insta – powiedział po polsku Kuba. – Moi folołersi są głodni wrażeń z Holyłudu... – Z zadowoleniem rozpierał się na tylnym siedzeniu motorówki, która pruća korytarzem wodnym do strzeżonego przez falochron ujścia gigantycznej przystani. Dalej były już wody Zatoki Santa Monica.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów Kuba miał na sobie strój wieczorowy. Na

zaproszeniach na imprezę, które dostali jeszcze w Polsce, widniała adnotacja *black tie / cravate noire*, pofatygował więc się do produkcji serialu i pożyczył smoking, który następnie, starannie zapakowany, przeleciał z nimi przez Atlantyk.

– Czuję się jak te pieski ładowane zimą w kubraczki – powiedział, sięgając po kieliszek szampana Cristal, którego otwarta butelka chłodziła się w wiaderku z lodem. – Ale czego się nie robi dla sławy?

Wolną ręką przeczesał swoje jasne jak słoma włosy rozwiewane bardziej przez pęd motorówki niż przez oceaniczną bryzę, po czym sięgnął do kieszeni po komórkę.

– Podoba mi się ten amerykański sen!

– Żebyśmy się tylko nie obudzili z ręką... – Sylwia zawiesiła głos. Nie przepadała za szampanem, ale też wypijała odrobinę.

– ...ściskającą za tyłek Oscara – dokończył Kuba, stukając swoim kieliszkiem w jej szkło. – Zobaczysz!

Tak naprawdę nie mieli pojęcia, czego się spodziewać. Zaproszenie z Hollywood kompletnie ich zaskoczyło. Odezwał się do nich asystent producenta jednego ze studiów filmowych. Jego szef przeczytał w branżowym piśmie „The Hollywood Reporter” artykuł o morderstwach na planie *Spisku scenarzystów*. Oparta na faktach historia

zafascynowała go na tyle, że postanowił nakręcić *remake* w wersji amerykańskiej. Ale dopóki nie dostali oficjalnego zaproszenia, biletów lotniczych i zaliczki na poczet przyszłego wynagrodzenia, podejrzewali, że to jakiś żart.

Teraz jednak z każdą chwilą ich hollywoodzki sen nabierał kształtów i rumieńców.

Z Luisem za kierownicą motorówki w kilka minut dopłynęli do jachtu o czarnym kadłubie i białej nadbudówce, który wyglądał futurystycznie, bardziej jak okręt wojenny niż jednostka cywilna. Na burcie widniała nazwa „The Moon” – czyli Księżyc.

Odgłosy imprezy słyszeć było już z daleka. Jacht dryfował na tle słońca, które przysłaniane pojedynczymi postrzępionymi chmurami przecięło już linię horyzontu oddzielającego niebo od wód Oceanu Spokojnego. Większość z prawie dwustu uczestników imprezy wsiadła na pokład jeszcze na nabrzeżu Marina del Rey. Motorówka dowoziła spóźnialskich.

„Księżyc” należał do Douglasa Claytona, właściciela studia filmowego DoDo Pictures.

– To mały krok dla Leśniewskich, ale wielki skok dla ludzkości – zażartował Kuba, wchodząc na pokład.

Tak naprawdę było dokładnie odwrotnie.

Ludzkość nawet nie zauważyła sukcesu polskich scenarzystów. Ale i bez tego Leśniewscy drżeli z podekscytowania, brat trochę bardziej niż siostra, bo oto rozpoczynali rejs w nieznane.

Luis zacumował motorówkę równoległe do rufy jachtu, która w tym miejscu była obniżona, tak żeby można było bez problemu wejść na pokład. Kuba, łapiąc za reling, skrzywił się. Ledwie kilka dni wcześniej zdjęto mu gips ze złamanej ręki i przy każdym większym wysiłku nadal czuł w niej ból. Lekarz skierował go na rehabilitację, ale kto miałby głowę do ściskania gumowej piłeczki, kiedy pojawiła się szansa, by chwycić dzień i wejść do światowej ligi scenarzystów.

Sylwia odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów, wyciągniętych z kucyka przez pęd wiatru. Poprawiła okulary, po czym podeszła do burty i podała bratu srebrno-czarną kopertówkę, prosząc, by ją potrzymał. Podciągnęła sięgającą do kostek skromną, grafitową sukienkę, żeby zrobić długi krok. Nagle kreacja, którą kupiła w sieciówce, wydała jej się boleśnie niedopasowana do jachtu z całą jego luksusowo-snobistyczną otoczką. Ale nie miało to dla niej większego znaczenia, bo Sylwia nie była fashionistką. Zastygła w bezruchu, ponieważ zafrapowała ją

czerni wody między białą burtą motorówki a rufą jachtu.

Gdyby ta szczelina się powiększyła, a Sylwia wpadła do oceanu, czy uratowaliby ją? Może poszłaby jak kamień na dno? Każdego dnia, niemal na każdym kroku czai się śmierć. Leki, które można przedawkować, ostre noże w kuchennej szufladzie, miliony rozpędzonych aut, tysiące samolotów, które w każdej sekundzie startują albo podchodzą do lądowania, jedzenie połykane w pośpiechu podczas przerwy na lunch, które może wpaść nie do tej dziurki, a trzy minuty później... Śmierć mózgu z niedotlenienia.

– Hej, poczekaj! Pomogę ci – powiedział Luis, podając jej rękę. Był przekonany, że „zawieszka” Sylwii wynika ze strachu przed zrobieniem kroku nad otchłanią wody i wejściem na pokład.

Podziękowała i uśmiechnęła się, ale wypadło to blado, bo była wykończona wielogodzinnym lotem.

– Czad! – Kuba oddał siostrze torebkę, kiedy ta obiema nogami stanęła już na pokładzie „Księżycy”. – Co tam Romano Polański! Agunia Holland niech się schowa! To Leśniewscy podbijają Hollywood!

Omiotli wzrokiem raut, który trwał już w najlepsze. Na moment uwagę Sylwii przykuły

niesamowite, wyraziste oczy, które spojrzały na nią z drugiego pokładu. Trudno było nie zwrócić na nie uwagi. Malowały się w nich hardość, dzikość, a jednocześnie jakaś trudna do uchwycenia zmysłowość. Sylwia odwróciła się jeszcze do Luisa, żeby mu podziękować. W odpowiedzi żartobliwie zasalutował i zaczął odcumowywać motorówkę. Kiedy znów spojrzała w kierunku pokładu nad nimi, właściciel wyrazistych oczu zniknął.

„Księżyc”, wykończony chromem i szlachetnymi gatunkami drewna, miał ponad 50 metrów długości i trzy pokłady, gdzie uwijali się ubrani w smokingi kelnerzy dźwigający tace z kieliszkami i przystawkami. Na rufie, do której dobijały motorówki, kręciło się kilkoro fotoreporterów. Kiedy tylko kolejni goście wchodzili na pokład i mijali „ściankę” z logo DoDo Pictures, błyskały flesze. Nie oszczędzono ich nawet Leśniewskim, mimo że nawet nie aspirowali do bycia celebrytami.

Na dziobie najwyższego pokładu zainstalował się kwartet smyczkowy. Piętro niżej grał didżej i znajdowały się stoły z cateringiem. Na ich widok Kuba zostawił siostrę i poleciał z miną osiołka, któremu w żłoby dano. Ona zaś, choć też głodna, bo od czasu tekturowego posiłku w samolocie niczego nie miała w ustach, wołała na razie sycić się samym widokiem.

Weszła wewnętrznymi schodami na najwyższy pokład. Popatrzyła na ocean i dogorywający zachód słońca. Po przeciwległej burcie widać było pogrążające się w mroku Los Angeles. Ogrom miasta rozlewał się aż po horyzont. Z niskiej zabudowy wybijał się dość wąski pas rozświetlonych wieżowców w centrum.

– Ja pierdriu, żyjemy w symulacji? Wiesz coś na ten temat? – zapytał kilka minut później Kuba, podchodząc do niej z kieliszkiem szampana i kopiastym talerzem sushi.

– W symulacji? W jakim sensie? – spytała zaskoczona, bo pytanie brzmiało dziwacznie nawet jak na jej ekscentrycznego brata.

– No że niby to wszystko nie istnieje naprawdę. – Kuba wzruszył ramionami, łapczywie przełykając jedzenie. – I że my też nie jesteśmy naprawdę. Ten szampan też jest symulowany... Co akurat mnie nie dziwi, bo smakuje jak kocie siki. Nie żebym kiedykolwiek próbował, ale wyobrażam sobie, że tak właśnie muszą smakować. Ble!

Wystawił rękę za burtę, przechylił kieliszek i wylał zawartość do oceanu. Sylwia popatrzyła na brata, licząc na ciąg dalszy, na jakieś tłumaczenia. Miała wrażenie, że Kuba zaraz wypuści kieliszek, więc złapała go za rękę. Problem zaśmiecania mórz i oceanów, a także rzek oraz jezior leżał jej na sercu, zwłaszcza od

kiedy trzymała w domu żółwia wodno-lądowego o imieniu Tadzio.

Za ich plecami dwie dziewczyny w strojach kąpielowych, blondynka i brunetka, obie o fantastycznych smukłych sylwetkach, chichocząc, wbiegły po czterech stopniach i wskoczyły do podświetlonego jacuzzi. Obramowanie wanny, schodki i cały górny pokład były wyłożone jasnym drewnem, które przyjemnie pachniało. Wokół jacuzzi były porozstawiane eleganckie leżaki w stylu retro, na razie puste. Do dziewczyn dołączył po chwili młody mężczyzna, frenetycznie pozbywając się garderoby. W samych slipkach wskoczył do jacuzzi, wylewając trochę wody na pokład.

– Nie jestem pijany. Jeszcze nie. – Wzruszył ramionami Kuba, po czym dodał wyjaśniająco:

– O symulacji nagadał mi taki geek.

– Kto?

– Nerd, nudziarz komputerowy.

Sylwia знаła oba pochodzące z angielskiego słowa. Sama nie lubiła zaśmiecać polszczyzny. Zastanawiała się, jak można określić po polsku geeka i nerda. Najbliżej był chyba „maniak komputerowy”, ale wydawał jej się nieprecyzyjny i niezbyt zręczny, podobnie jak „dziwak”.

– Próbował mi to wytłumaczyć – mówił ze znudzoną miną Kuba – że rzeczywistość może

być tylko jedna, a symulacji, w sensie rzeczywistości wirtualnych, jak już zostanie osiągnięty odpowiedni poziom techniki, będzie można uruchamiać całe mnóstwo, więc to czysta statystyka. Większa szansa, że wylądowaliśmy w jednej z miliona symulacji niż w jednak jedynej rzeczywistości... Jakoś tak...

– To nawet ciekawe.

– Wiesz... Statystycznie to chłop w szpitalu na oko umarł, czy jak to tam było... – Kuba ziewnął, po czym nagle aż podskoczył z wrażenia. – O rany, patrz! Meryl, w mordę jeża, Streep!

Sylwia natychmiast odwróciła się w kierunku, w którym spoglądał brat.

– Zwariowałaś? To nie jest żadna Meryl Streep.

– Oczywiście, że jest! Pamiętaj, że kamera dodaje z dziesięć kilo. Czekaj, muszę się przywitać!

– Ona nawet nie leżała obok Meryl Streep – rzuciła Sylwia, ale brat już jej nie słuchał.

Podbiegł w kierunku schodów, bo rzekoma Meryl Streep w czerwonej sukni wieczorowej, jedząca właśnie pałeczkami sushi, znajdowała się na najniższym pokładzie.

A Sylwia zobaczyła, że w jej stronę podążają Niesamowite Oczy.

3

– Miałaś rację. – Kuba po kilku minutach wrócił do Sylwii z podkulonym ogonem. – To była sobowtórka Meryl Streep. Więc się nie pomyliłem, tylko zostałem perfidnie wprowadzony w błąd...

– Może nie pij tyle...

– Łatwo ci powiedzieć. Ten nerd i dziwak uruchomił moje wszystkie lęki egzystencjalne! Bo co, jeśli naprawdę jesteśmy w symulacji, tylko Meryl Streep nie potrafili jeszcze dobrze odtworzyć? Trzeba by go o to spytać, choć z drugiej strony ja nie mam nerwów do takich tematów... Jezu! Kompletnie mnie skołował...

– To zamieńmy się – zaproponowała Sylwia. – Pogadaj z tymi tutaj, a ja...

– Z którymi? – zaciekał się Kuba.

– Z blacharą. – Uznała, że dowcipnie będzie pozostać w sferze złośliwych etykietek. – I z panem reżyserem.

Niczego bardziej nie pragnęła, jak uciec od dwójki, z którą przez chwilę prowadziła rozmowę, a która wracała właśnie ze środkowego pokładu z talerzem naładowanym jedzeniem.

W pułapkę zwabiły ją Niesamowite Oczy. Ich właścicielem okazał się Latynos, chyba trzydziestopięcioletni, może trochę starszy. Niski, ale dobrze zbudowany. Czarny smoking prawie na nim trzeszczał.

Jego ramienia uczepiła się efektowna, nawet aż za bardzo, blondynka, typ słowiański. Przedstawiła się jako Dżolanta, z pochodzenia Polka. Nie byli parą, co od razu zaznaczyła.

Przyszła tu z mężem, który pracował dla Douglasa jako księgowy, sama zaś była aktorką, choć Sylwia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Dżolanta z jej plastikową, pewnie poprawianą urodą, tandetnym stylem bycia i mówienia mogła co najwyżej grać w filmach porno.

Towarzysz blondynki, właściciel hipnotyzującego spojrzenia, przedstawił się jako reżyser Dante Alvarez i w pierwszej minucie znajomości ściał się z Sylwią, wygłaszając tezę, że scenarzyści są zbędni.

– Okopali się w tej swojej gildii... – mówił szorstkim, lekko schrypniętym głosem, przeczesując niedbale włosy w kolorze gorzkiej czekolady, ufryzowane na Elvisa; wywinięta grzywka miała mu pewnie dodawać kilka centymetrów wzrostu.

– Wielu bardzo dobrych... wybitnych reżyserów nie pisze sobie scenariuszy i świetnie na tym wychodzą – powiedziała Sylwia.

– Nazwiska! – Dante wydał lekceważąco wargi.

– Ang Lee – odparła bez namysłu. – Oscar dla reżysera za *Życie Pi*, Oscar za *Tajemnicę Brokeback Mountain*, nie napisał scenariusza do żadnego z tych filmów.

– Łał! – Dżolanta zaczęła trzepotać doklejonymi rzęsami i rzuciła po polsku: – Ty jesteś, kurwa, emejzin! Czy masz w uchu słuchawkę? Przyznaj się! Ktoś siedzi teraz przy łikipidia i ci to podpowiada? Krejzy!

Zaśmiała się głośno, prezentując olśniewające zęby, a reżyser spojrzał na Sylwię spode łba i zaczął rzucać kontrprzykłady:

– Christopher Nolan. Napisał i wyreżyserował *Incepcję* oraz wybitną *Dunkierkę*...

– I nigdy nie dostał Oscara – odcięła się Sylwia.

– Oscary – prychnął pogardliwie Dante. – To dla ciebie wyznacznik dobrego kina?

Spierali się jeszcze chwilę, po czym Dżolanta wzięła reżysera pod ramię i odciągnęła go w stronę cateringu,

a moment później do Sylwii wrócił brat po konfrontacji z rzekomą Meryl Streep.

– Z którą blacharą mam pogadać? – spytał Kuba, rozglądając się po górnym pokładzie.

Dyskretnym gestem wskazała zmierzającą w ich stronę parkę. Miała podejrzenie graniczące z pewnością, że Dżolanta przyssała się do reżysera, bo chciała załatwić sobie rolę. Ale Sylwia nie żałowała go, ani trochę. Trafił swój na swego.

– O rany, ona wygląda jak najtańsza dziwka z Rawy Mazowieckiej, a on ma gębę jak skrzyżowanie mordercy z transiorem – wyrwało się Kubie.

Stwierdzenie niepoprawne politycznie, ale trudno mu było odmówić trafności. Atrakcyjność Dżolanty rzeczywiście była z gatunku wulgarnych. Natomiast Dante wyglądał męsko; miał surową, wręcz srogą urodę południowca, do której nie pasowały piękne duże oczy o tak wyrazistej oprawie, że wyglądały jak obrysowane kredką do makijażu. Sylwia jednak miała praktycznie pewność, że było to dzieło Matki Natury.

Już chciała zostawić Kubę na pastwę rodaczki i zadufanego reżysera, kiedy na drodze przed nią wyrósł wysoki, chudy mężczyzna o orlim nosie i białych jak śnieg włosach do ramion. Był to Douglas Clayton, producent, który zaprosił ich do Hollywood, a któremu przedstawili się zaraz po wejściu na pokład. Na jego ramieniu wspierała się żona, drobna i elegancka czterdziestoparoletnia Azjatka.

– Widzę, że już się poznaliście, świetnie, świetnie! – Głos producenta był dość wysoki, ale jednocześnie dźwięczny i emanujący siłą. – Przynajmniej jeden plus tej wariackiej imprezy Juniora!

Sylwia skojarzyła, że mężczyzna, który wskoczył z dwiema panienkami do jacuzzi, z twarzy był uderzająco podobny do Douglasa. Już chciała się upewnić, czy to jego syn, ale producent, śmiejąc się głośno, spoglądał ponad jej głową,

przywołując kogoś gestem. Dżolanta posłała mu przymilny uśmiech i zaczęła drobić na wściekle wysokich czerwonych szpilkach.

– Nasz meksykański geniusz – obwieścił Douglas, klepiąc Dantego po ramieniu. – Będzie reżyserował wasz scenariusz.

– Słucham? – wyrwało się Sylwii.

– *Spisek scenarzystów*. – Douglas już witał się spojrzeniem z kolejnymi uczestnikami imprezy, którzy właśnie weszli na najwyższy pokład. – Tylko wymyślcie jakiś lepszy tytuł, bo to fatalnie brzmi po angielsku.

4

– Nie, to nie jest tak, że się rozstaliśmy. A przynajmniej nie ostatecznie. Myślę, że... Będę miała okazję wszystko na spokojnie przemyśleć i popatrzeć z dystansu – mówiła Sylwia, kołysząc kieliszkiem, na którego dnie czerwienił się jeszcze ostatni łyk zinfandela, ponoć z winnicy Francisa Forda Coppoli. – Mój chłopak zresztą też. Mam nadzieję.

Była zaskoczona swoją otwartością i szczerością. To było coś więcej niż rozluźnienie pod wpływem paru kieliszków wina, choć alkohol niewątpliwie pomógł w rozwiązaniu jej języka. Sylwia czuła, że świat wokół przyjemnie się kołysze. Również za sprawą fal oceanu, który wbrew swej nazwie wcale nie był taki spokojny.

Zwierzanie się, a zwłaszcza dopiero co poznanej osobie, było zupełnie nie w jej stylu. W pewnym momencie aż zamilkła, próbując ustalić, co się z nią dzieje. Zerknęła na rozmówcę.

Może to on sprawił, że tak się uzewnętrzniała?

Wysoki chudzielec, gładko ogolony brunet o łagodnej twarzy, Adam Yoshida, wyśmiany przez jej brata maniak komputerowy, miał japońskie nazwisko i azjatyckie rysy, choć nie do końca, bo na przykład jego skośne oczy były niebieskie. Jak sam wyjaśnił naukowym tonem, jego mama była blondynką, podobnie jak babcia ze strony ojca, więc otrzymał dwie kopie recesywnego genu kodującego kolor tęczówki.

Rzeczywiście nerd – uśmiechnęła się do własnych myśli Sylwia.

Wzbudzał w niej zaufanie. Nie tylko tą swoją oderwaną od rzeczywistości manierą. Jeśli wzbraniamy się przed powierzeniem swoich intymnych spraw innym ludziom, to najczęściej z obawy, że nas ocenią, a za plecami oplotkują. Natomiast Adam wydawał się totalnie szczery i prostoduszny. Nie pozował, nie kreował się. Zachowywał dystans, ale jednocześnie wyrażał uprzejme zainteresowanie.

A Sylwia... Cóż, może miała potrzebę, żeby wyrzucić z siebie przemyślenia na temat burzliwej ostatnio relacji z Arturem. Jej podświadomość nieustannie krążyła wokół tego tematu. Trzy lata razem... A potem zdrada, oświadczyzny, separacja. Co dalej?

Reset czy rozstanie?

Miała mętlik w głowie, ale jednocześnie czuła dziwną obojętność, tak jakby coś w niej pękło i wyciekło, pozostawiając pustą skorupę, której nie da się już na nowo napełnić.

– Mam trochę podobnie. – Adam omiatał spojrzeniem pokład. Robił wszystko, byleby uniknąć kontaktu wzrokowego. Był go w stanie utrzymać ledwie przez kilka sekund, a i tak z kiepsko maskowanym trudem.

Nieśmiały, wycofany... Pewnie cierpiał na zespół Aspergera albo inny rodzaj utrudnienia w nawiązywaniu i utrzymywaniu kontaktów międzyludzkich. Kolejna okoliczność, która rodziła pytanie: Co maniak komputerowy, wbity w smoking, robi na imprezie na jachcie hollywoodzkiego producenta?

Sylwia szybko otrzymała odpowiedź. Adam był informatykiem. W wieku trzydziestu lat został głównym programistą w DoDo Gamez – firmie Douglasa, która zajmowała się produkcją gier komputerowych. Siwowłosy gospodarz imprezy działał na wielu frontach show-biznesu,

nie tylko w branży filmowej.

– W jakim sensie masz podobnie? – Sylwia starała się nie wbijać w Adama wzroku, żeby go nie peszyć. Patrzyła to w kierunku jego prawej, to lewej skroni.

– Moja dziewczyna też chyba uznała, że potrzebuje czasu, żeby wszystko przemyśleć. Osobno.

Sylwia była zaskoczona faktem, że Adam ma dziewczynę, ale zaraz skarciła się w myślach. Chyba tylko w kiepskich filmach i serialach postaci takie jak jej rozmówca noszą koszule z kraciastej flaneli, a romanse przeżywają w rzeczywistości wirtualnej i na planszach gier. Znała wiele kobiet, które pociągali mężczyźni introwertyczni i nieobnoszący się z emocjami, w pewnym sensie niedostępni. Bogiem a prawdą... Sama była jedną z nich.

– A co przeskrobałeś? – spytała, podnosząc się na chwilę i odstawiając pusty już kieliszek na tacę przechodzącego kelnera. Siedzieli na najwyższym pokładzie, na jednym z drewnianych leżaków. Trójka z jacuzzi już się gdzieś przeniosła. Ścisnięty na dziobie kwartet smyczkowy niezmordowanie grał skoczne melodie.

Adam zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Nic. Niczego nie przeskrobałem.

– Wszyscy tak mówią – wypaliła Sylwia.

– Nie. Nie wydaje mi się, żebym zrobił coś złego.

Przerwał im jazgot ślizgacza. Obłądnie aerodynamiczna maszyna przemknęła wzdłuż burty, niepokojąco blisko. Na jej pokładzie krzyczało z podniecenia kilku napakowanych dwudziestoparolatków. Paru było bez koszulek, ktoś trzymał otwartą butelkę szampana. Klimaty wieczoru kawalerskiego.

Sylwia poczuła, jak wzbudzona przez ślizgacza fala przechodzi przez jacht. Musiała poprawić okulary, które podskoczyły jej na nosie. Skrzypaczka kwartetu, ruda czterdziestka o natchnionym wyrazie twarzy, która zapamiętała piłowała smyczkiem struny, nagle straciła

równowagę i wypadła za burtę. Przez kilka sekund pozostały tercet kontynuował utwór, nim jego członkowie zorientowali się, że kogoś brakuje.

Zrobiło się zamieszanie. Nieszczęśnicę szybko wyłowiono, a Luis, który dowiózł właśnie kolejną ekipę spóźnialskich, zabrał ją motorówką na brzeg.

Adam kontynuował, ale z trudem, robiąc długie pauzy. Widać było, że uzewnętrznianie się również dla niego nie jest chlebem powszednim.

Sylwia zerkała od czasu do czasu na przewijających się w tle uczestników imprezy. Następnego dnia podekscytowany Kuba rzucał nazwiskami gwiazdeczek, które wypatrzył (swoją drogą, brak męskiego odpowiednika „gwiazdeczki” oburzył feministkę w Sylwii – jest przecież lekceważąca „aktoreczka”, ale pana „aktorka” już nie ma).

Adamowi na imprezie na jachcie miała towarzyszyć jego dziewczyna, Mandy. Jeszcze nie gwiazdeczka, ale już aspirująca aktorka. Jak nietrudno było zgadnąć, zależało jej na tym, żeby przyjął zaproszenie Douglasa. Adam jak ognia unikał imprez, ale dla ukochanej zrobił wyjątek. Umówili się w Marina del Rey, Mandy jednak się nie pojawiła. Pomyślał, że weszła na pokład bez niego, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Dzwonił do niej, lecz nie odbierała.

– Tak po prostu cię wystawiła? – Sylwia wstała na chwilę z leżaka i porwała kieliszek z winem z tacy innego z uwijających się po pokładzie kelnerów, posyłając mu przy tym „thank you”, które zostało skwitowane służbowym uśmiechem.

– Nie wiem w sumie, nie mam zbyt dużego doświadczenia...
– Adam zaśmiał się nerwowo, nienaturalnie. – Ale to się chyba zdarza?

– I nie odbiera od ciebie telefonów? Musiała być jakaś przyczyna – upierała się Sylwia.

– Technicznie rzecz biorąc, najpierw nie odbierała, a potem

wyłączyła telefon. Wczoraj w nocy musiała na chwilę włączyć, bo miałem potwierdzenie odczytania wiadomości. Ale nic nie odpisała...

– Jak to: w nocy?

– Bo rano miałem raport. Odczytała moją wiadomość o drugiej czterdzieści siedem. Zadzwoiłem, ale znów miała wyłączony telefon.

– Ale zaraz... – Tłumaczenie Adama wydało się Sylwii co najmniej dziwne. – To kiedy to było? Od jak dawna nie odbiera od ciebie telefonów?

– Od trzech dni. Wliczając dziś.

Sylwia z trudem się powstrzymała, żeby nie okazać zaskoczenia.

– A jak długo jesteście razem?

– Pół roku. To znaczy znamy się prawie pół roku, a...

– Adam! – Sylwia przerwała mu w pół słowa. – A nie pomyślałeś, że... Ona cię nie wystawiła, tylko coś jej się stało?

26 maja, sobota

5

– Nazwisko?

– Yoshida. Adam Yoshida.

Policjant, łysiejący pięćdziesięciolatek o jasnej, piegowatej karnacji i rudziejących brwiach, zrobił minę, jakby właśnie wziął do ust zepsute jedzenie i zastanawiał się, czy nie wypluć. Jego wysokie czoło błyszczało w świetle zwisających z sufitu ledowych lamp jak wypolerowane.

– Pewnie chodzi o nazwisko zaginionej, a nie twoje – wtrąciła cicho Sylwia.

– Ach – zmieszał się Adam. – Mandy Powell. Amanda. Mandy to zdrobnienie.

Policjant posłał mu spojrzenie wyrażające „masz mnie za idiotę?”, po czym westchnął głęboko, pochylił się nad klawiaturą i wstukał dane.

Gdyby był z nimi jej brat, nie nazwałby Adama nerdem czy geekiem, a po prostu kosmitą. Ale Sylwii to zagubienie i nieporadność, nieprzystawalność do otaczającego świata wydały się urocze. A przynajmniej rozczulające.

Adam przesłonił usta dłonią; miał długie i szczupłe palce. Sylwia wiedziała, że to

podświadomy gest, którym próbuje się odseparować od niemiłego policjanta. Przypominał jej Małego Księcia. Brakowało mu tylko szalika niedbale okręconego wokół szyi i powiewającego na wietrze. Zastanawiała się, jak Adam radzi sobie na co dzień, z przyziemnymi sprawami, kiedy na przykład zaczepia go pijaczek i zaczyna przekonywać, że potrzebuje pieniędzy na leki. Może w Los Angeles nie ma pijaczków?

– Miejsce zamieszkania? – Policjant pisał na klawiaturze dwoma palcami.

– Nie wiem.

Zapadła cisza.

– Nie znam jej adresu – uściślił Adam, poprawiając się na krześle i uciekając wzrokiem gdzieś ponad głowę policjanta.

– No ale na pewno Los Angeles – wtrąciła Sylwia, chcąc pomóc.

– Pani tak na poważnie? – Policjant odchylił się, aż fotel na kółkach zaskrzypiał. Zwracał się do niej, używając zaimka „you”, który może oznaczać zarówno „tykanie”, jak i oficjalne „pan/pani”. Sylwia w myślach tłumaczyła jego słowa, korzystając z drugiej wersji. – Wie pani, ile ludzi mieszka w Greater Los Angeles?

– Dużo? – Sylwia zaczynała powoli żałować, że nakłoniła Adama do wizyty na posterunku policji w środku nocy. Nie miała pojęcia, czym

jest Greater Los Angeles, ale wolała nie drażnić tematu.

– Ponad osiemnaście milionów – rzucił policjant, po czym sięgnął po kubek z policyjnym logo oraz napisem LAPD i siorbnął łyk kawy.

Rzeczywiście sporo – pomyślała Sylwia. Prawie połowa ludności Polski.

Policjant poprosił Adama o zdjęcie zaginionej i opis. Sylwia dyskretnie sprawdziła godzinę na ekranie komórki. Pierwsza siedemnaście. Czyli w Polsce już po dziesiątej rano. To dlatego nie czuła zmęczenia. I jest Dzień Matki. Jak tylko stąd wyjdzie, musi zadzwonić do mamy i złożyć jej życzenia.

Na imprezę na „Księżycu” już nie wróci – postanowiła. Kuba pewnie będzie bawił się do białego rana. W przeciwieństwie do siostry był lwem salonowym. Kiedy zaproponowała, żeby zeszli na ląd i pomogli Adamowi na policji, gwałtownie zaprotestował.

– Zwariowałaś? To nasza pierwsza, a może ostatnia impreza w Hollywood. Jestem jak kapitan. Zejdę z pokładu ostatni.

– Kuba, to poważna sprawa. Mam nadzieję, że alarm okaże się fałszywy, ale... Co, jeśli jego dziewczyna naprawdę zaginęła?

– Masz na myśli silikonową lalę, którą sprowadził sobie z Japonii?

Sylwia posłała bratu gniewne spojrzenie.

– No co? – bronił się Kuba. – Widziałem taki reportaż na Dyskawery. Sama wiesz, jakimi perwersami są Japończycy... Niech cię nie zwiedzie ta uprzejma fasada! To Meryl Streep?! – nagle zmienił temat. – Ale teraz na serio! Popatrz! Tam!

Sylwia nawet nie spojrzała we wskazanym kierunku.

– *Mamma mia!* – zawołał głośno Kuba, jakby chciał przywołać psa. – *Wybór Zofii!*

Sylwia popukała się w głowę. Odwróciła się na pięcie i zeszła schodkami w środkowej części kadłuba na najniższy pokład jachtu. Adam szedł za nią.

Motorówka Luisa pozostawała do dyspozycji gości przez całą noc. Podobnie jak kilka limuzyn czekających na parkingu w Marina del Rey. Szofer auta, do którego wsiadła z Adamem, miał dwadzieścia parę lat i nosił obowiązkowy mundurek kierowców Douglasa – czarny garnitur i białą koszulę bez krawata. Przedstawił się jako Jorge i w ogóle nie okazał zdziwienia, kiedy poprosili, żeby zawiózł ich na policję. Przez chwilę tylko zastanawiał się, który komisariat jest najbliżej.

Najpierw chciał ich zaprowadzić do biura szeryfa znajdującego się na terenie mariny, ale nagle stanął, podrapał się w głowę i stwierdził,

że ono zajmuje się chyba jurysdykcją spraw morskich. Potem pojechali w kierunku komisariatu w Inglewood, ale ponieważ było to odrębne miasto w obrębie metropolii Los Angeles, ostatecznie odbili do West LA Police Department. Sylwia nie wiedziała, czym szeryf różni się od policjanta, a metropolia Los Angeles od „zwykłego” LA, ale zdała się na Jorgego i jego kompetencje.

Po wypełnieniu formularza Adam i Sylwia wyszli do poczekalni i usiedli na ciemnozielonej plastikowej ławie przy automacie z napojami w puszkach, który cicho buczał. Była już prawie druga w nocy. Jorge w międzyczasie wrócił na nadbrzeże i pewnie odwoził do domu kolejnych uczestników imprezy, ale Adam miał w telefonie aplikację, która przywoływała najbliższego wolnego kierowcę floty limuzyn Douglasa.

Czekając na auto, komentowali cicho rozmowę z rudowłosym policjantem. Funkcjonariusz nie pozostawił im złudzeń. Przyjęcie zgłoszenia nie było równoznaczne z podjęciem działań. Zaginiona nie była dzieckiem ani osobą starszą, nie cierpiała na żadną chorobę, a w jej przeszłości nie było niczego, co mogłoby sugerować problemy psychiczne albo zagrożenie dla otoczenia. Nie puszczą za nią APB, czyli „All Points Bulletin” –

pilnego komunikatu do wszystkich jednostek.

Policjant, nie próbując nawet specjalnie ukrywać pobłażliwego uśmiechu, stwierdził, że jego zdaniem to Adam padł ofiarą – upadku randkowych obyczajów. Kiedyś zrywało się z kimś, stojąc z nim twarzą twarz, potem przez telefon albo wysyłając esemesa, a dzisiaj może jego dziewczyna uznała, że wystarczy przestać się odzywać. A nie zmieniła czasem statusu na Facebooku? Adam nie wiedział, bo nie miał Facebooka.

Sylwii było trochę głupio, że może robi widły z igły, ale intuicja podpowiadała jej, że postąpiła słusznie, namawiając go na zgłoszenie. Gdyby Mandy nie odbierała telefonów od Adama i nie odpisywała na mejle, można by uznać, że rozstała się z nim w niezbyt elegancki sposób. Ale jej telefon był wyłączony, o czym Sylwia sama się przekonała, dzwoniąc do niej ze swojego numeru. Jej komunikator WhatsApp był martwy, a mejl, który w międzyczasie wysłał Adam, wrócił, tak jakby dziewczyna zlikwidowała skrzynkę. To wszystko wydało się Sylwii dziwne i zapaliło gdzieś w tyle głowy lampkę alarmową.

Czekanie na kierowcę urozmaiciła im awantura w wykonaniu mocno pijanej pary w eleganckich ubraniach, prowadzonej korytarzem przez dwóch policjantów. Obok

Sylwii na ławie siedziała drobna kobieta, cała na czarno, która drżała i mamrotała do siebie coś niezrozumiałego. Kiedy Jorge zadzwonił, że już dojeżdża, Sylwia i Adam wstali i ruszyli w stronę wyjścia z posterunku.

– Halo! – usłyszeli za plecami, kiedy już mieli otworzyć przeszklone drzwi.

Sylwia odwróciła się. Wołała do nich niewysoka, młoda policjantka o jasnych, gładko zaczesanych włosach upiętych w krótką kitkę. Trupioblada, ale właściwie wszyscy tak wyglądali w niekorzystnym świetle ledowych lamp. Miała wąskie, zacięte usta i zadarty nos. Pomimo tej srogości, która pewnie była jej powłoką ochronną, Sylwia poczuła do funkcjonariuszki sympatię.

– To wy zgłaszaliście zaginięcie dwudziestopięciolatki, blondynka, niebieskie oczy, pięć stóp sześć cali, sto pięć funtów? – Policjantka beznamiętnym głosem odczytywała informacje z ekranu smartfona.

Adam potwierdził skinieniem głowy. Sylwia pomyślała, że amerykańska policja działa błyskawicznie i w trymiga odnalazła dziewczynę. Jeśli tak, pewnie rację miał rudowłosy funkcjonariusz. Skontaktowali się z Mandy, a ona powiedziała, że nie chce mieć nic więcej wspólnego „z tym nerdem”.

Może trzeba będzie pocieszać Adama po tym

zerwaniu w kiepskim stylu?

– Wczoraj w Topanga znaleziono ciało młodej kobiety odpowiadające temu opisowi – oznajmiła oficjalnym tonem policjantka. – Nie ustaliliśmy jeszcze jej tożsamości...

6

Leśniewscy spodziewali się, że zobaczą za kółkiem Fausta, Rebeccę albo Jorgego; flota limuzyn Douglasa Claytona zdawała się jednak nie mieć końca, bo oto dziś wiozła ich nowa postać – kobieta, która przedstawiła się jako Megan. Była przed trzydziestką, miała nadwagę, wesołe, psotne oczy, usta pomalowane fioletową szminką i kasztanowe włosy splecione w warkocz.

– Skoro Megan, to dlaczego nie dali jej renault, tylko audi?
– zapytał Kuba, po czym zaśmiał się z własnego dowcipu.

Sylwia była zbyt zmęczona i niewyspana, żeby zareagować na żart brata, który poza tym wydał się jej średnio błyskotliwy. Spotkanie, na którym mieli podpisać umowę z Douglasem Claytonem, było wyznaczone na dziesiątą. W sobotę. Dzień po imprezie.

Wczoraj, a właściwie dziś, bo po drugiej w nocy, Sylwia i Adam wyszli z posterunku West LA w towarzystwie młodej policjantki i pojechali z nią radiowozem, żeby zidentyfikować zwłoki.

Jak ona się nazywała? Nazwisko i imię umknęły Sylwii, pamiętała tylko, że policjantka zrobiła na niej dobre wrażenie. Była zaangażowana w swoją pracę, co paradoksalnie obróciło się przeciwko nim. Kiedy dotarli na miejsce, do jakiegoś wielkiego szpitala, pod który podjechali od strony słabo oświetlonego zaplecza, okazało się, że w środku nocy w kostnicy nie było nikogo oprócz ciecia.

Mimo perswazji policjantki i rozmowy, którą wykonała

przez radio, mężczyzna, sapiący ze zdenerwowania Afroamerykanin po pięćdziesiątce, w ciemnym uniformie (czymś pomiędzy kombinezonem a mundurem), kazał im wrócić następnego dnia, o jakiejś ludzkiej godzinie, bo nie będzie otwierał kostnicy o drugiej w nocy.

Adam zachowywał spokój. Był niewzruszony. Cały czas sprawiał wrażenie, jakby był z innego świata, a tutaj na Ziemi znalazł się jedynie na chwilę. Młoda policjantka... Chyba miała na imię Claire, bo kojarzyła się Sylwii z Clarice Starling, postacią graną przez Jodie Foster w *Milczeniu owiec*. W końcu poddała się. Przeprosiła ich i umówiła się z Adamem na następny dzień, na rano.

Sylwia była wstrząśnięta. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, przez co on musi przechodzić. Jak miał teraz wrócić do domu i czekać do rana, zastanawiając się, czy zwłoki znalezione w jakimś parku należą do jego ukochanej?! Czy Mandy żyje, czy może nie ma jej już na tym łożu padole?

Sylwia nie wyobrażała sobie siebie w podobnej sytuacji. Umierałaby w każdej minucie niepewności. W radiowozie, w drodze powrotnej na posterunek, powiedziała Adamowi, jak bardzo mu współczuje.

- Muszę uzbroić się w cierpliwość – odparł spokojnie Adam.
- To trochę jak z kotem Schrödingera.
- Co to znaczy?

Adam zaczął tłumaczyć jej eksperyment myślowy dotyczący mechaniki kwantowej. Kot jest umieszczony w pudełku i do momentu podniesienia przez obserwatora wieczka, pozostaje jednocześnie żywy i martwy. Dopiero ingerencja obserwatora sprawia, że jedna z dwóch opcji się materializuje.

Sylwię zamurowało.

- Nie mówisz poważnie – wydukała. - Chyba nie porównujesz swojej dziewczyny do jakiegoś kota?

- To eksperyment myślowy. W rzeczywistości żaden kot nie stracił życia... - Adam chyba nie zrozumiał jej reakcji.

– A ty w ogóle coś czujesz do Mandy?! – Sylwia przerwała mu w pół zdania. Wybuchła, co było zupełnie do niej niepodobne. – Martwisz się o nią?

Adam przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Jego łagodne, uprzejme spojrzenie wyrażało zdziwienie, a pełne usta rozchyliły się, jakby chciał coś powiedzieć. Ale zrezygnował, przygryzł dolną wargę. Sylwia złapała we wstecznym lusterku spojrzenie policjantki, która zaraz uciekła wzrokiem i skupiła się na prowadzeniu.

– Oczywiście, że się martwię – odpowiedział w końcu Adam. – Ona jest dla mnie... wszystkim.

Przez chwilę w jego niebieskich oczach, które w ciemnym wnętrzu mknącego ulicami Los Angeles radiowozu wydawały się czarne, Sylwia zobaczyła cień bezgranicznej rozpacz.

Uspokoiła się. Wiedziała przecież, że Adam nie jest bezduszny; najwyraźniej miał jednak problem z okazywaniem emocji, ale gdzieś tam pod grubą powłoką one są, istnieją, równie silne jak u człowieka, który lubi i potrafi się uzewnętrzniać.

Radiowóz zatrzymał się przed posterunkiem. Wysiedli, pożegnawszy się z Claire, a Adam wezwał kierowcę. Kilkanaście minut później podjechał czarny mercedes z Faustem za kierownicą. W pierwszej kolejności odwieźli Sylwię do hotelu. Po drodze zastanawiała się jeszcze, czy odezwać się do brata, ale odpuściła. Wykończona padła na łóżko. Biała satynowa powłoczka poduszki przyjemnie chłodziła jej policzek. Świtało już i miała wrażenie, że asystent Douglasa zadzwonił dosłownie chwilę później.

Wstała, ogarnęła się. Dobre dwie minuty dobijała się do pokoju brata, a kiedy w końcu zaspany, rozczochrany i skacowany Kuba otworzył, nie pozwoliła mu wziąć prysznic, bo nie mieli już czasu. W windzie jej brat zrzędził, że czuje przeciążenie jak w kokpicie F16 i zaraz puści pawia. W hotelowej restauracji zdążyli wypić kawę, ale intensywnie

maślane croissanty jedli w drodze do obrotowych drzwi wejściowych, bo Megan zadzwoniła, że już czeka.

– Czołem, scenarzyści – powitał ich Dante Alvarez, który siedział na tylnym siedzeniu limuzyny.

Sylwia nie zauważyła go, dopóki nie otworzyła drzwi, bo auto miało przyciemniane szyby. Zawahała się. Nie miała ochoty siadać obok reżysera, który zirytował ją wczoraj, ale głupio było wycofać się i puścić przodem Kubę.

Czy w Hollywood nikt nie ma własnego, prywatnego samochodu? – pomyślała. Może tak jak w Polsce, gdzie w pewnych kręgach w dobrym tonie jest mieć panią do sprzątania, tutaj nie wypada samemu siadać za kółkiem?

Śmieszył ją ten kult limuzyn, choć z drugiej strony w tak rozległej metropolii trudno było nie docenić możliwości przemieszczania się i stania w korkach w komfortowym wnętrzu i z darmowym Wi-Fi.

Sylwia usiadła na środku tylnej kanapy, dotykając kolaniem jednej z szeroko rozchylonych nóg Dantego.

– Myślisz, że będziemy mogli postawić warunek, żeby reżyserem *Spisku* został ktoś inny? – zapytał Kuba po polsku. Skończył jeść croissant i rozglądał się, w co by tu wytrzeć utłuszczone palce. – Nie wiem, taki Anthony Minghella na przykład. *Angielski pacjent* ociekał patosem, ale *Utalentowany pan Ripley* to perełka...

– Anthony Minghella nie żyje – odpowiedziała Sylwia, podając mu chusteczkę higieniczną.

– Co ty mówisz? Kiedy to się stało?!

– Jakies dziesięć lat temu.

– Coś podobnego! Serio?

– Jak nie więcej.

Kuba wytarł palce w chusteczkę, po czym wydmuchał w nią głośno nos.

– To nie wiem, może Steven Soderbergh?

– Jeśli zastanawiacie się, czy Douglas zgodzi się zastąpić

mnie Stevenem – wtrącił się po angielsku Dante – to odpowiem krótko: nie zgodzi się.

– Patrz, patrz, jaki „ynteligentny” – kontynuował po polsku niewzruszony Kuba. – Domyślił się, o czym rozmawiamy.

– A teraz pewnie chwalisz moją inteligencję. – Dante posłał Kubie zimny uśmiech. – Dziękuję. Jesteśmy na siebie skazani, moi drodzy Polacy, przyzwyczajajcie się.

– Rozmawiajmy po angielsku – Sylwia zwróciła się do brata. Zaczął padać deszcz, ale Megan nie włączała jeszcze wycieraczek.

– Dziękuję. – Dante wykonał w jej kierunku gest, jakby uchylał niewidzialnego kapelusza. – A jak tam nocne poszukiwania biednej Mandy?

Sylwią zatkało.

– Skąd o tym wiesz?

Reżyser popatrzył na nią zdziwiony, po czym zamrugał tymi swoimi niesamowitymi oczami.

– Przecież tam byłem. Kiedy zeszlście z jachtu i odpłynęliście motorówką, chyba żeby pójść na policję...

– Skąd wiesz, jak ona ma na imię? – Sylwia wytrzymała jego spojrzenie, intensywne niczym podwójne espresso. – Nie rozmawialiśmy o tym.

Miała wrażenie, że reżyser spieszył się. Na pewno przez moment zwlekał z odpowiedzią. Oczy w ciemnej oprawie mrugnęły trzy razy, nim ich właściciel się uśmiechnął, odzyskując pewność siebie. Krople deszczu zaczęły spływać po przedniej szybie i Megan włączyła wycieraczki.

– Mam mikrofon kierunkowy w zegarku – zażartował Dante, po czym wzruszył ramionami i kontynuował już poważniejszym tonem: – Nie wiem. Na pewno usłyszałem to imię... Jestem reżyserem, zwracam uwagę na szczegóły.

Sylwia pokiwała głową, choć dałaby sobie ją uciąć, że rozmowa o Mandy odbyła się w miejscu, w którym w zasięgu słuchu nie było osób postronnych. Na leżaku, na krańcu

górnego pokładu. Potem rzeczywiście poszła porozmawiać z bratem, a następnie chwilę czekali z Adamem na wejście na pokład motorówki i gdzieś tam czupryna Dantego się przewijała. Ale wówczas nie padło imię Mandy. Sylwia była tego pewna, bo też zwracała uwagę na szczegóły.

Zerknęła w prawo, jakby szukając wsparcia u Kuby, ale ten wsiąkł w komórkę.

– Znasz się z Adamem Yoshidą i z jego dziewczyną? – spytała, przyglądając się badawczo reżyserowi.

– Boże uchowaj! – odpowiedział pospiesznie i takim tonem, jakby mu coś zarzucała.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Jeszcze wielu rzeczy nie wiecie o imperium Douglasa – dodał po chwili, trącając ją porozumiewawczo łokciem.

Sylwia zaczynała odczuwać lekką irytację. Miała wrażenie, że reżyser pajacuje albo traktuje ją protekcjonalnie. Jak dziecko, któremu nie odpowiada się poważnie.

Chyba że... W ten sposób świadomie próbuje nią manipulować, obracając wszystko w żart.

– Możesz powiedzieć, co masz na myśli? – postanowiła nie odpuszczać.

– Nie denerwuj się tak – rzucił, poprawiając mankiet ciemnoszarej koszuli. – Między DoDo Pictures i DoDo Gamez jest ostra rywalizacja. Wy powinniście trzymać ze mną, a nie z nim. Powoli stajemy się gatunkiem zagrożonym. Te cholerne nerdy i ich gry komputerowe chcą nas wygrzyźć...

Sylwia czekała na ciąg dalszy, ale Megan właśnie zatrzymała auto i zamieniła z Dantem kilka zdań po hiszpańsku.

– Nie będziemy wjeżdżać na parking podziemny, okej? – Dante bardziej stwierdził, niż zapytał. – Bo nasza mistrzyni kierownicy musi poczekać tu na kogoś i potem szybko pojechać do hali zdjęciowej.

Leśniewscy pokiwali głowami. Podziękowali za podwiezienie

i wysiedli z limuzyny.

Przestało padać. Znajdowali się na Wilshire Boulevard w samym centrum Los Angeles, w city, gdzie na relatywnie niewielkim obszarze przyczały się wieżowce, między innymi ukończony w 2017 roku najwyższy budynek w mieście i w całej Kalifornii – siedemdziesięciotrzytętrowy Wilshire Grand, którego górne kondygnacje ginęły w nisko sunących chmurach.

Budynek, w którym ulokowało się DoDo Pictures, był niemal dwukrotnie niższy, ale tworzył kompleks z drugim biurowcem, w którym znajdowała się siedziba DoDo Gamez. Obie bryły były smukłe i ażurowe, ale DoDo Pictures miała bardziej owalny, biologiczny kształt, podczas gdy DoDo Gamez – geometryczny i kanciasty. Na tyłach parceli trwała budowa kolejnego budynku, ale nie sposób było ocenić jego kształtu i wysokości, ponieważ na razie prace nie wyszły poza etap kopania fundamentów. Płot, który odgradzał plac budowy, był oklejony wielkimi fototapetami z reklamami filmów i gier produkowanych przez firmy Douglasa.

Skąd on wiedział, jak ma na imię zaginiona dziewczyna, skoro sam przyznał, że nie znają się z Adamem? – myślała Sylwia, kierując się w stronę przeszklonych obrotowych drzwi prowadzących do biurowca. Niby mało znaczący szczegół, ale takie czasami mają piramidalne znaczenie. Choć nie można przecież popadać w paranoję. Może rzeczywiście Dante usłyszał jej rozmowę z Adamem?

Poczuła wibrację komórki. Pospiesznie wyciągnęła telefon z kieszeni. Ukłuł ją strach, bo przecież Adam miał się odezwać po spotkaniu z Claire i identyfikacji ciała.

Na ekranie pojawiła się twarz Lidii Wybickiej. Sylwią wciąło. Buzia producentki ruszała się, Lidia stroiła groźne miny.

– No odbierz! – ponaglił siostrę Kuba, przekrzykując ruch uliczny i zaglądając jej przez ramię. – To FaceTime.

– Co? – spytała niezbyt przytomnie Sylwia.

– Tylko nie odchodź za daleko, bo stracisz Wi-Fi i zabulisz majątek za roaming danych!

Kuba zrobił zniecierpliwioną minę i musnął palcem ekran komórki Sylwii. Od dziecka musiał wyręczać siostrę w sprawach technicznych. Miał poczucie, że bez niego bazgrałaby scenariusze gęsim piórem przy świeczce.

– Halo? – zaczęła niepewnym głosem Sylwia, bo nie była w stanie ocenić, czy się połączyła, czy nie. – Cześć, Lidia.

– Kochani! Słyszycie mnie? Niczego nie podpisujcie! Halo? – głos producentki, z natury wysoki, teraz przeskoczył na jeszcze wyższą oktawę. – To cyrograf z diabłem!

– Słucham? – Sylwii od razu przed oczami stanął Fausto, który odebrał ich z lotniska.

– Niech was Bóg broni przed tym Belze-bubkiem! I niech ma was w opiece... – producentka urwała i spojrzała w bok. – Jaki jest patron? Święty patron filmowców?

– Nie wiem – zza kadru dał się słyszeć przytłumiony głos jej córki. – Skąd mam wiedzieć?

– Chodziłaś przecież na religię! – piekliła się Paloma Bis. – Zakonnica chciałaś zostać!

– Buddyjską mniszką.

Zaciekawiony Kuba zaszedł siostrę od tyłu, żeby popatrzeć na wyświetlacz.

– Kuba? Dziecko, chodź tu, kochany, przekonaj ją! – Obraz trząsał się równie mocno jak głos Lidii. – Mówię wam! Ten cały Douglas... Psiagomać Clayton! To oszust! Niczego nie podpisujcie, słyszycie? Oszukał mnie, oszuka i was! Nam, Polakom, zawsze pod górkę, krew w piach, piach w oczy i kij w szprychy!

– A marchewka? – zapytał przytomnie Kuba.

– Ale... – zaczęła Sylwia i od razu umilkła, bo połączenie się zerwało.

Megan w czarnym audi już odjechała z nowym pasażerem, porywając ze sobą Wi-Fi.

7

Oscar. To był prawdziwy Oscar! Niecały metr od Kuby, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Stał niestety tyłem, więc nie dało się odczytać wygrawerowanego napisu, dla kogo i za co. Ale ta charakterystyczna złota sylwetka: toporna głowa, ściśnięte pośladki i szerokie plecy... Nie było wątpliwości, że Święty Graal przemysłu filmowego stoi na biurku w gabinecie Douglasa Claytona, obok srebrnej ramki na zdjęcie i paru bibelotów, które wyglądały na wyroby rękodzieła artystycznego, pewnie z Azji, możliwe że z rodzinnych stron żony producenta: jadeitowego posążka Buddy, inkrustowanej srebrem konchy i sztyletu wyrżniętego z jednego kawałka agatu.

– Wszystko jest tak, jak uzgodniliśmy, ale nie spieszcie się, sprawdźcie – powiedział siedzący za biurkiem Douglas Junior, syn producenta, po czym potarł palcem wąski, orli nos, co (jak Kuba wyczytał kiedyś z artykułu o mowie ciała) oznacza kłamstwo. – Chociaż zależy mi na tym, żebyśmy podpisali już dziś. Czas. Czas to pieniądz. Niestety.

Leśniewscy byli rozczarowani tym, że choć spotkanie odbywało się w gabinecie na ostatnim piętrze biurowca DoDo Pictures, z oszałamiającym widokiem na Los Angeles i zatokę Santa Monica, to szefa wszystkich szefów zabrakło. Przysłał zastępcę i syna w jednej osobie. Douglas Junior był po trzydziestce i bardzo przypominał ojca. Typ holenderski – wysoki, pociągła i nieco anemiczna twarz, jasne włosy oraz wodnistoniebieskie oczy. Na pewno nie był synem obecnej

żony producenta, która po pierwsze była od niego ledwie dziesięć, piętnaście lat starsza, a po drugie pochodziła z Tybetu.

Spotkanie zaczęło się kilka minut wcześniej od wyjaśnienia zarzutów, z którymi w ostatniej chwili wyskoczyła Paloma Bis. Douglas Junior potwierdził, że to jego ojciec jest tajemniczym inwestorem, który wszedł w *Spisek scenarzystów...* Czyli w produkcję, która rozsypała się kilka tygodni wcześniej na Teneryfie. Zresztą to właśnie dzięki tamtym dramatycznym zdarzeniom, które za pośrednictwem mediów obieżyły cały świat, Douglas zrozumiał, że ma przed sobą materiał na hollywoodzki hit.

Początkowo chciał poczekać z amerykańską wersją filmu, ale potem uznał, że właściwie nie ma powodu, by zwlekać. Jak każdy producent, był pozbawiony sentymentów i skrupułów. Pospiesznie ściągnął Leśniewskich do Kalifornii, a jednocześnie, wykorzystując kruczki prawne, wstrzymał prace nad polską wersją filmu. Żadna dolarów Paloma Bis podpisała umowę na jego warunkach, więc teraz mogła co najwyżej nawymyślać mu od Belzebubów. Wszystko odbywało się zgodnie z prawem, jak zapewniał obecny na spotkaniu prawnik Douglasa, a Leśniewscy wiedzieli, że miał rację.

– Lidia Wybicka to wariatka – skwitował Kuba, uśmiechając się do Juniora porozumiewawczo, a niejako na potwierdzenie swoich słów pokręcił wskazującym palcem wokół skroni i zagwizdał. – Nazywamy ją Palomą Bis, bo jest godnym następcą pierwszej Palomy z naszego scenariusza.

Douglas Junior uśmiechnął się i pokazał kciuk w górę.

Sylwia była zajęta studiowaniem umowy. W okularach i z jasnymi włosami spiętymi w kucyk wyglądała jak nauczycielka pochylająca się nad pracą domową ucznia. Kuba kartkował drugi egzemplarz, ale był skacowany po wczorajszej imprezie, więc nie miał głowy do kruczków

prawnych, i to w dodatku po angielsku. Nie mówiąc o tym, że jego myśli zaprzętało teraz stworzenie odpowiednio chwytliwego opisu pod zdjęciem ze statuetką Oscara, które wrzuci za chwilę na Instagrama i czym na pewno rozwali system.

„And the winner is...” Dobrze! – pomyślał, uśmiechając się do siebie w myślach. Choć trzeba pomyśleć o followersach, którzy nie znają angielskiego. Może lepiej: „chodź złotko do złota”? Pretensjonalne. Może skupić się na hasztagach? #pозdrowienia_z_Hollywood – banalne, #oscarowy_chłopak – lepiej, ale wciąż jeszcze słabawe, #my_new_boyfriend – o to, to...

Tylko kiedy będzie dobry moment, żeby poprosić gospodarza o możliwość cyknięcia tej fotki, która niewątpliwie pobije rekord liczby serduszek?

Kończmy te formalności! Trzeba podpisywać tę umowę i sru... Sława i chwała czekają...

Kuba cały czas udawał, że wczytuje się w paragrafy, ale tak naprawdę nie potrafił się skupić. Zastanawiał się, za co ten Oscar. Studio filmowe Douglasa zaczęło działać ledwie dwa lata wcześniej. Leśniewscy sprawdzili to, kiedy chcieli upewnić się, że zaproszenie od producenta z Hollywood to nie żart w stylu wdowy z Kenii, która potrzebuje pomocy, żeby przelać miliony zmarłego męża.

Kuba był pewien, że DoDo Pictures nie ma na koncie Oscara ani nawet nominacji. Jeszcze. I dlatego pragnęło młodych talentów takich jak rodzeństwo Leśniewskich. W takim razie... Statuetka mogła być przyznana w którejś z kategorii technicznych. Efekty specjalne, dźwięk, montaż, najlepszy catering na planie czy za co tam jeszcze dają Oscary. Douglas był potentatem w branży informatycznej, tuzem Doliny Krzemowej. Najpierw wszedł w branżę gier komputerowych, a kiedy odniósł sukces z DoDo Gamez, postanowił podbić też Hollywood. Zaczął od firmy DoDo

Magik, czyli drużyny zdolnych informatyków produkujących efekty specjalne. Dopiero kiedy umocnił swoją pozycję w Hollywood, postanowił wziąć się za coś ambitniejszego, czyli produkcję filmów. I wtedy jego uwagę przykuł projekt Leśniewskich.

Oczywiście wyobraźni Kuba widział jak w Kodak Theater odbiera Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny. Co by powiedział? Komu by podziękował? Rodzicom? Oczywiście, no i siostrze, ale potem? Hmm. Pomyślał, że czas najwyższy odpalić aplikację randkową. Jest w Los Angeles już prawie od dwudziestu czterech godzin i ma przeczucie graniczące z pewnością, że gdzieś po tych ulicach i ocienionych palmami bulwarach szwenda się jego druga połówka...

Jednak ten hasztag #my_new_boyfriend trzeba będzie zachować na później. Może #mój_ci_on... Gdyby tak sprytnie złapał statuetkę, żeby zasłonić tabliczkę z wygrawerowanym napisem... Może followersi pomyślą, że to jego Oscar?

– Ale... – Sylwia odłożyła kilkustronicową umowę na blat biurka ozdobiony pięknymi intarsjami z jasnego i ciemnego drewna. – To jest właściwie umowa sprzedaży naszego scenariusza.

Kuba zamarł. W gabinecie zapadła cisza, którą przerywał jedynie ledwie słyszalny szmer klimatyzacji. Dante, siedzący na szarej kanapie z boku, spoglądał spode łba tymi swoimi nieziemskimi oczami. Spojrzał na Sylwię z protekcyjnym uśmiechem, jak na pięciolatkę, która właśnie z przejęciem obwieściła, że dwa plus dwa równa się cztery. Siedzący za nim prawnik, którego nazwisko i imię wyleciało Kubie z pamięci, mimo że byli sobie przedstawieni ledwie kilka minut wcześniej, pochylił się w fotelu i otworzył usta, ale Junior uciszył go gestem uniesionej dłoni i sam przemówił:

– Wy napisaliście scenariusz. Mój ojciec go kupuje. Na tym to przecież polega, prawda? Nie chcecie nam chyba wypożyczyć waszego scenariusza, tylko go sprzedać?

Douglas Junior, Dante, asystent i prawnik parsknęli śmiechem. Czterech wilczków kontra rodzeństwo Leśniewskich.

Kuba się zaniepokoił.

O co chodzi Sylwianie? – pomyślał, wierząc się nerwowo na krześle. Przecież właśnie tak miało być, że oni chcą nakręcić amerykański *remake* *Spisku*. Praktyka od lat i z powodzeniem stosowana w Hollywood. *Zapach kobiety* z Alem Pacino, horror *The Ring*, *Vanilla Sky* z Tomem Cruise'em. Martin Scorsese dostał Oscara za *Infiltrację*, której pierwowzór nakręcono w Hong Kongu. Nawet Juliusz Machulski prawie się załapał z *Kilerem*, choć w tym wypadku szumnie zapowiadany *remake* skończył się tylko na sprzedaży tak zwanych „opcji”.

Kuba zaczął nerwowo kartkować swoją kopię umowy. Dziesięć stron po angielsku, spiętych zszywką, z czego prawie połowę stanowiło wyliczenie wszelkich możliwych pól eksploatacji: „televizja (w szczególności DVB-T), sieci kablowe, satelitarne, IPTV, DSL, ADSL” – Kuba nie miał zielonego pojęcia, o czym mowa – „VOD, pay-per-view, Catch UP TV lub innych systemach przekazu (w tym tzw. *simulcasting* i *webcasting*)”, platforma internetowa taka, siaka i owaka.

Jezu, czy tu jest jakaś mina?

A może to Sylwia oszalała? Kuba nerwowo przełknął ślinę. Wczoraj w nocy miała przecież jakieś przejścia ze zwłokami znalezionymi w parku. Może doznała stresu pourazowego, który przewartościował ją egzystencjalnie?

– Możemy negocjować stawkę – Douglas Junior kontynuował już poważnym tonem. – Jeśli uważacie, że nie zostaliście wystarczająco docenieni...

– Nie chodzi o stawkę – odpowiedziała pospiesznie Sylwia.

Kuba jęknął w myślach i chciał ją trącić łokciem, ale nie dało się tego zrobić ukradkiem. W sprawach finansowych

siostra zawsze była taka nieporadna. Tak jakby pieniądze były czymś wstydlwym. Pamiętał, jak na targu w Shanzu w Kenii płaciła każdą sumę wymienioną na dzień dobry przez sprzedawcę i odchodziła, pozostawiając go naburmuszonego, bo przecież w dobrym tonie było trochę się potargować. Nie daj Boże jeszcze zgodzi się oddać ich scenariusz za „co łaska”.

– Więc o co chodzi? – Douglas Junior odchylił się w fotelu i przeczesał włosy.

Atmosfera w gabinecie na ostatnim piętrze biurowca DoDo Pictures powoli gęstniała. Kuba zdążył jeszcze pomyśleć, że może siostrę jednak nadal niepokoi alarm, który chwilę wcześniej wszczęła Paloma Bis. Nagle poczuła z nią solidarność? Ale to Lidia za przeproszeniem dała ciała i teraz jakiegokolwiek hamletyzowanie w ich wykonaniu niczego już nie uratuje. „Pacta sunt servanda” – umów należy dotrzymywać. Kuba miał ochotę poradzić Lidii, że trzeba czytać, zanim się coś podpisze.

– Nie jestem prawnikiem – zaczęła Sylwia tym swoim spokojnym, cichym głosem. – Ale...

– Nie jesteś – chamsko wciął się Douglas Junior.

Kuba aż się wyprostował. Niestety w rodzinie Claytonów kindersztuba nie przeszła z pokolenia na pokolenie. Gdzie jest ten przesympatyczny sześćdziesięciolatek, który witał ich wczoraj na pokładzie swojego jachtu? Dlaczego to nie z nim rozmawiają, a z jakimś rozwydrzonym gnojkiem chlapiącym się w jacuzzi z panienkami?

– Ale – Sylwia kontynuowała niezrażona – widzę, że umowa jest skonstruowana tak, że twój ojciec, owszem, zapłaci nam honorarium, ale potem nie będziemy mieli żadnego wpływu na to, co stanie się z naszym scenariuszem.

– A jaki wpływ chcielibyście mieć? – Głos Juniora był zimny, ale spokojny. Prawnik nachylił się i wyszeptał kilka zdań do ucha Douglasa, co Kubie wydało się kolejnym tego

ranka przejawem brakiem taktu.

Jednak ci Amerykanie to jaskiniowcy – pomyślał, próbując posłać obojgu karcące spojrzenie. Nic dziwnego, że Fred Flintstone był Amerykaninem.

– Na pewno nie akceptujemy takiej sytuacji, że w momencie podpisania umowy, czyli już za chwilę, podziękujecie nam i nasz scenariusz właściwie od nowa napisze ktoś inny – Sylwia kontynuowała spokojnym tonem.

– A myślisz, że tak właśnie się stanie?

– Myślę, że tak właśnie się stanie – Kuba uznał, że czas najwyższy włączyć się w rozmowę. W ich teamie to on na ogół robił za złego policjanta. Ale teraz Sylwana wczuła się w tę rolę, więc jemu nie pozostało nic innego, jak zabawić się w bardzo złego glinę.

Poza tym rzut oka na miny czterech wilczków obecnych w gabinecie utwierdził go w przekonaniu, że siostra trafiła w dziesiątkę. Co więcej, Kuba miał pewność, że gościem, który napisze od nowa ich scenariusz, będzie ni mniej, ni więcej, tylko Dante Alvarez.

Reżyser z zapędami literackimi. Odwieczna zhora scenarzystów. Oboje z siostrą dobrze wiedzieli, czym to pachnie i jak się skończy. Przerabiali takie scenariusze we wczesnych latach pracy nad serialem. Od tamtego czasu byli wyczuleni na zakusy reżyserów i hołubiących ich producentów. Nic dziwnego, że Sylwii zapaliła się czerwona lampka.

Brawo! Podobną przytomnością umysłu siostra wykazała się siedem lat temu, kiedy podpisywali swoją pierwszą umowę na serial. Gdyby nie zastrzegli w kontrakcie, że scenariusz jest ich i tylko ich, i nawet Władimir Putin z baterią Iskanderów nie może Leśniewskich z niego wykołegować, pierwsza Paloma po tygodniu wywaliłaby ich na zbity pysk.

To przykre, ale w branży filmowej lepiej nie ufać nikomu.

A już na pewno nie producentom. A z drugiej strony, nie ma się co dziwić, oni odpowiadają głową za grube miliony wykładane na film.

Świetnie, że Sylwia się postawiła. A Kuba teraz przypilnuje, żeby nie cofnęli się ani o krok. Odwrócił się do siostry i posłał jej krzepiące spojrzenie, po czym sięgnął po filiżankę i wypił łyk kawy. Była dobra, cholernie dobra. Prawdopodobnie najlepsza kawa, jaką pił w życiu. Nie zdziwiłby się, gdyby to była słynna Kopi Luwak, bajecznie droga kawa, której nasiona wysrywają łaskuny.

– Tak naprawdę... – kontynuowała Sylwia – ... mam wrażenie, że na podstawie naszego scenariusza w ogóle nie powstanie żaden film.

– O czym ty mówisz? – Douglas Junior posłał jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Chcieliśmy zapisu, z którego wynika, że jeśli film nie zostanie nakręcony w ciągu dwóch lat od daty podpisania umowy, wszystkie prawa wracają do nas.

– To nierealne.

– Pamiętam, że osiągnęliśmy konsensus, a teraz ten paragraf zniknął...

– No właśnie, zniknął! – wtórował siostrze Kuba, rozkładając bezradnie ręce. Wprawdzie nie miał zielonego pojęcia, o czym mówiła, ale uznał, że lepiej wspierać ją w ciemno.

Choć, skubana, radziła sobie całkiem nieźle. Gdzie ta szara myszka, którą opiekował się przez ostatnie trzydzieści lat?

– Mam wrażenie – ciągnęła Sylwia – że chcecie przejąć prawa do naszej historii wcale nie po to, żeby nakręcić film...

– Tylko po co?! – przerwał jej Douglas Junior.

– Na przykład, żeby zrobić na jej podstawie grę komputerową – odpowiedziała. – O, proszę: „Scenarzysta upoważnia Producenta do rozporządzania prawami zależnymi, w szczególności prawem do dalszego rozwoju

Dzieła przez osoby trzecie na wszystkich istniejących polach eksploatacji, adaptacji (w tym na inną technikę)” i tak dalej.

Nie uszło uwagi Kuby, że syn producenta i Dante wymienili w tym momencie przestraszone spojrzenia.

– Cóż. – Douglas Junior splótł ręce i założył je za kark. – Wiecie, ile my dziennie dostajemy scenariuszy? I to często całkiem niezłych, które lądują na wieczne odpoczywanie w koszu? Więc uszanujcie to, że chcemy dać wam szansę. Powiem tak: umowa, która leży na stole, to nasze ostatnie słowo...

– Jeśli chodzi o słowa... – Kuba przerwał mu z zawadiackim uśmiechem, który przyprawił dosłownie odrobiną protekcyjności. – A zwłaszcza ostatnie...

Już miał wyprowadzić celną ripostę, która niczym wisienka na torcie zwieńczył mozolną polemikę Sylwii. Niestety Douglas Junior nie pozwolił skończyć mu zdania.

– Bierzcie te dwieście tysięcy albo wypierdalajcie – powiedział cicho i bez cienia uśmiechu.

Za to Dante, asystent Douglasa, i prawnik z trudem powstrzymywali się, żeby nie parsknąć.

8

Widmo Oscara za scenariusz oddalało się w zastraszającym tempie, właściwie zniknęło już za zakrętem marzeń. Kuba nie mógł się z tym pogodzić. Jak w amoku ciągnął za sobą czerwoną walizkę, która terkotała na granitach hotelowego lobby.

– Jak mogłaś! No nie! – Z trudem powstrzymywał się, żeby nie wrzeszczeć, nie kłać. Wzrok miał nieprzytomny, jakby nie do końca wierzył, że to się dzieje naprawdę. – Co cię opętało? Co w ciebie wstąpiło?! Jezus Maria, dlaczego, Silwano? Akurat teraz musiałaś ćwiczyć asertywność? Musiałaś?! Nie mogłaś pójść do Biedronki i powyklócać się o Świeżaki? Ja pierdziu!

– Przecież wiesz, że miałam rację – odpowiedziała Sylwia, która spakowała się szybciej i już od kilku minut czekała na niego przy recepcji.

Hotel musieli opuścić w ekspresowym tempie, bo okazało się, że należy do Douglasa i nie są tu mile widziani. Ich amerykański sen skończył się, właściwie zanim się rozpoczął.

Załatwiwszy wszystkie formalności na recepcji, wyszli na Lexington Avenue. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Pogoda była piękna, po przedpołudniowych mgłach i zachmurzeniach nie było śladu, ale czas uciekał i musieli znaleźć nocleg, bo nawet w tak przyjemnych letnich okolicznościach nie uśmiechało im się spanie na plaży. Choćby to miała być słynna Venice Beach.

– Zadzwoił do mnie Adam – powiedziała Sylwia.

– Ale czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?! – Kuba nie pogodził się z wygnaniem z raj, nadal tkwił na etapie szukania sposobu, żeby wrócić do negocjacji z Douglasem. – To się nie może tak skończyć! Ja się nie zgadzam! Przecież mamy radę jakoś się z nimi dogadać. Trzeba tylko uderzyć bezpośrednio do ojca. Papa na pewno jest bardziej wyluzowany, bo bzyka piękną młódkę Azjatkę, która mu pootwierala wszystkie czakry.

– Co ty bredzisz?

– Seks tantryczny, słyszałem coś o tym. Mówię ci, trzeba ominąć tego rozwydrzonego gówniarza. Założę się, że jest jedynakiem...

– Posłuchaj, Adam zadzwonił. Ta kobieta to nie była jego dziewczyna.

– Jaka znowu kobieta?

– Ta, której ciało policja znalazła w tym parku. Adam pojechał, żeby przeprowadzić identyfikację. Nie rozpoznał jej.

– Co?! Nic nie rozumiem. To dobrze czy źle?

– Kuba!

– Wybacz, nie mam teraz głowy do problemów jakiegoś bliżej mi nieznanego nieszczęśnika. Jestem bezdomnym w Los Angeles! Odartym z marzeń! Oskalpowanym z przyszłości!

– Jakbyś dał mi skończyć... Przy okazji opowiedziałam mu, co się stało, i Adam zaproponował, żebyśmy zatrzymali się u niego.

Kuba przystanął. A z nim walizka, którą ciągnął za sobą.

– Ten Japończyk? Wykluczone!

– Dlaczego?

– To psychol. Nie ufam mu, nie zdziwiłbym się, gdyby to on załatwił tę swoją dziewczynę.

– Nawet tak nie mów! Ona żyje i na pewno się znajdzie...

– Taak? Jesteś pewna? Bo ja obstawiam, że zamurował ją pod podłogą. Znamy takich. Chcesz spać z Mandy za ścianą?

Znaczy w ścianie? No chyba nie!

– To co proponujesz?

Sylwia знаła brata na wylot. Czuła, że jego opór jest tak naprawdę odreagowywaniem awantury z Douglasem Juniorem. Kuba podświadomie obwinił siostrę za to, że ich hollywoodzka przygoda nie wypaliła.

Ale przecież nie mogła postąpić inaczej. Jej też było szkoda szansy, która pewnie nigdy więcej się nie powtórzy, ale to była łajdacka umowa. Nie powinni jej podpisywać i kropka.

Kuba próbował się uspokoić, po czym zaproponował, żeby odezwali się do Dżolanty. Podczas imprezy na jachcie chwaliła mu się domem, w którym mieszka z mężem w jakiejś luksusowej dzielnicy Los Angeles.

– Nie – odpowiedziała spokojnie Sylwia. – Tylko nie Dżolanta.

– A dlaczego nie?

– Nie polubiłam jej. Poza tym ona czegoś od nas chce. Czegoś będzie chciała.

– Ale co?

– Nie wiem. Coś w zamian. Przysługę. To ten typ.

– A od kiedy ty się zrobiłaś taka nieufna? Jest tu sama, tęskno jej za ojczyzną. Poza tym ona może nam pomóc odwrócić zły los. Tak! – zapalił się Kuba. – Jej mąż jest jakimś tam księgowym u Douglasa. Możliwe, że ma jego prywatny numer... To się jeszcze da uratować!

– Adam to jest spokojny, poukładany człowiek. Już się zaoferował.

– Nie jadę do żadnego Adama.

– A ja nie jadę do Dżolanty.

Stali tak z walizkami na przystanku autobusowym. Sylwia poczuła, że dzieje się coś dziwnego. Pierwszy raz groził im rozłam.

I nie chodziło o błahostki. Kwestia noclegu była jedynie konfliktem zastępczym. Sylwia czuła, że brat wolałby

podpisać niekorzystną umowę, dać się ograbić ze scenariusza, byleby tylko zachować marzenia o Hollywood, podtrzymać mit, którym karmił swoich znajomych na Instagramie. Widząc, jak bardzo mu zależy, finalnie pewnie by odpuściła. Ich spory zawsze tak się kończyły. Pewnie dlatego zespół scenariuszowy Leśniewskich niedługo mógłby obchodzić okrągłą rocznicę istnienia.

Ale chyba nie obejdzie.

Coś się zmieniło. Tu, w Los Angeles, na nierównym chodniku Lexington Avenue, w smrodzie spalin i hałasie ulicznym, rodziła się w Sylwii spóźniona asertywność. Niezgoda na bycie frajerem.

– Wolę, żeby ten film nie powstał, niż żebyśmy zostali pariasami. Krezusami pariasami, ale to też mi nie odpowiada.
– Sylwia, nawet kiedy była wzburzona, nie potrafiła podnieść głosu.

– Ale po co te teatralne kwestie i wielkie słowa, których i tak nikt nie rozumie? – Kuba wprawdzie czuł gdzieś na dnie serca, że siostra ma rację, ale nie był w stanie pogodzić się z tak brutalnym końcem swoich marzeń. Czuł się jak dziecko, któremu sprzątnięto sprzed nosa zabawkę, zaraz po tym, jak ją rozpakowało. – Spieprzyłaś to, spieprzyłaś koncertowo! Więc wybaczone, jeśli teraz nie zaufam twojej intuicji i nie pójdę nocować do tego świra!

Sylwia chciała coś jeszcze powiedzieć w swojej obronie, ale ostatnie słowo musiało należeć do Kuby.

– A nie wierzyłem, jak mówili, że z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu! – wydarł się, po czym teatralnym gestem obrócił się na pięcie.

I wtedy naprawdę się rozdzielili. Pierwszy raz. Każde poterkotało kółkami walizki w swoją stronę.

Rok później – Warszawa
17 maja, piątek

9

Kiedy brak choćby cienia nadziei, który można by dogonić w chwili trwogi, pozostaje jeszcze myśl, że nawet najgorsza matnia musi się kiedyś skończyć. Że przeminie. Czasami trwa to długo, jak wówczas gdy Sylwia zachorowała i przez wiele miesięcy, a nawet lat, nie była pewna, czy z tego wyjdzie. Czasami krótko – kiedy leżała zamknięta w bagażniku na Reunion i wiedziała, że jeśli nie wydostanie się w ciągu kilku godzin, umrze. Wszystko przemija – to, co złe, na równi z tym, co dobre. Teraz też, skulona na tylnej kanapie porsche Lidii, słabnąc z każdą chwilą, tracąc i odzyskując świadomość, w końcu poczuła, że samochód się zatrzymał.

Mogło być już tylko lepiej. Dojechały do szpitala. Ktoś się nią zajmie. Nie będzie zdana wyłącznie na Palomę Bis.

– Trzymaj się. Słyszysz?! Żyjesz? Jesteśmy! – zawołała producentka, wciskając klakson. – Udało się!

Sylwia nie miała siły odpowiedzieć. To był prawdziwy cud, że przetrwały stłuczkę, a policja ich nie złapała. Dojechały do placu Trzech Krzyży, skręciły w dół, w Książęcą,

a chwilę potem producentka zatrzymała się przed Szpitalem Klinicznym imienia Orłowskiego. Wszystkie miejsca parkingowe były zajęte, ale nieważne! Włączyła światła awaryjne i czekały.

Mijały jednak sekundy i nic się nie działo. Lidia jeszcze raz zatrąbiła, po czym zrozumiała, że nie tędy droga.

– Pieprzona służba zdrowia! – zaklęła pod nosem. – Czy w tym kraju nic nie może działać normalnie? No siedzą tam pewnie, chleją wodę i grają w madżonga, konowały jedne!

Dlaczego nie ma tu Kuby? – jęknęła w myślach Sylwia.

Lidia w końcu wyszarpała kluczyki ze stacyjki, odpięła pas i niemal wybiegła z auta. Sylwia usłyszała, choć bardziej poczuła trzaśnięcie drzwiczek. Zaraz potem Lidia jęknęła głośno na widok ogromu zniszczeń lewego boku auta.

– Jezu Chryste! Mąż mnie zabije! Matko jedyna!

Producentka nachyliła się nad strzaskanym reflektorem i wyszarpała żółto-biało-żółty proporczyk, który podczas stłuczki z autem na dyplomatycznych numerach nadział się na szklaną drzazgę.

– Co to w ogóle za państwo? – skrzywiła się Lidia. – Dzikusy jakieś! Nie umieją jeździć.

Sylwia z największym trudem uniosła głowę i wyjrzała przez okno samochodu.

– Watykan... – wyjęczała.

– Co?!

– Nuncjatura... Jest w alei Szucha. Błagam cię, pospiesz się...

Producentka zerknęła na nią ze zdziwieniem, po czym rozejrzała się nerwowo na boki i odrzuciła proporczyk, jakby to był gorący kartofel.

– Trzymaj się, już lecę po te nosze, już! Hyc, hyc! – zawołała, ruszając biegiem w kierunku wejścia do szpitala, z trudem balansując na szpilkach swoją tuszą.

Aby dostać się do szpitala od strony ulicy i parkingu, najpierw trzeba było wejść po kilku schodkach, a potem przeciąć jeszcze niewielki dziedziniec, który formowały dwa skrzydła budynku i łącznik pomiędzy nimi. Nagle głowa z burzą blond loków zniknęła Sylwii z pola widzenia, za to dał się słyszeć odgłos uderzenia.

Sylwia jęknęła. Domyśliła się, że Lidia wywinęła orła. Mijały sekundy, nic się nie działo. W końcu drzwi szpitala otworzyły się i wybiegło z nich dwóch ratowników medycznych z noszami na kółkach. Sylwia nie mogła się doczekać, kiedy jej gehenna dobiegnie końca. Modliła się, żeby mieli ze

sobą jakiś środek przeciwbólowy w zastrzyku albo w kroplówce.

Niestety ratownicy zatrzymali się przy Lidii, która zaczęła drzeć się wniebogłosy. Ostrożnie złapali ją za ramiona oraz nogi i przenieśli na nosze.

Rok wcześniej – Los Angeles
26 maja, sobota

10

Kuba stał jak zahipnotyzowany. Nie mógł oderwać wzroku od tych zębów. Były wielkie i oślepiająco białe. I idealnie równe. Niewątpliwie sztuczne, bo nikt sam z siebie nie ma tak perfekcyjnej „kielni”. Implanty? Możliwe, choć na tym etapie życia prędeż licówki. Porcelanowa fasada, pod którą kryły się spiłowane, ale prawdziwe kły i siekacze Dżolanty oraz jej męża, Boba Kloppa.

Już podczas imprezy na jachcie Kuba zachichotał i wyszeptał do ucha siostrze, że „Dżolancie tak świeci z japy, że można by czytać po ciemku książkę”. Ale kiedy pani Klopp i jej mąż powitali go w drzwiach swojej rezydencji, uśmiechając się do niego szeroko (najszerzej...), efekt był jak z horroru.

Wiadomo, że Amerykanie mają pierdolca na punkcie zębów i uśmiechu – pomyślał Kuba. Ale małżeństwo Kloppów wyzbyło się w tej kwestii wszelkich zahamowań. Szli na rekord.

– Wchodź! Miło cię poznać, Dżolanta wiele o tobie opowiadała – cedził po angielsku Bob. Jego zębiska były tak wielkie, że ledwo dawał radę rozewrzeć szczęki. A z zamkniętymi ustami wyglądał tak, jakby miał nałożony

ochraniacz stosowany przez zawodników podczas walk bokserskich.

Kuba wszedł do domu przez masywne dębowe drzwi z trójkątnymi przeszkleniami i rozejrzał się po przestronnym salonie jak z magazynu wnętrzarskiego. Jego uwagę przykuł monumentalny kominek, który skojarzył mu się z sarkofagiem, wykonany z kamienia o nieprzyjemnie brązowym kolorze. Kuba zastanawiał się, zważywszy na ciepły klimat Los Angeles, czy kominek bywa w ogóle używany, czy pełni jedynie funkcję dekoracyjną.

– Twój rum jest na górze – zaszczębiotała po polsku Dżolanta.

– Super, dzięki. Ale jeśli mam być szczery, wolałbym wino...

W odpowiedzi Dżolanta wybuchnęła homeryckim śmiechem. Klopp, który nie mówił ani słowa po polsku, też zaczął rechotać. Jego śmiech, w połączeniu z miną wyrażającą kompletne niezrozumienie, jeszcze bardziej przeraził Kubę, który szybko domyślił się, że Dżolanta nie miała na myśli trunku, ale „room”, czyli pokój.

– Zaraz cię zaprowadzę – powiedziała, sięgając po komórkę. – Ale najpierw przywitaj się z bejbi Alexandrem!

Kuba prawie krzyknął ze strachu, bo nagle

zaatakował go jakiś wychudzony, zmutowany szczur na szczudłach, który wbiegł przez przeszklone drzwi prowadzące na taras. Dżolanta otworzyła je zdalnie, wstukując coś na ekranie swojego telefonu.

– O Jezu! Co to?!

– No Alexander, przecież mówię. Nasz dzidzius kochany.

– Ty to urodziłaś?!

Kuba pojechał ostro, z pełną świadomością, ale Dżolanta znowu wybuchnęła śmiechem, porywając pieska z podłogi.

– No nie bądź głuptaskiem – powiedziała, tuląc zwierzątko. – To piesiunio! Charcik! Włoski! Rasowy! Maj preszes!

Horror trwał w najlepsze. Kuba w swoim życiu widział już wiele psich krzyżówek, tak naprawdę eksperymentów genetycznych, ale charcik włoski był o wiele bardziej ekstremalny i niepokojący niż pękate buldożki ze swoimi spłaszczonymi pyszczkami czy pomarszczone mordki szarpejów. Alexander był dziwaczny, ale jakoś tak w drugą stronę. Nieprawdopodobnie chuda i wyciągnięta, wyprężona sylwetka, nóżki jak patyki, w dodatku rozedrgane, pysk długi i zaostrowany jak rysik w ołówku.

Dżolanta w końcu odstawiła psa na podłogę z lśniącego kremowego marmuru. Alexander

skakał jak oszalały, próbując ugryźć Kubę w genitalia.

– Patrz, jak cię wita! No pocałuj go! Przytul! – ekscytowała się pani domu.

Kuba już żałował rozłamu z siostrą. Jak zwykle nie chciał ustąpić i liczył, że postawi na swoim, ale najwyraźniej w Sylwii coś pękło. Albo miała okres? A on... Trochę bezsensownie uprzedził się do gościnności Adama Yoshidy. Maniacy komputerowi na ogół są przecież nieszkodliwi. A ten konkretny... Pracował jako główny programista w studiu produkującym gry... Kolejny atut, który Kuba w swoim zacierzewieniu przeoczył. Przecież sam w wolnych chwilach uwielbiał grać, odreagowywał w ten sposób szarą codzienność. A od kiedy kupił sobie gogle rzeczywistości wirtualnej, to już w ogóle konsola stała się jego drugim domem...

Oczywiście wyobraźni Kuba widział teraz siostrę, która w mieszkaniu Adama siedzi w futurystycznym hełmie na głowie i testuje najnowsze produkcje DoDo Gamez. Jakże jej zazdrościł! Zwłaszcza że sam musiał poskramiać oszalałego charcika włoskiego.

– No weź go, Dżolanta, błagam cię, ja mam alergię na sierść! – kłamał jak z nut.

– Bob też. Nic się nie martw, dam ci zaraz medykejszyn. Bob!

Dzolanta wybiegła na taras szukać męża, który z komórką przy uchu krążył wokół niewielkiego basenu. Alexander na szczęście poleciał za „mamusią”.

Chociaż z drugiej strony... – myślał Kuba. Jeśli rzeczywiście zaginęła dziewczyna Adama, jeśli coś jej się stało... To Yoshida byłby w czołówce podejrzanych. Może i 99,9 procent maniaków komputerowych to nieszkodliwi nudziarze, ale pozostały promil to psychopaci pozbawieni nie tylko empatii, ale i hamulców moralnych. Jeśli Adam załatwił Mandy, a Sylwia zacznie węszyć, bo przecież zacznie, taka jest jej natura... Już właściwie zaczęła!

Kubie zrobiło się gorąco. Może jednak zadzwoni do siostry i przekona ją, żeby tu przyjechała. We dwójkę będzie różniej.

Tylko właściwie to ona powinna się odezwać. A jeśli nic jej nie jest i on się teraz złamie, to ona znarowi się i do końca życia będzie wchodziła mu na głowę...

Kuba westchnął i poszedł po walizkę, którą zostawił w przedpokoju.

– I jak, wszystko okej? – Kilkanaście minut później drzwi sypialni na piętrze otworzyły się bezszelestnie i stanęła w nich Dzolanta. Choć uśmiechała się od ucha do ucha, jej twarz była idealnie wyprasowana, bez ani jednej zmarszczki mimicznej.

Kuba pomyślał, że może jednak nie trafił najgorzej. Kloppowie okazali się nad wyraz serdeczni. Wprawdzie ich dom w snobistycznej dzielnicy Calabastas wręcz ociekał kiczowatym luksusem, ale miało to swoje dobre strony. Wypróbowawszy wygodne łóżko z materacem w rozmiarze kingsize, Kuba zaczynał przekonywać się do słuszności swojego wyboru. Niestety, ostatecznie okazało się, że rację miała Silwana. Pomoc Dżolanty miała przyczepioną metkę z ceną.

– Myślę, że mnie zdradza. Myślisz, że mnie zdradza? Jakie było twoje pierwsze ferst impreszyn? – Napompowanymi ustami Dżolanta zrobiła dzióbek, który wyrażał jednocześnie zaniepokojenie i odrobinę smutku.

Kuba zbaraniał nagłym zwrotem akcji. Dżolanta zrobiła krok do środka pokoju i wyciągnęła komórkę. Kuba myślał, że będzie mu pokazywać sekstaśmę Boba albo co najmniej kompromitujące zdjęcia, ale ona dotknęła parę razy ekranu, po czym drzwi samoczynnie się zamknęły. Kuba patrzył na to z niedowierzaniem, bo przecież dużo szybciej i prościej byłoby zatrzaskać je ręką czy nawet nogą.

– Nie, co... co ty... – zaczął ostrożnie.

– Jestem siur! – powiedziała, kiwając smutno

głową.

Kuba chciał parsknąć śmiechem, kiedy zrozumiał, że chodzi jej o wyraz „sure”. W ostatniej chwili się powstrzymał i z największym trudem przybrał zamyślony i poważny wyraz twarzy.

– No powiedz! – ponaglała go Dżolanta. – Co ty uważasz?

– A dlaczego myślisz, że cię zdradza? – Kuba wiedział, że zarówno odpowiedź „tak”, jak i „nie” nie wchodziły w grę.

Najchętniej zmieniłby temat, ale czuł, że Dżolanta tak łatwo nie odpuści. Przysiadła na łóżku przykrytym różową pikowaną kapą i teatralnym gestem zwiesiła głowę.

– Nie wiem, ja to czuję. To jest tradzedy. Ostatnio prawie w ogóle nie robimy law.

Kubie dłuższą chwilę zajęło zrozumienie, że „robienie law” nie ma nic wspólnego z wulkanologią, a oznacza uprawianie seksu. Dżolanta w przedziwny sposób kaleczyła język polski. To już nawet nie był pinglisz ani polglisz, tylko jakiś autorski dialekt, pozbawiony jakichkolwiek zasad czy regularności.

– Co za dużo, to niezdrowo – wypalił z pierwszą głupotą, jaka przyszła mu na myśl. Udał, że skupia się na szukaniu piżamy w walizce. Tak naprawdę spał w bokserkach

i zwykłym podkoszulku, ale starał się zrobić wrażenie zajętego, licząc na to, że Dżolanta przestanie mu smęcić.

– Kiedyś robiliśmy to jak króliki, a teraz...

Kuba oderwał wzrok od wnętrza walizki i zmusił się, żeby popatrzeć na Dżolantę współczująco.

– To chyba normalna kolej rzeczy. Z czasem... Ogień namiętności przygasa. To sól naszego istnienia...

– Nic podobnego – przerwała mu Dżolanta. – Ty nie znasz Boba. On ma kosmiczne libido! Co tydzień chodzi na akupankczer. Doktor Czang z czajna tań wbija mu igiełki we fiutka i mówię ci, to jest kosmos! A raczej był...

Bob Klopp był głównym księgowym. Wyglądał jak główny księgowy i zachowywał się jak główny księgowy. Kuba nie był jednak pewien, w którym z rozlicznych biznesów Douglasa pracował. W spółce matce czy córce? Dżolanta tłumaczyła mu podczas imprezy na jachcie, że struktura firm Claytona przypomina bardziej grono niż monolit, ale Kuba był wówczas pod wpływem napoju z innego grona, więc cała ta wiedza wywietrzała mu z głowy jeszcze tego samego wieczoru.

Pomyślał, że Bob jest raczej odpychającym mężczyzną, więc Dżolanta powinna Bogu dziękować za zmniejszone zainteresowanie

z jego strony. No dobrze, nie był jakimś potworkiem, miał nawet słuszny wzrost i kwadratową szczękę, ale przy tym dziwnie pustą twarz, a najgorsze było w nim połączenie bladej skóry, czarnych przerzedzonych włosów i niemal zielonkawego cienia zarostu na policzkach. I jeszcze te wielkie sztuczne zębiska... No naprawdę.

– Przecież my musimy zrobić sobie bejbi! – Dżolanta manewrowała dłonią, próbując otrzeć sobie kącik oka i przy okazji nie wydłubać go tipsami. – Ale w tej sytuacji ja chyba muszę zakręcić się wokół nowego faceta! I zamrozić jajeczka...

– No ale, to nie wiem... – Kuba w końcu poddał się i zamknął wieko walizki. – Może porozmawiaj z nim o tym. Moje opinie niewiele pomogą...

– Ale ja nie chcę twoich opinii – Dżolanta nie wiedząc czemu znów rozpromieniła się w uśmiechu. – Ja chcę znać prawdę. To znaczy znam prawdę, ale musisz mi pomóc go przyłapać!

– Ja?!

– Ty jesteś taki mądry! Pomożesz mi, prawda? Help! Help mi! Bo ja już nie wiem. Co robić, dokąd pójść? Ajm gołin krejzy! Ja muszę wiedzieć, z kim on to robi, kiedy i dlaczego.

– Dżolanta... – próbował jeszcze

perswazyjnym tonem.
– Ja ci pomogłam...

11

*When it will be right, I don't know
What it will be like, I don't know
We live in hope of deliverance
from the darkness that surrounds us*

Piosenkę Paula McCartneya śpiewała z werwą drobna blondynka, która przycupnęła z gitarą na taborecie. Instrument przesłaniał praktycznie całą jej postać, wyglądała więc trochę jak dziecko, które zamiast bawić się zabawkami, dorwało za duży dla niego przedmiot ze świata dorosłych.

Wykonanie podobało się Sylwii. Może nie było idealne, ale za to pełne wigoru, choć jednocześnie odpowiednio sentymentalne. Od razu zapalała sympatią do zaginionej, bo to ona śpiewała i grała na gitarze.

Wysłuchując się w piosenkę, którą na ekranie komputera puścił jej Adam, Sylwia utwierdzała się w przekonaniu, że z Mandy coś musiało się stać. To nie był ten typ osobowości, na tyle niezrównoważony i melancholijny, żeby nagle, bez podania przyczyny i bez słowa, zerwać znajomość. A co dopiero związek! Gdyby dziewczyna miała jakieś wątpliwości wobec Adama, jakieś „anse”, po prostu by mu o tym powiedziała. Albo wyśpiewała w odpowiednio dobranej piosence. Sprawiała wrażenie osoby szczerzej i otwartej, która nie obawia się konfrontacji.

Druga zwrotka odrobinę się rozjechała, ale zaraz przyszło wyjaśnienie. Mandy kichnęła. Widać było, że już dłuższą

chwilę próbowała walczyć, żeby tego nie zrobić. Popatrzyła w kamerę, po czym zaśmiała się przepraszająco i śpiewała dalej.

Urocza, bezpretensjonalna dziewczyna.

Sylwii aż ścisnęło się serce.

Droga Mandy – pomyślała. Co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś?

Oderwała wzrok od ekranu komputera i z ciekawością omiotła wzrokiem mieszkanie. Ascetyczne. Funkcjonalne. Pozbawione ozdób i dekoracji. Na ścianach pomalowanych na kolor skorupki jajka nie wisiał żaden obraz ani żadne zdjęcie, o kilimku czy makatce nie wspominając.

Mieszkanie znajdowało się na jedenastym piętrze apartamentowca Silvery przy Maple Avenue. Kuchnia wyglądała na nieużywaną, ale kiedy weszli, Adam zaproponował herbatę. Sylwia myślała, że może będzie świadkiem tradycyjnej japońskiej ceremonii parzenia. Gdzie tam! Gospodarz wyjął z szafki dwa szare kubki i podstawił je pod urządzenie, które zamigotało na niebiesko i w trzy sekundy chlusnęło wrzątkiem. W tym czasie Adam otworzył szufladę, z której wyjął pudełko z ekspresową herbatą.

Dopiero w łazience udało się Sylwii namierzyć rys indywidualności. Poczła przyjemny cedrowy zapach wydobywający się z pałeczek wstawionych do słoiczka z olejkami eterycznymi. Ale może odświeżacz powietrza ustawiła na umywalce ręka Mandy?

Sylwia poczuła niezdrową pokusę, żeby otworzyć szafkę za lustrem i zajrzeć do środka. Wścibskość, mały grzeszek, niewielka rysa na jej jakże porządnym charakterze.

Wahała się chwilę, ale ciekawość zwyciężyła. Na dwóch półeczkach szafki nie było nic niepokojącego ani też godnego zainteresowania. Ładowarka, pewnie do golarki, przezroczysta plastikowa buteleczka z tabletkami aspiryny, patyczki do uszu, plastry i... prezerwatywy Trojan

Thintensity. Cóż, nie powinno być zaskoczeniem, że skoro Adam miał dziewczynę, to uprawiał z nią seks.

W szafce nie było żadnych kobiecych kosmetyków, widocznie para nie weszła jeszcze w etap nawet pomieszkiwania razem. Sylwia zamknęła drzwiczki. Popatrzyła w oczy swojemu odbiciu w lustrze i zawstydzonym wzrokiem uciekła w dół. Na umywalce leżała błękitna tubka pasty do zębów Crest Pro Health, a obok stała elektryczna szczoteczka i maszynka do golenia, której dioda migiała co kilka sekund na czerwono, pewnie sygnalizując rozładowanie.

Gadżety, wszędzie gadżety.

Kiedy Sylwia wyszła z łazienki i wzięła z rąk Adama kubek z herbatą, w oczy rzuciło się jej, że centralne miejsce zajmuje w salonie komputer. Nie zdziwiło jej to. Był nie tylko narzędziem pracy Adama, ale też jego oknem na świat. Nie żaden laptop, a komputer stacjonarny z trzema dużymi monitorami – na wprost, po lewej i po prawej stronie – z bezprzewodową klawiaturą programisty, optyczną myszką, jakimiś urządzeniami peryferyjnymi, których przeznaczenia Sylwia nie była nawet w stanie się domyślać.

To na tym komputerze Adam puścił piosenkę Mandy. Numer właśnie dobiegał końca. Po ostatnich dźwiękach dziewczyna spojrzała nieśmiało w kamerę, speszonym gestem poklepała pudło instrumentu, jakby gitara była wierzchowcem, któremu dziękuje się za wspólną przejażdżkę. Następnie poderwała się z taboretu i podeszła do komórki, którą nagrywała występ. Coś zachrobotało. Obraz zadrgał, przekreślił się i zgasł.

Sylwia westchnęła i popatrzyła na zatroskaną twarz Adama. Choć nie umiał tego wyrazić, czuła, jak bardzo przeżywa zniknięcie Mandy i jak bardzo jest w niej zakochany. Dla kogoś, komu z trudem przychodzi nawiązywanie relacji społecznych, taka Mandy była oknem

na świat, wydarzeniem jednym na milion.

Pojawiła się w jego życiu, rozbłysła jak meteor i tak nagle zgasła.

On musi ją odzyskać – pomyślała Sylwia. Bez niej będzie jak okaleczony.

– Chciałabym ci pomóc – powiedziała cicho. – Ale nie bardzo wiem jak.

– W porządku. – Adam pochylił się w stronę komputera i kliknął myszką w róg okienka. Program odtwarzający plik wideo znikł, odsłaniając starannie posortowane ikonki. Na pulpicie nie było żadnej tapety, jedynie fabryczne tło.

– Nie, to nie jest w porządku! I widzę, jak to cię martwi!

Adama zdeorientowała jej emocjonalna reakcja. Na moment skupił na niej wzrok. Jakby chciał się upewnić, że nie pójdzie za ciosem i nie zrobi czegoś głupiego albo żenującego.

– Chciałbym tylko wiedzieć, że nic jej nie jest. – Po chwili patrzył już w przestrzeń, jakby rozmawiał z aniołem stróżem unoszącym się tuż nad ramieniem Sylwii. – Że po prostu nie chce się ze mną kontaktować. Ale siedzi sobie teraz bezpiecznie na tym taborecie w kuchni, z gitarą na kolanach i...

Sylwia pokiwała głową.

– Znajdziemy ją.

Pomyślała, że może warto zadzwonić do Kuby. On na pewno miałby tysiąc i jeden pomysłów, jak powinni pomóc Adamowi i co teraz zrobić, gdzie szukać Mandy i tak dalej. Ale brat zapewne delektował się w tym momencie swoim fochem, siedząc na tarasie Willi Kloppów w Calabasas.

Zaproponowała, żeby poszukali śladów obecności Mandy w internecie. Nie było to łatwe, bo i imię, i nazwisko miała dość pospolite. Amand Powell było niestety zatrzęsienie.

Brakowało im punktu zaczepienia, a Adam nie ułatwiał sprawy. Nie miał konta ani na Facebooku, ani na

Instagramie. Kontaktując się z Mandy, korzystał głównie z aplikacji WhatsApp, która po wyłączeniu telefonu stawała się bezużyteczna.

Wrzucenie do wyszukiwarki numeru telefonu Mandy nie dało żadnych rezultatów, podobnie było z adresem mailowym. Dla Sylwii były to kolejne niepokojące sygnały. Tak jakby ktoś próbował zatrzeć po dziewczynie wszelki ślad.

Punktualnie o dwudziestej trzydzięci Adam zaproponował, żeby dali sobie spokój z przetrząsaniem internetu i zamówili kolację.

Ale Sylwia nie zamierzała się poddawać. W jej głowie kiełkował plan, jak odnaleźć Mandy.

28 maja, poniedziałek

Od prawie godziny Sylwia i Adam krążyli po Vermont Harbor, osiedlu w dzielnicy South Los Angeles. Kuba miał dołączyć, jak tylko skończy przebukowywać bilety powrotne po Polski. Po tym jak Douglas Junior zerwał z nimi współpracę, Leśniewscy nie mieli czego szukać w Hollywood.

Sylwia nie potrafiła przestać myśleć, jak bardzo mijana okolica różni się od jej wyobrażenia o Mieście Aniołów. Vermont Harbor, choć oddalone ledwie o dziesięć kilometrów od Hollywood, przypominało najbardziej zaniedbane przedmieścia Warszawy. Jediną różnicę stanowiły usychające palmy, rosnące przy nierównym, gdzieśgdzie kruszącym się asfalcie. Słupy trakcji elektrycznej były przyrdzewiałe i krzywe. Na poboczu drogi pomiędzy łysinami lichych trawników walały się śmieci.

Było upalnie. Nagrzane powietrze stało. Na niebie, które miało dziś spłowiały odcień błękitu, nie pałętała się najmniejsza nawet chmurka. Adam zaparkował swoją czarną elektryczną tesłę na niewielkim parkingu za byle jaką siatką i zaczęli krążyć

w poszukiwaniu mieszkania Mandy, choć z każdą chwilą w Sylwii narastało zwątpienie, czy śledztwo doprowadzi ich do celu.

Poprzedniego dnia najpierw pogodziła się z bratem, któremu Dżolanta z mężem mocno dawali się we znaki, a potem ślęczała nad śladami, które pozostały po Mandy. Adam udostępnił jej wszystkie wiadomości, które kiedykolwiek wymienili, zdjęcia, filmiki, takie jak nagranie piosenki Paula McCartneya. Sam nadal próbował przedrzeć się przez gąszcz Amand Powell w internecie, ale mimo że doskonale sobie radził z rzeczywistością wirtualną, nie natrafił na żaden ślad swojej dziewczyny. W XXI wieku wydało się to Sylwii dziwne. Zwłaszcza że Mandy była aspirującą aktorką, a takie osoby raczej szukają rozgłosu, również w sieci. Ale dopuszczała możliwość, że „ich” Mandy gdzieś tam jest, tylko gubi się w tłumie. W samym serwisie imdb.com, który jest bazą informacji o branży filmowej, figurowało 16 Amand Powell, a większość biogramów nie miała nawet zamieszczonego zdjęcia.

A może Mandy przedstawiła Adamowi fałszywą tożsamość? Tylko... Dlaczego miałyby to zrobić? Chyba że... Miała męża albo chłopaka i prowadziła podwójne życie? Sylwia zdawała sobie sprawę, że jej dochodzenie jest,

ogłędnie mówiąc, nieortodoksyjne, że działa bardziej jak scenarzysta niż jak śledczy. Zamiast szukać dowodów, próbuje wymyślać narrację, która zepnie poszlaki w sensowną całość. Tylko że dowodów na razie brakowało, więc jej nowatorska metoda była jedynym rozwiązaniem.

Na tropieniu śladów Mandy spędziła cały poranek poprzedniego dnia. W dodatku nie wyspała się. Zawsze miała trudności z zasypianiem w nowym miejscu, a swoje robiła też mocna herbata, którą zaparzył Adam. Kiedy przyjechał do nich Kuba, całą trójką wybrali się na lunch do Rahel Ethiopian Vegan Cuisine. Po południu pojechali do Kloppów po rzeczy Kubby, a Sylwia cały czas nie mogła przestać myśleć o Mandy. Zwłaszcza że Dżolanta, która za nic w świecie nie chciała puścić Kubby, roztrząsała historię dziewczyny, której ciało znaleziono w parku miejskim Topanga, po sąsiedzku z dzielnicą Calabasas, w której stał dom Kloppów. Okazało się, że ofiara była początkującą aktorką. I nie było to pierwsze takie morderstwo w ostatnich miesiącach.

– Ale co się tak podniecasz? – Kuba wydał lekceważąco usta, kończąc pakować swoją walizkę.

– No jak to co?! – Dżolanta aż wzięła się pod

boki. – Ja też jestem aktorką. Normalnie mam gus bamps, jak o tym pomyśle!

Na dowód pokazała przedramię, na którym rzekomo pojawiła jej się gęsia skórka.

– A tam, połowa ludzi w tym mieście to aspirujący aktorzy. Nic dziwnego, że jak kogoś mordują, to statystycznie najczęściej pada na aktora. W Szwajcarii pewnie co i rusz ginie jakiś bankier albo zegarmistrz. Albo krowa, która daje alpejskie mleko. Taki mamy klimat, rozumiesz?

– Ja błagam cię, Kuba, ty musisz zostać tutaj i być moim badygard! Tu jest teraz strach wyjść after dark!

Kuba był nieugięty. Podziękował Kloppom za gościnę i pojechali do apartamentu Adama. W drodze powrotnej Sylwia znów rozmyślała o Mandy. Miała swoją teorię. Aspirująca aktorka poznaje chłopaka. Czy w normalnych okolicznościach zwróciłaby na niego uwagę? Adam nie był brzydalem, ale z jego wycofaniem... Potrzeba było kogoś obdarzonego cierpliwością i wrażliwością, żeby coś w nim dostrzec. Kogoś, kto bardzo powoli, krok po kroku oswajałby to dzikie zwierzątko.

Czy Mandy była kimś takim?

Być może... Ale bardziej prawdopodobne, że tym, co ją zaintrygowało, była profesja Adama. W wiadomościach, które wymieniali, Mandy

dość mocno interesowała się jego pracą. Nic zdrożnego, ale... Od pierwszego dnia znajomości dziewczyna wiedziała, że ma przed sobą głównego programistę w firmie hollywoodzkiego producenta.

Sylwia była daleka od tego, żeby oskarżać Mandy o cokolwiek, ale miała świeżo w pamięci epizod swojego brata i pewnego aktora, który kilka miesięcy wcześniej zakręcił się koło Kuby, żeby dostać rolę. Oczarować maniaka komputerowego swoją urodą, talentem wokalnym... Dla Mandy to mogła być najłatwiejsza rola w karierze. I pewnie pierwsza, która dawała jej szansę na rozwój...

Po przyjeździe do Silvery Kuba wpadł w szal wypytywania Adama o gry komputerowe, a Sylwia znów wróciła do wirtualnych poszukiwań. I wreszcie, wieczorem, trafiła na obiecujący ślad.

Na filmiku, który Mandy nagrała, siedząc z gitarą na taborecie w kuchni, widać było okno. Kiedy kończyła śpiewać, podchodziła do telefonu, żeby wyłączyć kamerę. Podnosiła go, a nim obraz się urywał, przez ułamek sekundy w kadrze za jej plecami migało to okno, a w nim elewacja budynku po drugiej stronie ulicy. Sylwia puściła ten fragment kilka razy i wydawało się jej, że coś na tej elewacji widać. Jakby fragment napisu, część billboardu.

Adam, biegły w komputerach, wyłuskał stopklatkę i powiększył ją.

– A nie mógłbyś jakoś poprawić rozdzielczości? – zapytała Sylwia, która nie raz, nie dwa widziała podobny zabieg w serialu albo filmie sensacyjnym.

– Nie da się – powiedział spokojnie Adam, po czym uśmiechnął się, czym zaskoczył Sylwię, przyzwyczajoną już do jego kamiennej twarzy.

Wyjaśnił, że poprawianie rozdzielczości zdjęć to fikcja filmowa. Bo każdy zapisany komputerowo obraz zawiera określoną ilość informacji, której nie da się stworzyć z niczego. Można manipulować jasnością, kontrastem, próbować usuwać zanieczyszczenia obrazu, ale zdjęć o kiepskiej jakości żaden program nie wyostrzy.

Ostatecznie po długich oględzinach stopklatki udało im się odcyfrować kilka liter. Napis na elewacji był prawdopodobnie szyldem warsztatu samochodowego „...apis kar...”. W linijce pod spodem zidentyfikowali pięć cyfr numeru telefonu: „323 54” albo „823 54”, albo „323 51”, albo „823 51”.

Kolejne kilkanaście minut spędzili na szukaniu poszlak w internecie. W końcu przeglądarka pozwoliła im namierzyć warsztat samochodowy „4 papis kar parts” w dzielnicy Vermont Harbor. Było już późno, więc wizję

lokalną przełożyli na następny dzień.

Niestety po przyjeździe pod adres, który znaleźli w wyszukiwarce, czekało ich rozczarowanie. Wjazd do warsztatu „4 papis kar parts” wyglądał zupełnie inaczej niż na filmiku Mandy.

– Zamknięty – powiedział spokojnym głosem Adam, naciskając pordzewiałą klamkę furtki. Nawet jeśli odczuwał rozczarowanie, nie chciał albo nie potrafił go przekazać.

– Wygląda na to, że na dobre – stwierdziła Sylwia, omiatając wzrokiem podwórko, na którym walały się zardzewiałe części, blachy raczej, trudno nawet powiedzieć, czy samochodowe.

Po drugiej stronie ulicy stał parterowy dom, a zdaniem Adama Mandy wynajmowała mieszkanie w apartamentowcu. Sylwii też wydawało się, że widok za oknem Mandy wyglądał na co najmniej pierwsze, jak nie drugie piętro. Tymczasem w zasięgu wzroku nie było budynku wyższego niż jednokondygnacyjny. Coś tu się nie zgadzało.

– Może ten napis z nagrania to nie jest szyld – powiedziała po chwili namysłu Sylwia.

– Tylko co? – Adam rozglądał się niepewnie.

– Reklama. Billboard albo takie graffiti na elewacji. Zobacz, tu na co drugim murze jest coś takiego.

Zaczęli krążyć po okolicy. W Vermont Harbor ze świecą szukać billboardu, ale na chałupnicze reklamy rzeczywiście natykali się niemal na każdym kroku. Obszczał ich czarny kundelek, który wystrzelił jak z procy z jednej z posesji. Minęli dwójkę wyrostków, którzy wracali ze szkoły ze spuszczoneymi głowami, w białych koszulach, czarnych spodniach w kant i z plecakami przewieszonymi niedbale przez ramię.

Wreszcie, po prawie godzinie przeczesywania okolicy, kilka przecznic dalej, Sylwia i Adam znaleźli wymalowany czarną farbą na ścianie budynku napis „4 papis kar parts” oraz pełen, dziesięciocyfrowy numer telefonu. Po drugiej stronie ulicy stał trzypiętrowy blok mieszkalny. Niedawno zbudowany, z zadbaną zielenią, wyróżniał się w nieciekawej okolicy niczym oaza na pustyni.

– To tu! – powiedziała Sylwia, czując w sercu ukłucie ekscytacji. – Wszystko się zgadza. Ten napis na pewno widać przez okna tamtego apartamentowca. Na pewno! Tylko które mieszkanie?

Adam pokiwał głową. Zmrużył oczy, jakby w pamięci coś obliczał.

Sylwia poczuła wibrację komórki. Wyjęła telefon i odebrała połączenie.

– Ja pierdziu, myślałem, że tu zejde! – Kuba

wydawał się zmęczony. Jego głos był przytłumiony, jakby dochodził z za ściany. – Głęb głębą głębem pogania! Ale może to ja z wiekiem robię się coraz mądrzejszy, a nie że wszyscy wokół są coraz głupszy? Stąd ta dysproporcja? Chociaż w sumie ja nie wiem, jakim cudem ta Ameryka jeszcze się nie rozpadła. Mam wrażenie, że najbliższy kumaty człowiek jest w Kanadzie. Nie licząc ciebie, Silwano, oczywiście... No ale jakimś cudem się udało.

Sylwia domyśliła się, że brat mówi o biletach do Polski. Nagle ekscytacja i radość z przełomu w śledztwie ulotniły się.

– Udało się? Przebukowałeś? Na kiedy?

– Na jutro.

– Już jutro? – spytała, starając się zapanować nad nutką rozczarowania w głosie.

– Jezu, jak ci nie odpowiada, to zostań! – Kuba nie był w stanie pohamować irytacji. – Co tu będziesz robić? Kisić kapustę polonusom? Czy poderwiesz sobie jakiegoś Kloppa i wystąpisz z Dżolantą w *Żonach Hollywoodu*? Miałem do wyboru jutro albo dopiero za tydzień. No naprawdę... Nie wybrzydź! Wylot o jedenastej.

13

Liczyli na leciwego Latynosa, który szykownie ubrany kroczył wolno, z dumą, podpierając się laską. Niestety dystyngowany staruszek nie spełnił pokładanych w nim nadziei, podobnie jak afroamerykański nastoletni dryblas, idący kołyszącym się krokiem marynarza. Dopiero obcięta na zapałkę siwa, zażywna sześćdziesięciolatka, która pojawiła się po jakiejś godzinie ich warowania przed apartamentowcem, zareagowała na zdjęcie Mandy. Adam pokazał je na ekranie swojej komórki, a starsza pani wyciągnęła z plecaczka okulary do czytania i osłoniła wyświetlacz dłonią, żeby lepiej widzieć.

– Tak, kojarzę ją – zawyrokowała po dłuższej chwili wpatrywania się w ekran. – Śliczna dziewczyna. I miła.

– Czyli mieszka tu? – upewniła się Sylwia.

Staruszka zawahała się. Zdejmując okulary, omiotła ich niepewnym spojrzeniem, ale zarówno łagodny Adam, jak i Sylwia musieli wzbudzać zaufanie, bo w końcu nie tylko przytaknęła, ale nawet pozwoliła im wejść ze sobą do budynku.

Wstukała kod i otworzyła drzwi. Z korytarza powiało przyjemne chłodne, klimatyzowane powietrze.

Kiedy Sylwia i Adam wytłumaczyli, na czym polega ich misja, starsza pani pokiwała spokojnie głową. Zastanowiła się jeszcze chwilę, po czym wyjawiała im, że Mandy mieszka na drugim piętrze pod numerem 11B. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ją widziała, ale na pewno

więcej niż kilka dni temu, może nawet przed tygodniem?

Kiedy stanęli przed numerem 11B, Sylwia była podekscytowana, że rozwiązanie zagadki jest na wyciągnięcie ręki, za kilkoma centymetrami drewna, płyty wiórowej, blachy ocynkowanej czy z czego tam jeszcze mogły być wykonane drzwi.

Zapukali. Cisza. Zapukali więc jeszcze raz, ale i tym razem nikt nie otworzył. Nic w sumie dziwnego, bo było wczesne popołudnie. Postanowili poczekać i sprawdzić, czy Mandy wróci. Może za chwilę, może dopiero wieczorem. Choć fakt, że sąsiadka widziała ją ostatni raz tydzień temu, nie napawał nadzieją. Ale to mieszkanie było ich jedynym punktem zaczepienia. Ustalili, że jeśli do wieczora Mandy się nie pojawi, dadzą znać policji. Zadzwonią do gorliwej Claire i przypilnują, żeby ktoś przyjechał i sprawdził mieszkanie, nawet gdyby miał wejść do środka siłą.

Wyszli z budynku, postanawiając zainstalować się w samochodzie z widokiem na drzwi wejściowe.

Adam poszedł po auto, a Sylwia została na straży. Pamiętała z dzieciństwa *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren. W jednym z rozdziałów narratorka, Lisa, opisuje katusze związane z czekaniem w dniu Bożego Narodzenia na świąteczną kolację. Sylwia zgadzała się z nią w stu procentach. Czekanie było najbardziej upiorną czynnością pod słońcem. A w dodatku na tym miała spędzić swój ostatni dzień w Hollywood.

Trudno. Postanowiła poświęcić się dla Adama.

– Mam wrażenie, że czas w takich chwilach spowalnia – powiedziała żartobliwym tonem, kiedy już usadowili się w tesli, patrząc przez przednią szybę na wejście do budynku. We wnętrzu auta aromat ciastek cynamonowych, które Sylwia przytomnie spakowała rano do plecaczka, mieszał się z przyjemnie orzeźwiającym, męskim zapachem balsamu po goleniu. Łatka doczepiana maniakom komputerowym, że

niby nie dbają o siebie i o wygląd, że nie mają poczucia stylu ani gustu, w przypadku Adama Yoshidy okazała się nietrafiona.

– To niemożliwe – odparł śmiertelnie poważnym tonem Adam, kiedy skończył chrupać ciasteczko. – Czas spowalnia tylko wtedy, kiedy zaczynasz poruszać się z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Albo w pobliżu czarnej dziury.

Sylwia nie była w stanie stłumić parsknięcia. Wiedziała, że Adam nie zażartował świadomie, ale mimo wszystko wydawało się jej to urocze.

Potem zeszli na temat przyspieszonego powrotu Leśniewskich do Polski. Sylwia nagle uświadomiła sobie, że nie ma ochoty wracać. Nie tylko dlatego, że wciągnęła się w szukanie Mandy, a z atrakcji Hollywood zdążyła na razie poznać jedynie jacht Douglasa i jego gabinet.

W większym stopniu chodziło o dość przygnębiającą perspektywę zmierzenia się z tym, co zostało w Polsce, a czemu musiała stawić czoło. Artur. Ich związek. Był jeszcze czy już go nie było? Poza tym Leśniewscy wrócą na tarczy i zostaną z niczym. Zrezygnowali z pisania serialu. Kuba pewnie będzie chciał do tego wrócić, ale dla Sylwii wizja pracy przy produkcji, w której jej chłopak gra z aktorką, z którą ją zdradził... Powiedzieć o tym „mało komfortowa sytuacja”, to jak nie powiedzieć nic.

Tabloidy ciągle jeszcze miały używanie, doszukując się skrywanego romansu dwójki policjantów z serialu, mimo że Artur zapewniał ją, iż była to „jednorazowa pomyłka”. Sylwia też znalazła się pod ostrzałem paparazzi, którzy jak rekiny – zwietrywszy krew w wodzie, ogryzą nieszczęśnika do ostatniej kosteczki. Raz nawet zrobili jej zdjęcie przy altance na śmieci, które podpisali „Porzucona dziewczyna Grabskiego mści się, wyrzucając rzeczy niewiernego kochanka”, nie szkodzi, że w worku były najzwyklejsze w świecie odpadki.

We wczesnych godzinach popołudniowych wokół budynku,

w którym najprawdopodobniej mieszkała Mandy, nie działa się nic godnego uwagi. Ale obawy Sylwii, że będzie umierać z nudów, okazały się płonne. Bez reszty pochłonęła ją bowiem rozmowa z Adamem.

Od tematu upływu czasu szybko przeszedł do opowieści o swojej pracy, a konkretnie do teorii, wedle której zaawansowana rzeczywistość wirtualna da kiedyś człowiekowi poczucie nieśmiertelności. Podłączona bezpośrednio do mózgu, może w ciągu dziesięciu minut przesłać tyle bodźców i obrazów, że umysł będzie miał wrażenie, iż przeżył sto lat, i to intensywnie. Albo i tysiąclecie.

– Trochę mnie to przeraża – powiedziała cicho Sylwia. – Chyba wolałabym przeżyć życie wypełnione nawet takim nudnym czekaniem, ale żeby było... Nie wiem. Prawdziwe. Realne.

– A jaka jest definicja realności? Za parę lat rzeczywistość wirtualna będzie nie do odróżnienia. Czy tego chcemy, czy nie... Tego nie da się już zatrzymać.

Opowiedział jej o swoim dziadku, który jako ośmiolatek był internowany podczas II wojny światowej, podobnie jak większość Amerykanów japońskiego pochodzenia. Po ataku na Pearl Harbor Haruki Yoshida wraz z rodzicami musiał z dnia na dzień opuścić dom w Salinas, na północ od Los Angeles. Stracił w obozie dla internowanych prawie trzy lata dzieciństwa, nie mając nic sensownego do roboty. Pograżony w apatii, mógł tylko czekać na koniec tego koszmaru. Mały Adam wsłuchiwał się we wspomnienia dziadka i już wtedy postanowił, że wymyśli coś, co stanie się drogą ucieczki od beznadziejnej rzeczywistości. Nim jeszcze ukończył informatykę, zaczął pracować nad silnikami gier komputerowych, a stąd był już tylko krok do fascynacji rzeczywistością wirtualną, którą od kilku lat rozwijał dla DoDo Gamez.

Opowieść Adama tak zaciekała Sylwię, że ani się obejrzała, a wybiła piąta i dołączył do nich Kuba.

Był zgrzany, narzekał na upał i nadal nie mógł pogodzić się z wygnaniem z rajku Douglasa, które odcięło ich nie tylko od szansy na międzynarodową karierę, ale i od komfortu klimatyzowanych limuzyn ze skórzaną tapicerką. Tłukł się komunikacją miejską, bo żał mu było znów wydawać krocie na taksówkę.

Kuba przyniósł im azjatyckie jedzenie na wynos. Było pyszne, ale pachniało tak intensywnie, że na czas posiłku Sylwia i Adam wysiedli z auta.

Jedli, opierając się plecami o rozgrzaną maskę i patrzyli na paradę mieszkańców budynku, którzy rozpoczęli powroty z pracy. Tak minęły kolejne dwie godziny. Trzy. Powoli zapadał zmierzch, ale Mandy nie pojawiła się.

– To co? – powiedział Kuba po polsku, wyciągając komórkę.
– Dzwonimy do tej przylizanej dziuni? Żeby tu przyjechali z taranem? Jak ona ma na imię? Dasz mi jej numer?

– Claire – odpowiedziała Sylwia i przełożyła na angielski słowa brata.

– Może poczekajmy jeszcze trochę... – zaproponował Adam.

– Słuchajcie, które to te jej okna? – Kuba pokazał palcem. – Te?

Sylwia odwróciła się w stronę budynku.

– Te na drugim piętrze, obok... – urwała, bo zatkało ją z wrażenia.

W oknach Mandy paliło się światło.

14

Do budynku wślizgnęli się za blondynką w obcisłych dżinsach, kremowej bluzeczce, z dwoma warkoczykami splecionymi tak ciasno, że widać było wyraźnie skórę na głowie, tam, gdzie widniał przedziałek.

Domoroślých śledczych czekało niestety rozczarowanie. To nie była Mandy. Zamiast drobnej blondynki, drzwi mieszkania 11B otworzyła im tyczkowata brunetka. Wzrost miała modelki, ale twarz niezbyt piękną, choć ciekawą, przykuwającą wzrok: burza niedbałych loków, a także mocno i nisko zarysowane brwi, które nadawały spojrzeniu jej oczu wrażenie permanentnej złości. Do tego wąskie, ale wykrojone usta z delikatnym meszkiem nad górną wargą. Była boso, miała na sobie przyduży męski T-shirt ze spranym nadrukiem przedstawiającym Davida Bowie. Na koszulkę narzuciła błękitny jedwabny szlafroczek.

Z wnętrza mieszkania doleciał przyjemny czekoladowy zapach, ale był to raczej odświeżacz powietrza niż domowe ciasto.

- Tu nie mieszka żadna Mandy - powiedziała dziewczyna z wyraźnym francuskim akcentem, kiedy przedstawili się i wyłuszczyli sprawę.

Adam od razu zaczął przeproszać i chciał się wycofać. Pewnie jego ścisły umysł uznał, że staruszka pomyliła się, wskazując im akurat te drzwi. Kuba też przewrócił oczami i zrobił krok w tył. Jednak Sylwia nie zamierzała tak łatwo dawać za wygraną. Poprosiła Adama, żeby pokazał zdjęcie.

– A tak! To moja współlokatorka! – powiedziała zaskoczona Francuzka, przybliżywszy twarz do ekranu komórki. – Ale ona w ogóle nie ma na imię Mandy.

– Jak to? – wyrwało się Kubie. – A jak?

– Margaret. Margaret Horowitz. Coś wam się pomyliło.

Sylwia i Kuba wymienili zaskoczone spojrzenia. Adam wpatrywał się z zakłopotaniem w dziewczynę.

– Możemy wejść? – wypalił Kuba, dla którego stało się jasne, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Jak zwykle. Siostra była za miękka i grzeczna, a japońskiemu cyborgowi przepalił się właśnie z przegrzania jakiś przewód w mózgu.

Dziewczyna z burzą ciemnych loków popatrzyła na Kubę niechętnie. Wydawało się, że zatrzaśnie im drzwi przed nosem, ale po sekundzie zawahania zrobiła krok w tył.

Mieszkanie było urządzone ładnie, ale raczej sztafpowo, pod wynajem. W ramach na ścianach nie wisały zdjęcia czy własnoręcznie wybrane obrazy, ale jakieś widoczki z katalogu. Przeszli do kuchni, którą znali z nagrań przesłanych przez Mandy Adamowi. Na blacie wyspy paliła się świeczka zapachowa wydzielająca aromat czekolady. Za oknem widać było elewację budynku po przeciwnej stronie ulicy z wymalowaną reklamą warsztatu samochodowego. Na parapecie stała czarna doniczka z kwitnącą lawendą, której nie było widać w filmikach Mandy, ale cała reszta się zgadzała.

Dziewczyna przedstawiła się jako Chloe. Nie zaproponowała im niczego do picia. Chyba żałowała już, że wzięta przez Kubę z zaskoczenia zaprosiła ich do środka. Złapała pasek szlafroka i przewiązała się nim w pasie, ujawniając nieprawdopodobnie wąską talię.

Zapadła niezręczna cisza. Chcąc zagaić, Sylwia zapytała ją o kraj pochodzenia. Chloe wyjaśniła, że przyleciała z Francji, żeby studiować dziennikarstwo, choć tak naprawdę jej marzeniem było zawojować Hollywood. Podobnie jak

u Mandy-Margaret, z którą poznały się na kursie aktorskim i postanowiły wynająć razem mieszkanie.

– A wy skąd ją znacie?

Adam oparł się o poręcz polakierowanego na biało krzesła i z właściwym sobie brakiem wyczucia skupił się na tłumaczeniu Chloe, że właściwie to tylko on zna Margaret, a dwójka Polaków jedynie pomaga mu ją odnaleźć.

– Ona naprawdę myśli, że zostanie aktorką? – ściszym głosem rzucił Kuba po polsku.

Sylwia posłała mu spojrzenie, którym w zamierzeniu miała skarcić go za brutalną szczerość, choć przecież Chloe nie mogła zrozumieć jego słów.

– No co? Wiesz, że mam rację.

To prawda. Po ponad pięciu już latach, które spędziła w branży filmowej, Sylwia dobrze znała bezwzględne prawa rynku. A w Hollywood z pewnością były one jeszcze bardziej wyśrubowane. Chloe nie miała tak zwanych „warunków”. Nie była wystarczająco atrakcyjna, żeby zrobić karierę. A nawet gdyby była, potrzebowałyby jeszcze ogromnego łutu szczęścia. Z przeciętną urodą też miałyby może szansę, bo ról charakterystycznych i drugoplanowych jest trochę, ale... Czegoś jej brakowało. Wyrazistości, energii. Nawet głos miała matowy, jakby mówiła, leżąc na łóżku, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Mogłaby zostać muzą Almodóvara – zawyrokowała Sylwia, która zawsze wszystkich próbowała brać w obronę.

– Trudno o gorszą obelgę – parsknął Kuba, po czym przeszedł na angielski. – No dobrze. To gdzie jest ta cała Margaret alias Mandy?

– Nie wiem. – Chloe wzruszyła ramionami. – Wyjechała.

– Tydzień temu? – spytała Sylwia.

– Tak, jakoś tak.

– Ale masz z nią kontakt?

– Mam jej telefon. Ale nie dzwoniłam do niej. Czy coś się

stało?

– Właśnie próbujemy to ustalić. Adam jest jej chłopakiem. I martwi się o nią...

– Chłopakiem? – Chloe przerwała jej w pół słowa i zaczęła intensywnie mrugać pomalowanymi złotym cieniem powiekami.

Zapadła kłopotliwa cisza.

– To znaczy... – powiedziała w końcu Chloe, zwracając się do Adama. – Margaret nigdy mi o tobie nie wspominała, ale... No dobra, ale jak jesteś jej chłopakiem, to chyba ty powinieneś wiedzieć najlepiej, dokąd wyjechała.

– Dżizas Krajst, jak to jest, kuźwa, pasybl, że tak pojedę Dżolantą Klopp...! – Kuba znów przeszedł na polski. – Nie podoba mi się ta laska. Jak ona może nie wiedzieć o chłopaku swojej współlokatorce? Psiapsiółki chyba plotkują o takich sprawach, jak mieszkają pod jednym dachem i pożyczają sobie płyn micelarny czy inne tampony? Co tu się, do cholery, dzieje?!

Intuicja scenarzystki podpowiadała Sylwii, że brat ma rację i że coś tu śmierdzi. Natknęli się na trop, którym warto było podążać, ale nie będą już mieli czasu, żeby to zrobić. Jutro wracają do Polski.

Rok później – Warszawa

17 maja, piątek

15

– Droga pani, to jest moja córka!

– Droga pani, to jest moja przyjaciółka! Oraz podwładna. A ja weszłam w zatarg z Państwem Kościelnym, dowożąc ją tutaj. Znalazłam się na celowniku inkwizycji, mało życia nie postradałam! I nadal ryzykuję własne zdrowie, zamiast myśleć o sobie! No niechże się pani odsunie!

– Pawełku! – Pani Leśniewska dramatycznym głosem zawołała męża. – Zrób coś!

– Ale co?

– Nie wiem. Włącz się!

Sylwia otworzyła oczy, potem usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale szybko zrozumiała, że ma przed sobą starcie gigantów, którym nawet w pełni sił nie dałaby rady, a co dopiero ledwie żywa. Opadła z powrotem na szpitalną poduszkę.

Zastanawiała się, jakim cudem rodzice zjawili się w szpitalu tak szybko. Widocznie ktoś z produkcji zadzwonił do nich zaraz po tym, jak zasłała.

Dał się słyszeć szcęk metalu i krzyk Palomy Bis. Sylwia ponownie uniosła głowę. Producentka, ciągnąc za sobą stojak

z kroplówką, wpadła na metalową szafkę. Głowę miała obandażowaną, co ograniczało jej pole widzenia.

– I co też pani wyrabia? – Mama Sylwii strofowała producentkę. – Proszę się położyć. Może ma pani wstrząśnienie mózgu.

– Proszę pani, ja chyba lepiej wiem, co mam, a czego nie mam!

Sylwia starała się zachowywać spokój. Położyła ręce na swoim wielkim brzuchu, jakby chciała przesłać dziecku dobrą, uspokajającą energię.

Martwiła się, że jej poród nie przebiega książkowo. Nie chodziło tylko o termin, który miała wyznaczony dopiero na za trzy tygodnie. Skurcze na tym etapie nie powinny być aż tak bolesne. Przed chwilą zrobili jej znieczulenie zewnątrzoponowe, ale przecież na Chełmskiej, a potem w porsche Lidii zasłała kilka razy z bólu, była na granicy utraty przytomności.

Coś chyba jest nie tak!

Panika szła łeb w łeb z poczuciem dezorientacji. Sylwia nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Wokół niej uwijali się jacyś lekarze, jakiś personel, ale wszystko to wyglądało jakoś nieprofesjonalnie. Potykali się, krzyczeli. Położna jej coś tłumaczyła, ale to nie była jej położna ani jej szpital. Szykowali ją do cesarki. Ktoś zabrał jej okulary, więc widziała tylko

rozmazane twarze i nie była w stanie ocenić, czy jest w nich jakiś niepokój, czy może tylko profesjonalne opanowanie.

Jednego była pewna. Dziś, siedemnastego maja, urodzi się jej córka.

– Niech się pani uspokoi! Ta ciąża jest zagrożona! – grzmiała Lidia.

– Ciszej, na miłość boską! – Mama Sylwii nerwowo poprawiała ciasno upięty, siwy kok. – A pani jest lekarzem? Nie wydaje mi się.

– Lekarz mi to powiedział, droga pani. Szykują już salę operacyjną, dzięki temu, że pociągnęłam za sznurki...

– Droga pani, pani koneksje wątpliwej konduity nie robią na mnie najmniejszego wrażenia!

– Przestańcie! – wydusiła w końcu z siebie Sylwia, ale Paloma Bis i mama zignorowały ją.

Sylwia złapała kontakt wzrokowy z ojcem, który stał za nimi, napierając plecami na ścianę, jakby próbował w nią wnikać. Uśmiechnął się do córki, ale wypadło to blado.

Tak wygląda całe moje życie – pomyślała Sylwia.

Za długo pozwalała na to, żeby grać drugie skrzypce, być pionkiem na szachownicy wytrawnych graczy, rekwizytem w sztuce reżyserowanej przez innych, dmuchawcem miotanym przez podmuchy gniewnych bogów

wiatru: matki, brata, przez chwilę Palomy, potem Palomy Bis... Ale w sytuacji, kiedy już nie chodzi tylko o nią, ale o dobro, zdrowie, a nawet życie innej osoby, nie może być więcej bezwolną pacynką!

– Proszę się zdać na moje zdolności organizacyjno-przywódcze. Współpracowałam z największymi reżyserami dwudziestego wieku. Krzysiek Kieślowski... – zaczęła wyliczać Paloma Bis.

– Nawet ze Spielbergmanem mogła pani współpracować – przerwała pani Leśniewska. – I nie robi to na mnie wrażenia...

– Boże, ludzie! Co za brak kultury i ogłady, nie mówiąc już o agresji...

– Przestańcie do cholery!!! – Sylwia przerwała rykiem, którego nie powstydziliby się dorosły Simba.

Poskutkowało. Producentka i pani Leśniewska zamilkły. Przynajmniej na chwilę.

Rok wcześniej – Los Angeles
29 maja, wtorek

Kuba uświadomił sobie, że z tego wszystkiego nie mieli nawet czasu pojechać na Wzgórza Hollywood, żeby zobaczyć słynny napis. Jemu nie robiło to różnicy, był w Los Angeles nie pierwszy raz, ale Sylwia pewnie teraz żałuje. Może rzeczywiście postąpił trochę zbyt impulsywnie, przebukowując bilety na pierwszy możliwy termin, ale wkurzyła go ta akcja z DoDo Pictures, a nocleg u Dżolanty dobił go kompletnie.

Chciał już wracać do Polski, żeby jak najszybciej zapomnieć o hollywoodzkim fiasku i odzyskać serial *Stój, bo strzelam!*. Nie ma nic gorszego dla scenarzysty, niż zaczynać od zera, z nowym projektem. Chodzić i użerać się z wszelkiego rodzaju Palomami, przekonywać, montować produkcję, pisać niekończące się wersje pilotów, biblii serialu, i to w ciemno... Zimowe wejście na K2 to przy tym pikuś.

Bez dwóch zdań, pięknie ich urządził Douglas Junior. Senior też nie lepszy. Przecież nie odblokuje im teraz polskiej wersji *Spisku scenarzystów*. Zostali z pasem spalonej ziemi. Paloma Bis straszyla Douglasa prawnikami oraz Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze, ale

dla Kuby było jasne, że to tylko wymachiwanie plastikową szabelką. Douglas Clayton pewnie wydaje na waciki więcej, niż wynosi roczny budżet polskiego przemysłu filmowego. Jego prawnicy rozjadą wszelkie roszczenia Wybicka Productions. A jak Lidia będzie podskakiwać, to się do siódmego pokolenia nie wypłaci z odszkodowaniami za zniesławienie. *Księga dżungli* – taki tytuł powinna mieć monografia Hollywood, a nie jakieś *young adult* o brzdącu, który iskał małpy...

Trzeba działać szybko i racjonalnie – myślał gorączkowo Kuba. Wyrwać serial, zanim Iza Pluta przyssie się do niego na dobre.

Wyglądając z okna samochodu na Miasto Aniołów, przeklinał je w myślach. Przed chwilą witał się z gąską, wyciągając ręce po Oscara, a teraz znów był jak Leo DiCaprio... Chociaż nie! Leo przecież w końcu wyszarpał statuetkę, po tym, jak dał wyszarpać niedźwiedziowi kawał dupy czy tam barku.

Kubie najbardziej było żal zmarnowanego czasu. Nie zdążył pójść na żadną randkę ani nawet do klubu. Trochę też szkoda mu było porzucać śledztwo w sprawie zaginionej Mandy. Nie wkręcił się w nie aż tak mocno jak Sylwia, choć wczorajsza wizyta w mieszkaniu zaginionej dziewczyny zaintrygowała go. Przyniosła wprawdzie więcej pytań niż

odpowiedzi, ale przynajmniej nikt już nie mógł wątpić, że coś jest na rzeczy. Coś mrocznego.

Dlaczego Margaret używała fałszywego imienia i nazwiska w kontaktach z Adamem? Ewentualnie dlaczego Mandy używała fałszywego imienia i nazwiska w kontaktach ze swoją współlokatorką? Czy naprawdę spakowała swoje rzeczy i gdzieś wyjechała? Bez słowa?

Od razu chcieli pójść z tym na policję. Sylwia już wybierała numer Claire, ale tyczkowata Francuzka nagle wpadła w panikę. Zaczęła ich błagać, żeby tego nie robili.

Okazało się, że przedłużyła swój pobyt na studenckiej wizie i panicznie bała się kłopotów, a jeszcze bardziej deportacji, bo przecież już zaraz, lada chwila, zacznie się jej wielka kariera aktorska. Kuba z właściwą sobie szczerością zapytał, w jaki sposób kariera, nawet najwspanialsza, uchroni ją przed deportacją, ale Chloe w odpowiedzi posłała mu jedynie pogardliwe spojrzenie.

Zaczęła przekonywać ich, że Margaret alias Mandy żadna krzywda się nie stała, że po prostu wyjechała na zlecenie załatwione przez agencję aktorską. I wróci.

– Ale kiedy? – Kuba nie miał zamiaru odpuścić.

– Nie wiem, ale wróci. Pamiętam... Była

superpodekscytowana, że wyjeżdża. To była megapropozycja. Duża kasa. Sesja zdjęciowa albo nawet rola. W filmie! – nawijała Chloe, kalecząc przy tym angielski.

Kuba był przekonany, że Francuzeczka, jeśli nawet nie kłamie, to na potęgę koloryzuje, żeby tylko nie ściągnęli jej na kark policji.

– Ale wiesz, że ona nie odbiera telefonów. Ma wyłączoną komórkę... – nie ustępował.

– Bo wyjechała! – Chloe umiała rozwiać każdą wątpliwość. – To było chyba za granicą. Czekać, na Cabo? Po prostu nie było sensu, żeby brać tam amerykańską komórkę... Dlatego nie odbiera.

Stano na tym, że wzięli od niej namiary na agencję aktorską, w której była zarejestrowana Mandy. Nie obiecali Chloe, że nie poinformują policji, ale najpierw chcieli zweryfikować jej opowieść. Choć zdaniem Kuby w agencji aktorskiej Mandy na pewno podała adres zamieszkania, więc policja i tak prędzej czy później sama dotrze do Vermont Harbor...

Pożegnali się z Chloe parę minut po dwudziestej drugiej. Nie było sensu, żeby o tej porze jechać do agencji aktorskiej.

A teraz, następnego dnia rano, Leśniewscy byli już w drodze na lotnisko. Kuba zastanawiał się, co dalej z tego wyniknie, ale sprawa była w rękach Adama, który podwoził

ich swoją teslą. Oraz policji, która pewnie nie zainteresuje się nią na poważnie, dopóki nie pojawi się jakieś ciało.

Na razie wyglądało na to, że trup stanął na drodze scenarzystom. Sytuacja robiła się niewesoła, na autostradzie międzystanowej I-110 uformował się korek. Gdzieś tam przed nimi musiało dojść do wypadku, bo stały wszystkie pasy w stronę lotniska, a z daleka słychać było syreny.

– Możesz zadzwonić do tej agencji? – zastanawiała się Sylwia, zerkając na sznur aut przed nimi. – Ale pewnie nie będą chcieli udzielić ci informacji. Wtedy najlepiej zrobić to podstępem. Musisz udać, że jesteś producentem i chcesz zaprosić Mandy na casting.

– Najlepiej, jeśli zrobisz to przez wytwórnię Douglasa – wtrącił się Kuba. – Wypadnie bardziej wiarygodnie.

– Pewnie będą chcieli wcisnąć ci też z kilkanaście innych swoich podopiecznych, więc przygotuj się na to. Mów, że reżyser myśli konkretnie o typie takim jak Mandy.

Kuba chciał jeszcze dorzucić jakąś radę, ale zrezygnował. Zdał sobie sprawę, że nawet tak prosta intryga, jaką zarysowali właśnie z siostrą, przekracza możliwości nerda, jakim jest Adam. Co ten biedny cyborg może

działać? Tu trzeba kombinować, myśleć nieszablonowo. Moc obliczeniowa mózgu musi iść w parze z inteligencją emocjonalną, a tej ostatniej Adamowi zdecydowanie brakowało.

Przedarli się w końcu przez korek, mijając dwa rozbite auta, które zostały już zsunięte, tak aby zwolnić jeden pas ruchu. Adam starał się prowadzić samochód sprawnie, ale Kuba próbował namówić go na złamanie przepisów i szybszą jazdę. Oczywiście bezskutecznie.

Pod terminal podjechali niecałą godzinę przed planowanym odlotem.

– Wiesz, jakiego Amerykanie mają pierdolca na punkcie bezpieczeństwa? – jęczał Kuba. – Wiesz, jakie to gigantyczne lotnisko? Nie zdążymy!

– No to co – Sylwia, która praktykowała *mindfulness*, zupełnie nie przejmowała się przeciwnościami losu, na które nie miała wpływu. – Świat się nie skończy, jak się spóźnimy.

Adam zatrzymał się na światłach awaryjnych. Leśniewscy w pośpiechu wyciągnęli walizki z bagażnika, a kierowca, który stanął za nimi, już zaczął wściekle trąbić.

Sylwia zostawiła walizkę na chodniku i okrążyła biegiem samochód. Pokazała na migi Adamowi, żeby opuścił szybę. A kiedy to zrobił, nachyliła się i przytuliła go. Poczowała, że Adam

się usztywnia, na pewno zaskoczony i nieprzygotowany na tak emocjonalny gest z jej strony.

Trudno, powinien walczyć z tą swoją społecznością.

– Uważaj na siebie – powiedziała mu do ucha.

I tak wyglądało ich pożegnanie. Adam odjechał, a Leśniewscy szybkim krokiem, ciągnąc za sobą walizki, minęli grube metalowe kolumny i weszli w huczący ul, jakim był nowoczesny terminal Tom Bradley International.

Po kilku minutach szybkiego marszu, prawie biegu, lawirowania w tłumie pasażerów i wózków z bagażem już widzieli przed sobą stanowiska odprawy ich lotu, które były pierwszą zaporą w skomplikowanym systemie bezpieczeństwa. Czasu było coraz mniej, może nawet już za mało, czerwone cyfry zegara na tablicy informacyjnej wyświetlały dziesiątą dwadzieścia siedem. Ich samolot startował punktualnie o jedenastej.

Przed stanowiskami odprawy nie było już kolejki pasażerów. Stała tam tylko drobna Azjatka w eleganckim białym kostiumie z czarną lamówką, rozmawiająca przez komórkę, a obok niej zwalisty mężczyzna, również Azjata, w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych.

– To żona Douglasa? – zapytała zaskoczona Sylwia.

– Gdzie?

Sylwia, nie zważając już na konwenanse, pokazała palcem. Musieli manewrować walizkami, żeby ominąć niebieskie automaty do samodzielnej odprawy, z których nie mogli skorzystać, bo mieli bagaż rejestrowany, i sekcję terminala odlotów odgradzoną słupkami połączonymi żółto-czarną taśmą. Nie zwalniali kroku, bo z każdą sekundą malały szanse, że zdążą.

– Nie no, to jakaś Japonka. A żona Douglasa to Tybetanka. Nie mów, że nie odróżniasz jednej Azjatki od drugiej, rasistko! – Kuba, łapiąc oddech, przekrzykiwał gwar terminala. – Wstydzilibyś się!

Sylwia nie upierała się. Podczas imprezy na jachcie zamieniła z żoną Douglasa ledwie dwa zdania. Poza tym Tybetanka zachwycała wtedy długimi, kruczoczarnymi, podkreconymi lokami, a kobieta przed nimi miała włosy upięte w wysoki kok, który odsłaniał duże i lekko odstające uszy.

– Ej! – Kuba nagle zatrzymał się z wrażenia. – To rzeczywiście jest dziunia Douglasa.

– Mówiłam!

– Zmyliło mnie, bo rozmawiając przez telefon, wygląda jak Japonka. No wiesz, te gadżety...

Japończycy się z nimi nie rozstają!

– Już nie brnij – wysapała Sylwia. – Rasisto.

– Ale ja nie brnę! – Kuba prędzej by umarł, niż przyznał się do błędu. – Ona naprawdę nie wygląda jak typowa Tybetanka.

Kobieta zauważyła ich i rozłączyła się pospiesznie, po czym uśmiechnęła się i pomachała. Podeszli do niej szybkim krokiem, sprawdzając nerwowo, czy jeszcze ktoś obsługuje stanowisko odprawy lotu do Frankfurtu. Rosły mężczyzna stojący obok żony Douglasa obrzucił ich chłodnym spojrzeniem. Jego mocno zbudowane ciało ledwo mieściło się w marynarce. Najpewniej był ochroniarzem. Cała rodzina Claytonów nigdzie nie ruszała się bez obstawy. Byli bajecznie bogaci i pewnie bali się porwania dla okupu albo innych nieprzyjemności.

– Przyszłaś nas pożegnać? – powiedziała Sylwia, łapiąc oddech. – Jak miło. Tylko... Strasznie się spieszymy...

– Nie przyszłam was żegnać – przerwała jej żona Douglasa. – Nigdzie nie lećcie!

17

Sylwia nie mogła oderwać wzroku od tej kobiety. Lao Pam, bo tak nazywała się żona Douglasa, jak sama przyznawała bez krępacji, miała czterdzieści pięć lat. Nie wyglądała na swój wiek, a twarz pozbawiona zmarszczek wcale nie musiała być efektem zabiegów z gabinetu medycyny estetycznej. Lao emanowała spokojem i łagodnością. Brak stresów i złych emocji na pewno przyczynił się do tego, że jej buzia była młodsza i promienna.

Piękna i naturalnie dojrzała, ciepła, a jednocześnie inteligentna – nic dziwnego, że producent stracił dla niej głowę. Choć kruczoczarne włosy, bez jednej nawet srebrnej nitki, wyglądały na farbowane. Kontrastowały z elegancką bielą jej zakietu, a upięte w kok, odsłaniały szlachetnie wydatne kości policzkowe, ale też odrobinę za duże i odstające uszy, które Lao jeszcze przekornie podkreśliła wyrazistymi kolczykami skrzącymi się diamentowo.

Sylwia pomyślała, że ten gest, w sytuacji gdy na ogół wszyscy obsesyjnie tuszują niedostatki urody, świadczy o pewności siebie Lao i wysokim poczuciu własnej wartości.

Jakby chciała obwieścić: Patrzcie, nie jestem idealna, no i co z tego...

Czterdzieści pięć minut po planowanym terminie odlotu Leśniewscy siedzieli w znajomym gabinecie na ostatnim piętrze wieżowca DoDo Pictures.

– Nie dziwię się Sylwii i Kubie. Każdy na ich miejscu poczułby opór, choćby nawet bezsilny – mówiła Lao,

pochylając się nad drewnianym biurkiem z azjatyckimi bibelotami. – Przecież nie po to przelecieli pół świata, żeby dali się zbyć pieniędzmi. To aroganckie, nie uważasz?

Tym razem na tronie, czyli w fotelu za biurkiem, siedział sam Douglas Clayton. Miał surową, nieodgadnioną minę.

– Pomyśl, jak mogli się poczuć w sytuacji, kiedy ktoś tak zupełnie bez empatii próbuje wejść i zawłaszczyć coś, w co włożyli tak wiele serca, co jest ich...

Słowa Lao, która była Tybetanką, mimowolnie przywiodły na myśl Sylwii historię jej narodu, podbitego i zaanektowanego przez Chiny. Czyżby stąd wzięła się jej wrażliwość na to, jak potraktował ich Douglas Junior? Zaraz jednak Sylwia skarciła się za tę myśl. Obie sprawy były nieporównywalne.

– Przecież nikt nie chce im niczego zabierać. – Producent poprawił srebrne oprawki okularów. – Wręcz przeciwnie. Chcę im coś dać. Szansę na międzynarodową karierę. Wiem, że mój syn trochę przesadził...

– Daj im szansę na realizację ich scenariusza – Lao łagodnie, ale jednocześnie stanowczo weszła mu w słowo. – To jest ich powołanie.

Douglas zamilkł. Rozmawiali w piątkę – Leśniewscy, Claytonowie plus reżyser. Widać było, że Dante Alvarez czuje respekt przed Lao. Po charakterystycznej dla niego hardej i kpiącej postawie nie było śladu. Wodził za nią tymi swoimi wielkimi oczami, słuchając potulnie niczym uczeń.

– Czy to prawda, że chcesz dać ten scenariusz do napisania komuś innemu? I blokować kręcenie polskiej wersji?

Producent zwlekał z odpowiedzią. Przetarł oczy, po czym znów poprawił okulary.

– To świetna historia. Ale... – powiedział w końcu, zwracając poważne, szare oczy na Leśniewskich – ...nie moglibyście być jego scenarzystami. Nie znacie wystarczająco dobrze angielskiego, nie znacie realiów...

– Wypraszam sobie! – fuknął Kuba.

Lao uśmiechnęła się lekko. Wykonała w jego stronę pełen gracji, ale jednocześnie stanowczy gest, który oznaczał, że Leśniewski ma się powstrzymać.

Rewelacyjnie sprawdzała się w roli negocjatora. Pół godziny później stanęło na tym, że Kuba będzie przygotowywał scenariusz amerykańskiej wersji *Spisku scenarzystów*. Struktura, która była domeną Sylwii, pozostanie bez większych zmian, ale dialogi trzeba będzie oczywiście napisać od nowa, po angielsku i w nowych realiach. A w teamie Leśniewskich to była działka właśnie Kuby, który przystał – nawet bez większych protestów – na warunek, który postawili Douglas i Dante: że będzie mu w tym pomagać znana i ceniona w branży scenarzystka, Flavia Alvarez.

– Patrz – prychnął Kuba po polsku. – Kolejne rodzeństwo z parciem na szkło. Bo nie sądzę, żeby to była przypadkowa zbieżność nazwisk. Chyba że Flavia to mamusia naszego meksykańskiego geniusza albo cioteczka...

– Jak to kolejne? – Sylwia odpowiedziała w tym samym języku, choć uważała, że to niegrzeczne. – My przecież nie mamy parcia na szkło, nie przesadzaj...

– My nie, ale ci bracia od *Stranger Things*, no i siostry Wachowskie, czy tam na jakim etapie one są teraz, bo nie nadążam.

– Kuba... – Siostra spojrzała na niego karcąco.

– Co Kuba? Patrz i ucz się, jak nas Meksykaniec chciał wyrolować, wcisnąć siostrunię, nieuleczalną grafomankę zapewne... Już ja ją utemperuję!

Sylwia nie знаła historii Dantego Alvareza ani nie wiedziała nic o jego rodzinie. Ktoś, chyba Dżolanta, podczas imprezy na jachcie wspomniał, że pochodzi on z Meksyku, ale zarówno Dante, jak i Flavia to były włoskie imiona. Może Alvarezowie byli mieszaną rodziną, zapewne artystów, skoro i brat, i siostra zostali filmowcami? Choć Dante, zdaniem Sylwii,

sprawił wrażenie świeżo ucywilizowanego zawadiaki. Bardzo świeżo. Kogoś, kto wychowywał się w trudnych warunkach, miał niełatwe dzieciństwo i wybił się dzięki własnemu wysiłkowi. Ale może to jej bujna wyobraźnia tak interpretowała sobie tę szorstkość, którą emanował reżyser.

Douglas ogłaszał im kolejne podjęte decyzje. Równoległe z filmem *Spisek scenarzystów* DoDo Gamez wyprodukuje grę komputerową, wyjdzie również książka. Sylwia, choć wcześniej sama podejrzewała, że coś jest na rzeczy, nie bardzo pojmowała sens takiej strategii. Książkę jeszcze była w stanie zrozumieć, ale gry komputerowe kojarzyły się jej bardziej ze strzelaniem i bieganiem. Koniec końców, okazało się, że firma Douglasa inwestuje w ambitniejsze produkcje wykorzystujące rzeczywistość wirtualną, które w atrakcyjny sposób przybliżają graczowi kulisy różnych ciekawych branż, w tym wypadku przemysłu filmowego. Nazywało się to „VR experience” i podobno było przyszłością rozrywki. Albo rozrywką przyszłości.

Kuba cieszył się jak dziecko, bo był wielkim fanem gier komputerowych. Musiał się przyznać, że nie ma pojęcia o pisaniu ich scenariuszy, ale wybłagał u Douglasa udział w pracach zespołu, który będzie nad nim pracował.

Na koniec ustalili, że Sylwia i Dante zaczną pisać scenariusz zupełnie nowego filmu. Reżyser podpisał z DoDo Pictures kontrakt na trzy obrazy, które nakręci w ciągu trzech lat. Pierwszym był jego debiut *Los Robados*, drugim miał być *Spisek scenarzystów*, ale skoro zdjęcia do kolejnego miały rozpocząć się już za rok, czas był najwyższy, żeby zacząć myśleć o scenariuszu. Pisanie pierwszej wersji potrwa minimum sześć miesięcy, a potem przecież trzeba będzie ją wygładzać i poprawiać, aż wreszcie przeprowadzić castingi i zaplanować zdjęcia. Akurat zdążą na początek przyszłego lata.

– Świetnie! I wilk będzie syty, i owca cała! – Douglas

z zadowoleniem rozparł się w fotelu. – Muszę w końcu uruchomić tego naszego geniusza, bo z nudów jeszcze zrobi coś głupiego...

Sylwia miała poczucie, że to ona jest owcą. Nie uśmiechała jej się współpraca z meksykańskim reżyserem, który na dzień dobry powiedział jej, że scenarzyści są zbędni. Ale przecież nie będzie się teraz stawiać. Zwłaszcza że małżeństwo Claytonów było zadowolone z wypracowanego kompromisu i nawet Kuba się nie krzywił. Czy miała zniweczyć jego hollywoodzki sen?

– Doskonale! Podajcie sobie ręce – zakomenderował Douglas, po czym zwrócił się do reżysera: – Zbierz to wszystko, spisz i zanieś Allison, niech przygotuje umowy, jak najszybciej, okej?

Dłoń Dantego była sucha, ale bardzo ciepła. Sylwia potrząsnęła nią, nie odwzajemniając jednak uśmiechu. To było silniejsze od niej, reżyser irytował ją. Buńczuczne spojrzenie i te arogancko rozsznurowane buty sięgające za kostki... Czuła, że czeka ją niezła przeprawa.

– To jaki masz pomysł? – zapytał Dante, nie puszczając jej ręki. – Na nasz film?

– Właśnie! – Producent z werwą uderzył otwartą dłonią w blat biurka, po czym odwrócił głowę w stronę Lao. – Tak mnie omotałaś, kochanie, że gotów bym kupić kota w worku...

Oczy wszystkich zwróciły się na Sylwię, która poczuła nagły atak tremy. Potrafiła pracować pod presją czasu, na głodnego, w hałasie, w samolocie, w metrze, z grypą, na kacu... Z tysiącem innych utrudnień, ale nie „na pstryk”, że tu, teraz, zaraz sypnie pomysłami jak z rękawa. W podobnych sytuacjach blokowała się jak karta do bankomatu po trzykrotnym wprowadzeniu błędnego PIN-u.

– Może... – Sylwia próbowała zyskać na czasie. – Zacząlibyśmy od tego...

Popatrzyła na brata, ale przecież w ich teamie to ona była od wymyślania historii, a on od pisania dialogów. Kuba wpatrywał się w siostrę z otwartymi z przejęcia ustami, jakby obawiał się, że na ostatniej prostej zepsuje to bardzo udane spotkanie, które zmieniło ich sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Przecież równie dobrze mogli w tej chwili, z podkulonymi ogonami, siedzieć w samolocie. Wróciliby do Polski z pustymi rękami.

Sylwia myślała gorączkowo. Wiedziała, że musi coś powiedzieć, cokolwiek, bo uśmiech na twarzy Douglasa zaczął już powoli więdnąć. Spojrzała w stronę przeszklonej ściany gabinetu, ale oszałamiający widok na Los Angeles milczał. Nie usłyszała żadnego, nawet najcichszego podszeptu.

Musiała coś wymyślić. Natychmiast!

– Zaginęła młoda, piękna dziewczyna... – zaczęła zdesperowana.

– Rzekłbym klasyk gatunku, ale podoba mi się! – Douglas zaczął kręcić się w fotelu. – I co dalej?

– Ma na imię Wendy. Jej chłopak to trochę nieporadny geniusz komputerowy... Zrobi wszystko, żeby ją odnaleźć.

– Świetnie! Geniusz komputerowy, tego jeszcze nie było – Douglas poderwał się z fotela. – Działajcie! My musimy lecieć. Kochanie... Kolacja z Gwyneth i jej mężem. Pamiętajsz? O siódmej wieczorem musimy być w Honolulu.

Lao uśmiechnęła się i wstała. Zaczęły się kurtuazyjne skinienia głów i uściski rąk. Sylwia czuła, że jest czerwona na twarzy z przejęcia. Głupio jej było, że opisała historię Adama i Mandy, ale obiecywała sobie, że na spokojnie wymyśli coś lepszego, a potem nikt przecież nie będzie pamiętał, co powiedziała dzisiaj.

– Bierzcie się do roboty... – Douglas zatrzymał się jeszcze w drzwiach gabinetu, włączając komórkę, którą wyciszył na czas spotkania. – Myślę, że *Spisek*... zacniemy kręcić

w ostatnim tygodniu sierpnia... Tak, to będzie dobry moment na rozpoczęcie zdjęć. A wy, moi drodzy przyjaciele z Polski, myśleliście już, kto mógłby was zagrać?

– Ryan Gosling – odpowiedział Kuba bez namysłu, nim Sylwia zdążyła nawet przetłumaczyć sobie w głowie pytanie Douglasa. Widać było, że sprawę dobrze już przemyślał. – A moją siostrę może właśnie Gwyneth?

Douglas zaśmiał się i pokazał kciuk w górę.

18

Leśniewscy znów śnili swój amerykański sen, choć nadal byli oszołomieni nieoczekiwanym zwrotem akcji, zapoczątkowanym na lotnisku przez Lao Pam. Kiedy zjeżdżali windą, Dante wzruszył ramionami i wyjaśnił im, że Douglas Junior nie znosi nowej żony ojca. Z wzajemnością. Wyglądało na to, że Leśniewscy stali się kartą przetargową w wojence między macochą a pasierbem.

– Widzisz? I wszystko jasne. A ty myślałaś, że ona jest świętsza od Dalajlamy – powiedział Kuba, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Pożegnali się z Dantem, który wysiadł na dziesiątym piętrze, i zjechali na parter. Chcieli odszukać Adama. Jeszcze w drodze z lotniska Sylwia wysłała mu esemesa, że jednak zostają. W odpowiedzi odesłał uśmiech, co uznała za postęp w jego otwieraniu się na świat emocji.

Adam urzędował w DoDo Gamez, w sąsiednim budynku. Leśniewscy musieli wyjść z biurowca DoDo Pictures i przeciąć wewnętrzny dziedziniec, na którym mieściło się oczko wodne i splechetek zieleni. Kuba ruszył w kierunku drzwi obrotowych, a Sylwia podążała pół kroku za nim. Nagle oboje przystanęli. Na jednym z obitych srebrzystą imitacją skóry, futurystycznie powyginanych foteli, które stały w lobby, siedziała znajoma postać. Policjantka Claire z przylizanymi włosami. Była pochłonięta rozmową przez komórkę, na kolanie położyła sobie notatnik.

Podeszli bliżej, mijając grubaśne kolumny, na których

wspierała się konstrukcja wieżowca. Były obłożone wypolerowaną blachą, odbijającą niczym krzywe zwierciadło ich sylwetki i wszystko wokół. Kiedy Claire wyczuła obecność Leśniewskich, bo podniosła wzrok, po jej surowej twarzy przebiegło coś na kształt uśmiechu. Szybko skończyła rozmowę, zamknęła notatnik i wstała, poprawiając granatową koszulę policyjnego munduru.

– Jednak nie wyjechaliście.

– A skąd pani wie, że mieliśmy wyjechać? – zdziwił się Kuba.

– Od Adama Yoshidy.

– Na razie zostajemy – powiedziała Sylwia. – A pani? Co pani tutaj robi?

– Czynności służbowe – odparła beznamiętnym tonem. Po chwili jednak zreflektowała się i dodała odrobinę mniej oficjalnie. – Rozmawiałam przed chwilą z Adamem Yoshidą. Chodzi o tę rzekomą współlokatorkę jego dziewczyny, którą udało wam się namierzyć...

– Niezli jesteście, prawda? – Kuba dumnie wypiął pierś, choć przecież to Sylwia zlokalizowała mieszkanie Mandy. – W Polsce słyniemy z tego, że wyręczamy policję...

Funkcjonariuszka znowu się usztywniła.

– Bardzo się cieszymy, że się włączyliście – Sylwia ubiegła brata, który już otwierał usta, żeby znów dowalić coś niedyplomatycznego.

– Nie mogliśmy tego zignorować – odparła Claire, chowając komórkę do kieszeni spodni.

– Mieliśmy wrażenie, że macie na głowie tyle ważniejszych spraw... – Kuba wprost uwielbiał wbijać szpilę.

– Bo mieliśmy. Ale teraz jest ciało, więc priorytet sprawy w oczywisty sposób wzrósł.

Leśniewscy spojrzeli na Claire oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

– Jak to...?! – wykrztusiła Sylwia. – Znaleźliście ciało

Mandy...?

– Skąd. Kto tak powiedział?

– To o jakim ciele pani mówi?!

– Nie wiecie? W nocy był pożar w tym mieszkaniu. W Vermont Harbor. Strażacy znaleźli zwęglone zwłoki, najprawdopodobniej... – policjantka przekartkowała notatnik
– ...Chloe Duchamp.

Sylwia poczuła, że nogi się pod nią uginają. Przysiadła na futurystycznym fotelu. Przed oczami miała te nisko osadzone, nastroszone brwi, ten meszek nad górną wargą. Kuba zaklął po polsku.

– Dlatego chciałam otrzymać relację z waszego wczorajszego spotkania z panią Duchamp – mówiła Claire głosem wypranym z emocji. – Mam już informacje od Adama Yoshidy. Powiedział mi, że wróciliście do Europy, ale potem dostał od was wiadomość, że jednak zostajecie, dlatego czekałam tu na was. Możemy chwilę porozmawiać?

19

Pojechali z policjantką na dziesiąte piętro, gdzie znajdowała się restauracja dla pracowników DoDo Pictures. Siedział w niej Dante i rozmawiał z Allison, kolejną asystentką Douglasa. Zapewne przekazywał jej szczegóły ustalone podczas spotkania w gabinecie na ostatnim piętrze.

Leśniewscy byli wstrząśnięci i dobrą chwilę zajęło im przetrwanie wiadomości o śmierci Chloe. Przynajmniej na tyle, żeby móc odpowiadać na pytania. A w zasadzie na jedno: Co wydarzyło się poprzedniego dnia w mieszkaniu w Vermont Harbor? Trochę dziwiło ich, że nie zostali wezwani na przesłuchanie na posterunek, ale widocznie takie były procedury w USA.

Opowiedzieli wszystko ze szczegółami, policjantka podziękowała im, dopiła kawę i poszła, a oni siedzieli jeszcze kilka minut w industrialnym wnętrzu, próbując dojść do siebie. Dantego i asystentki Douglasa już nie było.

– Widzisz, przewidziałem, że kariery nie zrobi. – Kuba pokiwał głową i zrobił minę, jakby wypowiadał mądrość życiową. – Nawet u Almodóvara.

Sylwia patrzyła na świat za szybą, w którym życie toczyło się zwykłym rytmem. Okna restauracji wychodziły na budowę trzeciego biurowca Douglasa. Betoniarka lała fundamenty, wokół uwijali się robotnicy w pomarańczowych kaskach i seledynowych odblaskowych kamizelkach. Sylwia pomyślała, że Kuba i ona też powinni teraz zajmować się swoimi sprawami. Wylewać fundament pod nowe projekty

scenariuszowe. Co ich obchodzi jakaś Chloe, a nawet Mandy? To obcy ludzie, nie ich sprawy.

A jednak była przekonana, że warto, przynajmniej czasami, zrobić coś pod prąd oraz wbrew rozsądkowi. Inaczej miałyby wrażenie, że jest jak postać z gry komputerowej, której całe życie ustalił niezbyt skomplikowany algorytm.

Wstali od stolika i wyszli z restauracji. Przy windach natknęli się na rozszczebiotaną Dżolantę.

– Co za łonderful niespodzianka! Cudownie, że udało się was zawrócić! – Ich rodaczka trzymała na ramieniu torbę, z której wystawał pysk Alexandra. – Zdziwieni, co? To ja za wami lobbowałam. Ja! Walczyłam jak lajon – ryknęła teatralnie, naśladując lwa, po czym nęcąco zakręciła biodrami. – Użyłam wszystkich swoich sikret sztuczek, żeby przekonać Douglasa, żeby dał wam sekend szansa...

– Dzięki... – wykrztusiła Sylwia.

Kuba był zbyt wzburzony kłamstwami Dżolanty, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Musimy celebret! Lancz? – paplała tamta. – Ta garkuchnia tutaj jest tradzik, normalnie do wszystkiego dodają gluten, do chleba nawet chyba! Ale tu jest niedaleko takie fantastyk bystro end deli. Tajska kuchnia, prowadzona przez prawdziwych Włochów! Idziemy?

– Dziś? – Sylwia próbowała grać na czas. Kuba miał mniejsze opory.

– Dzięki, Dżolanta – powiedział, naciskając co i rusz guzik przywołujący windy, choć przecież nie dało jej się w ten sposób przyspieszyć. – Ale jesteśmy umówieni z Adamem.

– Z jakim Adamem?

– Yoshidą.

Drzwi wreszcie się rozsunęły, na co psina w torebce zareagowała przeraźliwym jazgotem. Weszli do windy, a Dżolanta skupiła się na kojeniu nerwów pupila i równoczesnym sprawdzaniu swojego odbicia w lustrze,

zwłaszcza ust. Kiedy Leśniewscy wysiedli, pożegnała się z nimi i zjechała na poziom minus jeden, na podziemny parking. Sylwia i Kuba wyszli z budynku DoDo Pictures i przeszli do sąsiedniego biurowca.

Lobby i recepcja DoDo Gamez były jeszcze bardziej futurystyczne, bo utrzymane w geometrycznych klimatach. W powietrzu unosił się dyskretnie rozpylany przyjemny zapach, z głośników przyczepionych pod sufitem sączyła się eteryczna muzyka. Leśniewscy nie tak wyobrażali sobie Hollywood, ale widocznie XXI wiek objął w posiadanie również fabrykę snów. Ich przepustki z sąsiedniego budynku nie działały. Odmeldowali się u sympatycznie uśmiechającej się recepcjonistki.

W milczeniu wjechali na dwudzieste drugie piętro. Adam czekał na nich przy windzie. Ruszyli przeszklonym korytarzem.

– Myślałem, że wystarczającym szokiem będzie dla ciebie, że zostajemy – powiedział Kuba. – Ale ta akcja z Chloe to trochę jak z naszego serialu kryminalnego, prawda, Silwano?

– Twoja siostra ma na imię Sylwia – uściślił Adam.

– On jest niewyjęty – parsknął Kuba, przechodząc na polski, ale zaraz znów przełączył się na angielski. – Ale coś ustalili w sprawie Mandy? Bo nam ta policjantka nie chciała nic konkretnego powiedzieć...

– Mam nadzieję, że to nie miało nic wspólnego z Mandy – odparł Adam. – Ten pożar mogła wywołać świeczka zapachowa, którą paliła Chloe. Pamiętacie?

– No nie... – wtrącił Kuba znów po polsku. – Myślisz, że on naprawdę jest tak naiwny, że w to wierzy?

– Poczekajmy – odparła Sylwia po angielsku. – Nie ma co spekulować. Teraz pewnie wszystko się wyjaśni.

Adam machnął kartą magnetyczną przy drzwiach i weszli do gabinetu, który był równie sterylny jak jego mieszkanie.

– Nie wiem jak wy, ale ja oprócz tego, że jestem

wstrząśnięty, to umieram z głodu – powiedział Kuba. – Od rana z Silwaną nic nie jedliśmy... Chodźmy gdzieś.

– Oczywiście, tylko... – Adam spojrzał na zegarek na ekranie jego komputera.

– Obstawiam, że ta idiotka Dżolanta – Kuba wszedł mu w słowo – czatuje na dole, żeby sprawdzić, czy nie kłamaliśmy z tym, że się umówiliśmy z tobą na lunch. Więc lepiej naprawdę gdzieś chodźmy.

– A możecie poczekać na mnie siedem minut? – spytał Adam. – Mam uruchomioną symulację i muszę zgrać wyniki, bo o trzynastej trzydzieści wchodzi Martinez ze swoim projektem i muszę zwolnić serwer.

Kuba machnął ręką, ale Adam nie zrozumiał tego gestu i dopiero Sylwia potwierdziła otwartym tekstem, że nie ma problemu, poczekają. Siedem minut czy ile mu tam to zajmie.

Adam wyszedł, a oni rozsiedli się na plastikowych krzesłach, które wyglądały jak eksponaty z wystawy sztuki nowoczesnej, ale okazały się nadzwyczaj wygodne. Sylwia spodziewała się, że informatycy Douglasa będą pracowali w otwartej przestrzeni, może wypełnionej hamakami, a jednak siedziba DoDo Gamez wyglądała jak konwencjonalnie biuro. Osobne gabinety, biurka, szafy, segregatory, szara wykładzina na podłodze.

Sylwia zamknęła na chwilę oczy i oparła twarz na dłoniach. Nie mogła przestać myśleć o biednej Francuzce, z którą rozmawiali ledwie kilkanaście godzin temu. Pożar. Co za okropna śmierć. Nie było już wątpliwości, że Mandy też się coś przytrafiło, coś niedobrego. Claire, z typową dla policji ostrożnością, powiedziała Adamowi, że na razie nie można wykluczyć nieszczęśliwego wypadku; Sylwia w duchu przyznawała jednak rację bratu.

To byłby zadziwiający zbieg okoliczności, prawdziwy *spisek scenarzystów*, gdyby zaginięcie Mandy oraz pożar w jej mieszkaniu i śmierć Chloe nie były w żaden sposób

powiązane. Wprawdzie Sylwia także zapamiętała świeczkę zapachową, ale stała ona na marmurowym blacie, więc raczej trudno, żeby wywołała pożar...

Biedna, biedna Chloe. Sylwia winiła się za jej śmierć. Bo przecież gdyby na jachcie nie namówiła Adama na zgłoszenie sprawy na policję... Gdyby nie dostrzegła reklamy warsztatu samochodowego na filmiku Mandy...

– Co ty robisz?! – wyrwało się Sylwii, kiedy otworzyła oczy.

– Nic. Nudzę się.

Podczas gdy ona siedziała grzecznie na dziwacznym krześle, Kuba bez krępacji przeglądał papiery na biurku Adama.

– Zwariowałaś? Nie wolno! – Sylwia poderwała się i zerknęła kontrolnie w stronę przeszklonych drzwi.

– Ale oni tu robią trzecią część Killjoya! – Kuba pokazał jej wydrukowane storyboardy.

Sylwia westchnęła. Trudno jej było winić brata za to, że w siedzibie DoDo Gamez czuł się jak mysz w fabryce sera. Ale grzebanie komuś w papierach... Zdecydowanym krokiem podeszła do biurka.

– W dwojce na koniec zabijają ci Langerę, twojego pomocnika. Ale krąży teoria, że się okaże, że to był jego klon albo brat bliźniak. Muszę wiedzieć, czy Langer żyje, bo to największe ciacho w grach komputerowych od czasu *Prince of Persia!*

– To poproś, żeby ci powiedział, jak wróci.

Brat milczał. Odłożył storyboardy, ale nadal wertował luźne papiery starannie ułożone przy bocznej krawędzi biurka.

– Kuba... – Sylwia starała się zabrzmieć stanowczo, ale wiedziała, że brat ją zignoruje.

Myszkował jeszcze chwilę, w końcu zatrzymał się nad jakąś kartką. Przebiegał po niej wzrokiem, po czym wydobył z siebie tylko ciche i przeciągłe „jaaa...” i podał ją Sylwii.

– Nie, ja nie będę grzebać w jego rzeczach.

– Czytaj!

- Nie!
- Ale to jest cholernie ważne. I dotyczy Mandy.
- To po prostu mi powiedz. Co to jest?

Kuba nie odpowiedział, też lubił stawiać na swoim, więc w końcu wzięła od niego papier i zaczęła czytać. Szybko zorientowała się, że to prośba o research konieczny do gry komputerowej *Killjoy 3*. Oni sami, pisząc serial kryminalny, nieustannie korzystali z pomocy konsultantów. Policjant, Rafał Okoński, był zatrudniony przy serialu na stałe. Do tego dochodził research prawny, a także medyczny, kiedy na przykład w odcinku dochodziło do strzelaniny i któryś z bohaterów był ranny. W takich wypadkach Leśniewscy spisywali pytania, a produkcja serialu zlecała oficjalną i płatną konsultację ekspertowi z danej dziedziny.

Na kartce, którą trzymała w ręku Sylwia, widniał nagłówek „*research request*” i data – sprzed dwóch tygodni. Niżej, jako zlecający, był podpisany Adam Yoshida. Nic nadzwyczajnego. Jednak treść sprawiła, że zatkało najpierw Kubę, a teraz Sylwię.

Zapytanie dotyczyło dwóch metod pozbycia się zwłok i oceny skuteczności zatarcia w ten sposób śladów zbrodni: Pierwsza metoda – rozpuszczenie w kwasie, druga – pożar.

Rok później – Warszawa
17 maja, piątek

Dopiero kiedy zabrakło u jej boku brata, Sylwia mogła w pełni docenić jego wcześniejszą obecność w swoim życiu. Rodzeństwa się nie wybiera, więc rzadko wychodzi z tego udana para. Im się poszczęściło. Znajomi często to podkreślali z zazdrością, a wręcz z niedowierzaniem.

Przez kilka lat, kiedy pracowali razem jako scenarzyści, widywali się praktycznie codziennie. I świetnie się uzupełniali. Kuba od razu zakręciłby się gdzie trzeba. Dowiedziałby się, co i jak, i przekazałby jej informacje. O stanie zdrowia Sylwii, dziecka... O szykowanej operacji... Wszystko bez owijania w bawełnę. W pewnych okolicznościach, kiedy lepiej sprawdzała się dyplomacja, bezpośredniość Kubby stanowiła wadę, na ogół jednak była zaletą. Zwłaszcza w chwili takiej jak ta, kiedy Sylwia umierała ze strachu i niepewności.

– Co się dzieje? Powiedzcie mi! – Sylwia nie miała siły krzyczeć, to był bardziej szept. Uniosła głowę na tyle, na ile dała radę, po czym opadła na szpitalne łóżko. – Dlaczego to trwa tak długo?

– Leż, córcia, oszczędzaj siły! – Pani Leśniewska starała się opanować emocje, ale drżący głos zdradzał wszystko jak najczulszy sejsmograf. – Musisz być silna.

Zabrzmiało to złowrogo. Sylwia głęboko wciągnęła powietrze nosem. Poczowała zapach linoleum i środka dezynfekującego. Zrobiło jej się niedobrze.

– Boli cię coś? – zaniepokojona mama zwróciła się do męża. – Pawełku, gdzie ta położna znowu polazła? Idź po nią!

Sylwia pokręciła głową, a zaraz potem skinęła na tak. Była zdezorientowana. Niby wokół trwało zamieszanie, a tak jakby nic się nie działo. Kiedy została przyjęta do szpitala? Pół godziny temu? Nie miała pojęcia, zupełnie straciła poczucie czasu. Zbadali ją, dostała znieczulenie, jakieś leki, podłączyli urządzenie, które monitorowało tętno płodu. Jak to się nazywało? KTG? Odwróciła głowę i bezmyślnie wpatrywała się w popiskujący monitor, z którego nic sensownego nie była w stanie wyczytać. Myślała, że zajmą się nią jakoś zwawiej, bo przecież poród już się zaczął. Odeszły wody... Skurcze były coraz częstsze... W panice Sylwia próbowała przypomnieć sobie wszystko, co czytała na temat końca ciąży.

– Będzie dobrze, musi być. – Mama uśmiechnęła się ciepło i pogłaskała ją po

policzku, po czym wyszła z sali krokiem odrobinę za szybkim. – Idę po kogoś.

Po kogoś? Co to znaczy? Sylwia bała się, że opanowanie i spokój mamy są pozorne. To z pewnością była tylko gra aktorska. Zaraz na korytarzu pani Leśniewska wdała się w kolejną pyskówkę z Palomą Bis. Zapewne obie myślały, że nie będzie ich słychać. A potem już pewnie przestały myśleć, bo krzyczały na całego.

– No niech już pani stąd idzie, tu musi być przejście, zaraz będą ją wieźli na operację! – grzmiała mama Sylwii.

– To jest wolny kraj, proszę pani, i państwowa służba zdrowia. Mogę stać, gdzie mi się żywnie podoba. A stoję, bo ja, proszę pani, dbam o swoich podwładnych jak o własne dzieci. Wybicka Prodakszyns ma, moja droga, laur czempiona etyki w biznesie...

– Proszę pani, pani nie rozumie! Ona ma problemy z krążeniem, przeszła chorobę nowotworową...

– Co?! – Paloma Bis aż się zachłysnęła. – Dlaczego ja nic o tym nie wiem? Jezus Maria! Dlaczego dowiaduję się dopiero teraz?!

– Ciszej!

– Co ciszej? Proszę pani, to nie jest średniowiecze, żeby takie rzeczy zatajać.

– Nikt niczego nie zataja. My jesteśmy inteligencką rodziną, droga pani. Mąż jest

wykładowcą. Na uniwersytecie! Badamy się regularnie. Zimą zażywamy witaminę de trzy, proszę pani!

– Gdybym wcześniej wiedziała, mogłabym pomóc. Proszę pani, ja wszystko mogę. A teraz? Bidula leży w jakiejś państwowej umieralni. Szkoda, że jeszcze nie na korytarzu!

– Proszę przestać tak mówić! Ja wiedziałam, że to się tak skończy. Pawełku!

– I jeszcze ten przedwczesny poród! – Paloma Bis nie odpuszczała. Słysząc było, jak ciągnie korytarzem stojak z kroplówką. – Tu trzeba działać! I to szybko! Halo, ludzie!

– Ciszej, pani kochana, no na miłość boską!

– Przecież ja mogłam zadzwonić po doktora Swarzędza. To najlepszy ginekolog w Warszawie. Mógł ją prowadzić!

– Doktorze! – Głos pani Leśniewskiej wskoczył na wyższą oktawę. – Niech pan coś powie!

– Zna pan doktora Swarzędza?

– Proszę się odsunąć, nie ma czasu! – Sylwia rozpoznała głos położnej. W jej tonie też wychwyciła pewną nerwowość. – Zabieramy ją. Proszę stąd wyjść!

– Tylko pamiętajcie o jej sercu! Błagam!

Sylwia, pomimo znieczulenia, znów poczuła skurcz, ale nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Starła się skupić na swojej córeczce, która już parła,

żeby wyjść na świat. Na małej Hani, którą jeszcze dziś zobaczy.

– Halo, Madziucha? – głos Palomy Bis przebiłby się nawet przez dziesięciocentymetrową ścianę z ołowiu. – Słyszysz mnie? Masz gdzieś pod ręką telefon do Swarzędza? Ja wiem, że do niego są kolejki, ale to sprawa życia i śmierci! Dosłownie!

Sylwia zacisnęła powieki, próbując przywołać techniki *mindfulness*, arкана medytacji, która pozwoliłaby przetrwać te trudne chwile. Nie pierwsze i nie ostatnie w jej życiu.

Mogła liczyć tylko na siebie. Była sama. Oprócz brata, w tym dramatycznym momencie próby i przełomu zabrakło u jej boku także najważniejszego mężczyzny: ojca jej dziecka.

Rok wcześniej – Los Angeles
1 czerwca, piątek

To nie było tak, że Kuba nie chciał mieć z Dżolantą nic wspólnego, że go mierzyła. Owszem, była pusta jak dzban, z którego nawet Salomon by nie nalał. Odpychała go swoim wyrachowaniem, którego nie potrafiła ukryć, ale jednocześnie była śmieszna. Oczywiście w sposób niezamierzony. I miała w sobie ten rodzaj przerysowania i krzykliwości, czyli *campu*, który często fascynuje gejów.

A w tym momencie ich kalecząca ojczysty język rodaczka posiadała jeszcze jeden atut, który mógł się Leśniewskim przydać. Była aspirującą aktorką. Od dłuższego czasu próbowała zaistnieć w Hollywood i zrobić karierę, zagrać cokolwiek i gdziekolwiek, więc rynek agencji aktorskich w Los Angeles znała od podszewki.

– No nie no, to jakaś tradzedy – westchnęła teatralnie, obrzucając niechętnym wzrokiem budynek, do którego podchodzili. – I parody jednocześnie. To na pewno tu? Jesteś siur?

– Nie jestem żaden siur – obruszył się Kuba, po czym wskazał palcem listę metalowych tabliczek przyczepionych do fasady. Były to

szylidy firm mających swą siedzibę w budynku.

– Tu. Nie widzisz?

Pięciopiętrowy biurowiec był, mówiąc eufemistycznie, niezbyt okazały. Z daleka było od niego tandetą lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, i to w dodatku nigdy nie remontowaną tandetą. Poza tym znajdował się w niezbyt reprezentacyjnej dzielnicy Los Angeles – Bandini – i wszystko to razem tłumaczyło rozczarowanie Dżolanty.

Kuba otworzył fioletowe plastikowe drzwi i puścił ją przodem. Dżolanta swoją łamaną polszczyzną trajkotała mu o *big five*, czyli piątce największych i najbardziej liczących się agencji aktorskich w Hollywood, która od czasu połączenia się Endeavor i William Morris Agency stała się wielką czwórką. Nie trzeba dodawać, że Gloria Shalko Artists, którą zamierzali odwiedzić, nie znajdowała się w wielkiej czwórce ani nawet piątce, ani nawet pewnie w pięćdziesiątce, ale... w suterenie kiczowatego budynku, do którego weszli.

– O maj gad, tu kręcą porn, mówię ci! – jęknęła Dżolanta. – Czujesz?

Schodząc po brudnych schodkach, Kuba też zwątpił w to miejsce, ale okazało się, że umieszczenie agencji aktorskiej częściowo w podziemiach ma jakiś sens. Okna były zbędne, ponieważ lwią część Gloria Shalko

Artists zajmowały dwa studia fotograficzne, w których kandydatkom i kandydatom na gwiazdy robiono zdjęcia do portfolio. Była jeszcze tonąca w półmroku recepcja i gabinet Glorii, z jedynym okienkiem w całej agencji – wysoko, pod sufitem, które wpuszczało trochę światła, ale przez które nawet najwyższy koszykarz w NBA nie byłby w stanie wyjrzeć.

W powietrzu unosił się zapach kurzu przypalonego rozgrzanymi lampami fotograficznymi, słabej kawy i tandetnych perfum Glorii. W jej gabinecie stało ciężkie dębowe biurko, za którym siedziała właścicielka agencji. Pięćdziesięcioletnia, powolna w ruchach, korpulentna brunetka o starannie zaczesanych prostych włosach do ramion. Miała małe, głęboko osadzone oczy, więc jej twarz przypominała ryjek kreta, choć to skojarzenie mogło wynikać też z faktu, że urzędowała pod powierzchnią.

Kuba zamierzał wypytać ją o zaginioną Mandy. Sylwia w tym czasie miała spotkanie z Dantem, który koniecznie chciał zacząć pracę nad nowym scenariuszem dla Douglasa. Kuba na razie nie mógł przygotowywać amerykańskiej wersji *Spisku...*, bo Flavia Alvarez nie wróciła jeszcze do Los Angeles. A skoro Dżolanta nagabywała go o lunch, postanowił upiec dwie pieczenie na jednym

ogniu. Odbębni spotkanie i przy okazji może ruszy coś w sprawie zaginionej dziewczyny.

Powiew nadziei związany z rozpoczętym przez policję śledztwem osłabł. Kiedy poprzedniego dnia zadzwonili do Claire, policjantka poinformowała ich, że priorytetem jest wyjaśnienie śmierci Chloe i przyczyny pożaru. Jest ciało i jak najbardziej podejrzenie udziału osób trzecich, więc na miejsce wkroczyli specjaliści i cały aparat dochodzeniówki. Podobno pojawiły się obiecujące tropy, więc na tym muszą się skupić. Mandy vel Margaret jest gdzieś w tle i przy okazji. Nic więcej nie mogą zrobić, bo nie udało się jeszcze nawet potwierdzić jej tożsamości. Tyle w temacie.

Sylwia i Kuba wrócili więc do tego, co Chloe powiedziała im dzień przed śmiercią. Jej współlokatorka rzekomo była zarejestrowana w agencji aktorskiej Gloria Shalko Artists. Sprawdzili to od razu, ale zdjęcie Mandy nie figurowało w dostępnej w internecie bazie danych. Najpierw szukali po nazwisku, potem ręcznie przeglądali kolejne strony wypełnione zdjęciami pięknych, młodych kobiet. Bez rezultatu. Mandy była widmem. Kobieta zagadką, dziewczyną enigmą. Nie udało się dotrzeć ani do jej przyjaciół, ani rodziny. Zapadła się pod ziemię, wszelki ślad po niej zagaął, ale przecież istniała – Chloe

rozpoznała ją na zdjęciu, potwierdziła, że mieszkały razem.

Jedynym punktem zaczepienia była podrzędna agencja aktorska, dlatego po naradzie z siostrą Kuba postanowił osobiście się do niej pofatygować.

– Próbujemy skontaktować się z pani podopieczną... – zagaił, kiedy rozsiedli się z Dżolantą naprzeciwko Glorii, na czarnych winylowych krzeselkach, które znajdowały się w budynku zapewne od zarania jego dziejów.

– Nie udzielam tego typu informacji. – Właścicielka agencji obrzuciła go znudzonym, pełnym rozczarowania spojrzeniem. Miała niski głos i mówiła ze spokojem, apatycznie, jakby była potwornie zmęczona.

– A jakich informacji pani udziela? – spytał spokojnie Kuba.

To pytanie zbiło Glorię z tropu. Przez dłuższą chwilę myślała nad odpowiedzią, kołysząc się na fotelu i mrużąc krecie oczka.

– Dane moich podopiecznych są poufne. Na świecie nie brakuje wariatów i przestępców seksualnych...

– Słucham? – obruszył się Kuba, wchodząc jej w słowo.

– ...którzy szukają kontaktu z pięknymi aktorkami i przystojnymi aktorami, reprezentowanymi przez Gloria Shalko Artists.

– Czy my wyglądamy jak przestępcy seksualni? – wypaliła szczerze urażona Dżolanta. – No może seksualni, ale nie przestępcy!

– Bardzo prosimy. – Kuba przemógł się, żeby tchnąć w swoje słowa sympatię. – Niech nam pani pomoże.

– Jakichkolwiek informacji poufnych mogę udzielić tylko w przypadku, gdybyście reprezentowali policję... – Gloria znacząco zawiesiła głos, po czym sięgnęła po pękaty, różowy kubek, z którego wystawała metalowa bombilla do picia yerba mate.

– Reprezentujemy DoDo Pictures – rzucił zblazowanym tonem Kuba, jednocześnie uciszając gestem Dżolantę, która aż rwała się do odpowiedzi. – I chcemy zatrudnić Mandy Powell, która jest w pani agencji, być może pod nazwiskiem Horowitz albo jeszcze jakimś innym.

– Do... do filmu? – spytała Gloria, pospiesznie odstawiając kubek na biurko.

– Nie, kochana, do teatru – wtrąciła Dżolanta, pewnie w swoim mniemaniu dowcipnie i błyskotliwie.

Gloria założyła okulary, które wisały jej na łańcuszku, i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Moja agencja nie reprezentuje nikogo o nazwisku Powell ani Horowitz, bardzo mi

przykro – powiedziała po chwili, odrywając wzrok od ekranu. – Ale z pewnością znajdę inne kandydatki, które będą w typie...

– Jest pani pewna, że jej nie ma? – Kuba przerwał jej bezceremonialnie. – Może nie zapłaciła składki i wypadła? Do archiwum czy czegoś w tym stylu? Do kosza na śmieci? No niech pani poszuka gdzieś tam głębiej, bo mamy informację, że ona była zarejestrowana w pani agencji. Na sto procent.

Gloria zgromiła go wzrokiem. Zdjęła okulary. Kuba wyciągnął z kieszeni komórkę, pogrzebał w niej chwilę i podsunął ją Glorii pod nos. Właścicielka agencji ponownie założyła szkła i przez dobrych kilka sekund wpatrywała się w zdjęcie Mandy.

– Tak. Kojarzę. Kiedyś była u mnie. Ale potem zrezygnowała.

– Kiedy? Niedawno?

– Nie udzielam tego typu informacji.

Kuba westchnął. Rozejrzał się po gabinecie Glorii pomalowanym na brudny róż. Albo może na zwyczajny róż, który z czasem pokrył się brudem. Na ścianach wisiały jakieś certyfikaty czy też dyplomy i zdjęcia, niektóre nieco wypłowiałe, zapewne podopiecznych agencji. Jak później zrelacjonował siostrze, w powietrzu unosiła się „atmosfera stręczycielstwa”.

Dzolanta prowadziła z Glorią przekomarzaną

na granicy pyskówki, ale Kuba wiedział już, że to nic nie da.

– Pani Shalko – wtrącił się po chwili. – To jest poważna sprawa. Ta dziewczyna zaginęła. Jej narzeczony odchodzi od zmysłów!

– Jeśli rzeczywiście chcecie zatrudnić jedną z moich podopiecznych, zapraszam do przejrzania bazy danych.

Kuba przewrócił oczami. Gloria niczym katarynka powtarzała w kółko to samo, a to doprowadzało go do szału. Założył nogę na nogę i zaczął machać stopą w czerwonym conversie, żeby wytracić złą energię.

– Słuchaj... – jak gdyby nigdy nic przeszedł na polski, zwracając się do Dżolanty. – Musimy dostać się do tego jej komputerka.

– Co?! – Dżolanta w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Ty odciągnij ją jakoś, a ja tam wygrzebię, co potrzeba.

– Ale jak mam ją odciągnąć?

– Nie wiem, myślę! – odparł Kuba, jednocześnie uśmiechając się nieszczerze do Glorii. – Może zasłabnij? Albo odegraj chęć zapisania się do agencji tej jędzy.

– Dobra... Spróbuję! Zemdleję. Miałam to na kursie aktorskim...

– Ja wam dam jędzę, kurwisyny – rzuciła nagle płynną polszczyzną właścicielka.

Dzolanta i Kuba aż podskoczyli na rachitycznych krzeselkach.

– Myśleliście, że co? Że ja pierwsza lepsza głupia jakaś? – Gloria Shalko mówiła po polsku płynnie, choć z silnym amerykańskim akcentem. – Tatuś Szalkowski był, potem skrócił nazwisko. Wygnali nas z Polski w sześćdziesiątym ósmym.

22

Brandon Bough miał sześć stóp i cal wzrostu, co niewiele mówiło Sylwii, bo nie potrafiła przeliczyć w głowie jednostek imperialnych na system metryczny. Liczył też sobie 28 lat, i ta liczba na szczęście znaczyła to samo pod każdą szerokością geograficzną. Spod grzywki w kolorze starego złota spoglądały na nią zmrużone oczy o szlachetnym migdałowym kształcie. Piękny i rzadko spotykany odcień włosów wyglądał na naturalny, a jeśli był wynikiem koloryzacji, to wyszedł spod ręki fryzjerskiego mistrza.

Kliknęła i na ekranie pojawił się następny w kolejności alfabetycznej młody mężczyzna. Xander Brissi był o cal wyższy i o rok starszy od poprzednika. Brunet o dość pospolitej urodzie. Pewnie zdawał sobie z tego sprawę i dlatego próbował się wyróżnić, bo w uszach miał kolczyki, wielkie sztuczne brylanty, a zdjęcie przykuwało uwagę nietypowym kadrem. Twarz mężczyzny była zdjęta przez raketę tenisową, którą trzymał w ręku.

– Co ty wyprawiasz? – Dante niepostrzeżenie zaszedł Sylwię od tyłu i zerknął na ekran komputera.

– Słucham? – Sylwia odruchowo złapała za górną krawędź laptopa, jakby chciała go zatrzaskać, ale zrozumiała, że w ten sposób tylko pogorszy sprawę.

– To ja pracuję, na głowie stoję, a ty, zamiast myśleć nad scenariuszem, oglądasz sobie koleśki w necie?

W pierwszej chwili przestraszyła się, że zrobi jej prawdziwą awanturę. Mówił tym swoim schrypniętym, szorstkim głosem

i świdrował ją groźnym spojrzeniem, po chwili jednak wybuchnął śmiechem.

– No tego się po tobie nie spodziewałem!

Przysunęła komputer bliżej siebie, tak jakby ciałem chciała zasłonić ekran.

– Nie oglądam żadnych koleśki – zaczęła wyjaśniać, choć miała świadomość, że tłumaczą się tylko winni. Miała nadzieję, że w angielskim nie ma takiego powiedzenia.

– Przecież widzę. Umawiasz się na randkę? Co to za pseudomacho z Wimbledonu? Ze mną się umów... Jestem do wzięcia...

– Z nikim się nie umawiam! Po prostu przeglądam zdjęcia...

– To czemu się tak tłumaczysz? – wszedł jej w słowo. – Tłumaczą się tylko winni.

Westchnęła. A jednak. *„He who excuses himself, accuses himself”*.

– Nie tłumaczę się! – Była zła, bo czuła, że się czerwieni, i wiedziała, że nic nie jest w stanie na to poradzić. – To jest strona agencji aktorskiej.

– Czyli chcesz poderwać aktora. No naprawdę, myślałem, że stać cię na więcej – kpił Dante. – Liczy się ładna buzia? Nie to, co pod kopułą?

– Rozumiem, że Dżolanta twoim zdaniem to tytan intelektu – odcięła się jak nie ona.

– Dżolanta? – Zaśmiał się głośno i szczerze. – No chyba tak nisko mnie nie oceniasz. Łaziła za mną, bo pewnie liczy na to, że coś zagra. Ale ja kręcę z aktorkami tylko filmy. A mężatki to już w ogóle nie moja bajka...

– Co się tak tłumaczysz...

Posłał jej spojrzenie pełne uznania. Widać było, że już myśli nad błyskotliwą ripostą.

– Przeglądałam zdjęcia aktorów, bo myślę nad naszym scenariuszem – Sylwia kłamała jak z nut. – Zawsze mi to pomaga... Muszę mieć przed oczami jakieś twarze, kiedy

piszę. Wtedy postaci nabierają życia...

Dante rzucił jej spojrzenie pełne rozbawienia i niedowierzania. Ale przestał naciskać. Może w końcu zrozumiał, że nie jest to dla niej miłe.

Tak naprawdę Sylwia przeszukiwała bazę aktorów Gloria Shalko Artists, bo brat przed chwilą przysłał jej esemesa z informacją o tym, że wyprawa do siedziby agencji zakończyła się fiaskiem. Tym samym jedyny trop w sprawie zaginionej Mandy poprowadził ich w ślepy zaułek. Ale Sylwia nie zamierzała się jeszcze poddawać. Miała plan, tylko że nie chciała wtajemniczać weń Dantego.

– Kiedy widzę twarze bohaterów, historia od razu lepiej się układa. Nie masz tak?

Dante usiadł naprzeciwko niej, a właściwie wyciągnął się na stojącej pod ścianą kanapie obitej szarym materiałem i podparł głowę na splecionych na karku dłoniach. Rękawy czarnego T-shirta podjechały do góry, odsłaniając zaokrąglone bicepsy, a nawet kawałek wydepilowanej pachy. Lecz nim Sylwia pomyślała, że oto ma przed sobą metroseksualnego meksykańskiego reżysera, Dante położył nogi na stoliku do kawy.

Te buciory do kostek... To jednak drwal! – zachnęła się w myślach, przesuwając miseczkę z ciasteczkami czekoladowymi, które upiekła poprzedniego dnia na dobry początek współpracy.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale te buty drażniły ją. A może tylko prowokowały? Podobnie jak zaczepny styl bycia reżysera. Była w nim intensywność typowa dla południowców, totalna bezpośredniość, brak dystansu, a może i zahamowań? Ale starała się nie uprzedzać. Swoje obserwacje odkładała na półkę i usilnie pracowała nad tym, żeby obdarzyć Dantego kredytem zaufania.

Pracowali już dobrą godzinę w gabinecie, który oddano do dyspozycji Leśniewskich, na dwudziestym siódmym piętrze

biurowca DoDo Pictures. Na prośbę Sylwii zainstalowano w nim dużą białą tablicę na stojaku, na której mogli rozrysowywać schemat filmu, łuki historii i zwroty akcji. Były tu jeszcze dwa biurka i szafki z jasnego drewna oraz kanapa i niski stolik, na którym Dante z lubością trzymał nogi. Z okien rozciągał się widok na Glendale, Pasadenę i West Covinę, a dalej, hen daleko na horyzoncie, na góry San Gabriel.

Nic, tylko się inspirować i pisać.

Sylwia zerknęła na pustą jeszcze tablicę. Najchętniej wycofałaby się z pomysłu opartego na historii Mandy, który rzuciła w przyпіływie desperacji na spotkaniu z Douglasem. Niestety – jak to zwykle bywa z prowizorkami – ten okazał się najtrwalszy. Dantemu historia poszukiwań Wendy tak się spodobała, że za nic w świecie nie chciał z niej rezygnować. Frantic Polańskiego, w którym bohater grany przez Harrisona Forda szuka zaginionej żony, był jednym z jego ulubionych filmów. Nie rozumiał, dlaczego Sylwia najpierw rzuciła taki temat, a teraz chce go zmieniać.

Trudno. Postanowiła, że za chwilę jakimś sprytnym zwrotem akcji przeskoczy na inne tory i obie historie rozjadą się raz na zawsze. Nikt nie będzie doszukiwał się Mandy w Wendy.

Tylko jaki mógłby być ten inny trop? – myślała, sięgając bezwiednie po ciastko.

– Ty chyba mnie jednak oszukujesz z tymi aktorami – wypalił Dante.

Sylwię zmroziło. Zupełnie jakby wyszła ze schronu po alarmie przeciwlotniczym, a złowrogi pomruk bombowców powrócił.

– Z czym?

– Chyba jednak szukasz w tej agencji jakiegoś długonogiego narzeczonego... – Reżyser patrzył jej prosto w oczy, a na jego ustach znów pojawił się kpiący uśmiezek. – Twój poprzedni

chłopak też był aktorem, prawda?

– Skąd wiesz?

– Dżolanta mi go pokazała. Przystojniaczek... Na moje oko zero głębi, szczątkowa osobowość, ale buźka jak z reklamy džinsów Calvina Kleina...

Chciała odpowiedzieć jakoś buńczucznie albo przynajmniej zadziornie, wyśmiać go, że plotkuje o niej z Dżolantą, ale cała jej błyskotliwość uleciała w okamgnieniu. Niestety, Sylwia cierpiała na przypadłość zwaną z francuska *l'esprit de l'escalier*, czyli w wolnym tłumaczeniu spóźniony refleks. Blokowała się, a celne riposty pierzchały, żeby powrócić dużo później, kiedy była już tylko musztarda po obiedzie.

– Nie, wcale nie szukam... – próbowała wydukać jakąś odpowiedź. – Przecież mówiłam ci, że robię sobie taki *mood book* do naszego filmu. To przecież element pracy scenarzysty.

– Co mi tu mydlisz oczy *mood bookiem*? Dopiero co wymyśliliśmy zdarzenie inicjujące. Oprócz Wendy nie mamy nawet jeszcze dopracowanych postaci, więc kogo ty tam wirtualnie obsadzasz? – Dante sięgnął po ciasteczko i zaczął je chrupać z błogim zadowoleniem na twarzy... – Dobrze. Sama piekłaś?

Sylwia skupiła się maksymalnie, żeby wyjść z tego z twarzą.

– Nie doszliśmy nawet do pierwszego punktu zwrotnego... – dodał Dante z pełnymi ustami.

– Ja właśnie myślę, jak dojść do pierwszego punktu zwrotnego – wypaliła zdesperowana. – Cały czas. Może zrobimy tak, żeby Wendy była początkującą aktorką. I oni mogliby pójść do jej agencji, żeby się czegoś dowiedzieć...

Już kończąc zdanie, żałowała, że bez namysłu złapała pierwszą z brzegu myśl, która znowu była żywcem wyjęta z realnego świata. Chciała się szybko wycofać, ale błysk w oczach reżysera uświadomił jej, że łatwo nie będzie.

– Dobrze! Podoba mi się! – Dante poderwał się z kanapy

i zaczął krążyć niespokojnie po pokoju.

Sylwia jęknęła w myślach.

– Nie, nie, poczekaj... To nie jest dobry pomysł...

– Przestań! – przerwał jej, ale nie było to niegrzeczne, tylko entuzjastyczne. Prawie kipiał od emocji. – Musisz bardziej wierzyć w siebie! Rzucasz fajny pomysł, w sumie prosty, ale perfekcyjny, i zaraz sama go ucinasz? Nie rozumiem tego! Gdzie twoja pewność siebie? Jak ty się uchowałeś w tym basenie pełnym rekinów i piranii, który nazywa się przemysł filmowy? Skoro sama od razu podkładasz im się pod paszcze?

– No cóż...

– Filmy o filmach to strzał w dziesiątkę. *Wszystko o Ewie*, *Operacja Argo*... Murowany Oscar, którego tak przecież cenisz i pewnie pożądasz...

Dante przystanął i oparł się na łokciach o biurko. Był blisko, jak dla niej za blisko, naruszał jej strefę komfortu. Czowała cedrowy zapach jego wody kolońskiej, a jego wielkie oczy ściągały ją niczym dwie czarne gwiazdy, tak masywne, że ich grawitacja zasysała wszystko wokół. Jak się takie obiekty nazywają? Nie gwiazdy chyba... Czarne dziury? Adam na pewno by wiedział.

– Może niech ona będzie astronomem. – Sylwia próbowała jeszcze desperacko. – Wiesz, przełamujmy schematy...

– Astronomem? – Dante z szacunku powstrzymał wybuch śmiechu i starał się spoglądać na Sylwię z życzliwym zainteresowaniem. – Wendy?

– Maria Słodowska-Curie... – zaczęła Sylwia i urwała.

– Nie była astronomem – dokończył Dante. – Wiem, o co ci chodzi, ale zostańmy przy aktorce. To jest świetny pomysł, czuję to. I ty na niego wpadłaś, bądź dumna z siebie. Kobieto!

Dante poderwał się i znów zaczął krążyć po gabinecie. Sylwia też była obdarzona typem kreatywności, która nakręca się w ruchu. Zawsze, kiedy utknęła z pisaniem,

wystarczyło, że poszła na spacer albo do sklepu i pomysły wracały.

– Niech będzie aktorką i oni pójdą do tej agencji... – Dante zaczął snuć historię, jakby był w transie. – Ale oczywiście niczego tam nie załatwią. To byłoby za proste.

Sylwia jęknęła w myślach. Chciała uciec od historii Mandy, a w rezultacie wkopała się w nią jeszcze głębiej.

– To jak z tego wybrnąć? – spytała, skupiając wzrok na ekranie laptopa. – Trzeba posunąć historię choć trochę do przodu. Inaczej widz nam uśnie. Może jednak wymyślimy coś innego.

Dante przerwał obchód, zwałił się na kanapę i znów położył nogi na stoliku.

– Niech się na własną rękę skontaktują z kimś z tej agencji. Z jakąś inną dziewczyną, która marzy o tym, żeby zostać aktorką. Albo z chłopakiem, jeśli wolisz. – Dante mrugnął do niej porozumiewawczo. – Tylko muszą mieć do niego jakieś dojście, żeby się przed nimi otworzył. On im coś podpowie, jeszcze nie wiem co, ale... Zapisuj! To jest dobre... Czyli ta agencja uruchomi dalej akcję, tylko ważne, że nie tak wprost. Rozumiesz?

Sylwia pokiwała głową i uśmiechnęła się słabo. W rzeczywistości była załamana. Dante zaproponował dokładnie to, co sama od kilku minut próbowała skutecznie, przeglądając zdjęcia podopiecznych Glorii Shalko.

3 czerwca, niedziela

Gloria pogoniła Kubę i Dżolantę, ale jej agencja aktorska była jedynym punktem zaczepienia. Adam nie znał przyjaciół ani znajomych Mandy, może zresztą nie miała ich jeszcze zbyt wielu, skoro była przyjezdna. Chloe nie żyła. Nie mieli środków ani możliwości dostępnych policji i śledczym, więc jedyne, co mogli zrobić, to skontaktować się z kimś z grona aspirujących aktorów zarejestrowanych w Gloria Shalko Artists. Może ktoś ją znał, może chodziły razem na castingi... Aktorzy ostro rywalizują, w końcu każdy ciągnie tę samą przykrótką kołdrę, której nie starczy dla wszystkich, ale są też towarzyszami niedoli, więc czasami trzymają sztamę.

Przez cały kolejny dzień Sylwia na własną rękę próbowała znaleźć kontakt do pięknych twarzy z katalogu Glorii. Kilka razy nawet się udało, ale rozmówcy albo tracili zainteresowanie, kiedy okazywało się, że nie dzwoni z propozycją roli, albo nie kojarzyli Mandy. Albo może kojarzyli, tylko nie chcieli się angażować?

Szczyście dopisało dopiero, kiedy trafiła na

Cubę Krasinskiego, lat 31, sześć stóp i cal wzrostu czyli – co przeliczyła – równe metr osiemdziesiąt sześć centymetrów. Kuba sprawdził go na Facebooku. Okazało się, że ma z nim dwójkę wspólnych znajomych, aktorów, którzy w Polsce zagrali niewielkie role w ich serialu.

Cuba Krasinski jeszcze jako Jakub Krasieński skończył Akademię Teatralną w Warszawie. Z chęcią zgodził się spotkać z rodakami, zaproponował tanią restauracyjkę w Korea Town. Nauczeni wcześniejszymi odmowami, nie powiedzieli mu, w jakiej sprawie chcą porozmawiać. Sylwii głupio było tak kombinować, więc na miejscu od razu wyznała, że mają do niego prośbę. Nie wyglądał na zachwyconego.

– Myślałem, że macie dla mnie rolę. – Splótł ręce na piersi i odchylił się na krześle, balansując na granicy wywrócenia się. – Jeszcze nic w tym pieprzonym mieście nie zagrałem...

Kuba próbował zdefiniować coś nieuchwytnego, ale przejmująco smutnego, co emanowało z twarzy, a właściwie całej postaci jego imiennika. Rodzaj przygnębienia, przytłoczenia, ale tak silnego, że momentami ulewało się frustracją i rozdrażnieniem.

Nic dziwnego, że nikt go nie chce w niczym

obsadzić – pomyślał. Odstraszy każdego widza, choć brzydki nie jest.

– No więc po co mnie tu ściągaliście?

Kuba wymienił z siostrą spojrzenia. Sylwia dla odmiany czuła się winna, już otwierała usta, pewnie po to, żeby go przeproszać albo zapewnić, że napiszą mu rolę, co najmniej w trylogii.

– Przykro mi, nie mamy nic dla ciebie – powiedział Kuba. – Ale postawimy ci lunch.

Cuba powiódł po ich twarzach spojrzeniem najpierw pełnym rozczarowania i żalu, a potem wściekłości, po czym wstał od stolika. Przesuwane po kamiennej posadzce metalowe krzesło zgrzytnęło nieprzyjemnie.

– Spadajcie.

Ruszył w stronę przeszklonych drzwi wejściowych. Krzątający się za barem Azjata w średnim wieku rzucił w ich stronę kontrolne spojrzenie.

– Poczekaj! – zawołała Sylwia. – Proszę, porozmawiaj z nami.

Kuba zastanawiał się, po kiego grzyba ten chłopak wyemigrował. Czy był aż tak naiwny, że liczył na karierę w Hollywood? A może aż tak bardzo zdesperowany niepowodzeniami nad Wisłą? I uznał, że jedyną szansą będzie ucieczka z kraju? Trudno było ocenić jego talent aktorski, ale warunki miał niezłe. Mógł

zrobić karierę, tylko że nie w Hollywood, gdzie żadnemu polskiemu aktorowi się to jeszcze nie udało. No, z wyjątkiem Poli Negri, czyli Apolonii Chałupiec, ale w kinie niemy, gdzie akcent nie zdradzał pochodzenia.

Ciemny blondyn, z grzywką spadającą na oczy. Szczupły, wysoki; ciekawa twarz, taka lekko udręczona, męczeńska nawet, do której nie pasowały zmysłowe, pełne usta. Głos silny, dykcja idealna, ale nie przesadna. Jakby zapuścił włosy, spokojnie mógłby zagrać Jezusa w sequelu Pasji Mela Gibsona.

Chyba że jest drewnem, skoro w Polsce też nikt nie chciał go obsadzić – zawyrokował w myślach Kuba. I mógłby co najwyżej zagrać figurę Jezusa w adaptacji ołtarza Wita Stwosza.

– Nie złość się, porozmawiaj z nami – przekonywała Sylwia. – To naprawdę ważna sprawa.

– Niby co? – Cuba stanął niepewnie, ale widać było, że ciekawość zatrzyma go na parę sekund, nie dłużej.

– Znasz ją? – Sylwia wyciągnęła w kierunku aktora komórkę. Na ekranie wyświetlało się selfie, które Mandy zrobiła sobie z Adamem na plaży w Venice, niedługo przed zachodem słońca. Na zdjęciu to ona trzymała komórkę i kokieteryjnie spoglądała w obiektyw aparatu,

drugą ręką przyciągając za szyję Adama.

– Jezu, o co wam chodzi, psychole? – Cuba nawet nie spojrział na telefon Sylwii.

– Znasz czy nie? – Kuba zaczął tracić cierpliwość. Czasami irytację udawało mu się sprzedać jako charyzmę i tym razem też tak to podziałało, bo aktor w końcu rzucił okiem na wyświetlacz.

– Znam. I co? – Wzruszył ramionami i znów ruszył przed siebie.

– Poczekaj! – krzyknął Kuba, a Sylwia w tym czasie grzebała w portfelu, żeby zapłacić za kawę, które zdążyli zamówić. – Musisz nam o niej coś więcej powiedzieć.

– A co będę z tego miał?

– Pomożesz tej dziewczynie – wtrąciła Sylwia, wyciągając kilka banknotów jedno- i pięciodolarowych. – Ona... może ma kłopoty.

– Raczej na pewno...

Cuba urwał, jakby zorientował się, że powiedział za dużo. Leśniewscy wpatrywali się w niego z przejęciem. Kuba miał nadzieję, że są blisko celu, bo Cuba może i był sfrustrowany, może nawet cierpiał na depresję, ale nie sprawiał wrażenia cynika odartego z empatii.

– Z tymi ludźmi lepiej nie zadzierać – rzucił Cuba po chwili milczenia.

Leśniewscy spojrzeli po sobie. Porozumieli się w ułamku sekundy, i to bez słów. Wiedzieli, że

nie mogą odpuścić, bo oto pojawił się nowy trop, na razie bardziej nadzieja na trop, który może doprowadzić ich do zaginionej Mandy.

– Z jakimi ludźmi? – Sylwia starała się, żeby w tonie jej głosu nie zabrzmiała niezdrowa ciekawość, a pełne troski zainteresowanie.

– Cześć! – Aktor znów podjął próbę rejterady, ale w jego tonie zabrakło przekonania.

– Posłuchaj, drogi imienniku. Nie możemy ci wprawdzie obiecać konkretnej roli, ale przynajmniej jesteśmy uczciwi, nie będziemy cię mamić. – Kuba umiał licytować, nawet kiedy miał słabą kartę. – Z drugiej strony, jesteśmy tu, w Hollywood, i mamy kontrakt na dwa filmy z Douglasem Claytonem. DoDo Pictures, mówi ci to coś? W Polsce, jak wiesz, mamy serial, który stworzyliśmy własnymi rękami...

Cuba zrobił obojętną minę, ale Kuba wiedział, choć nigdy nie parał się wędkarstwem, że wygłodniała rybka połknie i goły haczyk.

Wrócili do stolika, a aktor zaczął swoją opowieść. Najpierw jednak zamówił stek *medium rare*, jeszcze raz upewniwszy się, że Leśniewscy mu go postawią.

Okazało się, że Gloria Shalko Artists, wbrew szumnej nazwie, jest bardziej agencją hostess, kelnerów i statystów niż aktorów. Jej podopieczni zarabiają grosze, obsługując

impresy, których w Hollywood nie brakuje. I czekają, cierpliwie znosząc niedostatek, częste rozczarowania, a nawet upokorzenia. Kurczowo uczepieni nadziei, liczą, że los w końcu się do nich uśmiechnie i któregoś dnia ten cholerny telefon zadzwoni, a po drugiej stronie słuchawki odezwie się Steven Spielberg.

– To stąd kojarzysz Mandy? Prowadziliście razem promocję w supermarkecie? Sześciopak srajtaśmy czy coś?

– Kuba... – Sylwia nie lubiła strofować brata, ale czasami tak boleśnie brakowało mu taktu, że nie mogła się powstrzymać.

– Kojarzę ją... – Smutna twarz Cuby stała się jeszcze smutniejsza, ale powoli napełniający się brzuch sprawił, że chłopak nie miał już w sobie tej agresywnej złości co wcześniej, a raczej łagodną rezygnację. – Nie pamiętałem nawet, jak miała na imię, ale kojarzę.

– No a co to była za impreza? I jak dawno temu?

– Mogę zamówić jeszcze deser? – spytał aktor.

Sylwia kiwnęła głową i spróbowała uśmiechnąć się ciepło. Tak naprawdę poczuła ukłucie w sercu. Zrobiło się jej żal Cuby, kiedy patrzyła, jak łapczywie wcina stek.

– Widywaliśmy się raz, dwa razy w miesiącu. Na takich... zamkniętych eventach. Ale nic

więcej nie mogę wam powiedzieć.

– Posłuchaj, to naprawdę ważne...

– Nie!

Jakaś głucha determinacja w głosie Cuby Krasinskiego, coś, co zabrzmiało jak strach, kazała Sylwii i Kubie przypuszczać, że tym razem nie złamią oporu aktora, nawet gdyby obiecali mu dożywotnio rolę Jamesa Bonda.

czzerwca, środa

Po podpisaniu umowy z Douglasem Sylwia i Kuba nie wrócili już do hotelu. Na czas pisania scenariuszy zostali zakwaterowani w prześlicznym parterowym domu z basenem w West Hollywood. Zachodzili w głowę, jak dalece rozgałęzione są biznesy ich producenta. Czy po sukcesach w branży informatycznej i filmowej próbuje swych sił, również inwestując w nieruchomości? Potem okazało się, że ich bungalow został wynajęty na pół roku, bo w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu będzie tu kręcony film, komedia romantyczna produkowana przez DoDo Pictures. Zamieszka w nim główna bohaterka, typowa dziewczyna z sąsiedztwa.

Jak na polskie standardy, lokalizacja była na poziomie klasy wyższej. Dom robił niezwykle wrażenie dzięki przeszklonej werandzie z przodu i basenowi na tyłach. Posesja była oddzielona od ulicy i sąsiadów starannie przystrzyżonym żywopłotem, gęstym i wysokim na co najmniej cztery metry. Kuba wprawdzie narzekał, że musi mieszkać z siostrą, co nie zdarzyło mu się od czasów licealnych, ale wewnątrz parterowego domu było na tyle

przestronne, że rodzeństwo nie wchodziło sobie w paradę. Każde miało osobną sypialnię i łazienkę, wspólne były salon wielkości kortu tenisowego oraz otwarta kuchnia, umeblowana i wyposażona w stylu retro, w której Sylwia upiekła owsiane ciasteczka na dobry początek współpracy z Dantem.

Przez kilka kolejnych dni Leśniewscy śnili swój amerykański sen. Wiedli życie hollywoodzkich scenarzystów, a każde skupiało się na swoim projekcie. Spotykali się na lunchach z Adamem, na co nalegała Sylwia, a kiedy indziej z Dżolantą, na co nalegała Dżolanta. Dante zabrał ich na wycieczkę na wzgórze Hollywood oraz do parku i obserwatorium astronomicznego Griffith. Pogoda umiarkowanie dopisywała. Prawie codziennie zdarzały się poranne i przedpołudniowe mgły, ale jeśli padał deszcz, to jedynie przelotny.

Jedynym godnym uwagi zdarzeniem był powrót do Los Angeles Flavii Alvarez. Pewnego dnia zadzwoniła ona do Kuby i zaproponowała, żeby spotkali się, by omówić współpracę.

Kiedy pojechał w umówione miejsce i wszedł do kawiarni Coffee Commissary w Hollywood, bardzo się zdziwił, bo podeszła do niego długonoga blondynka. „Taka dzaga, że bym ją przeleciał, gdybym był hetero”, jak chwilę

później relacjonował siostrze, dzwoniąc z łazienki.

– Od razu wiedziałem, że to nie może być jego rodzina – ekscytował się. – Zero podobieństwa. Przecież on wygląda jakby był wnukiem Berlusconiego, a ona... Jakby jej matką była co najmniej Sharon Stone...

– Ale co z tego, że jest blondynką? Może się ufarbowała.

– Co ty myślisz, że ja farbowanej blondynki nie poznam? Shakira... – zaczął wyliczać.

– Chyba jest możliwe, żeby jedno dziecko było brunetem, a drugie miało jasne włosy... – Sylwia weszła mu w słowo.

– Nie chodzi tylko o kolor włosów. Ani o wzrost, a ona jest o dobre pół głowy wyższa od niego! To nie jest rodzeństwo, mówię ci! Dobra, idę zrobić śledztwo.

Okazało się, że Kuba ma rację. Flavia Alvarez nie była siostrą Dantego, a jego... żoną. Byłą albo prawie byłą, bo rozwód jeszcze nie został orzeczony. Oprócz wspólnego nazwiska Leśniewskich zmylił też fakt, że oboje mieli włosko brzmiące imiona, ale to akurat okazało się zbiegiem okoliczności, nawet niespecjalnie zaskakującym w tak wielkim tyglu kulturowym, jakim jest Los Angeles.

– A co, zazdrosna jesteś? – spytał lekkim tonem Dante, kiedy Sylwia wspomniała mu

o Flavii.

Jak co dzień, wracali po pracy limuzyną. Pierwsza wysiadła Sylwia. Dante również mieszkał w domu wynajmowanym przez DoDo Pictures, ale kawałek dalej, bo w Malibu.

– Raczej ciekawa – odpowiedziała Sylwia. – Ani słowem się nie zająknąłeś, że to twoja żona.

– O wielu sprawach się nie zająknąłem. – Wzruszył ramionami.

– Na przykład?

– Na przykład o tym, że nie umiem pływać. Że miałem brata, który zginął. Że w młodości byłem w gangu...

Sylwia nie miała pojęcia, czy Dante zgrywa się, czy mówi prawdę. Chyba jednak to drugie, bo mimowolnie przygryzł górną wargę i rzucił jej niepewne spojrzenie.

– Z Flavią, można powiedzieć... rozstaliśmy się w przyjaźni, ale definitywnie – reżyser westchnął ciężko i popatrzył w przestrzeń. – Musimy o tym rozmawiać?

Sylwia pokręciła głową. I tak nie zamierzała kontynuować tematu, bo nie lubiła być wścibska. Myślała, że brat wyciągnie więcej od Flavii, ale nie miała okazji go o to zapytać, bo Kuba wrócił wieczorem w towarzystwie niespodziewanego gościa.

25

– No nie, to brzmi jak... – powiedziała Sylwia, patrząc w zamyśleniu na rozsunięte drzwi tarasu. – Jak jakaś kiepska parodia Kubricka.

– W sensie *Odyseja kosmiczna*? Kosmos? Odłot? – Brat w tym czasie sprawdzał coś w komórce.

– Nie, chodziło mi o ten thriller... *Oczy szeroko zamknięte*. Tam też była taka dziwna i tajna impreza, coś jakby łoża masońska...

Leśniewscy trawili właśnie rewelacje usłyszane od Cuby Krasinskiego. Mogli swobodnie wymienić kilka zdań, bo gość wszedł przez przeszklone drzwi do domu, żeby skorzystać z łazienki.

Od ich pierwszego spotkania minęło kilka dni. Jak to często w życiu bywa, najlepszą strategią okazało się „nie naciskać”. Aktor w końcu sam się do nich odezwał. Kuba zgarnął go limuzyną, którą wracał do domu po spotkaniu z Flawią.

Kiedy przyjechali do bungalowu, Cuba najpierw z podziwem go oglądał, potem długo krążył wokół tematu, urywał, zawieszał się, ale w końcu wydusił z siebie więcej szczegółów na temat tajemniczych – jak to określał – eventów, przy których on i Mandy pracowali. Z jego słów wynikało, że były to imprezy dla wysoko postawionych gości, które aktorzy z agencji Gloria Shalko Artists obsługiwali jako hostessy i kelnerzy. Tam właśnie Cuba widywał Mandy, kilka razy zamienili nawet parę słów. Nic konkretnego, zapamiętał właściwie tylko jedno – zgadali się, że oboje są

cudzoziemcami, którzy niedawno przyjechali do Los Angeles.

– Skąd ona była? – spytała Sylwia. – Z jakiego kraju?

– Nie wiem. – Cuba wzruszył ramionami. – Myślałem, że z Kanady, ale rozmawialiśmy dosłownie parę razy po dwie minuty. Za bardzo nam nie pozwalali... Poza tym to był regularny zapieprz: przynieś, podaj, pozamiataj.

Kubie wydawało się, że Cuba czuje się w Los Angeles bardzo samotny i że dlatego przełamał się i postanowił się z nimi spotkać, wkupić w ich łaski za cenę garści informacji. A może gryzło go sumienie i chciał je uspokoić, dzieląc się z nimi tą odrobiną wiedzy, którą posiadał na temat zaginionej?

Leśniewski miał dość przyziemny ogląd świata. Z doświadczenia wiedział, że większość interakcji międzyludzkich odbywa się na zasadzie barteru. Ja tobie, jak ty mi coś w zamian. Tego smutnego przystojniaka, który początkowo nie chciał im niczego powiedzieć, do zmiany zdania też pewnie skłoniła jakaś wymierna korzyść.

Może przemyślał wszystko i uznał, że szansa na jakąkolwiek rolę, nawet w przyszłości, przebija strach? Albo znowu przymierał głodem i liczył na kolejnego steka *medium rare*?

W oczekiwaniu na powrót Cuby z łazienki Sylwia wstała i schyliła się po stojący na stoliku dzbanek. Ruszyła w stronę kuchni, żeby ponownie napełnić go wodą z lodem i dorzucić kilka listków świeżej mięty, którą kupiła w supermarkecie Bristol Farms.

Kuba trzymał za nóżkę kieliszek schłodzonego białego wina. Na zewnętrznych ściankach skropliła się rosa. Wodząc wzrokiem po błękitnym niebie, po ogrodzie obramowanym żywopłotem i po basenie, poczuł spokój, a nawet zadowolenie. Czyżby był szczęśliwy? Nie pamiętał, kiedy ostatni raz mu się to zdarzyło.

Współpraca ruszyła dziś z kopyta i wyglądało na to, że

remake ich *Spisku scenarzystów* powstanie bezproblemowo. Oscar znów był w zasięgu ręki, a Flavia okazała się w porządku.

Równa laska – pomyślał Kuba, dopijając wino. Ciekawe, dlaczego się rozeszli?

Na początek wymyślili angielski tytuł, no dobrze – Flavia wymyśliła, bo była *native speakerką*: *The Plotters*. Dosłownie tłumaczy się to jako „Spiskowcy”, ale ponieważ słowo „*plot*” oznacza również „wątek” w sensie element fabuły, pasowało jak ulał.

Tak. Wszystko zaplatało się naprawdę nieźle. Z wyjątkiem śledztwa.

Wczesnie rano, jeszcze przed zajęciami w podgrupach, Leśniewscy w towarzystwie Adama Yoshidy kolejny raz odwiedzili komisariat policji. Claire miała im do przekazania dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra była taka, że udało się coś ustalić. Funkcjonariusze dotarli do organizatorów kursu aktorskiego w Fame Actors' Studio, który odbywał się w lutym i marcu. Potwierdzili, że zarówno Mandy, jak i Chloe brały w nim udział. Choć ta pierwsza zapisała się jako Margot Horowitz, to prowadzący kurs rozpoznali ją na zdjęciu. Zeznali, że Mandy, podobnie jak Chloe, była cudzoziemką. Co zresztą powiedział im Cuba.

Zła wiadomość była taka, że to jeszcze bardziej komplikowało rozwiązanie zagadki jej zaginięcia. Nie chodziło o to, że policjanci będą mieli mniej serca dla ratowania nie-Amerykanki. Po prostu trudniej będzie ustalić jej prawdziwą tożsamość. Nawet założywszy, że angielski był językiem ojczystym Mandy, konia z rzędem temu, kto ustali, czy była Angielką, czy Australijką, czy może Kanadyjką? A może przyjechała z RPA? Lub Nowej Zelandii? Niestety, Imperium Brytyjskie, nad którym swego czasu nie zachodziło słońce, wiele lat po tym, jak przestało istnieć, mogło skutecznie utrudniać odnalezienie zaginionej.

Kubę dziwiło trochę, że Adam nie wie, skąd pochodziła jego dziewczyna. Znali się dobrych kilka miesięcy i nigdy nie rozmawiali na ten temat? Sylwia też wyczuła w tym jakiś fałsz. Adam bronił się, tłumacząc, że Mandy opowiadała mu o swoim dzieciństwie. I wiedział, że dużo podróżowała po świecie, w przeciwieństwie do niego, który nigdy jeszcze nie wyjechał poza USA. Ale był przekonany, że jest Amerykanką.

Może za taką chciała uchodzić, bo podobnie jak Chloe nielegalnie przedłużyła studencką wizę? Może bała się przyznać? Również po akcencie Adam nie był w stanie poznać kraju jej pochodzenia. Twierdził, że w ogóle nie brzmiał on dla niego obco. Ale znów – to normalne, że aktorka, która marzy o karierze w Hollywood, będzie próbowała pozbyć się akcentu. Polce czy Polakowi to się nie uda, ale komuś, dla kogo angielski jest językiem ojczystym, już tak. Australijki – Nicole Kidman czy Toni Colette – bez problemu potrafią grać Amerykanki, urodzona w Teksasie Renée Zellweger zagrała Angielkę Bridget Jones, i tak dalej.

Kiedy Cuba wrócił z łazienki, Kuba wyczuł subtelną zmianę w jego zachowaniu i ruchach, które stały się odrobinę mniej zborne, ale jednocześnie zwawsze. Zmartwił się, bo nie trudno było zgadnąć, że facet odurzył się czymś przed chwilą. I to zapewne nie pierwszy raz tego popołudnia.

Czyli to stąd wzięła się jego otwartość i gotowość do relacjonowania sekretów, których jeszcze kilka dni wcześniej nie zamierzał wyjawiać, choćby go mieli na pal nabijać? Żeby im tu jeszcze nie wykitował. Albo nie narzygał do basenu.

Siostra, choć też była uważną obserwatorką, chyba się nie zorientowała. Cuba dobrze się maskował, cały czas miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale przed Kubą nic się nie ukryło. Nawet neutrina by wyłapał i bozon Higgsa.

– Ja pierdołę, ale wam się pofarcilo z tym domem! – rzucił Cuba rozentuzjasmowanym głosem. – Szczęściarze...

Zzuł japonki i siadł na krawędzi basenu. Podciągnął

nogawki granatowych spodni, ale były tak obcisłe, że nie dał rady przebić się z nimi powyżej kolan. Przez chwilę się mocował, aż w końcu wstał, szybko ściągnął koszulkę, spodnie, po czym skoczył na główkę.

Leśniewscy wymienili zdziwione spojrzenia, bo ich gość nie miał na sobie bielizny. Kuba pokazał siostrze na migi, że jego zdaniem Cuba coś wciągnął. Ale Sylwia nie zrozumiała i podała mu chusteczkę, myśląc, że brat pociąga nosem, bo ma katar. Kuba przewrócił oczami i popukał się w czoło, co już kompletnie ją zdezorientowało.

Basen nie miał nawet piętnastu metrów długości. Aktor niezdarnie dopłynął do przeciwległej krawędzi, zawrócił i wygramolił się na brzeg.

Przez chwilę leżał na plecach, używając w charakterze listka figowego splecionych dłoni. Jego szczupły i wyrzeźbiony brzuch pracował miarowo. Po chwili, krzywiąc się, Cuba jedną ręką przesłonił oczy od słońca. Jakby zdziwiony brakiem okularów, usiadł i zaczął się rozglądać.

– Tam są – powiedziała Sylwia, pokazując na basen.

Rzeczywiście, okulary leżały na dnie. Cuba jęknął i znów położył się na plecach. Sylwia weszła do bungalowu i wróciła po chwili ze złożonym w kosteczkę oślepiająco białym ręcznikiem. Co trzy dni przychodziła do nich rozgadana latynoska sprzątaczką. Prawie jak w hotelu.

– Dzięki. – Cuba wziął od Sylwii ręcznik i... podłożył go sobie pod głowę.

Kuba odruchowo przewrócił oczami. To epatowanie nagością zaczynało go irytować. Aktor mógł się poszczycić wyrzeźbioną sylwetką, choć nad masą mięśniową mógłby jeszcze popracować, ale Kubie nie wydawał się atrakcyjny. Żeby wzbudzić jego zainteresowanie, trzeba było przede wszystkim zainteresować się nim. Nic tak nie podnieca osobowości narcystycznej, jak dowartościowanie. I to najlepiej autentyczne, a nie indukowane alkoholem,

narkotykami albo chęcią załatwienia sobie roli.

– Dostałem zaproszenie. Ta... – Cuba szukał przez chwilę słowa. – Impreza... Ma się odbyć dziś w nocy.

– Zaproszenie? – Kuba zerknął porozumiewawczo na siostrę.

– Znaczący... Przepustkę. Bardzo się pilnują. I goście, i obsługa zawsze wchodzi na specjalne przepustki. Nikt postronny tam się nie prześliznie, nie ma opcji.

– Myślisz, że Mandy tam będzie?

– Ostatnio była.

Sylwia policzyła szybko w myślach, że jeśli poprzednią imprezę zorganizowano dwa tygodnie temu, to było to jeszcze przed zniknięciem Mandy.

– A jeśli się nie pojawi... Spróbujesz się czegoś dowiedzieć? Popytać? – poprosiła.

– Nie ma mowy. Nie będę ryzykował. Kogo zresztą miałbym popytać?

– A pokażesz nam tę przepustkę? – wtrącił się Kuba.

Cuba podniósł się, ale po to, żeby znów skoczyć do basenu. Wyłowił okulary, wygramolił się, wytarł ręcznikiem, który następnie owinął wokół kościstych bioder. Leśniewscy mieli wrażenie, że ich olewa, ale było to tylko granie na zwłokę.

W końcu sięgnął po spodnie. Wygrzebał z kieszeni niewielki przedmiot i rzucił go na stolik, na którym stał dzbanek z wodą, szklanki, miseczka z pistacjami i pucharki po lodach, które zjedli wcześniej. Przedmiot nieprzyjemnie zadźwięczał w zderzeniu ze szklanym blatem.

Sylwia i Kuba pochylili się nad stolikiem. Przed oczami mieli zdobiony metalowy krzyż, tak zwany grecki – o równych ramionach.

– To trzeba będzie okazać na wejściu. I oddać – wyjaśnił Cuba. – Przysłali mi dziś kurierem.

– Naprawdę jakaś grubsza sprawa. – Kuba podniósł krzyż i przyglądał mu się z bliska. – Powinniśmy tam pojechać...

– Chyba jednak za wysokie progi jak na nasze nogi... – powiedziała Sylwia.

– A ja bym się tak łatwo nie poddawał – odparł spokojnym głosem jej brat.

26

DoDo Pictures nie dorobiło się jeszcze własnych hal zdjęciowych. Ich budowa trwała na terenie przejętym po jednej z upadłych wytwórni. Tymczasowo studia wraz z całą infrastrukturą zostały wydzierżawione na obrzeżach dzielnicy Echo Park. Leśniewscy pędzili tam limuzyną prowadzoną przez Fausta, który od czasu kiedy odebrał ich po przylocie do Los Angeles, już trzeci raz zmienił fryzurę. Nie był tlenionym blondynem (jak na początku) ani brudnym blondynem (jak tydzień później). Właściwie czym był teraz, mogło się okazać dopiero za jakiś czas, bo ściał zniszczone farbowaniem włosy niemal do zera.

– Nie da się szybciej? – poganiał go Kuba.

– Da się. – Fausto rzucił mu przekorne spojrzenie. – Tylko kto za to zapłaci? Jak mi przywałą mandat...

Czas nie działał na ich korzyść, a Kuba był wielce podekscytowany swoim planem. W tandemie Leśniewskich to on sływał z bezkompromisowych i nierzadko szalonych pomysłów, Sylwia była hamulcowym. Choć sama pewnie określiłaby się jako głos rozsądku, a brata opisała jako wariata.

Kiedy kilkanaście minut wcześniej Cuba oprócz swojej golizny pokazał im krzyż grecki, Kuba poobracał metalowy przedmiot w rękach, po czym sięgnął po komórkę i obfotografował go z każdej strony. Szybko jednak zrozumiał, że zdjęcia może i wiernie odwzorują szczegóły wygrawerowanych wzorków, kształt, a nawet wielkość

artefaktu, ale nie da się utrwalić na nich dokładnego odcienia metalu czy faktury, nie mówiąc już o ciężarze.

W pierwszym odruchu chciał się poddać i nie ryzykować. Zwłaszcza że alternatywą dla potencjalnie niebezpiecznego śledztwa było wieczorne leniuchowanie z kieliszkiem wina na leżaku przy basenie, po całym dniu ciężkiej pracy... Może nawet jakąś randkę dałoby się w końcu zaaranżować... Ale Kuba miał tę przydatną w świecie filmowym cechę, jaką jest determinacja. Jeśli wziął się na coś, niełatwo było mu to wybić z głowy. Im większe trudności piętrzyły się po drodze, tym bardziej fiksował się na celu.

– Mógłbyś nam pożyczyć ten krzyżyk? – Kuba spytał aktora, który w międzyczasie zaczął się w końcu ubierać.

– Ja go przecież potrzebuję – zaprotestował Cuba. – Nie wpuszczą mnie tam do roboty.

– Chociaż na parę godzin.

– Ale ten event zaczyna się już za parę godzin... O dwudziestej muszę tam być. Która jest?

W końcu Cuba zgodził się udostępnić im krzyż pod warunkiem, że zwrócą go przed wieczorem. Od razu wezwali auto i dziesięć minut później byli już w drodze do hali zdjęciowej.

Sylwia szybko domyśliła się, co planuje brat. Zdaniem Kuby pewnie żałowała, że sama na to nie wpadła, bo tradycyjnie zaczęła rzucać mu kłody pod nogi.

– Czyli chcesz włamać się na imprezę hollywoodzkiej masonerii, czy tam innego klubu Bilderberg... – powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nie uważasz, że to trochę niebezpieczne? Po tym, co się stało z Chloe?

– Po pierwsze, bidula Chloe naprawdę mogła wykitować od tej świeczki zapachowej. Zawsze byłem zdania, że maskowanie problemu nie jest dobrym wyjściem. Jak ci śmierdzi w domu, to posprzątaj. Ale nawet jeśli ktoś jej pomógł przenieść się na tamten świat, nie wiemy, czy to ma

coś wspólnego z tymi imprezami... – Kuba nadrabiał miną, choć po głowie chodziły mu te same wątpliwości, które wypowiedziała na głos siostra. – Poza tym nie chcę włamywać się na krzywy ryj...

– Wiem, co chcesz zrobić, ale...

– Po trzecie, czy też po czwarte... Jeśli tam wchodzą anonimowi pracownicy Glorii, kelnerzy, hostessy, nositorby albo inne pariasy, i to za okazaniem tej dziwnej przepustki, to jakoś mam wrażenie, że nikt nie będzie tam stał z listą obecności w ręku. Przemycimy się w tłumie. Oni na pewno zabezpieczają się przed nieproszonymi gośćmi w ten sposób, że przysyłają na ostatnią chwilę takie gadżety, których nie da się prosto podrobić. Na tym to polega. Ale my mamy na nasze skinienie profesjonalnych rekwizytorów wielkiego hollywoodzkiego producenta. Genialny miałem pomysł, musisz przyznać...

– Naprawdę nie pamiętasz tego filmu Kubricka? Tom Cruise też myślał, że przeniknie, że nikt go nie zauważy... A sam widziałeś, jak to się skończyło...

– Silwano, no nie rozśmieszaj mnie, to był film... Wiadomo, że tam pewne rzeczy są, hmm, udramatyzowane. W prawdziwym życiu co najwyżej nas nie wpuszczą. Albo wyproszą... Na wszelki wypadek powiemy im, że zdeponowaliśmy kopertę w redakcji „New York Timesa”, i jak nie wrócimy do rana, to cały kraj się dowie. Albo „The Washington Post”. Co ma większy nakład?

– Ale co się tak przyssałeś do tej imprezy? Przekażmy ten trop Claire... – Sylwia zamyśliła się na chwilę, wyglądając przez boczną szybę samochodu. – Tak coś czuję, że lepiej nie ryzykować.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana, że ci przypomnę ulubione powiedzonko wujka Teodora...

– Który wpadł pod samochód, przechodząc na czerwonym – weszła mu w słowo.

Ale były to z jej strony już tylko erystyczne wygibasy. Wiedziała, że nie przekona brata.

W hali zdjęciowej uwijało się kilkadziesiąt osób. Trwała budowa dekoracji do tej samej komedii romantycznej, która miała być kręcona w ich bungalowie. Scenariusz napisała Flavia i chyba zabiegała u Douglasa, żeby był to jej debiut reżyserski. Film miał roboczy tytuł *I Love Buddha* i opowiadał o spotkaniu buddyjskiego mnicha z rozgadaną i rozkapryszoną Amerykanką, która postanawia zmienić swoje życie (bungalow Leśniewskich) i szukać recepty na szczęście w Tybecie. Ponieważ zdjęcia w prawdziwym klasztorze nie wchodziły w grę, w hali budowano replikę jego wnętrza. Sylwia już jakiś czas temu poprosiła o egzemplarz scenariusza, ale z tego wszystkiego nie miała jeszcze okazji do niego zajrzeć, żeby sprawdzić, czy na końcu bohaterka i buddyjski mnich będą parą. Miała nadzieję, że nie, nawet jeśli to komedia romantyczna.

Do hali zdjęciowej przylegał niewielki trzypiętrowy budynek, w którym mieściła się produkcja filmu. Biura, garderoby, charakteryzatornia i tak dalej. Leśniewscy odnaleźli drzwi z tabliczką „*production design*” oznaczającą scenografię, a w nim szefową, Karen Hudson, którą kojarzyli z imprezy na jachcie. Wysoka, żyłasto-koścista pięćdziesięciolatka miała w sobie artystyczny sznyt. Trzymała się nieźle, wyprostowana jak struna. Nosiła białą koszulę bez rękawów, za to z efektownym żabotem, i wąskie spodnie z lejącego się złocistego materiału. Do tego usta pomalowane mocną szminką o odważnym odcieniu czerwieni, miedziane włosy przylizane jak w dwudziestoleciu międzywojennym i wielkie złote kółka w uszach, które prawie opierały się o odsłonięte ramiona.

Wysłuchawszy ich prośby, Karen bez mrugnięcia okiem skierowała ich do jednego z rekwizytorów, który miał swoją pracownię na antresoli hali zdjęciowej.

Czasu do wieczornej imprezy było coraz mniej, ale musieli uzbroić się w cierpliwość. I tak mieli szczęście, że rekwizytor zgodził się od ręki zrobić dla nich dwie kopie metalowego krzyża.

– Jednak pozycja scenarzystów w Hollywood to nie to samo co w Polsce – zauważył z rozmarzeniem Kuba, kiedy schodzili po metalowych schodkach z antresoli.

– Myślisz? Jak byśmy poprosili pana Krzysia...

– To by nam powiedział „spierdalajcie” – brat wszedł jej w słowo, przedrzeźniając uduchowionego scenografa ich serialu. – „Ja własnymi rękami budowałem Koloseum dla Kawalerowicza, w którym chrześcijan rzucono lwom na pożarcie. Zbijałem klęcznik dla Adamczyka, który został papieżem...”.

W restauracji, a raczej stołówce, która znajdowała się na tyłach hali, wpadli na Lao Pam. Tybetańska żona Douglasa, jak nietrudno się domyślić, była jednym z producentów *I Love Buddha*. Może nawet jego pomysłodawczynią. Jeszcze w Polsce, kiedy Leśniewscy próbowali sprawdzić, czy zaproszenie do Hollywood nie jest podpuchą, zrobili mały research na temat Douglasa, z którego wynikało między innymi, że wraz z żoną angażują się w działania na rzecz wolnego Tybetu, zajmują się też propagowaniem jego historii i dziedzictwa kulturowego.

Lao ucieszyła się na widok Leśniewskich i zaprosiła ich do stolika, przy którym siedziała w towarzystwie syna Douglasa, Flavii, a także swojego asystenta albo bodyguarda – Azjaty o surowym, a jednocześnie nieodgadnionym wyrazie twarzy, którego kojarzyli z lotniska.

Douglas Junior obrzucił Leśniewskich niechętnym spojrzeniem. Pewnie nie mógł przeboleć faktu, że ojciec cofnął jego decyzję i podpisał umowę z dwójką Polaków. Jak się okazało, był producentem wykonawczym *I Love Buddha*, co nieco wbrew nazwie oznaczało, że nie wykonywał żadnej

konkretnej pracy, a jedynie ją nadzorował. Idealna fucha dla kogoś, kto chce poczuć się ważny, a nie lubi się przemęczać.

Flavię, która była wyczekiwana w Los Angeles niemal jak rewizor u Czechowa, Sylwia widziała pierwszy raz. Starła się nie gapić na byłą żonę Dantego, ale trudno jej było pohamować ciekawość. Kuba miał rację. Flavia była bardzo atrakcyjną kobietą, w typie szwedzkiej arystokratki. Pewną siebie, ale z klasą. Rzuciła Sylwii uprzejme, powściągliwe spojrzenie.

Junior szybko dopił kawę, zebrał jakieś papiery i ponaglił dyskretnym spojrzeniem Flavię. Oboje zmyli się, a Sylwia dostrzegła swoim czujnym okiem, że tych dwoje coś chyba łączy. Jednocześnie wyczuła chłód między Juniorem a jego macochą, ale może sugerowała się tym, co wcześniej usłyszała na ich temat.

– Jesteście głodni? – uśmiechnęła się Lao, wyrywając Sylwię z zamyślenia.

Leśniewscy dali się skusić na wczesną kolację, podczas której kurtuazyjnie wypytywali żonę Douglasa o I Love Buddha. Zza ściany co chwila dochodził przytłumiony dźwięk wiercenia albo cięcia drewna.

Rekwizytor zaskoczył ich, bo dopiero kiedy zabierali się za deser i kawę, pojawił się w restauracji i z dumą położył przed nimi oryginalny krzyż i dwie repliki. Były nie do odróżnienia.

– O... – zaciekawiała się Lao, odstawiając filiżankę. – Po co wam te krzyże?

Pokrótkie opowiedzieli jej swój plan. Zaczynając od początku, to znaczy od zaginięcia Mandy. Lao wyglądała na mocno poruszoną.

– Zaginęła dziewczyna Adama Yoshidy? – powiedziała, sięgając po filiżankę, ale zaraz zorientowała się, że jest już pusta, więc odstawiała ją z powrotem. – Nie miałam pojęcia, że on ma dziewczynę.

– Też myślę, że wszystko wyjaśni się tak, że ona nie istnieje

– próbował żartować Kuba, ale Sylwia zgasiła go spojrzeniem.

– A policja nie może jej znaleźć?

Poszerzyli wyjaśnienia o relację z niezbyt energicznych starań śledczych.

– No tak... Wiem coś o tym. Dwa lata temu okradli nasz dom na Florydzie... – Lao machnęła lekceważąco ręką. – Może porozmawiam z Douglasem... Żeby wynająć kogoś prywatnie. To znaczy – dodała szybko – niczego wam nie ujmując. To ładnie z waszej strony, że chcecie pomóc...

– Jesteśmy znani z tego – powiedział Kuba, wypinając dumnie pierś – że rozwiązujemy beznadziejne sprawy, z którymi policja sobie nie radzi.

– Nie wątpię – rzuciła Lao, obracając w rękach jeden z krzyży. – Ale obawiam się, że na tych podróbkach daleko nie zajedziecie.

Leśniewscy wymienili zaskoczone spojrzenia.

Lao odłożyła krzyż na stolik i zakręciła nim niczym bączkiem. Nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Przedmiot wykonał kilkanaście szybkich obrotów i znieruchomiał. Sytuacja powtórzyła się z drugim dorobionym krzyżem. Ale kiedy Lao zakręciła trzecim, oryginalnym, pożyczonym od Cuby, usłyszeli wyraźne, suche kliknięcie. Siła odśrodkowa rozszczepiła ukryty mechanizm spajający belki krzyża. Kiedy gadżet znieruchomiał, Lao bez trudu rozłożyła go na dwie części. Rekwizytor nie miał pojęcia o ukrytym mechanizmie, więc jego repliki były odlane z jednego kawałka metalu.

– Oż w mordę... – Zaskoczony Kuba wziął do ręki obie belki. Złożył je. Rozległo się kliknięcie i zapadka znów połączyła je w całość. Leśniewski zakręcił krzyżem i ponownie bez najmniejszego trudu je rozdzielił.

– Jakie sprytne cacuszko! – zachwycił się.

Lao wzięła od niego krzyż i pokazała Leśniewskim, że na jednej z belek, w miejscu, które jeszcze przed chwilą było przykryte drugą, jest wygrawerowana niewielka inskrypcja.

Ab oriente lux

– Wow! – podekscytowany Kuba zdjął bejsbolówkę i przeczesał przyklapnięte włosy, po czym uśmiechnął się łobuzersko do Lao. – Należysz do tego spisku?

27

Lao nie wyglądała na zbitą z tropu. Odwzajemniła uśmiech, ale był on z gatunku tych smutnych.

– W obozie dla uchodźców w Pokhara w Nepalu... Przebywałam tam jako dziecko... Takie łamigłówki były właściwie naszą jedyną rozrywką. Próbowałam rozmontować coś takiego przez godzinę, a przychodził mój starszy brat i robił to jednym ruchem...

Żona Douglasa urwała, po czym westchnęła głęboko i uciekła wzrokiem gdzieś w bok. Widać było, że dogoniły ją wspomnienia, niekoniecznie przyjemne.

– No dobrze, ale skąd wiedziałaś, że ten akurat krzyż jest taką łamigłówką? – Kuba nie dawał za wygraną.

– To proste. – Lao wzruszyła ramionami. – Dostaliśmy z Douglasem zaproszenia na ten event. Zazwyczaj je dostajemy.

– Takie krzyże? – spytał zaskoczony Kuba.

Lao pokiwała głową i uśmiechnęła się lekceważąco.

– Pierwszy raz nawet poszliśmy. Kilka miesięcy temu. Myślę, że większość osób, które coś znaczą w Hollywood, dostaje te zaproszenia.

– Ale co to za impreza? – spytała Sylwia. – Od kilku dni próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej...

Żona Douglasa ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem tak naprawdę. Dość szybko wyszliśmy. To było... – szukała słowa. – Dziwne. I zupełnie nie w naszym stylu. Moim zdaniem to jakaś ściema. Niegroźna, ale ściema.

Tylko tyle mogę wam powiedzieć.

Lao użyła przymiotnika „*bogus*”, którego Sylwia nie знаła. Szybko sprawdziła je w słowniku angielsko-polskim, który przed wyjazdem do Kalifornii zainstalowała w komórce.

„Falszywy, podrabiany, zmyślony, fikcyjny, udawany” – przeczytała na ekranie.

Kuba w tym czasie wrzucił w wyszukiwarkę łacińską maksymę „*Ab oriente lux*”. Tłumaczono ją jako „światło ze wschodu”, pojawiała się na stronach opisujących jakieś grupy okultystyczne.

– Co to jest? – dopytywał. – Co tam się dzieje? To jakaś loża masońska? „Światło ze wschodu”? Co to znaczy? Że nadejdzie ze wschodu? Jakies przebudzenie?

– Moim zdaniem tu chodzi o to, że bogaci ludzie Zachodu nudzą się i szukają wrażeń. – Lao rozłożyła ręce. – Ale jeśli uważacie, że ta dziewczyna, której szukacie, ma z tym coś wspólnego, może powinniście tam pójść... Rzeczywiście tam było dość dziwne towarzystwo. No i wszyscy zamaskowani. Bal przebierańców? Nie wiem, jak to lepiej opisać...

– Nie będziemy ryzykować na te nasze podróbki – westchnęła Sylwia.

Lao kolejny raz uśmiechnęła się, po czym gwałtownie potrząsnęła głową, a oczy jej się zaświeciły, jakby doznała olśnienia.

– Chcecie nasze zaproszenia? – spytała. – To znaczy te, które dostał Douglas. One nie są imienne...

Leśniewscy wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Oczywiście! – wypalił Kuba.

– Gdzie ja je mam... – Lao zastanowiła się. – Chyba w biurze.

Powiedziała kilka zdań w kierunku swojego ochroniarza, w języku, którego Leśniewscy nie znali i nie potrafili nawet zidentyfikować. Pewnie po tybetańsku.

Kto wie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby Sylwia i Kuba

nie spróbowali dostać się na zamkniętą i tajną imprezę z pomocą podrobionych krzyży? Wszystko, na czele ze zdrowym rozsądkiem, przemawiało za tym, żeby tam nie iść. Wszystko, z wyjątkiem ciekawości, która jak wiadomo jest pierwszym stopniem do piekła. I dobrych chęci (którymi, jak wiadomo, piekło jest wybrukowane), żeby pomóc Adamowi odnaleźć dziewczynę.

Fausto zawiózł Leśniewskich i ochroniarza Lao najpierw do Fullerton, gdzie Cuba wynajmował pokój w zaniedbanym mieszkaniu na parterze. Czasu było coraz mniej, aktor musiał być na miejscu na godzinę przed przybyciem pierwszych gości.

– Jak tam dojedziesz? – spytała zatroskana Sylwia, oddając mu oryginalny krzyż.

– Zaraz mnie zgarną. Jedziemy w czwórkę, ja i trzy laski – odpowiedział Cuba. – Spadajcie, nie chcę, żeby nas zobaczyli razem.

Potem Leśniewscy pojechali do wieżowca DoDo Pictures. Fausto zanurzył auto w ciemną czeluść podziemnego garażu na tyłach budynku. Zapadł już zmrok, ale Leśniewskim się nie spieszyło. Nie musieli pojawić się punktualnie. Barczysty Azjata, który przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, wysiadł z limuzyny. Wrócił po pięciu minutach i wręczył im małą niezaklejoną kopertę. W środku były dwa metalowe krzyże.

Fausto zawiózł Leśniewskich do apartamentowca Silvery przy Maple Avenue. Choć zapewniał ich, że może być ich szoferem choćby do rana, nie chcieli nadużywać jego usług. Śledztwo w sprawie Mandy nie było częścią pracy dla DoDo Pictures. Zwłaszcza Sylwia skrupulatnie podchodziła do rozgraniczania ich aktywności na polu zawodowym od spraw prywatnych.

Adam czekał już przed budynkiem. Gdy tylko Fausto wjechał w ulicę, zobaczyli jego chudą, wysoką sylwetkę.

Przechadzał się na tle przeszklonego lobby apartamentowca i dwóch palm, które strzegły wejścia. Wszyscy przesiedli się do czarnej tesli. Adam wstukał w nawigację adres, który Leśniewskim podał Cuba, i ruszyli.

Jechali ponad czterdzieści minut drogą 101 w stronę Ventury, potem ślimakiem odbili na wysokości pola golfowego Buenaventura. Sylwia i Kuba z ciekawością wyglądali przez okna, ale niewiele było widać, bo zapadł już zmrok. Światła kolejnych osiedli mieszkaniowych, wszystkie w niskiej zabudowie, stawały się coraz rzadsze. Powoli wydostawali się z monstrualnie wielkiej metropolii, jaką było Los Angeles.

Kuba zżymał się, bo Adam nie dość że twardo trzymał się przepisów, to jeszcze prowadził w jakiś taki nudny sposób, bez pazura. Czas dłużył się Kubie niemiłosiernie, być może również dlatego, że brakowało mu muzyki silnika. Elektryczna tesla wiozła ich niemal w całkowitej ciszy. W końcu Adam zatrzymał auto na zakręcie Charleston Avenue. Nawigacja wskazała, że dotarli do celu.

Leśniewscy wysiedli przed ogromną bramą z kutyh żelaznych prętów uwieńczonych złotymi grotami. Miała osiem metrów wysokości, jak nie więcej. Oba jej skrzydła były osadzone na imponujących kolumnach, a każdej z kolumn strzegł siedzący na głowicy kamienny lew. Przęsła ogrodzenia biegły w obie strony i ginęły w mroku. Na gzymsie bramy, która była podświetlona reflektorami ukrytymi w żwirowym podejździe, widniał napis „Mount Veritas” oraz rzymska data MCMLXXII.

– Góra prawdy? – powiedziała Sylwia, spoglądając na napis, po czym rozejrzała się wokół, jakby szukając na horyzoncie rzeczonego wzniesienia, ale jak okiem sięgnąć, teren był płaski. Zewsząd dochodziło cykanie świerszczy albo cykad, przy ziemi zaczynała snuć się mgła.

Kuba pospiesznie wyciągnął z kieszeni komórkę i wstukał hasło w przeglądarkę. Od Cuby wiedzieli, że do środka nie

wpuszczą ich z telefonami ani żadną inną elektroniką, więc teraz była ostatnia chwila na to, by sprawdzić, w co się pakują.

– Oż kurde... – wyrwało mu się, bo w wynikach wyszukiwania wyskoczyły czarno-białe zdjęcia przedstawiające pięciu wysportowanych nagich mężczyzn, stojących tyłem do obiektywu. – Nie ma czegoś takiego jak „Mount Veritas”, ale jest „Monte Verità”...

– Czyli co?

– Góra Prawdy... – odczytywał Kuba. – Słynna komuna artystów w Asconie, w kantonie Ticino w Szwajcarii. Powstała na początku XX wieku, jej uczestnicy głosili odwrót od konsumpcyjnego stylu życia, powrót do natury, liberalizm. Jezu, no są i masoni, wiedziałem! Wielki Mistrz Ordo Templi Orientis tam bywał... Orientis... Brzmi znajomo? Piszą, że to było miejsce spotkań inteligencji...

– W takim razie to pewnie jakaś ich amerykańska filia – zasugerowała Sylwia. – Albo odpowiednik.

Leśniewscy zostawili komórki i portfele w samochodzie Adama. Odcięcie się od świata zewnętrznego odbierało poczucie bezpieczeństwa. Cuba powiedział im, że kilometr dalej jest ogrodzona łączka, a na niej parking. Obsługujący imprezę kelnerzy i hostessy muszą zostawić tam auta, a potem przejść do rezydencji na piechotę. Goście przyjeżdżają i wracają taksówkami, a ci, którzy mają kierowców, mogą zostawić obsłudze wizytówkę z numerem telefonu szofera. Adam zapewnił Leśniewskich, że zaparkuje i będzie czekał na nich na parkingu choćby do rana.

– Mam dwadzieścia siedem tysięcy linijek kodu do przepatrzenia – powiedział, wyciągając ze schowka tablet. – Z nudów nie umrę...

Sylwia posłała Adamowi uśmiech, a Kuba odruchowo się skrzywił. Dla niego tyczkowaty amerykański Japończyk był i pozostał nerdem, rodzajem wybryku natury. Może

i nieszkodliwego, ale... Kuba czuł, że zaangażowanie siostry powoli zaczyna przekraczać granicę zakreśloną przez sprawę Mandy, a przenosi się na samego Adama. Nie wiedział jeszcze, co o tym sądzić.

Sylwia zatrzasnęła drzwi od strony pasażera. Tesla odjechała, a za Leśniewskimi zatrzymała się żółta taksówka. Mrok nocy rozświetliła nagle lampka w suficie. W jej świetle Sylwia i Kuba widzieli, jak kierowca rozlicza się z dwójką pasażerów. Leśniewscy czekali niepewnie, jakby zbierali się na odwagę.

Może gdybyśmy weszli w czwórkę, byłoby różnie? – pomyślał Kuba.

Pasażerowie taksówki, mimo że zapłacili za przejazd, nie wysiadali. Podjechał kolejny samochód i grzecznie zatrzymał się w kolejce. Po chwili Kuba pociągnął siostrę za ramię.

– Chodź, oni czekają, aż wejdziemy. Pewnie nie chcą, żebyśmy zobaczyli ich twarze.

28

Kuba starał się zachowywać spokój, choć tak naprawdę odczuwał zdenerwowanie. Wewnętrzne drżenie, ekscytujące, ale też trochę nieprzyjemne. Wieczór był ciepły, ale on dygotał jak na mrozie. Tylko idiota by się nie bał. Przecież ryzykowali, wchodzili na teren wroga, do jego jaskini otoczonej wysokim płotem...

Chcąc uspokoić siostrę, zrobił pewną siebie, wyluzowaną minę, po czym śmiałym krokiem ruszył w kierunku bramy z kutego żelaza. Wypatrywał w ciemnościach jakiegoś domofonu czy innej kołatki, ale kiedy podszedł bliżej, oba skrzydła zaczęły rozwierać się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pewnie gdzieś tu była zamontowana kamera.

Ruszyli drogą wysypaną białym żwirem, który chrzęścił pod stopami i opalizował w mroku nocy. Szli wzdłuż dwóch szpalerów smukłych, strzelistych drzew. Cyprysów? Były podświetlone wkopanymi w ziemię reflektorami, a ponieważ wiał lekki wiatr, cała aleja niepokojąco drgała. Przez dłuższą chwilę nie mieli pojęcia, dokąd zmierzają, dopiero kiedy minęli łagodny zakręt, jakieś trzysta metrów przed sobą zobaczyli, że droga kończy się czymś w rodzaju placyku z zielenią, z wielką fontanną na środku, a dalej rozciąga się wsparty na ośmiu kolumnach portyk imponującej klasycystycznej rezydencji. Budynek był dobrze oświetlony niewielkimi reflektorami, które wydobywały z mroku szczegóły architektoniczne fasady.

– Ja pierdziu! – zakrzyknął Kuba. – To rezydencja Blake’a Carringtona. Tu chyba kręcili *Dynastię*?!

– Ale tę starą czy *remake*? – spytała Sylwia.

– Ta nowa to nie jest *remake*, tylko *reboot*.

Sylwia zrobiła taką minę, jakby nie do końca wiedziała, na czym polega różnica, ale Kuba wolał jej teraz tego nie wyjaśniać. Powinni skupić się na czekającym ich zadaniu. A konkretnie na jego pierwszym etapie, czyli przeniknięciu do środka Mount Veritas.

W drzwiach rezydencji stało dwóch mężczyzn. Obaj wysocy, dobrze zbudowani, bardziej wyglądali na ochroniarzy niż lokajów. Mieli na sobie eleganckie czarne liberie, a ich twarze zasłaniały maski, co nadawało im wygląd zimnych posągów. Maski wzbudzały też niepokój, bo nie było widać, jakie emocje i nastawienie się za nimi skrywają.

Kuba poczuł, że serce zaczyna mu bić jeszcze szybciej, a kolana mięknąć. Miał przekonanie graniczące z pewnością, że za moment zostaną zdemaskowani. W najlepszym wypadku będą musieli najeść się wstydu. A w najgorszym? Musiał przyznać, że to było trochę infantylne, że tak parł do realizacji swojego szalonego planu. Ale tę dojrzałą refleksję zachował dla siebie.

Jak się powiedziało „a”, to może trzeba będzie beknąć.

Spojrzał w stronę siostry. Stała porażona, z taką miną, jakby chciała odwrócić się na pięcie i uciekać.

– Chodź! – syknął jej do ucha. – Wyobraź sobie, że to wszystko nie jest prawdziwe. Że to na przykład film. Mnie pomaga.

Kuba starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ale dłoń, którą złapał ją za łokieć, była wilgotna od potu.

Mężczyźni skłonili się jak na komendę, po czym odebrali od Leśniewskich krzyże. Następnie jeden z nich sprawdził rodzeństwo ręcznym wykrywaczem metalu. Urządzenie wydawało głośniejsze i cichsze piski, ale widocznie

w granicach normy, bo odźwierny przepuścił ich bez słowa. Drugi z mężczyzn wręczył im weneckie maski. Były czarne i zasłaniały całą twarz – zaczynały się powyżej linii włosów, a dolna krawędź zachodziła pod brodę. Z tyłu głowy należało zawiązać na kokardkę dwie tasiemki.

Sylwia miała rację – pomyślał Kuba. Zupełnie jak u Kubricka.

Były jednak dość istotne różnice. W *Oczach szeroko zamkniętych* przepustką stanowiło hasło „Fidelio”, a Tom Cruise sam musiał zdobyć przebranie. Natomiast w Mount Veritas, o czym Leśniewscy przekonali się, przekroczywszy próg rezydencji, wszystkie maski noszone przez gości były identyczne.

Sylwia, choć była w Stanach Zjednoczonych pierwszy raz, już zdążyła się zorientować, że Amerykanie cierpią na gigantomanię. Wielkie łóżka, wielkie porcje jedzenia w restauracjach, krążowniki szos na ulicach. Rezydencja przy Charleston Avenue była monumentalna niczym katedra Świętego Piotra w Rzymie. Po przekroczeniu dwuskrzydłych drzwi otworzyło się przed Leśniewskimi przepastne lobby, z prowadzącymi na piętro wygiętymi schodami, których nie powstydziliby się projektanci Titanica. Z sufitu zwisał żyrandol, niczym w Pałacu Zimowym, a na podłodze z lśniącego marmuru w ciepłym żółtobrazowym kolorze była ułożona wielka mozaika przedstawiająca różę wiatrów. Subtelnie, ale jednak wyróżniono na niej kierunek wschodni. Literka „E” była wykonana z marmuru w czerwonym odcieniu, „N”, „W” i „S” były brązowe.

W budynku rozbrzmiewała dziwna muzyka – niepokojące, obce tony, których nie dało się podciągnąć pod żaden znany Sylwii i Kubie styl. Ale nie była to kakofonia ani agresywne dźwięki, a melodia jakby orientalna, lejąca się, jawiło się w niej coś zmysłowego, żeby nie powiedzieć perwersyjnego.

Leśniewscy szybko zrozumieli, dlaczego Cuba na początku

nie chciał się nawet przyznać, że tu pracuje, a kiedy w końcu się przełamał, oszczędnie sączył szczegóły. Być może chodziło o strach przed ewentualnym gniewem pracodawców, ale przede wszystkim o wstyd. Podopieczni Glorii Shalko, aspirujący aktorzy, nie dość że robili za kelnerów i hostessy, to jeszcze paradowali kompletnie nago. Nie licząc maski na twarzy i muszki pod szyją.

Te ostatnie pozwalały odróżnić ich od gości, którzy występowali w różnych stopniach roznegliżowania. W lobby i w sali balowej, która znajdowała się za schodami, w większości mieli jeszcze na sobie stroje wieczorowe, ale zdarzały się osoby rozebrane do pasa albo w samej bieliźnie.

– Słuchaj... – Kuba nachylił się i wyszeptał siostrze do ucha: – Nie bójmy się. To jest najnormalniej w świecie imprezka „Playboya”.

– Nie sądzę – odparła Sylwia. – Nie byłoby gołych facetów.

– No wiesz... – upierał się Kuba. – Pewnie muszą iść z duchem czasu... Parytet i te sprawy. Przecież ostatnio usunęli girlsy z Formuły 1, bo to było seksistowskie...

– Dołożenie gołych facetów nie eliminuje seksizmu, tylko dokładnie moim zdaniem zarzut o przedmiotowe traktowanie pracowników...

Leśniewscy szli dalej, zszokowani, ale jednocześnie zaciekawieni. Przez rezydencję można było przejść na przestrzal. Po wyjściu, na tyłach budynku ich oczom ukazał się podświetlony basen, co najmniej olimpijski, wyłożony drobną terakotą we wszystkich odcieniach błękitu. W jego rogach stały wielkie kamienne donice z oliwkami i kwitnącymi drzewkami pomarańczowymi, które wydzielały intensywny słodko-mdlący zapach. Światło padało zarówno z wbudowanych w posadzkę lamp, jak i płonących pochodni. Tu większość gości była w kostiumach kąpielowych albo baraszkowała w wodzie zupełnie nago, choć nadal – obowiązkowo – w maskach. Odpowiednio dobrane światło,

załamujące się na tafli wody i na tysiącach błyszczących różnymi odcieniami błękitu kamieni, tworzyło niesamowity klimat.

– Oż w mordę, co za perwole! – powiedział Kuba, a jego głos, zniekształcony przez maskę, zabrzmiał obco i złowrogo.

– Nagość nie zawsze musi oznaczać perwersję. – Sylwia jak zwykle wcieliła się w rolę adwokata diabła, ale tym razem bez przekonania.

– Komuna artystyczna – prychnął Kuba. – Intelktualiści! Pewnie jeszcze wyciągnęli na to dotację z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Sylwia milczała, oszołomiona tym, co widziała. Miała złe przeczucia. Może i ta oryginalna Góra Prawdy w szwajcarskiej Asconie była niegroźną przystanią hipisów szukających wolności i wyzwolenia od konwencji, ale jej wersja amerykańska... Trudno było oprzeć się wrażeniu, że tu po kątach kryją się jakieś cienie, mroczne żądze. Mandy Powell mogła paść ich ofiarą.

– To co, wyskakujemy z ciuszków? – rzucił bez troski Kuba.

Sylwia popukała się w głowę. To znaczy w maskę.

– Wiem przecież, żartuję... Gdybym wiedział, że takie tu będą reguły gry, zrobiłbym sobie kilkudniową głodówkę, żeby jakoś wyglądać, jak podobno Kate Winslet przed tą rozbieraną sceną w *Titanicu*.

Całkiem spora grupa gości pozostawała w ubraniach, więc Leśniewscy nie musieli się obawiać, że zwrócą na siebie uwagę. Oboje nie byli specjalnie pruderyjni, ale Sylwia jako introwertyczka nie lubiła się odsłaniać, również dosłownie. Natomiast Kuba, jak to narcyz, cierpiał z powodu kompleksów dotyczących swojego ciała. Które wzmogły się podczas pobytu w Los Angeles.

Każdego dnia na ulicach mijali sterydowych atletów godnych olimpijskiego złota, osoby, od których na kilometr biła aura medycyny estetycznej, chude kobiety, do których

doczepione były absurdalnie jędrne i krągłe piersi. Również w Mount Veritas niemal wszyscy roznegliżowani goście mogli chwalić się posągowymi sylwetkami. W przypadku starannie dobranej obsługi to nie dziwiło. Ale zaproszeni, przynajmniej ci, którzy zdecydowali się pozbyć ubrań, nie odstawali. W Hollywood panowała moda nie tylko na idealne zęby, ale też na bycie fit.

Dobrych kilkanaście minut Leśniewscy krążyli po rezydencji i wokół basenu, robiąc rekonesans. Bawiło się tu grubo ponad dwieście osób, a z każdą minutą pojawili się kolejni uczestnicy. W pewnym momencie uwagę Sylwii przykuła para rozmawiająca w zaułku utworzonym przez wielką kamienną donicę z efektownym drzewem, którego nie potrafiła rozpoznać.

Kobieta była w dwuczęściowym złotym kostiumie kąpielowym. Miała figurę modelki, opalone ciało oraz długie, jasne włosy, które obramowały czarną maskę delikatnymi falami. Mężczyzna, śniady brunet, był niższy od niej o dobre pół głowy, częściowo dlatego, że jego rozmówczyni paradowała w czarnych szpilkach. Miał na sobie czerwone kąpielówki. Wyróżniał się mocną budową ciała, choć nie sprawiał wrażenia bywalca siłowni. Bicepsy i mięśnie klatki piersiowej wyglądały tak, jakby wyrobiła je ciężka praca fizyczna. Nogi miał masywne, mocno owłosione. Sylwia prześlizgnęła się wzrokiem z powrotem do góry, ale maska zazdrośnie strzegła sekretu twarzy.

Mężczyzna trochę przypominał jej fauna. Dziwny był ten dysonans między górną połową ciała, która była idealnie gładka, a owłosieniem, które biegło od pępka w dół. Nagle serce podeszło jej do gardła. Mężczyzna, jakby wiedziony szóstym zmysłem, zorientował się, że Sylwia patrzy na niego. Ziejące najgłębszą czernią oczodoły maski zwróciły się w jej stronę. Sylwia szybko uciekła wzrokiem, ale było już za późno. Mężczyzna dotknął przepaszającym gestem ramienia

swojej rozmówczyni i ruszył w kierunku Leśniewskich.

– Uważaj! – Sylwia zdążyła jeszcze syknąć do Kuby.

Mężczyzna szedł ku nim, zgarnawszy po drodze dwie szklaneczki szampana z tacy kelnera, który przewyższał go o głowę. Wszyscy z obsługi byli słusznego wzrostu i proporcjonalnie zbudowani. Kobiety miały długie, rozpuszczone włosy, kształtne piersi, zaś mężczyźni umięśnione i wyrzeźbione ciała. Wśród postaci wyróżnionych muszkami próżno było szukać jakiegokolwiek feleru. Dla Sylwii był to kolejny powód, by podejrzewać, że nie chodzi tu o żadną celebrację natury, której piękno polega na tym, że jest prawdziwa, a nie perfekcyjna. Ktokolwiek urządzał te imprezy, jedynie podczepiał się pod ideały artystycznej komuny.

– Witajcie w Mount Veritas. – Mężczyzna odezwał się po angielsku, po czym wręczył im napoje. Maską zniekształcała jego głos, ale Sylwia była już pewna, że stoi przed nimi Dante Alvarez.

29

Sylwia rozmawiała z rzekomym Dantem zdawkowo i ostrożnie. Ani ona, ani on nie kwapili się do zagrania w otwarte karty i ujawnienia tożsamości, a atmosfera miejsca sprzyjała potęgowaniu tajemniczości. Gdzieś z głębi budynku dobiegło właśnie trzykrotne uderzenie w gong. Kuba struchlał, bo nie miał pojęcia, czy to element jakiejś ceremonii, a może ktoś wszczął właśnie alarm z ich powodu? Stąpali po kruchym lodzie.

– Jesteście tu razem? – spytał mężczyzna, wskazując głową na Kubę.

– Chyba nikt nie jest tu sam – odpowiedziała Sylwia, robiąc krok w tył.

Mimo stresu Kuba miał ubaw, obserwując tych dwoje. Rozneglizowany facet z każdym wypowiedzianym zdaniem napierał na Sylwię, niemal dotykając ją szerokim tarsem, a jego siostra konsekwentnie się cofała. Jeszcze chwila, a wpadłaby do basenu. Przy czym w zachowaniu mężczyzny nie było nic nachalnego. Wyglądało to tak, jakby skracał dystans, bo potrzebował być bliżej rozmówcy. Południowcy, Latynosi, na ogół mają wąsko zakreśloną strefę komfortu. Natomiast Sylwia lubiła utrzymywać większy dystans.

Kuba w końcu wszedł między nich i włączył się do rozmowy. On również miał podejrzenie graniczące z pewnością, że ich rozmówcą jest Dante Alvarez, a kobieta w złotym kostiumie kąpielowym to jego ekszona, Flavia. Choć tych dwoje zdawało się pozostawać w zadziwiająco dobrej

komitywie jak na rozwiedzionych małżonków, więc może jednak wysoka zgrabna blondynka była aktoreczką, kolejną pięknoscią, która postanowiła zakręcić się wokół reżysera w nadziei na rolę?

Zdradliwe były te maski i ciemność nocy. Żeby mieć stuprocentową pewność, należało rozpoznać dłonie. Kuba niespecjalnie zwracał uwagę akurat na tę część ciała, więc nie dałby głowy ani co do Dantego, ani co do Flavii.

– Może jeszcze... Wpadniemy na siebie – powiedział w końcu mężczyzna, skłaniając głowę. – Ale teraz muszę was przeprosić.

Domniemany Dante wrócił do swojej towarzyszki, a Leśniewscy oddalili się pospiesznie. Uznali, że nie wiadomo, ile czasu będzie dane im tu spędzić, więc nie powinni tracić ani minuty. Ruszyli w poszukiwaniu tropów związanych z Mandy.

Stres powoli opadał. Przechadzali się wśród gości i kelnerów i nikt nie zwracał na nich uwagi. Nie zostali zdemaskowani. Raczej to oni zdemaskowali Mount Veritas. Lao Pam chyba miała rację, kiedy opisywała im tę imprezę jako ściemę, wydmuszkę. Było w tym coś nieprawdziwego, jakaś inscenizacja. Zaaranżowana dla bogaczy wariacja na temat sekretnych ceremonii, tajnych organizacji. Alkohol, frapujący klimat, erotyczny dreszczyk... Natomiast trzęsawka związana ze strachem z każdą minutą była coraz mniejsza.

Na piętrze minęli salę bilardową, w której kilkoro zamaskowanych golasów grało w snookera. Widok był na tyle groteskowy, że Sylwia parsknęła śmiechem, ściągając na siebie niechętnie spojrzenia. Wycofali się i ruszyli dalej korytarzem. Z daleka zobaczyli, jak jakaś naga podpita para, chichocząc i zataczając się, już prawie prowadząca grę wstępną, znika w jednym z pokoi...

Sylwia myślała intensywnie. Amerykanie lubowali się w kiczowatych kopiach. Mieli przecież własny Kapitol. W Las

Vegas była i piramida, i Sfinks, i wieża Eiffla. Dlaczego więc w Hollywood ktoś nie miałby wpaść na pomysł, żeby stworzyć replikę tajnego stowarzyszenia? Przestrzeni, w której wpływowi ludzie ze świecznika mogliby umocnić swoje poczucie, że są wyjątkowi, bo należą do elitarnego grona, niedostępnego zwykłym śmiertelnikom. Ale – co jeszcze ważniejsze – w której bezpiecznie mogliby się wyszaleć, bez strachu, że paparazzi uwiecznią ich ekscesy.

Tylko... Nawet jeśli Mount Veritas było niewinną zabawą z odrobiną pieprzu, odskocznią dla śmietanki towarzyskiej Hollywood, nie znaczyło to, że nie ma tu gdzieś tropu, który prowadzi do Mandy. Pracowała jako hostessa i ktoś mógł postanowić, że ją uciszy, bo przypadkiem stała się świadkiem czegoś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego... Albo ona świadomie sprzeniewierzyła się obowiązującym w Mount Veritas zasadom dyskrecji. Może postanowiła zaszantażować kogoś wpływowego, by zmusić go do pomocy w rozwoju kariery aktorskiej... Z pewnością przynajmniej niektórzy uczestnicy imprezy zostawiali żony w apartamentach w Beverly Hills, by oddawać się tutaj grzesznym uciechom.

Czy Mandy była na tyle zdesperowana, żeby podjąć niebezpieczną grę? A raczej taka naiwna, jeśli sądziła, że wyjdzie z niej zwycięsko...?

Stop! Sylwia wiedziała, że nie ma sensu snuć scenariuszy, w których wszystko może się zdarzyć. Lepiej skupić się na faktach albo chociaż na poszlakach, byle realnych. Wykorzystując swój dar obserwacji, przeczesywała otoczenie i wyłapywała wszystko, co wydało jej się nietypowe, godne uwagi. Była dobra, zwłaszcza w paśmie drobiazgów. Zauważyła, że oprócz obsługi oraz mniej lub bardziej wyluzowanych i rozochoconych imprezowiczów w willi znajduje się jeszcze trzecia kategoria uczestników. Nie pili alkoholu, nie pozbywali się garderoby. Pierwsza myśl Sylwii – ochroniarze. Ale jednak nie. Dyskretni bodyguardzi byli

częścią „armii muszek”. Wprawdzie w przeciwieństwie do kelnerów nie chodzili kompletnie nadzy, bo w bieliźnie, ale odróżniali się od gości. Wszyscy bez wyjątku dobrze zbudowani, w identycznych czarnych traperskich butach; zdradzały ich też charakterystyczne sztywne pozy.

– Duże dzieci bawią się – rzucił sentencjonalnie Kuba. – Bo nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi. Co sądzisz?

Sylwia pokiwała głową. Siedzieli na piętrze na marmurowej ławie stylizowanej na staroegipskiego szakala. Przed sobą mieli podświetlaną błękitnymi lampami ścianę wodną z wnęką, w której stała replika antycznej rzeźby – nagiego dyskobola z utraconą głową. A może był to oryginał?

– Co robimy? – Kuba podniósł się. – Nie siedź na kamieniu, bo złapiesz wilka.

– Przecież tu jest gorąco – odparła Sylwia, ale przezornie też wstała. – Nie wiem, może powinniśmy o nią popytać?

– Ale kogo? Już widzę, jak ktoś postanowi uciąć sobie z nami pogawędkę. Raczej głowę nam utną, jak temu tam, Herkulesowi. – Kuba wskazał gestem na okaleczoną rzeźbę.

– To może pokazać komuś zdjęcie Mandy? Jakoś dyskretnie, żeby nie wzbudzić zamieszania...

Upředzeni przez Cubę o zakazie wnoszenia komórek, wydrukowali fotografię zaginionej.

– No właśnie nie ma sensu pytać tych zwykłych łebków. Trzeba by znaleźć, wiesz... Organizatorów – zachichotał Kuba. Niezależnie od okoliczności, lubił bawić się słowem.

– Nie, to już jest zupełnie bez sensu. Czyste samobójstwo.

– No przecież nie proponuję, żebyśmy poszli do samej wierchuszki. Prędzej można by spytać Cubę, z kim tu pogadać...

– Ale widziałeś go gdzieś? Bo ja nie. Może odz szukajmy Dantego? Jemu chyba możemy zaufać... Co sądzisz? Myślisz, że on może wiedzieć coś więcej? Żebyśmy nie wpakowali się w jakieś kłopoty, jak zacniemy węszyć i...

Sylwia urwała, bo jakby na potwierdzenie jej słów znów rozległ się przenikający wszystko głuchy dźwięk gongu. Tym razem tylko dwa uderzenia.

– Teraz już sam nie wiem, czy to był on. – Kuba wzruszył ramionami. – I ta jego rzekomo była żoneczka.

– Naprawdę?

– Poznaję go tylko po tych jego idiotycznych oczach... Więc w sytuacji oczodołów w maskach jestem bezradny. A on ci się podoba? – Kuba nagle zmienił temat.

– No co ty – obruszyła się Sylwia. – Poza tym co to ma do rzeczy? Tobie się podoba?

– Mnie? A w życiu! Może i coś w sobie ma...

– Ale co?

– Ja wiem? Jakaś taką sensualność, w sensie zmysłowość... Te kocie ruchy, ta roztańczona miednica, ta gorąca krew... Ale to stuprocentowy hetero. Maczo Pikczo. Więc wiesz... Co ja będę szukał wiatru w polu? Obudzę się z ręką w nocniku, i to po czterdziestce. A po czterdziestce gej to już jest jak zdechły pies, po drugiej stronie tęczowego mostu...

– Dobrze, Kuba... – Sylwia przerwała mu, lekko zniecierpliwiona. – Pomyślmy lepiej, co możemy zrobić w sprawie Mandy. Po to tu przyjechaliśmy...

– Moim zdaniem – Kuba rozejrzał się, jakby szukał inspiracji w marmurach, dziełach sztuki i złoceniach – kiedy była tu poprzednim razem, coś poszło nie tak, jakiś podpity kretynek rzucił się na nią gdzieś w ciemnościach, w krzakach, widziałaś, jakie tu są połacie. Las prawie!

Sylwia pokiwała głową.

– Też mi coś takiego chodzi po głowie.

– Nie wiemy, kto za tym stoi – Kuba dalej snuł swoją wizję.
– Ale na oko widać, że mają wpływy, mogli zatuszować taki nieprzyjemny wypadek. Pewnie ją tu gdzieś zakopali, może trzeba będzie wezwać radar geodezyjny...

– Nie kracz! – Sylwia weszła mu w słowo.

– A ty nie bądź naiwna. Jeśli zakładamy, że ktoś ją tu uciszył i w dodatku musiał działać nagle i szybko, to nie ma innej opcji niż morderstwo.

– Musimy powiedzieć to policji. Przyjdą tu z nakazem i...

– Powtórzę się – Kuba przerwał siostrze – ale, Silwano, naprawdę jesteś naiwna jak świeżo narodzone dziecko. Ta cała przylizana Claire i jej pomagierzy prędzej przylecą do nas z nakazem skierowania nas na badania psychiatryczne. Nie mamy żadnych dowodów... A to jest sekwsparty bardzo bogatych ludzi... Gdyby coś mrocznego tu odchodziło, jakieś stręczycielstwo, byłby punkt podparcia, żeby zawiadomić kogo trzeba. Ale tu co najwyżej związki zawodowe można zaalarmować, Gildię Kelnerów... Sama mówiłaś, że pracowanie na golasa zahacza jakoś o molestowanie?

– A może tu jednak wcale nie jest tak niewinnie? Może to tylko przykrywka?

Kuba nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi. Lekko zakręciło mu się w głowie. Choć ustalili, że jako profesjonaliści i aby się zabezpieczyć, nie będą spożywać tego wieczoru alkoholu, brali szklaneczki z tac przechadzających się po rezydencji kelnerów. Nie chcieli wzbudzać podejrzeń nietypowym zachowaniem.

Wszystkie alkohole podawano nie w kieliszkach, ale w właśnie w szklaneczkach ze słomkami. Nawet szampana. Był to jedyny sposób, żeby pić, mając zasłoniętą twarz. Maski miały otwory na oczy i szczelinę na wysokości ust. Kiedy Kuba już sięgnął po szkło, odruchowo i pod wpływem stresu, zaczął pociągać ze słomki. Kiedy wypił wszystko, kelner wymienił mu szklaneczkę na pełną. Bąbelki szybko uderzały do głowy i teraz Kuba był na rauszu.

– Przykrywka? – zapytał. – Tak jak Helena w liceum, żeby nie wyszło, że jestem gejem? Jezu, myślałem potem, że mi oczy wydrapie.

– Tak, coś w tym stylu. Żeby odwrócić uwagę...

Sylwię już na studiach zafascynowały tezy francuskiego filozofa Jeana Baudrillarda. Szalone, ale jednocześnie błyskotliwe metafory. O więzieniu, które odwraca uwagę od tego, że reszta społeczeństwa też tak naprawdę jest uwięziona. O Disneylandzie, który przysłania prawdę o tym, że Ameryka to jeden wielki park rozrywki. Bo odruchowo myślimy, że wszystko, co jest na zewnątrz więzienia czy Disneylandu, musi być jego przeciwieństwem, bo inaczej po co byłoby odgradzone. A przecież... Tak naprawdę to nadal może być to samo.

Co, jeśli imitacja tajnego ceremoniału ma odwrócić uwagę od jakiegoś autentycznego zlotu czarownic? Może to była ta niewygodna prawda, którą odkryła Mandy?

– Jezu, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – skrzywił się Kuba, kiedy Sylwia wyjawiała mu swoje podejrzenia. – Już za dużo scenariuszy napisałaś i wszędzie doszukujesz się drugiego dna.

– Nie wszędzie, tylko tam, gdzie mam podstawy przypuszczać, że ono jest...

Po czym opowiedziała bratu o tym, że w ciągu godziny, którą spędzili w willi, pojawiło się kilkunastu niepijących i nieawanturujących się gości, którzy jeden po drugim gdzieś znikali.

– Takich jak ten tam. – Sylwia dyskretnie pokazała bratu postać, która pojawiła się na piętrze kilka chwil temu. Mężczyzna był wysoki, szczupły, ciemnoskóry. Opierając się o marmurową barierkę, spoglądał na wodną ścianę.

– Obama? – zdziwił się Kuba. – Wygląda jak wszyscy inni.

Sylwia pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Czyli myślisz, że prawdziwa hardkorowa impreza jest gdzie indziej? – spytał Kuba, po czym spróbował podrapać się po nosie. Jego palce wydały suche stuknięcie w zderzeniu

z twardym plastikiem. – Cholerna maska!

Opuścił rękę, po czym nagle kichnął.

– Noż, obsmarkałem się! – zachichotał. – Masz chusteczkę?

Sylwia była z gatunku tych, którzy zawsze mają przy sobie chusteczki. Podsunęła bratu paczuszkę. Próbował wsunąć rękę od środka maski, ale nie dał rady sięgnąć nosa. Potem zaczął mamrotać cicho przekleństwa, bo dłoń mu się zaklinowała i nie mógł jej wyciągnąć. W końcu wyrwał rękę i ściągnął maskę.

– Kuba... – Sylwia próbowała go cicho skarcić.

Westchnął głęboko, po czym wytarł nos, złożył chusteczkę na pół i przetaił spoconą od maski twarz.

– Załóż ją, baranie! – usłyszeli za plecami szept po polsku. – Natychmiast! Bo już coś zaczęli podejrzewać.

Za nimi stał Cuba, trzymając sztywno tacę ze szklaneczkami szampana. Sylwia nie poznałaby go. Pośród monumentalnych murów Mount Veritas wydawał się jej jakiś taki mniejszy, drobniejszy. Starannie zaczesane i nażelowane włosy były ciemniejsze, niż kiedy miał je w naturalnym nieładzie.

– Pomóż nam – poprosiła Sylwia. – Próbujemy coś ustalić.

– Lepiej stąd wypierdalajcie, póki jeszcze możecie.

– Ej no, nie przesadzasz? – wtrącił się Kuba. – To przecież jakieś soft porno party, jak u świętej pamięci Hugh Hefnera...

– Naprawdę tak myślisz? – wysyczał Cuba. – Bierzcie tego szampana, bo mnie też zaczną podejrzewać.

Leśniewscy posłusznie sięgnęli po szklaneczki. Sylwia pociągnęła łyk. Alkohol był zimny i tak wytrawny, że aż się skrzywiła. Poczowała się tak, jakby ktoś przejechał jej po kręgosłupie kostką lodu.

Korytarzem przechodził zwalisty ochroniarz, trzymając ręce z tyłu. Nagle przystanął. Kuba pospiesznie nałożył maskę. Sylwia odstawiła szklaneczkę i pomogła mu zawiązać czarne tasiemki. W milczeniu i niepewności czekali przez chwilę.

W końcu ochroniarz ruszył dalej przed siebie.

Cuba rozejrzał się nerwowo, po czym kontynuował obchód z tacą.

Czyli jednak za szybko przestali się bać tego miejsca? „Obama” już zniknął. Sylwia podeszła do barierki. Miała stąd widok na basen oświetlony pochodniami. I tłum czarnych masek. Awatarów, za którymi mógł skrywać się każdy. Nazwiska z pierwszych stron gazet, tuzy Hollywood. Ludzie, którym z bogactwa i nudy przewróciło się w głowach. A tacy zrobią wszystko, żeby świat nie dowiedział się o ich dziwactwach.

30

W przeniknięciu do wewnętrznego kręgu Mount Veritas pomógł im spryt, ale sama inteligencja i przebiegłość bez odrobiny szczęścia na nic by się zdały.

Kiedy zeszli na parter, ponownie zobaczyli „Obamę”. Wysoki ciemnoskóry chudzielec leniwym krokiem szedł w stronę szerokich przeszklonych drzwi prowadzących na tyły rezydencji. Leśniewscy wyszli za nim. Mężczyzna przeszedł wzdłuż basenu, w którym wyprawiały się rozmaite harce, minął starannie wypielegnowany żywopłot i zniknął w mroku ogrodu.

– Patrz! Dokąd on idzie? – spytała cicho Sylwia, nachylając się do brata.

– Nie wiem, pewnie się odlać.

– Nie pił alkoholu, nie rozebrał się... – wyliczała. – Sprawdźmy to.

Kuba kiwnął głową i ruszyli za „Obamą”. Minęli żywopłot, który sięgał im prawie do oczu i wydzielał przyjemnie żywiczną woń. Ledwo widoczna w mroku szczupła, wysoka sylwetka oddalała się.

– Widzi nas? – wyszeptał nerwowo Kuba.

– Pewnie tak.

– Jezu! Jak się obróci, zobaczy, ale wtedy udawajmy, że zbieramy trufle.

– Co?

– Albo poziomki. Może tu rosną...

– Kuba...

Ciemności w ogrodzie rozpraszały nieco światła willi i pochodnie płonące wokół basenu, a w miarę jak się od niego oddalali – księżyc na bezchmurnym niebie. Leśniewscy byli więc widoczni, ale „Obama” nie odwrócił się. Szedł przed siebie, wyraźnie w konkretnym kierunku. Ogród francuski był teraz ogrodem angielskim, dzikim parkiem właściwie, na którego końcu znajdował się budynek w tym samym klasycystycznym stylu co rezydencja, ale znacznie mniejszy.

– Oranżeria? – spytała cicho Sylwia.

– Za małe przeszklenia – odparł Kuba, po czym zachichotał.

– Może wiesz... Świątynia dymania?

Zatrzymali się pod drzewem, w półmroku ogrodu. Przed wejściem do budynku wisiała na krótkim łańcuchu lampa, rzucająca chybotliwy krąg światła na dwóch odźwiernych w liberiach i maskach, podobnych do tych, którzy stali przy wejściu do rezydencji. Wysoki chudzielec podszedł do nich, zamienił kilka słów i został wpuszczony.

– Chodź, wracamy – zasugerowała Sylwia. – Nie mamy krzyży.

– On też nie miał przecież żadnej przepustki. – Kuba poczuł zew przygody i nie miał zamiaru tak łatwo się poddawać. – Może wpuszczają wszystkich?

– Na pewno nie.

– Aha, czyli poznali, że to Obama? – zażartował Kuba.

Przez chwilę klócili się szeptem. Nagle oboje aż podskoczyli ze strachu. Ogrodową ścieżką nadeszła od strony willi zamaskowana postać. Znów mężczyzna, tym razem niski, krępy, ale sprawiający wrażenie młodego. Na górną krawędź maski opadała mu pojaśniała od słońca, a może i wody morskiej grzywka. Wymamrotał przeprosiny, minął ich i ruszył w stronę oranżerii.

Leśniewscy myśleli, że sytuacja powtórzy się, ale tym razem strażnicy, po dłuższej wymianie zdań, która w pewnym momencie zrobiła się nerwowa, odprawili delikwenta

z kwitkiem. Chwilę później mężczyzna przystanął obok Leśniewskich.

– Hej!

Nie zareagowali. Mężczyzna podszedł bliżej. Leśniewscy poczuli wyrazisty zapach wody kolońskiej.

– Wy też tam?

– Tak – odpowiedział hardo Kuba.

– Słuchajcie, zapomniałem, jakie jest to pierdolone hasło...

Leśniewscy wymienili spojrzenia, choć był to czysto symboliczny gest, bo w mroku nocy i zza maski nie dało się dostrzec, jaką emocję wysyłają oczy – niepewność, strach, że zwracają na siebie uwagę? A może iskierkę nadziei?

– No pomóżcie...

– Nie możemy – odpowiedziała Sylwia, bo przecież żadnego hasła nie znali.

– Ale ja nie oszukuję, prawie pamiętam, tylko coś mi się przestawiło. Popular...? Jak to było? Vox? Popular vox? Coś tam dalej...? No pomóżcie!

– Przykro mi, kolego. – Kuba poklepał nieznanego po plecach. – Znasz zasady.

Sylwia musiała przyznać, że brat potrafi ściemniać pierwszorzędnie. Mężczyzna postać jeszcze chwilę, po czym, klnąc pod nosem, wrócił w stronę rezydencji. Sylwia poczuła, że po skroni spływa jej kropelka potu. Maską była i uciążliwa, i niewygodna, robiło się pod nią gorąco, a nijak nie dało się przetrzeć twarzy bez jej zdejmowania.

– Czyli miałaś rację, tam wchodzi się na hasło... – powiedział Kuba.

– I nawet wiem jakie – wypaliła Sylwia. – To znaczy domyślałam się.

– Ja też – prychnął Kuba.

Znajomość sentencji łacińskich zanika, ale powiedzonko „głos ludu to głos boga” było mantrą pierwszej Palomy. Zdanie widzów oglądających serial miało pierwszorzędne

znaczenie, a ona była jego powiernikiem, emanacją suwerena. Kiedy tylko chciała postawić na swoim, cytowała Leśniewskim łacińską formułkę, podpierając się badaniami fokusowymi.

Leśniewscy z bijącym sercem podeszli do kręgu światła przed wejściem do oranżerii czy też świątyni.

– Vox populi, vox Dei – powiedział Kuba, siląc się na spokój.

Odźwierni ukłonili się, po czym każdy złapał i nacisnął wielką, misternie kutą klamkę. Drzwi rozstały się.

31

Od razu zorientowali się, że to pułapka.

Nie mogło być inaczej. Przed sobą mieli długi korytarz z kamienną posadzką w czarno-białą szachownicę, na której położony był burgundowy dywan. Na dywanie, kilka metrów przed nimi stała postać, na widok której pod Sylwią ugięły się nogi.

Tak naprawdę nie miała pojęcia dlaczego. Postać nie była odrażająca ani w jakiś oczywisty sposób groźna. Może chodziło o to, że wyróżniała się. Wszyscy uczestnicy imprezy oraz ludzie z obsługi mieli identyczne czarne maski. Postać, która stała naprzeciwko nich, była ubrana na czerwono – maska, płaszcz, spodnie, buty. Tylko koszulę miała białą.

Cholercia, jednak zupełnie jak u Kubricka – pomyślał Kuba, przypominając sobie scenę, w której postać grana przez Toma Cruise'a wpada w tarapaty. Zostaje zdemaskowana, a sąd nad nią przeprowadza właśnie ubrany na czerwono „kardynał”.

Albo ktoś kopiuje *Oczy szeroko zamknięte*, albo Kubrick jednak zdążył pokazać przed śmiercią, jak działają sekretne stowarzyszenia...

Mężczyzna był wysoki i szczupły. Stał wyprostowany, trzymając ręce z tyłu. Nie odzywał się. Po jego bokach, krok za nim, straż trzymały dwie nagie kobiety o figurach modelek. Miały twarze przesłonięte maskami, a w dłoniach dzierżyły włócznie.

Leśniewscy wymienili spojrzenia. Sylwia odwróciła się, a jej

strach wzmógł się. Za ich plecami stali dwaj odźwierni. Weszli za nimi do budynku i zatrzasnęli za sobą drzwi.

– Dobry wieczór – ciszę w końcu przerwał Kuba, starając się nadać swojemu głosowi obojętny ton. – Nie przeszkadzajcie sobie. My tu tak z ciekawości właściwie... Jest tu gdzieś może prezydent Obama?

Odpowiedziała mu cisza. Nikt się nie poruszył.

– Nie za zimno wam, drogie panie? – desperacko kontynuował Kuba. – Tu chyba jakiś przeciąg...

Odpowiedziała mu cisza. Kuba stracił rezon, a Sylwia z przerażenia miała kompletną pustkę w głowie.

Ale wdepnęli! Czuła, że tętno przyspieszyło jej do co najmniej dwustu uderzeń na minutę. Gorączkowo zastanawiała się, co wypadałoby powiedzieć. Zacząć przekonywać ich, że trafili tu przypadkiem, zaplątali się niechcący?

– Intruzi – powiedział w końcu mężczyzna ubrany w szkarłat. Nie zwracał się do Leśniewskich, raczej stwierdzał fakt. Głos miał przy tym spokojny, ale stanowczy.

Kuba od razu chciał coś odpowiedzieć, ale kobiety strażniczki uniosły włócznie i uderzyły drzewcami o podłogę, co w długim i pustym korytarzu zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Sylwia poczuła, że jej serce jeszcze bardziej przyspiesza, a kolana zaczynają się uginać. Musiała włożyć cały wysiłek w to, żeby nie osunąć się na czerwony dywan. Ukryte pod maską policzki płonęły.

Zastanawiała się, jakim cudem zostali tak szybko zdemaskowani. Już wcześniej musieli zwrócić na siebie uwagę. Wpadli tak beznadziejnie, że mogli liczyć tylko na cud.

– Trafiliśmy tu przypadkiem – powiedziała, a jej głos wydobywający się ze ściśniętego gardła i dodatkowo zniekształcony maską, brzmiał obco i nieprzyjemnie. –

Przepraszamy.

Ona zawsze przeprosza – pomyślał w tym momencie Kuba. Sam też miał pietra, czuł, jak strach formuje mu się w gardle w wielką, nieprzyjemną gulę. Choć wszystko wokół wydawało się surrealistyczne, jak jakiś senny koszmar, zniknięcie Mandy, jego motywy i okoliczności, nagle stały się przerażająco realne. Ona z pewnością wpadła w tę samą pułapkę co oni teraz...

– Sylwia Leśniewska i Jakub Leśniewski – głos mężczyzny przetoczył się przez hall niczym grom. – Przybyliście tu, bo chcecie znaleźć Amandę Powell.

Już po nas – pomyślał Kuba. Niemożliwe przecież, żeby tak szybko ich zidentyfikowali, gdyby nie mieli na sumieniu zniknięcia dziewczyny Adama, podpalenia jej mieszkania i morderstwa Chloe.

A może Lao Pam ich wystawiła? Teraz Kubie wydało się naciągane, że akurat miała przepustki do Mount Veritas i tak łatwo się ich pozbyła. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy mężczyzna ubrany na czerwono, który właśnie ruszył w ich kierunku wolnym, majestatycznym krokiem, to nie Douglas Junior.

Syn producenta bawił się w kręcenie filmów, w organizowanie party na jachcie ojca, pluskał się z panienkami w jacuzzi, może nawet tymi samymi, które trzymały teraz przy nim straż... Całkiem możliwe, że jego imprezowe ambicje sięgały tak daleko, by dostarczać perwersyjnych rozrywek całemu Hollywood. Choć Junior wymawiał ich nazwisko bardziej jak „Lezniewsky”, tymczasem ubrany na czerwono „kardynał” powiedział je idealnie i bez akcentu. Co wzbudziło w Kubie dodatkowe przerażenie.

Kim on jest? Kim są ci ludzie?!

– Posłuchajcie – powiedział, siląc się na spokój. – To my sobie już pójdziemy. Nie będziemy wam przeszkadzać. Poza

tym strasznie chce mi się siku...

Odwrócił się, gotów stawić czoło odźwiernym.

– To miejsce nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Mandy Powell – powiedział mężczyzna w czerwonej masce, ruszając w ich kierunku. – Ani ze śmiercią Chloe Duchamp.

Zaskoczony Kuba zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się z powrotem twarzą do rozmówcy.

– Skąd pan wie, kim jesteśmy i jaki jest nasz cel? – spytała drżącym głosem Sylwia.

– Posiadam bardzo wiele informacji na temat bardzo wielu osób – odparł enigmatycznie tamten.

– Czy wie pan, co się stało z Mandy? – przytomnie wtrącił się Kuba.

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę, jakby zaskoczyła go hardość nieproszonego gościa.

– Tak – odpowiedział w końcu.

– To proszę nam powiedzieć.

Znów zapadła cisza, którą przerwał dopiero gong. Jedno uderzenie. Kuba zastanawiał się, jakim cudem dźwięk jest tak samo słyszalny w oranżerii, jak kilkanaście minut wcześniej w rezydencji.

– Wasz czas dobiegł końca – powiedział mężczyzna. – Światło przychodzi ze wschodu. Tam szukajcie prawdy. Mount Veritas jest fałszywym tropem.

Mężczyzna użył idiomu *red herring*, które dosłownie tłumaczy się jako „czerwony śledź”. Kuba, jak zresztą każdy szanujący się scenarzysta, znał to pojęcie. Ponoć mocno uwędzony śledź, a więc sczerwieniały od dymu, wydziela tak mocny zapach, że można go wykorzystać do zmylenia psów tropiących. W powieści Dana Browna *Kod Leonarda da Vinci* fałszywe tropy podsuwał bohaterom biskup Aringarosa – co po włosku oznacza właśnie czerwonego śledzia.

Kuba ani przez chwilę nie wierzył słowom mężczyzny odzianego w szkarłat, ale ochoczo kiwał głową. Przyklasnęłyby

twierdzeniu, że dwa plus dwa równa się pięć, gdyby tylko oznaczało to możliwość wydostania się z tego kotła.

– Dobrze, dobrze, to my już sobie pójdziemy. – Kuba odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, ale drogę zagrodzili mu dwaj odźwierni.

– Nie tak szybko, panie Leśniewski.

Strażniczki uniosły włócznie, jakby szykowały się do ataku.

– Naruszyliście moją tajemnicę.

Mężczyzna w szkarłacie podszedł, a strażniczki z włóczniami postępowały pół kroku za nim. Stał tak blisko, że Sylwia przez otwory w masce widziała jego oczy. Nie była w stanie dojrzeć ich koloru, ale wydały jej się jasne i zimne.

Nagle z głębi budynku dopłynęły przytłumione dźwięki uroczystej, ceremonialnej muzyki. Niosły rytm powolny, ale wyraźny, jednocześnie jakąś tajemniczość i patos, który był nieprzyjemnie przytłaczający.

– I co mamy teraz z wami zrobić? – zapytał mężczyzna w szkarłacie.

Sylwia miała wrażenie, że zabrzmiało to jak pytanie retoryczne.

Rok później – Warszawa
18 maja, sobota

Obudziła się z bólem głowy i wielu innych części ciała. Sponiewierana i niewypoczęta, bo ile trwał ten sen? Godzinę? Dwie?

Leżała na plecach, choć zazwyczaj spała na boku. Zebranie myśli zabrało jej dłuższą chwilę. Żyła, cesarka przebiegła bez komplikacji. Od kilkunastu godzin była mamą. Szczęśliwą mamą zdrowej córeczki.

Zorientowała się, że w sali ktoś jest. Ktoś, kto wszedł i skrzypnięciem albo trzaśnięciem drzwi obudził ją. Rozchyliła szerzej powieki. Biel szpitalnej pościeli i ścian oślepiła ją. Musiała znów zamknąć oczy.

– No nieźle wyglądasz. Jak na matkę Polkę. Powiem ci nawet, że plasujesz się w górnym centylu.

Otworzyła oczy. Przy łóżku stał Kuba i uśmiechał się szeroko. Sylwia też chciała się uśmiechnąć, ale poczuła, że ma tak spierzchnięte wargi, że jeszcze trochę i pękną. Oblizła się, choć wiedziała, że na dłuższą metę to tylko pogorszy sytuację.

– Nie ma... – powiedziała cicho, zbierając siły.
– Czegoś takiego jak górny centyl.

– No i gdzie ta łagodność matki? – zażartował

brat. – Już konflikt, już czepialstwo...
A przecież podobno po dziecku następuje
przewartościowanie. Robi się ciepły budyń
z mózgu i tak dalej...

– Skąd się tu wzięłeś? – Próbowала się
podnieść, chociaż usiąść na łóżku.

– No wiesz... Nie co dzień zostaje się wujkiem.
Przyjechałem prosto z lotniska. A wcześniej
pojechałem prosto na lotnisko. I wsiadłem
w pierwszy samolot. A ty leż. Lekarz kazał ci
leżeć.

– Właśnie że nie. Mam się podnosić. Lekarz
kazał mi się podnosić.

Sylwia z trudem usiadła na łóżku i na razie to
był kres jej możliwości. Bolało strasznie, ale
wiedziała, że powolutku i wszystko się
rozejdzie. Będzie słabło, a za parę dni wszystko
się zagoi.

– Chcesz coś? – spytał Kuba.

– Pić.

Pokiwał głową. Był autentycznie przejęty,
choć starał się tego nie okazywać. Siostra
zawsze mu wyglądała na chorowitą. Chuda,
drobna. A teraz jej twarz niemal nie różniła się
odcieniem od szpitalnego prześcieradła
i poduszki.

Rodzice powiedzieli mu, że mizerny wygląd
Sylwii nie jest największym powodem do
niepokoju. Najgorsze już za nią i z każdym

dniem będzie odzyskiwać siły. O stan zdrowia dziecka też nie trzeba się było przesadnie martwić. Hania właściwie nie była nawet wcześniakiem, urodziła się ledwie trzy tygodnie przed terminem. Słodko spała tuż obok łóżka matki i jeszcze nawet nie dawała jej się za bardzo we znaki.

Inny problem dręczył Kubę i kazał mu uruchomić w rozmowie z siostrą pokłady aktorskiego talentu. Luz i opanowanie odegrał koncertowo, ale kiedy zamknął za sobą drzwi sali, w której leżała Sylwia, zgarbił się i przygasł.

Na korytarzu zagadał do pielęgniarki, drobnej i zasuszonej pięćdziesięciolatki z farbowanymi na wiśniowo, krótkimi włosami. Na nosie miała przyduże okulary w grubych okrągłych oprawkach w tym samym kolorze, co włosy.

– Dobra kobieto – zaczął niezręcznie, bo nie wiedział, jak należy zwracać się do pielęgniarki. „Siostro” zdawało mu się idiotyczne. – Mam ważne pytanie w sprawie...

Ruchem głowy pokazał na drzwi do sali, w której leżała jego siostra. Pielęgniarka popatrzyła na niego uważnie, poprawiając okulary, które zsuwały się jej z nosa.

– Pan jest ojcem? – spytała zachrypłym, przepalonym głosem.

– No wie pani?! Bratem!

– Bratem tego maleństwa? – zdziwiona kobieta poprawiła okulary i spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Synem pani Sylwii?

Do teatralnego przewrócenia oczami, które było jego znakiem firmowym, Kuba dołożył jeszcze pełne dezaprobaty cmoknięcie.

– Czy pani jest normalna? Ja wiem, że młodo wyglądam, ale przecież mówię, że jestem bratem Sylwii.

– To pan się wyrażaj precyzyjnie! – fuknęła obrażona pielęgniarka. – Ja pytałam, czy jest pan ojcem dziecka!

– No właśnie... – Kuba zawiesił głos i zrobił poważną minę. – Ja w sprawie ojca... Możemy porozmawiać?

Pielęgniarka popatrzyła na niego z zaskoczeniem, bo delikatnie złapał ją za łokieć, próbując odciągnąć w głąb korytarza. Ale Kuba wiedział, co robi. Naoglądał się za dużo kiepskich filmów i seriali, w których scenarzysta idzie na łatwiznę i sprawia, że bohater słyszy przypadkiem albo specjalnie podsłuchuje kluczową rozmowę.

A dobrze wiedział, że Sylwia nie może usłyszeć tego, o co chciał zapytać. Wolał więc nie ryzykować, że dotrą do niej choćby strzępki rozmowy.

Przeszli do końca pomalowanego na seledynowo korytarza, minęli dyżurkę lekarzy

i stanęli przy windzie.

– Proszę pani, chciałem zapytać kogoś kompetentnego. Bo sytuacja nie jest wesoła... – mówił okrężnie. Nawet jemu, mistrzowi dialogów i ciętej riposty, zabrakło słów.

– No domyślam się, skoro ojciec się nie pojawił – odparła pielęgniarka, splatając ręce na piersiach.

– Proszę pani... – zaczął protekcjonalnie Kuba, ale zaraz odpuścił i dokończył już normalnym tonem: – Chodzi o to, że... Ojciec dziecka bierze udział w wyprawie wysokogórskiej. I dwa dni temu urwał się z nimi kontakt.

– Jezus Maria! W Himalajach...

– Akurat nie. Tak się składa, że w Ameryce Północnej. Konkretnie na Alasce. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Chodzi o to, że wlaź tam na szczyt i przepadł.

– Proszę pana... – Pielęgniarka pokręciła głową z niedowierzaniem. – Szczyt to jest nieodpowiedzialności. Jak można zostawiać ciężarną żonę tuż przed rozwiązaniem.

– Ale jakie tuż? Miała urodzić dopiero za trzy tygodnie! Poza tym, co pani tak zaraz ocenia, może pojechał tam zawodowo! I miał wrócić za trzy dni.

Kuba westchnął i na chwilę wyłączył tryb prześmiewcy oraz cynika. Na moment stał się

zwyczajnym trzydziestoparolatkiem, po ludzku zatroskanym o swoją siostrę.

– Ja muszę ustalić... – powiedział cicho, nerwowo obracając w dłoniach telefon. – Czy tę informację można przekazać matce... Znaczący siostrze. Mojej siostrze. Ona zaraz zacznie o niego dopytywać. Czy jej stan zdrowia się nie pogorszy? Czy w tym stanie ona to wytrzyma? Niech pani spyta jakiegoś lekarza, dobrze? Bo ja nie wiem, czy mam jej jakąś alternatywną rzeczywistość wykreować?

Rok wcześniej – Los Angeles
7 czerwca, czwartek

– Zapatrzyłaś się w moje oczy? – spytał Dante bez krzty zmieszania i zamrugał kilkakrotnie. – Wiem, że są wyjątkowe. Hipnotyzujące. Często to słyszę.

O dziwo, Sylwia nie była speszona, mimo że rzeczywiście przez dłuższą chwilę wpatrywała się intensywnie w jego tęczówki. Z jakiegoś powodu Dante jej nie onieśmiał. Może dlatego, że poprzedniego dnia widziała go w samych majtkach? O ile rzeczywiście to był on...

– Chcę się upewnić... – powiedziała hardo.

– Czy są naturalne? – wszedł jej w słowo. – Zapewniam cię... Cały jestem taki, jak mnie rodzice stworzyli... Wszystko mam na swoim miejscu i najlepszej jakości...

Oboje siedzieli na tylnej kanapie limuzyny i mknęli w stronę Glendale. Mieli dziś zbierać materiały do scenariusza, czyli robić research. Było pogodne przedpołudnie. Widoki za szybą samochodu i eteryczna muzyka, która dobiegała z wysokiej klasy głośników, wprowadzały sielską atmosferę, ale Sylwia przez cały czas wracała myślami do poprzedniej nocy.

Znaleźli się z bratem w dramatycznej sytuacji, w pułapce praktycznie bez wyjścia. Sylwia umierała ze strachu, kiedy nagie strażniczki mężczyzny w purpurze podeszły, bez słowa ściągnęły im z twarzy maski, a następnie przewięzały oczy czarnymi opaskami. Skojarzenie było jednoznaczne – z plutonem egzekucyjnym.

Zostali wyprowadzeni z budynku i Sylwia poczuła na twarzy lekki wiatr. Z daleka dobiegała przytłumiona muzyka, gdzieś bliżej odzywały się cykady, słyszeć też było wycie kojota. Na przedramieniu czuła żelazny uścisk palców jednej ze strażniczek. Zatrzymywali się kilka razy, wędrówka trwała więc dość długo – w subiektywnym odczuciu Sylwii całą wieczność. Brat parę razy próbował dowcipnie przerywać ciszę pełną grozy, ale nikt mu nie odpowiadał. Przynajmniej wiedzieli, że nadal są razem. W końcu oboje zostali wpakowani do auta.

Trudno opisać strach, jaki odczuwali, nie mając pojęcia, dokąd jada. Sylwia, urodzona pesymistka, obawiała się najgorszego. I to nie tak, jak w książkach czy filmach, że ktoś odbędzie z nimi długą, wyjaśniającą rozmowę, podczas której choć trochę zdążą się przygotować na los, jaki spotkał wcześniej Mandy. W prawdziwym życiu bywa mniej

filmowo. W każdej chwili mogli zostać zabici. I pewnie nawet nie zorientowaliby się, że coś zaszło.

Że wszystko zaszło za horyzont. Słońce, życie, świadomość...

Kiedy w końcu wypuszczono ich z samochodu i zdjęto im opaski, Leśniewscy zorientowali się, że są w Los Angeles, prawie przed swoim bungalowem.

Red herring – przeleciało Sylwii przez głowę. Czerwony śledź. Kuba nie posiadał się z radości, ale ona, choć też poczuła niewymowną ulgę, była bardziej sceptyczna. Wyobraźnia podpowiadała jej niewygodne scenariusze. Ludzie z Mount Veritas mogli na przykład zrobić im kompromitujące zdjęcia z Bóg wie czym w tle, które wykorzystają do szantażu, jeśli Leśniewscy dalej będą wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Jedno, zdaniem Sylwii, nie ulegało wątpliwości – rezydencja za miastem to nie był fałszywy trop. Przecież tak zawsze jest w życiu. Tłumaczą się winni. Im bardziej natarczywie ktoś zapewnia, że nie ma nic na sumieniu, tym bardziej należy wziąć go pod lupę.

– Halo, księżniczko... – z zamyślenia wyrwał Sylwię głos Dantego. Meksykanin przesunął się w jej stronę na kanapie limuzyny i żartobliwie poklepał ją po kolanie. – Wyjaśnisz mi, o co

chodzi?

Sylwia po przyjacielsku dała mu po łapach; przyzwyczaiła się już do tego, że reżyser, jak większość południowców, ma szerzej zarysowaną strefę komfortu. Naruszał jej przestrzeń osobistą, zdarzało się, że dotykał jej ramienia, raz nawet przetaił kciukiem jej policzek, kiedy umazała się czekoladową muffinką, ale jego zaczepki nie miały podtekstu erotycznego. I nie chodziło tylko o to, że nie była w jego typie, tak jak hollywoodzkie posągowe piękności w stylu Flavii.

Pomimo bezpośredniości i pewnej dozy bezczelności, Dante odnosił się do kobiet z szacunkiem. Nawet gdyby był zainteresowany Sylwią, miał tyle pewności siebie, że podrywałby ją wprost. Dlatego nie czuła się niekomfortowo w jego towarzystwie, jak to nieraz zdarzało jej się z innymi mężczyznami.

– To czemu tak się zapatrzyłaś w moje oczy? – Rozbawiony reżyser rzucił jej powłóczyście spojrzenie.

– Próbuję ustalić, czy wczoraj byłeś... – Uśmiechnęła się. – Wiesz gdzie...

W ogóle nie stracił pewności siebie. Dalej spoglądał na nią zaczepnie, ale nie nachalnie.

– I jak śledztwo, Sherlocku?

Miała ochotę zgasić go jakąś celną ripostą, ale brakowało jej żelaznego dowodu. Wzrost

i postura to było za mało. Głos zniekształciła maska, pod którą skryła się cała twarz. Z wyjątkiem oczu. Ich mocna oprawa była znakiem rozpoznawczym Dantego, ale otwory w masce były tak niewielkie, że przysłoniłyby nawet te niedorzecznie długie i wywinięte rzęsy.

Kto jednak, jeśli nie Sylwia, był ekspertem od wychwytywania najdrobniejszych szczegółów. Poprzedniego dnia przy basenie, kiedy tak na nią napierał, nie była w stanie dostrzec dokładnie oczu, ale ich białka wyraźnie odcinały się w otworach maski, a jedno z nich miało ciemną skazę. Dlatego teraz próbowała ją wypatrzeć.

Była. W tym samym miejscu. Jasna, podłużna plamka na idealnie białym tle.

– Dobra jesteś – powiedział Dante, kiedy wyjaśniła mu, czego wypatruje w jego oczach.

Przysunął się tak blisko, że niemal stykali się nosami. Sylwia w pierwszym odruchu chciała mu wypomnieć, że nie zapiął pasa bezpieczeństwa, ale się powstrzymała. Nie chciała wyjść na nudną sztywniarę.

– To blizna – wyjaśnił.

– Blizna na oku? – zdziwiła się Sylwia.

– Od noża – wzruszył ramionami. – Ćwierć cala obok i zamiast być reżyserem, mógłbym zostać aktorem w filmach o piratach.

Sylwia pokiwała głową. Zerknęła na niego z zaciekawieniem. Miała ochotę podrażnić temat przeszłości Dantego, ale pomyślała, że jeśli da mu czas, sam się otworzy i powie więcej. Miała rację.

– Miałem wtedy piętnaście lat – powiedział Dante po chwili nieco ciszej. – I byłem bardzo głupi.

Opowiedział jej o dzieciństwie, które spędził na przedmieściach Mexico City. W przeciwieństwie do byłej żony, która była rodowitą rzymianką, w żyłach Dantego nie płynęła ani kropla włoskiej krwi, a przynajmniej nic mu na ten temat nie było wiadomo. Nietypowe imię wybrała mu mama, która pracowała jako sprzątaczką w Biblioteca del Banco de México.

Sylwia wyobraziła sobie señorę Alvarez, jak nocami, w zaawansowanej ciąży, krąży między zakurzonymi regałami z książkami, marząc o lepszej przyszłości dla swojego dziecka. Z podziwem myślała o jej determinacji, a jeszcze bardziej o determinacji jej syna. Fakt, że się przebił, że został reżyserem w Hollywood, na pewno przerósł najśmielsze oczekiwania matki. Niewątpliwie oprócz jej błogosławieństwa i własnego talentu, wymagało to tytanicznej pracy oraz masy poświęceń.

– A dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby ustalić, czy tam wczoraj balowałem?

Sylwia milczała przez chwilę, zastanawiając się, na ile powinna go wtajemniczać. W końcu niewykluczone, że Dante był zamieszany w całą aferę. Ostatecznie jednak uznała, że jeśli tak było, to nie ma sensu dalej się przed nim ukrywać. Przecież ubrany na czerwono mężczyzna, którego nazwali z Kubą „kardynałem”, wiedział o nich wszystko.

Kiedy mu o tym powiedziała, Dante pokręcił głową.

– Nie, nie, nie mam nic wspólnego z tym miejscem – położył sobie rękę na sercu. – Byłem tam tak samo jak wy. Z ciekawości. Wszyscy w Hollywood mają teraz fazę na Górę Prawdy. Ale to tylko kolejna porcja rozrywki. Kiedyś była Molly Bloom, teraz masz to. Ale wątpię, żeby oni porywali ludzi... To jakaś teoria spiskowa.

Sylwia już na końcu języka miała pytanie, kim jest Molly Bloom, ale przypomniała sobie film *Gra o wszystko* z Jessicą Chastain w roli głównej o nielegalnym klubie pokera dla VIP-ów i celebrytów.

– Skąd możesz wiedzieć, że oni nie mają nic wspólnego ze zniknięciem Mandy? I śmiercią jej współlokatorki... – powiedziała i zorientowała się, że przez jej słowa przedarła

się niepotrzebnie nutka dramatyzmu.

– Nie powiedziałem, że wiem – reżyser podrapał się w tył głowy. – Ale byłem tam...

– Z była żoną – wyrwało się Sylwii, trochę wbrew jej woli.

– Ach, tu cię boli – zaśmiał się Dante. – Mówiłem ci już. Rozstaliśmy się z Flavią w przyjaźni...

Sylwię korciło, żeby z czystej ciekawości zapytać, dlaczego się rozstali, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Nie chciała podsycać w Dantem wrażenia, że jakoś szczególnie ją to obchodzi. Ale reżysera, typowego ekstrawertyka, nie trzeba było ciągnąć za język.

– Prawda jest taka, że... Właściwie nigdy nie powinniśmy byli wychodzić poza przyjaźń. Flavia i ja... – westchnął i przez moment zdawało się, że porzuci temat, ale ostatecznie kontynuował. – Oboje mamy temperamenty wyceniane na sześć papryczek chili. W pięciostopniowej skali... To nas trochę zaślepiło, bo w łóżku to był nieustający karnawał w Rio...

– Naprawdę, możesz oszczędzić mi szczegółów – weszła mu w słowo Sylwia. – Nie chciałam być wścibska, po prostu od prawie dwóch tygodni próbujemy dojść, co się stało z Mandy Powell. I te dziwaczne ceremonie...

– Jasne, ale... – Dante momentalnie

spoważniał. – Na twoim miejscu pogrzebałbym głębiej w jej relacji z tym całym Yoshidą.

– Co? Podejrzewasz go? Dlaczego?

– Intuicja. Poza tym pewnie połowa gier, które robi dla Douglasa, opiera się na mordowaniu kogo popadnie. Nie uważasz, że to chore?

Sylwia milczała. Przypomniała sobie dokumenty, które Kuba znalazł na biurku Adama. Pożar, rozpuszczanie ciała w kwasie... Wzdrygnęła się.

– Szefie, daleko jeszcze? – Dante odwrócił się do siedzącego za kierownicą Jorgego.

W kieszeni spodni Sylwii zadrżała komórka. Raz, co oznaczało nadejście esemesa. Kiedy wyciągała telefon, Dante nie mógł się nadziwić, dlaczego zawsze i w każdych okolicznościach ma wyciszony dzwonek. Sylwia wyjaśniła, choć po angielsku szło jej to jak po grudzie, że nie lubi robić wokół siebie zamieszania, hałasu. W międzyczasie odblokowała ekran i odczytała – jak się okazało – ememesa. Zdjęcie na ekranie telefonu przedstawiało ośnieżony, groźnie wyglądający szczyt górski.

– Co to? – Dante znów podsunął się bliżej i bez skrpułów zapuścił żurawia.

Sylwia przewinęła zdjęcie i odczytała wiadomość.

– Mój chłopak pojechał na wyprawę wysokogórską.

– Wreszcie powiedziałaś coś ciekawego! – Wiedziała, że Dante się z nią droczy, ale miała ochotę strzelić go w ucho. – Wprawdzie słyszałem już to i owo o twoim chłopaku, ale nie to, że jest himalaistą.

– Nie jest! To są Alpy, a nie żadne Himalaje.

Góry dwa razy niższe, więc pewnie dwa razy bezpieczniejsze – pomyślała Sylwia, ale z niezrozumiałych względów przestraszyła się równie mocno, jak gdyby Artur przysłał jej zdjęcie z ataku szczytowego zimą na K2.

34

– Zapewniam cię, to bardzo mało prawdopodobne, żeby Bob tam był – Kuba próbował uspokajać Dżolantę, która znajdowała się na granicy łez. – Ktoś mi niedawno powiedział, że w Los Angeles mieszka ponad osiemnaście milionów ludzi, a to była jedna impreza. Wprawdzie podobno ludzi z branży filmowej i w wielkiej rezydencji Blake’a Carringtona, ale jednak...

– No ale to gdzie on był? – Dżolanta nerwowo pędzlowała usta różowym błyszczkiem, przeglądając się jednocześnie w komórcie z odpalonym aparatem. Telefon był w etui ze skóry krokodyla. – Przepadł, mówię ci. Wrócił nad ranem... Totalny zmęczony, miał zjazd po kołkejn...

– Po czym? – zwałpił Kuba.

– Kołkejn! – Jego rozmówczyni odrobinę przesadnie zatkała sobie jedną dziurkę w nosie, a drugą głośno wciągnęła powietrze.

– Aaa, po kokainie... – westchnął.

Już żałował, że opowiedział Dżolancie o Mount Veritas. Wiedział, że lepiej jej się nie zwierzać, ale jako tutejsza, a w dodatku pierwszozigowa plotkara, mogła coś wiedzieć.

Nie przestawał myśleć o zdarzeniach wczorajszej nocy. Wszystko jedno, czy miały związek z zaginięciem Mandy, czy nie, działały na wyobraźnię.

Powinien teraz pracować, ale Flavia przysłała mu rano esemesa, że źle się czuje. Zastanawiał się, czy niedyspozycja byłej żony Dantego miała związek z Mount Veritas. A wtedy

zadzwoiła Dżolanta i zaczęła nagabywać go o spotkanie. Zgodził się towarzyszyć jej podczas szopingu w Beverly Center, licząc, że może coś z niej wyciągnie.

Wcześniej, jeszcze z samego rana, wydzwaniali z Sylwią do Cuby. Długo nie odbierał i już zaczęli panikować, że coś mu się stało. Przez nich. Że ma kłopoty, jak nie gorzej... W końcu odebrał. Odsypiał imprezę, która skończyła się dla niego nad ranem sprząaniem kuchni – choć może tylko tak mówił. Kuba miał swoje podejrzenia... Do sprząania kuchni nie wybieraliby co bardziej urodziwych podopiecznych Gloria Shalko Artists.

Cuba był zły na Leśniewskich, bo obawiał się, że nie dostanie już więcej fuchy w Mount Veritas. Nie miał im nic więcej do powiedzenia, oprócz tego, żeby odczepili się od niego i od jego wysoko postawionych zleceniodawców.

Wszystko to wydało się Kubie dziwne i podejrzanе. No jak to możliwe, żeby w XXI wieku działy się takie rzeczy...

Sylwia pojechała pracować z Dantem, a on zadzwonił po kierowcę. Przyjechała Megan, która zawiozła go do Beverly Center.

Dżolanta oczywiście słyszała o imprezach czy też ceremoniach odbywających się w Górze Prawdy. W Hollywood krążyły już o nich legendy. I – jak to legendy – wyolbrzymione do granic perwersji. Choć kto wie, co za orgie tam odchodziły po tym, jak Leśniewscy zostali wyprowadzeni z zasłoniętymi oczami. Dżolanta nigdy nie została zaproszona do Mount Veritas, więc ona też zasypywała Kubę pytaniami. Obawiała się, że bawił tam wczoraj również jej mąż.

Kuba chciał ją uspokoić, mówiąc, że z całym szacunkiem, ale dla księgowego, nawet głównego, to raczej za wysokie progi. Naszła go jednak refleksja – a co, jeśli całą tę szopkę i perwersyjne uciechy organizuje właśnie banda znudzonych księgowych, którzy postanowili ubarwić swą mało ekscytującą egzystencję? Kuba miał alergię na arkusze

kalkulacyjne i nieraz zastanawiał się, jak szybko by oszalał, gdyby przyszło mu na co dzień obcować z tabelkami. Możliwe, że księgowi potrzebują potężnej odskoczni, żeby móc potem normalnie funkcjonować. Dziki seks, kokaina... Kto wie, co jeszcze?

– Boba tam nie było, zapewniam cię...

– O maj gad, jesteś siur? – zapytała dramatycznym tonem Dżolanta.

– Tak, jestem siur! A ty nie bądź siurnięta z tymi podejrzeniami.

– Przecież mówiłeś, że tam ewrybady byli w maskach.

– To może spytaj go o to, gdzie był – odparł, nie próbując nawet powstrzymać ziewania. Nieprzespana noc dawała mu się we znaki. W dodatku łożenie po sklepach śmiertelnie go nudziło. Prawie żałował, że nie jest bardziej stereotypowym gejem i nie szaleje na punkcie ciuchów i mody. Oraz Madonny, którą – jak upierała się Dżolanta – przed chwilą minęli, choć Kuba dałby głowę, że to jakaś zwyczajna starowina ze szparą między jedykami.

– Oczywiście, że spytałam! – Dżolancie już brakowało rąk, żeby dźwigać torby z butików. – Twierdzi, że wypalał midnajt ojl.

– Że co?!

– Wyrabiał nadgodziny. Bo musi zamknąć jakieś kłoterly sprawozdanie.

– Porozmawiaj z nim. To najlepsze, co można zrobić w związku.

– Sirjesly? A co ty możesz o tym wiedzieć?

Kuba chciał się obrazić, ale ostatecznie zaśmiał się i przyznał jej rację.

– Wersacze! – Dżolanta zakrzyknęła z takim entuzjazmem w głosie, że Kuba, odwracając głowę, spodziewał się zobaczyć świętej pamięci projektanta we własnej osobie. Ale nie, okrzyk radości nastąpił jednak na widok butiku. – Zupełnie

wyleciało mi z głowy, że tu jest, a ostatnio poluję na taki sarong... Planujemy Bali-Bali na naszą rocznicę w September...

Kuba nie miał pojęcia, czym jest sarong, ale przynajmniej domyślił się, że chodzi o wyjazd we wrześniu na Bora-Bora. Kiedy pół godziny później wyszli z butik, Kuba miał wrażenie, że minęło pięć lat. Aż bał się spojrzeć w swoje odbicie w witrynie mijanego sklepu, bo był pewien, że posiwiął.

– To teraz co... – Dżolanta przystanęła i zrobiła niepewną minę. – Gucci czy Starbaks?

Alternatywa była tak dziwaczna, że Kuba przez dłuższą chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Może jednak kofi, bo potem, luk, mamy jeszcze Prada, Dżimy Czuu, Halston Herytydż... – wyliczała Dżolanta, którą wizyta u Versace doładowała nadzwyczajną energią. Po czym nagle zmieniła temat. – Tradzik mają tu oświetlenie. Nie uważasz? Milion dolar galery, a żarówki jak w Mrągowie. Przecież ja tu wyglądam jak Barbie-zombie. Bo chyba naprawdę tak nie wyglądam, prawda?

– Oczywiście, że nie...

– Jesteś siur?

W chwilach zagrożenia ludzki umysł potrafi działać błyskawicznie i z niedostępną na co dzień błyskotliwością. Kubie udało się zaimprovizować wymówkę, która pozwoliła mu uciec. Wymyślił pretekst łączący w sobie takie elementy jak pilna wideokonferencja, notariusz w Barcelonie oraz Angela Merkel i cięcia stóp w strefie euro.

Urwał się zdezorientowanej Dżolancie, zjechał windą na parter, wystrzelił z centrum handlowego i ruszył przed siebie Beverly Boulevard, wzdłuż czerwonego krawężnika. Pomyślał, czy by nie zadzwonić do siostry, ale Sylwia pojechała gdzieś, chyba za miasto, robić research do *Końca scenarzystów*, jak roboczo nazwała nowy projekt.

Było gorąco, a niebo miało taki nieprzyjemny odcień wypłowiałego błękitu, jak na starych, zużytych taśmach filmowych przed rekonstrukcją cyfrową. Kuba szedł powoli niezbyt reprezentacyjną ulicą, na granicy Beverly Grove i West Hollywood. W ogóle nie czuło się tu klimatu ani Fabryki Snów, ani Miasta Aniołów. Minął szyld Oriental Silk, kolejny tandetny salon paznokci, i w końcu usiadł na kawę pod jednym z czerwonych parasoli kafejki Kings Road Cafe, a chwilę później, nie mogąc znieść upału, przeniósł się do klimatyzowanego wnętrza.

Był jedną z tych osób, które nie lubią spędzać czasu samotnie. Wręcz czuł się nieswojo, siedząc przy stoliku w pojedynkę, jakby był bez ubrania i ściągał na siebie spojrzenia wszystkich wokół. Już po kilku minutach odkurzył w telefonie dawno nieużywaną aplikację randkową. I nagle miał przebłysk. Pomysł w jego mniemaniu błyskotliwy, który być może pozwoli mu upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nazwał swój profil „Mount Veritas”, tak żeby pozostali użytkownicy aplikacji widzieli go pod tym właśnie pseudonimem. Zadowolony z siebie czekał na rezultat, a w międzyczasie zadzwonił do siostry, żeby pochwalić się swym geniuszem.

– Ale co w tym jest nadzwyczajnego? – głos Sylwii był ledwo słyszalny.

– Gdzie ty jesteś?

– W samochodzie.

– Miałaś pracować.

– Będę, zaraz dojedziemy. Wytłumacz mi lepiej, o co chodzi.

– No jak to? W ten sposób jednocześnie popycham do przodu nasze śledztwo i swoje plany matrymonialne.

– Brawo. Oby nie były to dwa grzyby w barszcz.

– Jeśli już, to czekoladki. Pamiętasz, co mówił Forrest Gump? Życie jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiesz, na co trafisz, a w Los Angeles potwierdza się to na każdym

kroku.

– Czy ty właśnie okazałeś się rasistą?

– No wiesz co! Nawet ja nie mam takich skojarzeń. A jeśli pijesz do tego, że moje blond loki i słowiańska uroda pod tytułem „krew z mlekiem” przyciągają głównie na zasadzie przeciwieństwa...

– Dobrze, już się nie tłumacz – weszła mu w słowo. – Chodzi mi o to, że to może być niebezpieczne. Kuba, lepiej z nimi nie zadzierać. Nie wiem, z kim mamy do czynienia...

– Już nie bądź taka wystrachana. Siedzę w środku miasta. Co mi się może stać? Co najwyżej umrę tu z nudów... A jest szansa, że połknie haczyk... – Kuba parsknął. – Przepraszam, Freudowskie skojarzenie... Ale może odezwie się ktoś, kto też tam był. I porównamy notatki. A jeśli jeszcze okaże się grzechu wart...

– Uważaj na siebie, proszę cię...

Kuba rozłączył się i z zadowoleniem skonstatował, że podczas rozmowy z siostrą w aplikacji randkowej zaczepiło go aż pięć osób. Zamówił kieliszek chardonnay. Przebierając wśród kandydatów, poczuł się jak król życia.

Pół godziny później drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wszedł półbóg. Nie grecki ani skandynawski. Raczej karaibski. Przedziwna mieszanka, a jednocześnie nie budząca poruszenia w tyglu kultur, jakim są Stany Zjednoczone. Kuba zastanawiał się, czy słowo „mulat” jest rasistowskie, podobnie jak to drugie na „m”, ale pisane wielką literą. Afroamerykanin zatem, choć skórę miał barwy kawy z mlekiem, a jego kręcone włosy były miedzianokasztanowe.

Kuba autentycznie miał poczucie, że kawiarenka naraz wypełniła się kołyszącymi rytmami reggae i że zalewa ją ciepłe słońce jamajskiej plaży, bo mężczyzna szedł w jego kierunku niemal tanecznym krokiem. Kuba dawno czegoś podobnego nie przeżył, aż poderwał się z rattanowego

krzeselka i prawie zaczął kołysać się w rytm piosenki *Red Red Wine* UB40, która leciała akurat z głośników pod sufitem.

Mężczyzna przedstawi się jako Oscar i zamówił kieliszek vinho verde.

– To farba? – Kuba nie patyczkował się. Zazwyczaj walił prosto z mostu. W dodatku bez krępacji taksował wzrokiem fryzurę rozmówcy. – Masz naprawdę niesamowite włosy.

– To nie jest farba – warknął Oscar, odchylając się na krześle, jakby pytanie uderzyło go w twarz.

Nietypowa reakcja – pomyślał Kuba, ale był przyzwyczajony do tego, że randki rzadko kiedy przebiegały idealnie gładko, zwłaszcza na początku. Trzeba było dać chwilę czasu, żeby rozmówca ochłonął, wyparowała trema, zeszło napięcie.

– To gratuluje. Matka Natura nieźle cię wyposażyła... – Kuba parsknął, kiedy zdał sobie sprawę z dwuznaczności swoich słów. Może jednak powinien pozostać przy kawie, zamiast zamawiać wino... Było dopiero wczesne popołudnie.

Rozmówca patrzył na niego zimno piwnymi, skośnymi i zmrużonymi jak u kota oczami.

– To znaczy była dla ciebie wyjątkowo łaskawa. Dorzuciła też w pakiecie piękne oczy, a oczy jak wiadomo... – Kuba zawiesił głos, dając Oscarowi szansę dopowiedzenia paru słów.

Ale mężczyzna posłał mu tylko kolejne niezbyt przyjazne spojrzenie. To nieco zbiło Kubę z pantałyku, ale nie zamierzał się tak łatwo poddawać. W końcu nieznajomy umówił się z nim, więc chyba był zainteresowany nawiązaniem znajomości.

– To co robiłeś w Mount Veritas? – kontynuował niezrażony. Na wszelki wypadek jednak ściągnął bejsbolówkę, niby, żeby przeczesać włosy, ale tak naprawdę desperacko zaszpanować swoim słowiańskim blondem. – Latałeś z tacą z szampanem? Z fujarką na wierzchu?

– Posłuchaj, gnojku. – Oscar przysunął się bliżej i ściszył głos. – Teraz morda w kubę, ja mówię.

Kubę zmroziło. Próbując obmyślić ripostę, sięgnął po kieliszek.

– Po pierwsze, nigdy więcej nie wolno wam przekroczyć bramy Mount Veritas.

Kuba niemal zakrztusił się winem.

– Słucham?

– Po drugie, ile razy mamy wam powtarzać? Nie mieliśmy nic wspólnego z tą dziewczyną. Nawet jeśli w to nie wierzysz, dla własnego dobra i dobra swojej siostry, nigdy więcej nie wymawiaj nawet nazwy Mount Veritas. Rozumiesz?

– Koles, kim ty jesteś? – Kuba poczuł, jak fala gorąca rozlewa mu się po twarzy i spływa do żołądka, ale szybko się pozbierał. Nie zamierzał dać się tak łatwo zastraszyć.

– Światło, kurwa, świeci na wschodzie!

Mężczyzna cofnął się i odchylił na krześle, jakby chciał popatrzeć na Kubę z pewnej odległości. Po beztrioskim klimacie reggae nie było śladu. Skośne oczy Oscara były zmrużone jak u tygrysa na moment przed atakiem. W umyśle Kuby rezonowała nieprzyjemna głucha cisza.

Z kieszeni spodni mężczyzna wyciągnął elegancki portfel z czarnej skóry i wydobył zeń dwudziestodolarowy banknot. Bez słowa położył je na stoliku, pod opróżnionym kieliszkiem, po czym wstał i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Kuba patrzył jak oniemiały na jego miękkie, rytmiczny krok. I na niewiarygodnie wąskie biodra, których kształt podkreślały idealnie dopasowane czarne spodnie, a także obcisła błękitna koszula, która opinała dla odmiany szerokie barki.

– Hej, poczekaj! – Kuba nie poddawał się, ale jego rozmówca nawet się nie odwrócił.

Oscar otworzył drzwi.

– Hej, dobra, zrozumiałem przesłanie. A nasza randka? – zawołał zdesperowany Kuba. – Czy umówiłeś się tu ze mną,

tylko żeby mnie nastraszyć?

Mężczyzna posłał mu spojrzenie już mniej groźne, ale za to pełne niedowierzania, żeby nie powiedzieć protekcyjne. Tak jakby Kuba właśnie poprosił go o pożyczkę na niski procent miliona dolarów. Po czym bez słowa odwrócił się i wyszedł z kawiarni.

35

Prowadzona przez Jorgego limuzyna zatrzymała się przed bramą stylowej, choć nieco zapuszczonej willi opatulonej winoroślą. Jasnobrązowy budynek z lekko spadzistym dachem był odgradzony od drogi wysokim białym murem, którego tynk pękał gdzieś i kruszył się, odsłaniając cegły. W czerwień tych ran wpijały się wąsy winorośli, podpierając się na nich w swojej wspinaczce ku słońcu.

– Gdzieś ty mnie przywiózł? – spytała Sylwia, rozglądając się z ciekawością, wysiadłszy z auta. Uderzyła ją fala gorąca. Ciepły wiatr niósł zapach cytrusów, a także wilgotnej, żyznej ziemi.

– Madame de Brazile jest legendą Hollywood – odparł Dante, zatraskując drzwi limuzyny po swojej stronie. – Podobno porad u niej zasięgały Elizabeth Taylor, Katharine Hepburn, Marylin... A i Hitchcock też u niej bywał...

– Muszę ci się do czegoś przyznać. – Sylwia posłała mu pobłażliwe spojrzenie. – Ja kompletnie w to nie wierzę.

Limuzyna ruszyła i po chwili zniknęła za zakrętem.

– Naprawdę? Nic? – Dante przeciągnął dłońmi wzdłuż skroni, by wygładzić włosy po bokach. – Zupełnie nic? Daj jej szansę, zobaczysz, że cię zaskoczy...

– Jestem nieuleczalną racjonalistką – westchnęła Sylwia. – Możemy to wprowadzić w nasz scenariusz, jako kolorową błyskotkę, nic więcej. Nie ma mowy, żeby Wendy odnalazła się dzięki wróżce...

Chciała jeszcze dodać – „po moim trupie”, ale ugryzła się

w język. Po co kusić los? Zaraz jednak pomyślała, że przecież jest racjonalistką i nie wierzy w takie zapieszanie ani inne zabobony. Widocznie jednak szczypta przesądów była zakodowana i w niej.

W *Końcu scenarzystów* śledztwo bohaterów utknęło w martwym punkcie. Nic złego. Było to nawet z korzyścią dla realizmu w filmie. Jeśli widz odniesie wrażenie, że bohaterom dziwnie łatwo udało się rozwiązać zagadkę zniknięcia Wendy, będzie rozczarowany. Uzna, że historia jest wydumana i nierealna, wymyślona na siłę przez scenarzystów.

Ślepy zaułek, czyli fałszywy trop, był więc jak najbardziej wskazany. Dante chciał, żeby była nim budząca dreszczyk niepewności dziwna i niepokojąca ceremonia, jak ta, w której oboje uczestniczyli poprzedniego dnia w Mount Veritas, ale Sylwia z całą stanowczością próbowała mu to wyperswadować. Po pierwsze – z tego całego kopiowania prawdziwego życia robiła się już jakaś złośliwa obsesja. Po drugie – Sylwia nie chciała zżynać z Kubricka. Po trzecie – bała się. Zwyczajnie obawiała się zemsty „kardynała” i jego ludzi, jeśli przedstawi w filmie ich rytuały, nawet zmieniawszy to i owo. Dostali przecież z Kubą wyraźne ultimatum.

Jeszcze w limuzynie opowiedziała Dantemu o wczorajszej konfrontacji z postacią ubraną w szkarłat. Jego wielkie oczy stały się jeszcze większe; bardzo się nakręcił, żeby pokazać to w filmie, ale ona upierała się, żeby bohaterowie *Końca scenarzystów* zaznali tajemniczego dreszczyku na przykład w postaci wizyty u wróżki. Poproszą ją o pomoc w odnalezieniu Wendy i z tego wyprowadzi się jakiś atrakcyjny, ale fałszywy trop. Wróżka rzuci podejrzenia na byłego chłopaka, na producenta albo reżysera, który zafiksował się na młodej aktorce. A prawdziwy trop pojawi się dopiero bliżej końca filmu.

Dante skrzywił się, nie wyglądał na przekonanego.

– Artysta musi być odważny – rzucił, wciągając głęboko

rozgrzane powietrze.

Stanęli przed spatynowaną metalową furtką. Dante wyciągnął palec, żeby nacisnąć guzik wideofonu... W tym samym momencie rozległ się pulsujący dźwięk. Sylwia aż się wzdrygnęła, bo pomyślała, że oto wróżka przewidziała ich wizytę i otwiera im drzwi, zanim jeszcze zadzwonili, ale okazało się, że to komórka Dantego.

– Poczekaj...

Reżyser wyciągnął telefon z kieszeni obcisłych dżinsów i przyciskając go do ucha, oddalił się parę kroków. Sylwia odwróciła się twarzą do drogi i podziwiała widok, jaki rozciągał się za barierką. Columbia Drive wiała się na niewielkim wzniesieniu. W oddali widać było monstrualne, rozległe Los Angeles z wyspą wysokich biurowców w centrum, między innymi DoDo Pictures i DoDo Gamez. Piękny widok psuło tylko powietrze, któremu daleko było do krystalicznej czystości. Sylwia zastanawiała się, czy to smog, czy resztki porannej mgły.

– Coś się stało? – spytała, kiedy Dante wrócił do niej, skończywszy rozmowę. Wydawał się zaskoczony, zmieszany. O mało nie upuścił komórki, próbując wcisnąć ją z powrotem do kieszeni.

– Dzwonił Junior...

Dante zamilkł, a Sylwia wpatrywała się w niego pytająco.

– Dowiedział się czegoś na temat Adama Yoshidy i tej jego zaginionej dziewczyny... Był bardzo wzburzony...

– Ale czego? Skąd on w ogóle o nich wie?

– Nie wiem, nie chciał rozmawiać przez telefon. Będzie w Los Angeles po południu, umówiliśmy się. Powiedział tylko, że odkrył coś szokującego. I że nie jest to rozmowa na telefon.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

Dante popatrzył na Sylwię niezbyt przytomnie.

– Skąd on wie o Mandy? – powtórzyła pytanie.

– A to jest taka tajemnica? – wzruszył ramionami. – Nie

wiem skąd. Ja z nim o tym raczej nie rozmawiałem.

Sylwia przyjęła do wiadomości tłumaczenie Dantego. Rzeczywiście, ani ona, ani Kuba, ani Adam na tym etapie nie kryli się już z prowadzonym śledztwem. Przecież opowiedzieli o wszystkim Lao Pam, kiedy dostali od niej krzyże – przepustki do Mount Veritas. Może to żona Douglasa wspomniała o tym pasierbowi?

Sylwia była podminowana. Zastanawiała się, czy nie poprosić Dantego, żeby oddzwonił do kumpla i zapytał go, co takiego szokującego tamten odkrył. Teraz nie będzie mogła się skupić na zbieraniu materiałów do scenariusza. Ale skoro Douglas Junior uznał, że nie jest to rozmowa na telefon, to trzeba będzie poczekać. Swoją drogą, co to znaczy, że rozmowa nie jest na telefon? Powiedzenie miało sens w czasach, kiedy połączenia obsługiwały telefonistki. Ale może syn producenta wierzy, że i teraz Wielki Brat podsłuchuje?

Rozmyślenia przerwało jej skrzypnięcie furtki. Stała w niej naprawdę wiekowa staruszka, opierająca się na lasce zakończonej gałką w kształcie głowy kobry. Była obwieszona złotą biżuterią, miała na sobie indyjską szatę w różnych odcieniach zieleni, a na głowie żółty turban.

– Pomyślałam, że nie wiecie, jak zadzwonić – powiedziała głosem, który był zaskakująco silny, zważywszy na jej wiek i kruchą posturę. – Zapraszam.

Sylwia uznała, że nie najlepiej to świadczy o wróżce, jeśli nawet nie potrafi odgadnąć powodu, dla którego goście sterczą przed bramą, zamiast wchodzić, ale zachowała tę myśl dla siebie.

36

Dom wróżki czarował. Każdy element wystroju współtworzył w nim atmosferę tajemniczości i transcendencji. Panował tu półmrok, bo w oknach zaciągnięte były zasłony z mięsistego czerwonego weluru. Pod sufitem wisiały pęki zasuszonych roślin i jakieś poskręcane konary. Ściany były obwieszane dziełami sztuki oraz rękodziełem: szerniałymi ikonami, świętymi obrazami, kilimami, japońskimi rycinami i zmatowiałymi lustrami w wielkich złotych ramach, które w nieskończoność odbijały twarz spoglądającej w nie Sylwii. W powietrzu unosił się zapach kadzidełka. Brakowało tylko kota.

Madame de Brazile okazała się barwną postacią, w sam raz do wykorzystania w filmie.

– Zostało mi tak mało czasu... – powiedziała, puszczając głośno bąka – ...że szkoda tracić go na konwenanse.

Usiedli przy wielkim stole z poczerniałego drewna, które jak zapewniła wróżka, było starsze niż egipskie piramidy. Podobno wydobyto je z dna górskiej rzeki, gdzie leżało w naturalny sposób zakonserwowane przez tysiące lat. Wróżka wyciągnęła dwie talie sfatygowanych kart. Sylwia nie była w stanie rozpoznać, czy to tarot, czy jakiś inny system.

– Jesteś bardzo ciepłą osobą. – Staruszka zwróciła oczy ku Sylwii, jednocześnie rozkładając karty. – Łagodna, kompromisowa... Nie założyłaś jeszcze rodziny?

Ostatnie zdanie było ni to pytaniem, ni to stwierdzeniem. Pozwalało zręcznie dopasować dalszą część przepowiedni do

każdego wariantu odpowiedzi. Sylwia zdawała sobie sprawę, że to sprytna manipulacja, ale nie chciała wchodzić teraz w rolę wojującej racjonalistki, która udowadnia na każdym kroku, że ezoteryka to ściema.

– Ostatnio właśnie... – odpowiedziała, szukając właściwych słów. – Trochę mi się wszystko pokomplikowało.

– Nie przejmuj się. – Wróżka przesunęła dłonią nad rozłożonymi kartami, jakby próbowała wyczuć ich energię. – W ciągu roku urodzisz swoje pierwsze dziecko.

Sylwia z trudem i nie do końca powstrzymała śmiech. Przepowiednia Madame de Brazile wydała się jej absurdalna.

– Przepraszam... Dziecko? Naprawdę?

– Widzę to bardzo wyraźnie...

– A... Z kim?

– To już, kochana, zależy rzecz jasna od ciebie...

– Może ze mną – wtrącił Dante i uniósł znacząco brwi.

Zapadła cisza. Wróżka z plaśnięciem dołożyła dwie karty.

– Nie. Zdecydowanie nie – powiedziała po chwili Madame. – U ciebie, przystojniaku, widzę niestety śmierć.

Dante zamarł. Sylwia, której znów chciało się śmiać, dopiero po chwili zorientowała się, że reżyser się nie wygłupia. Autentycznie się przestraszył. Wróżka dołożyła kartę z drugiej talii.

– Na szczęście nie twoją – dodała, stukając w stół upierścienionym, poskręcany od artretyzmu palcem, a Dante wymamrotał coś po hiszpańsku, z ulgą. Zaraz jednak zaczął dopytywać, o kogo w takim razie chodzi. Kogoś z rodziny?

Sylwia siedziała jak trusia, wsłuchując się w dalsze szczegóły przepowiedni. Wróżka wiła się jak piskorz, próbując udzielić wymijającej odpowiedzi.

Sylwia zastanawiała się, na ile Dante jest osobą uduchowioną. To chyba dość powszechne w Ameryce Łacińskiej? Zaraz jednak skarciła siebie, że niepotrzebnie

ulega stereotypom i przypina łątki.

– Mężczyzna. Młody... – mówiła wróżka, przymknąwszy powieki. – Blisko... Bardzo blisko.

Dwie godziny później Sylwia i Dante wyszli z willi przy Columbia Drive. W ich głowach kłębiło się od pomysłów, jak wprowadzić wątek ezoteryczny w *Końcu scenarzystów*.

Dante wyglądał na przybitego przepowiedniami, więc Sylwia próbowała go rozweselić. I tak musieli poczekać na limuzynę. Zaproponowała, żeby wymyślili imię dla filmowej wróżki. Po chwili zaśmiewali się, rzucając coraz to dziwniejsze pomysły.

– Madame de Plesir – powiedziała Sylwia.

– To brzmi jak prostytutka! Może Futuralia?

– To nazwa targów nowych technologii. Frau Tarot?

– Wróżka nie może być Niemką! Widziałaś kiedyś niemiecką wróżkę?

Dante wyjął komórkę i zaczął coś sprawdzać. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Zaklął po hiszpańsku. Sylwia nie rozumiała ani słowa, ale czuła, że to bluzgi dużego kalibru.

– Co się stało? – spytała, zauważając w oddali czarną limuzynę, która zdawała unosić się w rozedrganym powietrzu nad asfaltem niczym poduszkowiec.

– Samolot Douglasa Juniora się rozbił...

11 czerwca, poniedziałek

„Oglądasz wieczór wyborczy?” – pisała Mandy.

„A powinienem?” – odpisał Adam.

„To znaczy, że twój algorytm już przewidział wyniki? Pociesz mnie jakoś, bo ja jestem przerażona”.

„Mój «algorytm», jak go nazywasz, służy do innych celów. Musiałbym go przeprogramować w jakichś sześćdziesięciu procentach, żeby był w stanie przewidzieć wyniki wyborów”.

„Tak, pamiętam, wspominałeś. Ale pamiętaj też, że trafiłeś na typową humanistkę. Opowiedz mi coś więcej”.

„Lava VR to silnik rzeczywistości wirtualnej. Jako humanistka pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale obecnie trwa wyścig technologiczny, podobnie jak było w ubiegłym wieku z lotem na Księżyc...”

Sylwia czuła się niezręcznie, przeglądając na laptopie zapisy rozmów Adama z Mandy. Przycupnęła na leżance na niewielkim balkonie jego apartamentu przy Maple Avenue. Widok był kiepski – na bliźniaczą wieżę z dziesiątkami okien od podłogi do sufitu i kilkanaście

identycznych balkonów, jak ten, na którym siedziała. Jedynie rozglądając się na boki, można było poczuć przestrzeń i zagubić się wzrokiem gdzieś w oddali. Leżanka w kolorze kawy z mlekiem miała ergonomiczny kształt i była wykonana z tworzywa sztucznego, ale nie wyglądała tandetnie.

W głowie Sylwii kłębiły się różne scenariusze; nie licząc brata, nie ufała już nikomu. Nawet Dantemu, który kilka dni temu z nową mocą rzucił podejrzenia na Adama. A te następnie potwierdził Douglas Junior, tuż przed swoją śmiercią.

Aż nie chciało jej się wierzyć, że wypadek syna producenta mógł mieć jakiś związek z ich śledztwem, ale z drugiej strony – czy to mógł być zbieg okoliczności? W momencie kiedy Junior rzekomo dokonał przełomu w sprawie Mandy?

Intuicja podpowiadała Sylwii, że Adam jest niewinny, ale jak tu polemizować z oskarżeniami rzuconymi przez nieżyjącego?

Postanowiła nie kierować się sympatią do Adama, tylko obiektywnie podejść do sprawy. Jeśli dzięki analizie piosenki, którą nagrała Mandy, zdołali ustalić jej miejsce zamieszkania, co jeszcze da się odkryć, przeglądając ich bujną korespondencję?

Ze względu na introwertyczną naturę Adama,

lwia część jego znajomości z Mandy rozegrała się nie twarzą w twarz, ale poprzez pisane wiadomości wysyłane przez WhatsAppa. Plusem takiego rozwiązania było to, że zachowało się każde wymienione przez nich zdanie. Sylwia przeczesywała teraz dziesiątki, setki tych konwersacji. Oficjalnie poszukiwała jakiejś wskazówki, która mogłaby pomóc odnaleźć Mandy. Ale tak naprawdę chciała też potwierdzić albo obalić alibi Adama.

Poza tym koniecznie chciała się czymś zająć. Ostatnie dni były koszarne i bezproduktywne. Ciągłe myślała o Arturze, który wspinał się gdzieś w Alpach. Martwiła się, to było silniejsze od niej. Gdyby nie dała mu tamtej cholernej książki... Fascynacja jej chłopaka wspinaczką rozpoczęła się bowiem od lektury angielskiego wydania *Siedmiu lat w Tybecie*. Pożółkły egzemplarz należał do Mateusza Woydańskiego, który na Teneryfie pożyczył go Sylwii. Artur zaczął czytać książkę w samolocie do Warszawy, a po tygodniu już uczył się na ścianie wspinaczkowej na siłowni w podziemiach dawnego kina Silver Screen przy Puławskiej.

A teraz – ledwie kilka miesięcy później – wyjechał w Alpy... To zdecydowanie za szybko!

Informacja o katastrofie awionetki Douglasa Juniora nadal huczała jej w głowie.

Wstrząsnęła zresztą wszystkimi w DoDo Pictures. Trwało dochodzenie. Dante zgłosił się do prokuratora i złożył zeznania dotyczące rozmowy telefonicznej, którą odbył z synem Douglasa ledwie kilka godzin przed katastrofą.

Kuba był święcie przekonany, że rozbicie się samolotu nie było zwykłym wypadkiem. Feralnego dnia na trasie lotu z Nowego Jorku do Los Angeles panowała świetna pogoda. Maszyna – Cirrus Vision – była niezawodnym cackiem, wartym miliony. Kuba uznał za oczywiste, że Junior pozyskał jakieś szokujące informacje w sprawie zaginięcia Mandy i dlatego został uciszony, podobnie jak wcześniej Chloe.

Sylwia, choć też miała swoje podejrzenia, była ostrożniejsza w sądach. Bo czy to możliwe, że ktoś miał aż taką siłę sprawczą, żeby niepostrzeżenie wywołać pożar w apartamentowcu oraz strącić z nieba samolot?

Dante przeżywał śmierć Juniora, którą jego zdaniem precyzyjnie przewidziała Madame de Brazile. Kumplowali się, Dante wiele mu zawdzięczał. Zmarły był producentem jego debiutu fabularnego, filmu *Los Robados*, właściwie otworzył mu drzwi do kariery reżysera.

Douglas po śmierci syna podobno przeszedł

załamanie nerwowe. Lao Pam opiekowała się nim, nikt inny nie miał do niego dostępu. Sylwia przez chwilę z nią rozmawiała, wyraziła swoje współczucie. Żona Douglasa powiedziała jej, że chce jak najszybciej zabrać męża z Los Angeles, ale oczywiście dopiero po pogrzebie.

Współpraca Sylwii z Dantem nad scenariuszem *Końca scenarzystów* została, przynajmniej chwilowo, zawieszona. Kuba również nie spotykał się z Flavią, nawet nie wiedział, czy jest w Los Angeles, czy może znowu gdzieś wyjechała.

Leśniewscy czuli, że cała ta sprawa już dawno ich przerosła i lepiej przestać się w nią mieszać. Teraz na pewno włączą się zastępy najzdolniejszych, pracowitych i niezmordowanych profesjonalistów. Już nie chodziło o zaginięcie dziewczyny o nieustalonej do końca tożsamości ani o śmierć Francuzki, która przebywała nielegalnie w USA. Teraz zginął syn bardzo bogatego i wpływowego człowieka...

Śledczy na pewno sprawdzą każdą okoliczność. Góra Prawdy też znajdzie się pod ich lupą...

Dlatego Sylwia przeglądała rozmowy Adama i Mandy bardziej dla uspokojenia własnego sumienia, dla zabicia czasu i bez większego przekonania, że coś w nich dostrzeże.

Była jeszcze druga część prawdy... Sylwia zafascynowała się historią miłości Adama i Mandy. Zapis ich rozmów czytało się jak najbardziej wciągający romans. I nie chodziło ani o uniesienia, ani o pikantne szczegóły, ale o głęboką więź obu uczestników tej wyjątkowej miłosnej przygody. Rozmawiali niemal o wszystkim i niemal we wszystkim się zgadzali. Nieważne, czy wymieniali uwagi o pogodzie w Los Angeles, o wystawie prac Zoe Leonard w Geffen Moca, czy o wyborach. Sylwia uwielbiała ten miszmasz tematów i przeskakiwanie od najważniejszych do błałych. Z zazdrością musiała przyznać, że sama nigdy nie spotkała na swojej drodze aż tak idealnie dobranej bratniej duszy.

„Jest takie pojęcie... So-pa” – pisała Mandy.

„Zupa?” – przekomarzał się Adam. Żart, może nie najwyższych lotów, ale miał sens zarówno po angielsku, jak i w polskim tłumaczeniu. W obu językach słowo brzmiało podobnie.

„Widzisz, nawet nie wiesz, że właśnie pomagasz mi je wzmacniać w sobie. To wielka zaleta, ty też ją masz. Czasami mam wrażenie, że dlatego tak świetnie się rozumiemy...”

Sylwia była pod coraz większym wrażeniem inteligencji i erudycji Mandy Powell. Takie

szerokie horyzonty, takie bogate słownictwo... Doskonale widziała już, że Adam jest geniuszem nie tylko matematyczno-komputerowym. Miał szeroką, choć książkową wiedzę z bardzo wielu dziedzin, nie tylko ścisłych: od archeologii, poprzez językoznawstwo, aż do zoologii. Sypał mnóstwem ciekawych szczegółów, znał na przykład nazwy wszystkich krzyżówek lwa: z tygrysem – lygrys i tyglew (w zależności od tego, który gatunek jest ojcem, a który matką), z lampartem – leopon i tak dalej.

Sylwia do tej pory uważała Mandy jedynie za ładną buzię z gitarą, uroczą, aspirującą aktorkę, ale bez głębszych intelektualnych podtekstów. Dopiero teraz cały ten romans nabierał cech prawdopodobieństwa. Sylwia z rosnącą zazdrością przesuwiała kolejne i kolejne strony, na których flirt Mandy i Adama przeplatał się z zażartymi dyskusjami na temat sensu życia, filozofii Poppera czy też najnowszej książki Dawkinsa.

Mandy była piękna i mądra, a jej relacja z Adamem – wyjątkowa. Kto i dlaczego ją przerwał? Może Mandy, która podobnie jak Sylwia była dociekliwa, wplątała się w niebezpieczną sytuację? W żadnej z rozmów z Adamem o niczym niepokojącym nie wspominała. Ani słowa o Mount Veritas. Ale

może dlatego, że nie zdążyła? Sylwia przypomniała sobie, jak sama trzy lata wcześniej leżała w zatrzaśniętym bagażniku samochodu, który tonął. Bo rozwikłała czyjaś niewygodną tajemnicę. Może Mandy zabrakło łutu szczęścia, który w przypadku Sylwii sprawił, że pułapka w ostatniej chwili się otworzyła...

Co, jeśli biedaczka leży teraz gdzieś zamknięta i uwięziona? A czas ucieka.

Sylwia wstała z leżanki i trzymając w ręku laptop, weszła do mieszkania.

W salonie panowała cisza przerywana jedynie ledwo słyszalną pracą samobieżnego odkurzacza. Adam siedział wyprostowany przy biurku i ze skupieniem wpatrywał się w monitor. Jego szczupłe palce pianisty tańczyły na klawiaturze. Miał ten sam co zawsze łagodny i opanowany wyraz twarzy, który działał na Sylwię kojąco. Podeszła bliżej, niemal wstrzymując oddech, żeby mu nie przeszkadzać. Na ekranie komputera przesuwały się rzędkie symbole, które kompletnie niczego jej nie mówiły.

– To Lava VR? – spytała.

Lekko zaskoczony oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na Sylwię.

– Skąd wiesz? – zapytał, kiwając głową. – Już niedługo będzie gotowa do testów.

– Czytam waszą korespondencję.

Adam posmutniał. Przerwał pracę i obrócił się na krześle, żeby być przodem do Sylwii.

– I jak? Udało ci się coś znaleźć?

Sylwia spojrzała na niego przepaszająco i pokręciła głową. Przez dłuższą chwilę patrzyła na nią tymi swoimi ufnymi, niebieskimi oczami. Jakoś nagle, w chłodnym świetle zainstalowanej pod sufitem rampy z ledowymi reflektorkami, rysy jego twarzy wydały się Sylwii mniej azjatyckie, a bardziej europejskie.

– Myślisz, że ona jeszcze się znajdzie? – zapytał w końcu Adam.

Rzadko kiedy jego głos był w stanie przekazać emocje, ale teraz czuło się w nim smutek i obawę. Sylwia próbowała uśmiechnąć się krzepiąco, ale tak naprawdę była przekonana, że odpowiedź na jego pytanie brzmi „nie”. Chciała wierzyć w to, że Mandy jest gdzieś więziona i utrzymywana przy życiu, ale brutalna prawda była taka, że najprawdopodobniej już od dawna nie żyje. Była pierwszą ofiarą mrocznej intrygi, która zataczała coraz szersze kręgi.

Sylwia nie wiedziała, co odpowiedzieć Adamowi. Pocieszać go irracjonalnie? Powiedzieć, co naprawdę myśli? Podeszła i w opiekuńczym geście położyła mu dłoń na ramieniu.

Adam poruszył się, aż skrzypnęła sprężyna ukryta gdzieś w futurystycznym krześle. Sylwii wydawało się, że mężczyzna próbuje zebrać się w sobie, żeby przezwyciężyć nieśmiałość i spojrzeć jej prosto w oczy.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Za co?

– Że próbujesz.

– Nie dziękuj...

– Jesteś taka dobra.

Adam podniósł się z krzesła komputerowego i nie odrywając wzroku od jej oczu, zrobił krok w jej stronę. A potem kolejny. Zareagowała zaskoczeniem, ale zaraz potem cofnęła się instynktownie. Wyczuła, że zaszła w nim jakaś dziwna zmiana, i przestraszyła się.

Nagle aż podskoczyła ze strachu, bo miała wrażenie, że ktoś zaszedł ją od tyłu. Ale to był tylko samobieżny odkurzacz. Kiedy znów skupiła wzrok na Adamie, ten stuknął palcem w ekran komórki. Zdalnie sterowane rolety zaczęły zjeżdżać, odcinając światło.

Spanikowana cofała się, aż poczuła na plecach klamkę okna balkonowego. Stała, niemal zahipnotyzowana, a serce waliło jej jak młotem.

– Adam – wydusiła z siebie w końcu. – Co ty robisz?

Nie odpowiedział jej, ale na jego twarzy

malowała się determinacja. Kolejny jego krok, wyciągnięcie ręki. Sylwia dyskretnie cofnęła ramię za plecy i próbowała wymacać klamkę. Ale co to da, że ucieknie na balkon? Jest w pułapce.

Niespodziewanie Adam nachylił się i pocałował Sylwię w usta.

Stała przez chwilę zaskoczona, nie wiedząc, jak zareagować. Ale w końcu odwzajemniła pocałunek.

Wracając z apartamentu Adama, Sylwia miała mętlik w głowie. Buntowała się przeciwko wożeniu tyłka limuzynami, temu sztucznemu kreowaniu się na elitę. Było po zmroku i słyszała różne opowieści na temat bezpieczeństwa w środkach masowego transportu w Los Angeles, ale Dante zapewniał ją, że sam od lat jeździ regularnie metrem i nic mu się jeszcze nie stało. „A mały zawsze jest pierwszy do bicia” – podsumował autoironicznie.

Kiedy zobaczyła autobus, który jechał do dworca Union Station, wskoczyła do niego bez wahania. Kwadrans później przesiadła się do czerwonej linii metra i parę minut po dwudziestej drugiej wchodziła już na ganek bungalowu.

Otworzywszy kluczem przeszklone drzwi wejściowe, poczuła zapach wody kolońskiej, której używał ostatnimi czasy jej chłopak. Nie miała wyostrzonego zmysłu węchu, ale to na pewno nie były perfumy, których używał jej brat. To były Terre d’Hermès Artura. Intensywny, męski zapach... Wysuszonej ziemi i drewna. Przywoływał wspomnienia.

W pierwszej chwili pomyślała, że ma omamy węchowe. Przez całą drogę Artur huczał jej w głowie. Miała wyrzuty sumienia, a natrętne myśli o ich skomplikowanej relacji nie chciały jej opuścić. Rozłąka powinna pomóc Sylwii rozwiązać wątpliwości, ale tak naprawdę niczego nie wyklarowała. Wręcz przeciwnie.

Nie, zapach był zbyt wyraźny, to nie mogło być złudzenie. Może Kuba, który przerwę w pracy związaną z żałobą po

Douglasie Juniorze wypełniał randkami, zaprosił tu kogoś, kto używa tej samej wody kolońskiej, co Artur?

Będzie niezręcznie – pomyślała. Z drugiej strony brat był sam sobie winien, mógł uprzedzić, że chce wolną chatę. Weszła do bungalowu i zaczęła nasłuchiwać, ale z sypialni Kuby nie dochodziły żadne odgłosy. W domu panowała ciemność, rozpraszana jedynie wpadającą przez okna poświatą miasta oraz mikrym blaskiem lamp oświetlających basen. Sylwia ruszyła do salonu, ale zaraz znów przystanąła.

W półmroku majaczył kształt stojącej na podłodze niewielkiej walizki. A na kanapie – zwalista męska sylwetka przykryta pledem.

Czyżby romans Kuby nabrał takiego przyspieszenia, że absztyfikant już się wprowadził?

I wtedy rozpoznała znajomą linię pleców. Aż westchnęła z wrażenia. Na kanapie spał, a raczej budził się już, Artur Grabski – wytrącony ze snu odgłosami jej kroków.

– Przecież miałeś być w górach. – Sylwia zapaliła lampę stojącą w kącie pokoju. Poczwała galop emocji: łeb w łeb biegle zdumienie, nostalgia, zmieszanie i niepewność.

Za dużo tego wszystkiego jak na jeden wieczór.

– Skąd. – Artur przetarł twarz, po czym ziewnął.

– Przysłałeś mi zdjęcia.

Westchnął i usiadł na kanapie. Znów ziewnął.

– No ale napisałem... Pod zdjęciem. Że każdy ma swoje priorytety. Przedwczoraj zabrałem się ze schroniska i zjechałem na dół, potem do Paryża i sru. Moim priorytetem jesteś ty.

Był rozespany, ale też wyglądał na wykończonego. Pewnie zarówno wyprawą w góry, jak i wielogodzinnym lotem. Ale nawet z rozczochranymi włosami i kilkudniowym zarostem niewiele tracił ze swego uroku.

– Twoim priorytetem powinno być wykonanie telefonu. Trzeba było nas uprzedzić. Nas, a przede wszystkim mnie. –

Sylwia podeszła do niego i nie wiedząc, jak powinna się z nim przywitać, bardziej matczynym gestem poprawiła mu rozwichrzony włosy.

– Jestem aktorem. W filmach bohaterowie nigdy nie dzwonią, po prostu przyjeżdżają – odparł, ziewając, po czym złapał ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Wykap się – zaproponowała Sylwia. – A ja zaparzę kawę. Pewnie już nie zaśniesz, bo w Europie jest rano. Głodny jesteś? Mam tylko pierożki momo.

– Co masz? – parsknął śmiechem.

– Lao Pam nam przysłała. Takie tybetańskie pierożki. Na parze chyba.

Godzinę później siedzieli przy basenie, wsłuchując się w szum miasta i odgłosy cykad.

– A więc tak wygląda amerykański sen – zażartował Artur, prostując nogi i opierając boscie stopy na rattanowym podnóżku.

Zapadła cisza. Niezręczna. Sylwia milczała, bo nie miała ochoty ani siły na błahe przekomarzanki. Czuła, że nieuchronnie zbliża się rozmowa na temat ich związku. Nie mogą żyć dłużej w takim zawieszeniu. Nie ma sensu tego odwlekać, choć strach przed ostatecznością wyniku konfrontacji był obezwładniający.

Sylwia poszła do kuchni i przyniosła butelkę zinfandela. Pół godziny później wino było nadal nietknięte, w przeciwieństwie do tematu rozmowy, którego tak bardzo się obawiała.

– Naprawdę myślisz, że chodzi tylko i wyłącznie o... – Sylwia próbowała przełamać się i wypowiedzieć na głos, jak gdyby nigdy nic, imię aktorki, z którą zdradził ją Artur, ale nie przeszło jej przez gardło. – O nią?

– A o co innego? – Artur poderwał się z leżaka, ale zaraz usiadł na nim z powrotem. – Nie wiem, jakie ty możesz mieć wątpliwości? Przecież było nam tak dobrze.

– Tak uważasz? – Sylwia spytała prowokacyjnie.

– A ty nie? – Artur uniósł wysoko równe jak od cyrkla brwi.
– Nie wiem... Nie zrozum mnie źle, nie chcę narzekać, ale mam wrażenie, że czegoś... Brakowało.

– Czego?

– Gdyby to było takie proste, żeby to nazwać...

– Ale to jest proste... Jeśli o mnie chodzi... Niczego mi nie brakowało. No czego? Kłótni?

To prawda, przez trzy lata związku nie zaliczyli żadnej porządnej awantury. Jedyne potłuczony talerz wyslizgnął się Sylwii z rąk po tym, jak dostała od rodziców na gwiazdkę krem do rąk. Mieszkali w zgodzie, wspierali się, od czasu do czasu uprawiali seks, choć ostatnimi czasy coraz rzadziej. Bywało, że zastanawiała się, czego jej brakuje, i zawsze rozsądna część jej osobowości pukała się w głowę. Ale dziś, po całym dniu analizowaniu związku Adama i Mandy, pod którego powierzchnią kipiała głębia duchowego porozumienia, zrozumiała, o co jej chodzi.

Artur i ona byli partnerami, kochankami, byli przyjaciółmi, ale nie można było ich nazwać *soulmates* – bratnimi duszami. Ten najwyższy poziom porozumienia i intymności pozostawał dla nich nieosiągalny. Tak jej się przynajmniej zdawało. I jeśli ona czuła, że czegoś brakuje, on na pewno też to przeczuwał, choćby tylko podświadomie. Być może właśnie to pchnęło go w ramiona Marysi Możejko?

– Masz mi za złe, że nie rozmawiamy o filozofii? – Artur zrobił wielkie oczy, kiedy w końcu spróbowała wytłumaczyć mu, co ją gryzie. – To co, mam poczytać o Kancie?

– Oczywiście upraszczasz. Chodzi mi o taką relację... – Zacinała się, bo trudno było jej się skupić i ubrać w ładne słowa wszystkie rozbiegane myśli. – Myślałam, że wydumaną... Taką, którą spotyka się tylko w komediach romantycznych. Ale tak się składa, że dzisiaj... Już wiem, że ona jest możliwa.

– O czym ty mówisz?

Sylwia czuła, że rozmowa idzie jak po grudzie, ale nie poddawała się. Była przekonana, że trzeba teraz brnąć, by na końcu coś się oczyściło, rozjaśniło. Opowiedziała Arturowi o popołudniu i wieczorze, które spędziła na czytaniu zapisów rozmów Adama i Mandy.

– Zaraz, zaraz... Mówisz o tym koleśku, którego dziewczyna zaginęła? I podejrzewałaś, że to może jego sprawka? I on nagle miał z nią cudowne porozumienie dusz, którego nam niby brakuje?

Na początku swojego pobytu w Los Angeles Sylwia od czasu do czasu dzwoniła do Artura. Częściej jednak on telefonował do niej. Rozmawiali... Już nie o wszystkim, ale o wielu sprawach, między innymi o śledztwie, które prowadziła z bratem. Sylwia nigdy nie rzuciła wobec Adama oskarżeń wprost, ale Artur był inteligentny. Między wierszami wyczuł, że są jakieś poszlaki i znaki zapytania.

– Nie podejrzewałam go. Raczej chciałam oczyścić z podejrzeń. To drobna różnica. Bo teraz zrobiła się z tego naprawdę poważna i zagmatwana sprawa. Zginął syn Douglasa i...

– I zdecydowanie powinna się tym zająć policja – Artur wszedł jej w słowo. – Wiem, czytałem gazety w samolocie.

Popatrzył na Sylwię zatroskanym wzrokiem.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się w to mieszać.

Czuła nutę manipulacji ukrytą gdzieś w troskliwym brzmieniu jego głosu.

– Nie mieszam się.

Temat – ten najważniejszy – dotyczący ich przyszłości niezauważenie ustąpił miejsca wymianie zdań o amatorskim śledztwie. Tak jakby oboje bali się dokończyć rozmowę, którą zaczęli, postawić kropkę nad „i”. Artur sięgnął po butelkę wina. Nie miała korka, tylko metalową zakrętkę. Odkręcił ją i rozlał trunek do dwóch kieliszków.

– Jeśli tak się tu nudzisz, że czytasz korespondencję obcych

ludzi... – Artur posłał jej uśmiech, który stopiłby lód nawet za grubą ścianą z betonu. – I nie masz co zrobić z wolnym czasem, to może... – Znacząco uniósł brwi i powędrował wzrokiem w stronę domu.

– Całowałam się dziś z innym facetem – wypaliła Sylwia.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Artur odstawił butelkę. Odrobinię zbyt gwałtownie; głośno brzdęknęła w zderzeniu z terakotą.

– Z kim? – zapytał ostro.

– Nieważne.

– Taaa... Nie wiesz nawet z kim?!

– Oczywiście, że wiem.

– No to z kim?

– Z Adamem.

W odpowiedzi Artur posłał jej tylko wymowne spojrzenie.

12 czerwca, wtorek

Źle rozłożyła naczynia na tacy: talerz z sałatką z żółtej soczewicy z kawałkami mango, miseczkę zupy z dyni oraz kubek z kawą. Musiała teraz balansować, żeby jedzenie nie zsunęło się i nie spadło. Idąc powoli, noga za nogą, rozejrzała się po restauracji na dziesiątym piętrze biurowca DoDo Pictures. O tej porze większość stolików z jasnego drewna była jeszcze wolna. Blisko pękatego filaru z surowego betonu dźwigającego otwartą przestrzeń pomieszczenia siedziała Lao Pam. Ubrana na czarno, skupiona na dziubaniu tej samej sałatki, którą zamówiła Sylwia.

Sylwia podejrzewała, że żona Douglasa zaszyła się w kącie, bo woli siedzieć sama, ale zaryzykowała. Podeszła i spytała, czy może się przysiąść. Pomyślała, że może jednak w tak trudnych chwilach Lao przydałoby się wsparcie. Tybetanka nie była matką Douglasa Juniora, ale śmierć pasierba na pewno stanowiła dla niej cios. Sylwia widziała ból w jej przygaszonych oczach, które dotąd emanowały blaskiem spokoju i ciepła.

– Siadaj, zapraszam – Lao obdarzyła ją

subtelny uśmiechem, w którym była i łagodność, i przyjazne nastawienie, ale też nutka wyuczony uprzejmości, jaką Sylwia nieraz widziała podczas swoich podróży po Azji. Wiedziała, że to element tamtejszej kultury.

Sylwia usiadła i postawiła przed sobą naczynia z jedzeniem. Nie lubiła jeść „z tacy”, zawsze odsuwała ją albo odstawiała na sąsiedni stolik.

– Jak się trzymasz? – spytała. Jako scenarzystka wiedziała dwie rzeczy. Po pierwsze: w takiej sytuacji żadna kwestia nie zabrzmie dobrze. Wszystko jedno, czy powie się „trzymaj się jakoś”, „przykro mi”, „współczuję”, a i tak zawsze wypadnie to banalnie. Ale po drugie: nie ma większego znaczenia, jak się zacznie rozmowę. Nikt nie będzie tego później pamiętał. Ważne, żeby zacząć.

– Bardziej mnie martwi, jak trzyma się Douglas – odpowiedziała Lao, po czym westchnęła. – Tak mi go żal... I nie bardzo wiem, co mogłabym dla niego zrobić. Kompletnie się załamał, kompletnie.

Przez kilka minut opowiadała o tym, jak producent przeżył śmierć jedynaka. Mówiła, że nadal nie wiadomo niczego poza gołymi faktami: pilotowany przez Juniora samolot Cirrus Vision, lecący z Nowego Jorku do Los

Angeles, spadł nagle w okolicach Gothenburga w Nebrasce, nie sygnalizując wcześniej żadnych problemów z maszyną. Prawdopodobnie nastąpiła jakaś poważna awaria układu elektrycznego. Albo Junior zasłabł za sterami. Po prostu w pewnym momencie urwał się z nim kontakt, a dwie minuty później samolot zniknął z radarów. Służby badają sprawę i nie wykluczają udziału osób trzecich.

– To straszne. – Sylwia była przekonana, że prędzej czy później udział osób trzecich zostanie potwierdzony ponad wszelką wątpliwość, ale wolała nie dzielić się teraz z Lao swoimi przemyśleniami. Uznała, że nie ma żadnych dowodów, więc byłoby to nietaktowne. – A policja? Mają jakieś podejrzenia, kto ewentualnie...

Tybetanka pokręciła głową.

– Prawda jest taka – powiedziała po chwili – że Douglas ze względu na swoje rozległe interesy ma wrogów z równie rozległymi wpływami. Od zawsze starał się nas chronić jak tylko mógł.

Lao spojrzała na siedzącego dwa stoliki dalej bodyguarda.

– Ale Junior tego nie znosił. Traktował ochronę jak ograniczenie jego wolności...

Sylwia pokiwała głową. Przez chwilę obie

milczały.

– A co u ciebie? – spytała w końcu Lao. – Proszę cię, powiedz mi coś optymistycznego.

Sylwia zaczęła przeczesywać umysł w poszukiwaniu pozytywnych wieści. Nic jednak nie przychodziło jej na myśl. Była zbyt skołowana. Artur, Adam – nie chciała męczyć Lao roztrząsaniem swojego życia osobistego, nie były zresztą tak blisko.

Od czasu wczorajszego pocałunku nie rozmawiała z Adamem. Wymieniali tylko wiadomości przez komunikator, tak było łatwiej. On ją przeprosił, ona odpowiedziała, że nie poczuła się urażona, przecież nic złego się nie stało. Na własny użytek wysnuła teorię, wedle której Adam czuł się samotny i rozbity emocjonalnie po zaginięciu Mandy i dlatego próbował szukać pocieszenia w ramionach Sylwii. A ona ani nie była gotowa na nowy związek, ani nie chciała być fantomem innej dziewczyny.

Co nie znaczy, że Adam – Mały Książę z Krzemowej Doliny – był jej obojętny. Chyba nie był. Przez moment całowali się tak namiętnie, że świat wokół niej zawirował i jeszcze chwila, a dałaby się porwać niespodziewanej fali. Ale była za bardzo doświadczona życiowo, żeby tak szast-prast skakać na główkę do basenu, w którym raczej

nie ma wody. Wyrwała się z ramion Adama i uciekła do bungalowu.

A potem pojawił się Artur, który dla niej zrezygnował z wyprawy na Mont Blanc. Obaj panowie chcieli się z nią spotkać dziś wieczorem, oczywiście każdy z osobna, a Sylwia najchętniej schowałaby się w mysiej norze, żeby wszystko sobie na spokojnie przemyśleć.

– Czyli nic pozytywnego mi nie powiesz? – Żona Douglasa odłożyła pałeczki na pusty talerz.

– Pogoda nastraja optymistycznie... – palnęła Sylwia i zaraz skarciła się w myślach za serwowanie banałów.

Na szczęście Lao Pam nie sprawiała wrażenia osoby, przy której trzeba popisywać się błyskotliwością. Milczały przez chwilę, ale nie było to milczenie krępujące. W końcu żona Douglasa spytała Sylwię o postępy w poszukiwaniach Mandy. Od czasu kiedy załatwiła Leśniewskim wejściówki na imprezę w Mount Veritas, nie miały okazji porozmawiać. Sylwia streściła jej wydarzenia tamtej nocy, skupiając się na dramatycznej konfrontacji z ubranym na czerwono mężczyzną.

– I po tym daliśmy sobie spokój ze śledztwem – zakończyła relację, wzruszając bezradnie

ramionami.

– Może to i lepiej. – Lao spojrzała na nią przeprasząco. – Nie miałam pojęcia, że tam się dzieją takie dziwne rzeczy. Byłam przekonana, że to takie niewinne głupotki. Hipisi, natura...

Sylwia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tam zdecydowanie jest jakieś drugie dno. I moim zdaniem miało związek z dziewczyną Adama – powiedziała, sięgając po kubek z kawą. – Ale to już nas przerasta...

Lao zmarszczyła czoło. Jedynie w takich momentach dało się poznać, że nie ma już trzydziestu lat, a czas, choć obchodzi się z nią delikatnie, to jednak pozostawia jej po sobie pewne ślady.

– A jak wasz scenariusz? – spytała, przekrzywiając głowę w geście, który oznaczał życzliwe zainteresowanie.

– Właśnie czekam na Dantego... Mamy wreszcie ruszyć po tej przerwie...

Żona Douglasa przytaknęła z aprobatą. Przez chwilę rozmawiały o *Końcu scenarzystów*, a potem na temat komedii romantycznej o buddyjskim mnichu. Budowa scenografii była już prawie na ukończeniu. Trwały castingi, a zdjęcia miały rozpocząć się jeszcze w tym miesiącu.

– Lao, mogę ci zadać pytanie? – spytała

Sylwia, kiedy kolejny raz zapadła na chwilę cisza, wypełniana jedynie dźwiękami cichej, nastrojowej muzyki, która sączyła się z ukrytych w suficie głośników.

– Zawsze.

– Co oznacza „so-pa”?

Lao spojrzała na Sylwię z zainteresowaniem, a jednocześnie lekkim rozbawieniem.

– Chodzi ci o tybetańskie słowo?

– Podejrzewam, że tak. Ale dlatego chciałam cię spytać.

Lao zamyśliła się.

– Hmm, nie jest tak prosto przełożyć to na angielski – powiedziała w końcu, ale potem znów się zamyśliła. – Sama mam z tym problem. Choć oczywiście rozumiem, co to znaczy. Pierwsze znaczenie, które przychodzi mi do głowy to „cierpliwość”, ale to nie do końca oddaje ono sens. Bo „so-pa” to zdolność wytrzymania czegoś, najczęściej nieprzyjemnego. Jest w tym słowie zakodowana też stanowczość, tak jakby osoba, która ma się tą cierpliwością wykazywać, podejmowała świadomą decyzję, że wytrzyma.

– W sensie, że przetrzyma coś trudnego i nieprzyjemnego?

Lao pokiwała głową.

– Pamiętam, że nauczyciel w obozie dla uchodźców tłumaczył nam, że „so-pa” daje siłę

do znoszenia cierpienia i jednocześnie nie pozwala zapomnieć o tym, że w buddyzmie musimy zachować współczucie również dla tych, którzy nas krzywdzą.

– Niesamowite – odpowiedziała Sylwia, która naprawdę była pod wrażeniem. – Aż tyle znaczeń i niuansów w takim małym słowie? W dwóch sylabach?

– Tybetański to zadziwiający język. Sama często się na tym łapię, choć... Niestety mam wrażenie, że coraz więcej zapominam...

Sylwia zaczęła się zastanawiać, skąd Mandy mogła mieć tak dokładne rozeznanie w niuansach słowa, które przed chwilą wyłożyła jej Lao. Wcześniej myślała, sprawdziwszy znaczenie „so-pa” w internecie, że dziewczyna mogła na przykład być kelnerką w tybetańskiej knajpie, ale powierzchowny kontakt z tą kulturą nie tłumaczyłby sprawy. Może więc Mandy podróżowała do Tybetu? Albo nawet przebywała tam przez dłuższy czas?

Przestudiowawszy zapis jej rozmów z Adamem, Sylwia sporządziła listę jedenastu kwestii, które podobnie jak „so-pa” wywołały w jej głowie znaki zapytania. Mogły być punktem zaczepienia, rzucić więcej światła na zaginięcie Mandy. Sylwia postanowiła, że przyjrzy się im bliżej i przebadają każdą z nich.

Może jej cierpliwość i upór w końcu zaowocują.

A może Mandy wcale nie była w Tybecie – pomyślała Sylwia. W Los Angeles również znajdowały się ośrodki kultury tybetańskiej i szkoły. W Hollywood nadal panowała moda na buddyzm, choć może już nie taka, jak w latach świetności Richarda Gere'a i po tym, jak o Dalajlamie zrobiło się głośno, kiedy otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla.

– Jak on na ciebie patrzy – zamyślenie Sylwii przerwał szept Lao.

W podwójnych drzwiach restauracji stał Dante. W fale czekoladowych włosów nad czołem wbił okulary przeciwsłoneczne w oprawkach z imitacji szylkretu. Miał na sobie brunatnozieloną koszulę z rękawami wywiniętymi aż do łokci, wąskie czarne spodnie, a na nogach obowiązkowe buty za kostkę, tym razem intensywnie czerwone. Skinął głową i ruszył w stronę ich stolika.

– Umówiliśmy się... – Sylwia starała się powiedzieć to jak najbardziej obojętnym tonem.

– Mówiłam ci, mamy dziś wrócić do pracy nad scenariuszem.

– To z pewnością... – Lao zawiesiła głos, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nic już nie dodała, tylko sięgnęła po filiżankę z zieloną herbatą.

Sylwia była pewna, że jej rozmówczyni akurat

w tej jednej sprawie się myli. Między nią a meksykańskim reżyserem czasem wprawdzie pojawiało się napięcie, ale tylko na płaszczyźnie zawodowej. Chemii, czyli mówiąc bardziej po polsku – iskrzenia, było tyle co kot napłakał.

Chyba że Dante... To nie Sylwię, ale właśnie Lao obrzucił przez ułamek sekundy spojrzeniem pełnym czułości i tęsknoty? Żona Douglasa, wprawdzie jakieś dziesięć lat starsza od Dantego, była atrakcyjną kobietą, a jej piękno można było nazwać ponadczasowym, bo bardziej niż z urody wynikało z osobowości i intrygującej aury, którą wokół siebie roztaczała. Sylwii w ogóle by nie zdziwiło, gdyby to na Lao Pam meksykański reżyser zagiął parol.

Tylko że Tybetanka była chyba szczęśliwa z Douglasem, więc co z tego mogło wyniknąć?

40

Lao szybko się ulotniła, na odchodnym rzucając jeszcze Sylwii znaczący uśmiech.

– To co, zamówię kawę, a ty mi wszystko zreferujesz... – zaproponował Dante, opierając się łokciami o blat stolika.

– A dlaczego ja mam referować, a ty będziesz popijał sobie kawę? – spytała zaczepnie Sylwia.

– Kobieto, cała nadzieja w tobie. Ja nawet nie pamiętam już, czy nasza bohaterka ma na imię Wendy, czy Mandy...

Zgrywał się. Sylwia nadal przeklinała dzień, w którym zostali zgarnięci przez Lao z lotniska. Wyskoczyła wtedy z historią inspirowaną zniknięciem dziewczyny Adama i teraz nie mogła się od niej uwolnić. Za każdym razem, kiedy próbowała skierować fabułę na inne tory, Dante się sprzeciwiał albo sam podrzucał tropy z ich prawdziwego życia.

I tak jakoś zawędrowali z historią, że bohaterowi w odnalezieniu Wendy pomaga jego znajoma, która jest scenarzystką filmową. Sylwia nie znośiła opowiadać o sobie, a skoro Dante twierdził, że przez kilka dni zapomniał całą historię, pomyślała, że może teraz uda się jej przeprowadzić operację autowygumkowania.

– Zrobmy tak, że naszemu bohaterowi pomaga jego przyjaciel, a nie przyjaciółka... – zaczęła ostrożnie. – Sam wiesz, jak taki tandem świetnie się sprawdza, począwszy od Don Kichota i Sancho Pansy, poprzez Sherlocka Holmesa i Watsona, a skończywszy na Shreku i Ośle.

– Zwariowałaś? – Dante z trudem powstrzymał ziewanie. – Jak jest dziewczyna, robi się ciekawie. To ma sens. Wiem! Zróbmy tak, że ona się w nim zakochała.

– Nie! – Sylwia aż podskoczyła na krześle. – To straszna klisza.

– To nie jest żadna klisza. To życie.

– Ale ile razy to już było? Twój ulubiony *Frantic*, potem co jeszcze? *Tożsamość Bourne'a* i tak dalej...

– O to, to! Właśnie dlatego, że to się sprawdza! Jest konflikt damsko-męski, jest napięcie. I najlepiej jeszcze pójdziemy za ciosem... W kluczowym momencie niespodziewanie pojawi się też jej były facet!

– Nie!

– Tak! Oczywiście, że tak. Który chce ją odzyskać. No gdzie ty się uczyłaś pisać scenariusze, że tego nie czujesz?

Sylwia miała ochotę go udusić. Potem wpadła w paranoję. A co, jeśli reżyser ją szpieguje? No, może ktoś powiedział mu o tym, że Artur przyleciał do Los Angeles... Niemożliwe, żeby Dante przypadkiem wpadł na pomysł tak dokładnie imitujący jej życie. Patrzyła w te jego wielkie ciemne oczy i na bezczelny uśmiezek błakający się po twarzy. Wydawało się jej, że Dante świadomie z niej kpi. Reżyser wziął niedopitą kawę i zaproponował, żeby przenieśli się na dwudzieste siódme piętro. Na wielkiej białej tablicy mieli zapisany kolorowymi markerami wstępny schemat *Końca scenarzystów*.

– *Bromance*... – rzuciła, kiedy weszli do windy. – Ciekawiej będzie pójść w *bromance* niż w romans. Sam wiesz, jaki to jest teraz trend w Hollywood. *Kac Vegas*... – zaczęła wyliczać.

– Ja jestem macho i nie uznaję żadnych *bromansów* – przerwał jej Dante.

– Ale trójkąta uczuciowy... To takie oklepane.

– Nie bójmy się banału. Z banału można zrobić perełkę, *Pulp fiction* i tak dalej...

Sylwia nie miała na podorędziu dobrego argumentu. Słynny

film Tarantino prześladował ją od dzieciństwa. Od czasu, kiedy rozjechał *Czerwonego Krzysztofa Kieślowskiego* na festiwalu w Cannes i zgarnął Złotą Palmę, była wobec niego bezradna.

Dante upierał się jak osioł, żeby dwójka bohaterów *Końca scenarzystów* miała romans, a dokładnie w połowie filmu poszli do łóżka, zgodnie ze starą regułą *sex at sixty*, gdzie *sixty* oznacza sześćdziesiątą stronę scenariusza, czyli jednocześnie sześćdziesiątą minutę dwugodzinnego filmu.

Sylwia wiedziała, że Dante ma trochę racji. Nie upierałaby się tak, gdyby jej prawdziwe życie toczyło się innym torem. Ale te nawiązania robiły się już upiorne, mimo że nie poszła z Adamem do łóżka, a spotkanie zakończyło się, przynajmniej na razie, namiętym pocałunkiem.

– Może najpierw ustalmy finał – próbowała jeszcze oponować, kiedy zainstalowali się już w gabinecie na dwudziestym siódmym piętrze. – Potem dopasujemy punkt środkowy. Może zamiast seksu wymyślimy jakiś *shock at sixty*...

– Dobry film jest jak życie – mówił Dante z pasją, energicznie przy tym gestykułując i krążąc po pomieszczeniu.
– Czasami trzeba zaufać intuicji, iść na żywioł, a zakończenie... Jak sama nazwa wskazuje, jest na końcu. Znajdzie się, nie ma innej opcji!

Sylwia przestraszyła się, że w szale twórczym Dante zetrze wszystkie punkty i notatki, które pieczołowicie od początku zapisywała kolorowymi markerami na białej tablicy. Reżyser jawił się jej jako klasyczny typ południowca, którym targają impulsy.

– Dobry scenarzysta musi mieć opowieść pod kontrolą – powiedziała, zdejmując skuwkę z czerwonego markera, ale zaraz potem przerzuciła się na niebieski.

Dante stał przez chwilę przed tablicą, wpatrując się w nią niczym przyczajony do skoku jaguar, po czym zrobił

dokładnie to, czego dosłownie przed chwilą zaczęła obawiać się Sylwia – wyciągnął rękę i złapał przytwierdzoną magnesem do tablicy gąbkę.

– Nie! – krzyknęła Sylwia, łapiąc go za ramię.

– Zobaczysz, na tych ruinach odrodzi się Feniks. – Reżyser, uśmiechając się łobuzersko, próbował ją ominąć. – Te notatki są jak łańcuchy! Nie czujesz tego? Krępują nas i naszą kreatywność!

– I tak zrobiłam zdjęcia komórką. – Sylwia ciągnęła go za nabite twardymi mięśniami ramię. – Jak zetrzesz, to tylko dołożysz mi roboty, bo będę musiała wszystko od nowa przepisać.

Siłowali się przez chwilę, bo Dante udawał, że nie odpuszcza. W końcu ustąpił, dał sobie wyrwać gąbkę i wraz z Sylwią wybuchnęli śmiechem.

– No! Wreszcie jakieś emocje. Od razu lepiej, prawda? To co? – Przysunął się bliżej i popatrzył jej głęboko w oczy. – Zgadzasz się na seks?

– Jaki seks? – spłoszona, zrobiła krok w tył.

– W sześćdziesiątej minucie...

Stanowczo pokręciła głową. Przez kilka minut próbowali przekonać się nawzajem o swoich racjach, aż w końcu Sylwia uległa. Miała tę wspaniałą zaletę, że potrafiła przyznać się do błędu. Zrozumiała, że jej osobiste przeżycia nie powinny wpływać na scenariusz, a dla filmu rzeczywiście lepiej będzie, jeśli dwójkę głównych bohaterów połączy romans.

Zamiast odróżniać film od prawdziwego życia, mogę teraz skupić się na tym, żeby odróżnić prawdziwe życie od filmu – pomyślała.

Kiedy zadowolony z siebie Dante pisał czerwonym markerem wielkimi literami „SEX”, w gabinecie pojawił się Adam. Sylwia od razu poznała, że coś się stało. Był poruszony, wyglądał tak, jakby dostał się na dwudzieste siódme piętro na piechotę, schodami przeciwpożarowymi, i do

tego biegiem. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział, łapiąc oddech.

– Hej, kolego, my tu pracujemy! – rzucił Dante, ale bardziej żartem niż z pretensją. Skończywszy pisać, zatknął skuwkę na markerze i założył go sobie za ucho.

Sylwia odruchowo sięgnęła do bocznej kieszeni swojego plecaczka, który leżał oparty o nogę biurka.

– Wyciszyłam telefon, bo chcieliśmy się skupić.

Patrzyła wyczekująco na zdyszanego i rozdygotanego Adama, ale nie czuła niepokoju. Wiedziała, że ma on do przekazania coś pozytywnego, bo jego twarz, choć nienawykła do przekazywania emocji, promieniała. Dante również zerkał na intruza z ciekawością. Ta lekka poświata ekscytacji bijąca z oczu Adama w odczuciu Sylwii zawierała coś z miłosnego haju, którego doświadcza się na wczesnym etapie zakochania. Czyżby postanowił wrócić do tematu wczorajszego pocałunku? Chciał ją zaskoczyć wyznaniem? Porwać ją stąd i dokończyć to, co zaczęło się poprzedniego dnia w jego apartamencie?

Miała uciekać od kopiowania filmu, ale scenariusz pewnie znowu dogonił życie.

– Mandy przysłała mi esemesa – wykrztusił w końcu Adam.

41

Przepraszam. Nie szukaj mnie. Nic mi nie jest.
To był błąd. Wróciłam do męża. Zawsze mi zarzucałeś,
że jestem trochę dziecinna. Pewnie miałeś rację.
Życzę Ci szczęścia. Mandy

– Jesteś pewien, że to jej numer? – Sylwia nie liczyła już, który raz przeczytała tę wiadomość. Przebiegała wzrokiem po literach, które wyświetlały się w szarym dymku na ekranie komórki. Poniżej były już dwa kolejne dymki – tym razem niebieskie i pełne wykrzykników – esemesy, w których Adam odpisywał na niespodziewaną wiadomość od Mandy. Oba miały status „odczytane”.

Tyle energii włożyli w szukanie dziewczyny Adama, że Sylwii trudno było teraz zaakceptować banalne rozwiązanie całej zagadki. Dlatego próbowała je podważyć. Ale to najprostsza droga do kurczowego trzymania się teorii spiskowych i do zaklinania rzeczywistości.

– Oczywiście, że jestem pewien. Mam ją zapisaną w telefonie i z tego numeru zawsze dzwoniła.

W ciągu kilku minut dołączyli do nich Kuba i Flavia, którzy piętro niżej pracowali nad scenariuszem *The Plotters*.

– Może oddzwoń? – zaproponował Dante.

– Próbowałem. Nie odebrała.

– Spróbuj jeszcze raz.

Adam wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha. Sylwia obserwowała go w napięciu, a Dante, Flavia i Kuba bardziej

z zaciekawieniem.

– Wyłączyła telefon.

– Może używała tego numeru tylko do kontaktów z tobą – zasugerował Dante.

– Albo ktoś, kto ją porwał, zachował jej komórkę i przysłał nam esemesa, bo zorientował się, że jej szukamy – powiedziała Sylwia. – I chce nas w ten sposób uspokoić, a przede wszystkim spławić policję. Że niby wszystko jest okej, żebyśmy jej nie szukali.

– Dajcie spokój z tą teorią spiskową. – Flavia wzruszyła ramionami. – Jeśli laska ma męża i wkręciła się w romans, to raczej naturalne, że miała osobny telefon do kontaktów z kochankiem.

– Oczywiście – wyrwało się Dantemu, a powiedział to tak sarkastycznym tonem, w którym pobrzmiwała też irytacja, a nawet wściekłość, że Sylwia w gnieniu oka domyśliła się, dlaczego rozpadło się ich małżeństwo.

Reżyser chyba zdał sobie sprawę, że za bardzo się odstąpił, bo szybko się opanował, starając się już nie nasączać swojego głosu żadnymi emocjami.

– Rzeczywiście, to by się zgadzało... – mówił, wsunawszy rękę w kieszenie spodni. – Jeśli jakoś dowiedziała się o waszym śledztwie... Boi się, że romans wyjdzie na jaw, będzie musiała się tłumaczyć na policji z zaginięcia. Więc wyłączyła na chwilę ten drugi telefon, żebyście się odczepili.

– Ona nie miała męża. Wynajmowała mieszkanie z koleżanką – powiedział Adam, wbijając wzrok w szarą wykładzinę.

Flavia i Kuba wymienili spojrzenia, po czym oboje popatrzyli na niego z pobłażaniem.

– Hej, w jakim świecie ty żyjesz? – rzuciła była żona Dantego. – Wiesz, ilu ludzi prowadzi podwójne życie? A przecież ona w ogóle nie była stąd. Tak powiedzieliście.

– Zgadza się – wtrącił Kuba.

– Więc pewnie ma tego męża w Kanadzie, Australii czy innym RPA. I wróciła do niego. *Game over*.

W głębi serca Sylwia gotowa była przyznać Flavii rację. To wszystko mogło być aż tak banalne. Ona z bratem od kilku lat wymyślała niesamowite historie na potrzeby serialu kryminalnego. A tymczasem statystyka jest nieubłagana – większość zdarzeń, które przytrafiają się nam na co dzień, to banały i klisze. Nadzwyczajne historie na miarę filmu to przypadek jeden na milion albo i rzadziej. Może się zdarzyć raz w życiu, a i tak nie każdemu.

Mimo wszystko zasugerowali Adamowi, żeby jak najszybciej poszedł na policję. Śledczy będą mieli sposoby, żeby sprawdzić, skąd została wysłana wiadomość, może nawet namierzą Mandy. I wyjaśnią sprawę raz na zawsze.

– Pojechać z tobą? – spytała Sylwia z troską w głosie.

Adam pokręcił głową. Był jeszcze bardziej speszony niż zwykle. Schował komórkę do kieszeni i wyprostował się, ale nadal skrzętnie unikał spojrzenia komukolwiek z obecnych w oczy.

Wyszedł z gabinetu i pojechał na policję.

Następnego dnia rano został aresztowany.

13 czerwca, środa

– Zdajesz sobie sprawę, że być może pomagasz mordercy? – spytał nerwowym głosem Kuba, nasuwając sobie mocniej na czoło bejsbolówkę. – Tym razem prawdziwemu, a nie wymyślonymu na potrzeby scenariusza?

Wyskoczyli z limuzyny, która podwiozła ich pod siedzibę DoDo Gamez. Wiał silny, gorący wiatr.

– Po pierwsze nie mordercy, a co najwyżej podejrzanemu. Nie skazuj nikogo przed wyrokiem.

– Dlatego powiedziałem „być może”.

– Po drugie – kontynuowała niezrażona Sylwia, z trudem przekrzykując wiatr – sam też nie wierzysz, że Adam zrobił coś złego Mandy.

Była wzburzona. Spiesząc w kierunku drzwi wejściowych, prawie na nie wpadła, bo źle oszacowała prędkość ich obrotu.

– Nawet gdyby jakimś cudem miał coś na sumieniu – mówiła, czekając, aż kolejne skrzydło przekręci się i będzie mogła za nim podążyć. – Nie jest tak głupi, żeby nieudolnie mataczyć z tym esemesem. O technologiach elektronicznych wie wszystko. I jest wybitnie inteligentny...

– Jak co drugi morderca... – wszedł jej w słowo Kuba. – Nie przymierzając, nasz rodak, Kaczynski.

– Jaki Kaczynski?

– No ten Unabomber, co go cała Ameryka przez dwadzieścia lat szukała. Theo Kaczynski. Też wybitny umysł, też ścisły, profesor matematyki, zdaje się. Więc skoro Adam taki „mundry”, to pewnie usunął risercz. I niepotrzebnie zamierzasz się w to mieszać, łamiąc prawo. Co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię, Silwano!

– Kuba! – Sylwia już po drugiej stronie obrotowych drzwi zatrzymała się raptownie i odwróciła, żeby spojrzeć bratu prosto w oczy.

– Dobrze wiesz, że Adam tego nie zrobił. Widziałam jego minę, kiedy dostał tego esemesa.

– Jego minę? Jego twarz wyraża równie dużo, co botoksowe maski naszych gwiazd w średnim wieku...

– No a właśnie wtedy wyrażała, wyobraź sobie. Był pełen nadziei, że uda się w końcu odnaleźć Mandy całą i zdrową. Więc to aresztowanie jest idiotycznym posunięciem. Ale jak znajdą papiery o tym, jak pozbyć się ciała, nikt nie uwierzy, że to było na potrzeby gry komputerowej! Wyjdzie dramat, no pomyśl tylko...

– Jakaś ty naiwna. A Koksiarza z Teneryfy jeszcze pamiętasz? Też był najmniej podejrzany. W życiu nikomu nie można ufać, nawet swojej lewej ręce za prawym uchem, czy jak to tam było...

Sylwia posłała mu karcące spojrzenie. Kuba przypomniał sprawę sprzed kilku miesięcy, którą próbowali rozwikłać na Teneryfie, i pseudonim, jaki mordercy nadała prasa brukowa. Trafił w jej czuły punkt.

– Sama mówiłaś – kontynuował brat, kiedy ruszyli w kierunku wind – że ten cały Douglas Junior zadzwonił tuż przed śmiercią do Dantego i powiedział, że ma dowody na Adama.

– Nic takiego nie powiedział. Miał dowody w sprawie zaginięcia Mandy. I wspomniał Adama, bo w oczywisty sposób on jest powiązany... Tyle. Musimy coś zrobić, żeby go wypuścili. On sobie zwyczajnie nie poradzi w areszcie... Przecież wiesz...

– Patrz, gliny! – brat przerwał jej w pół zdania.
– Już tu są.

Sylwia odwróciła się. Przy kontuarze recepcji stały trzy osoby. Nie byli w mundurach, ale jeden z mężczyzn właśnie prezentował przejętej recepcjonistce odznakę.

– Chodź! – rzuciła cicho Sylwia i pociągnęła brata w kierunku wind. Na szczęście od asystenta Douglasa wydebiła kartę

magnetyczną, która pozwalała im przejść przez szklane bramki DoDo Gamez, a na dwudziestym drugim piętrze otworzyć gabinet Adama.

Nie czuła strachu. Nawet jeśli miała świadomość, że robi coś nielegalnego. To do niej zadzwonił Adam z informacją o tym, że został zatrzymany. Nie miała pojęcia, jak załatwić mu adwokata, ale od razu skontaktowała się z Lao Pam. Żona Douglasa bardzo się wszystkim przejęła. Zapewniła, że mąż ma do dyspozycji sztab wybitnych prawników, i dodała, że Adam jest dla nich nie tylko cennym pracownikiem, ale i przyjacielem, niemal członkiem rodziny, więc zrobią wszystko, by mu pomóc.

Jazda na piętro, na którym znajdował się gabinet Adama, dłużyła się niemiłosiernie, bo winda trzy razy zatrzymywała się, a pracownicy Douglasa wsiadali i wysiadali. Sylwia martwiła się, że policjanci, którzy złapali sąsiednią windę, mogli ich ubiec.

Wreszcie na panelu wyświetliła się liczba 22, a metalowe drzwi rozsunęły się. Sylwia i Kuba wybiegli z windy i ruszyli korytarzem.

– I tak na pewno jest jakiś ślad w papierach. Przecież on zlecił ten risercz oficjalną drogą – powiedział Kuba, kiedy wpadli do ascetycznie urządzonego gabinetu Adama.

– Nie kracz.

Jak na złość, nie mogli znaleźć kartki, która zwróciła uwagę Kuby podczas ich poprzedniej wizyty. Przejrzeli wszystkie papiery na blacie biurka i w szufladach. Dopiero po chwili Sylwia ją zlokalizowała, wpiętą w niebieski segregator, który leżał na ustawionym wzdłuż ściany regale.

– Idą! – syknął ostrzegawczo Kuba.

Niewiele myśląc, Sylwia wepchnęła cienką plastikową teczkę pod bluzkę.

Zdażyła się obrócić, a trzech funkcjonariusze już wtargnęli do pomieszczenia w towarzystwie ochroniarzy.

– Kim jesteście? – spytał mężczyzna, który niedawno prezentował recepcjonistce odznakę. Obrzucił Sylwię i Kubę podejrzliwym spojrzeniem. Jego nozdrza zadrgały jak u drapieżnika, który zwiتریł zdobycz.

Konfrontacja obyła się bez ekscesów. Leśniewscy przedstawili się, a pracujący w budynku ochroniarz potwierdził ich tożsamość. Funkcjonariusz zażądał, żeby opuścili gabinet, w którym nastąpi przeszukanie.

Zjechali na dół i po wyjściu z windy na parterze od razu zadzwonili do Claire. Policjantka nie chciała rozmawiać przez telefon, ale zgodziła się z nimi spotkać. Pół

godziny później siedzieli w jej gabinecie, maleńkim pokoiku na pierwszym piętrze posterunku West LA Police Department, po którym rozchodziło się rżenie starego klimatyzatora.

– Przykro mi, ale takie są procedury. – Claire obrzuciła ich pozbawionym emocji spojrzeniem. – Widocznie były przesłanki, żeby sędzia podpisał nakaz aresztowania Yoshidy.

– Ale tu doszło do jakiejś pomyłki! – Sylwia czuła, że choć jej brat siedzi na krześle obok, to cały ciężar obrony Adama spoczywa na jej barkach. – Jaki on miałby interes, żeby nagłaśniać sprawę? Przecież to Adam poinformował was o zaginięciu Mandy, no niech mi pani powie! Gdyby miał coś na sumieniu, siedziałby cicho.

– I tak byśmy się dowiedzieli. Prędzej czy później o zaginięciu Amandy Powell poinformowałby nas ktoś inny. Współlokatorka na przykład. Prawdopodobnie Yoshida ją uciszył i podpalił mieszkanie, żeby zatrzeć ślady. Powtarzam raz jeszcze: Prokuratura musi mieć mocne dowody, inaczej sędzia nie podpisałby nakazu.

– Po co Adam przychodziłby do was z tym esemesem od Mandy? – Sylwia nie zamierzała odpuszczać.

W odpowiedzi Claire wzruszyła ramionami

i obrzuciła ją zimnym, coraz bardziej niechętnym spojrzeniem.

– To proste. Żeby zamydlić nam oczy. Poza tym myślę, że się przestraszył.

– Czego?

– Że śledztwo zaczęło się rozkręcać. Naprawdę nie mogę wam zbyt wiele powiedzieć... – Policjantka zawiesiła głos i zerknęła na wiszący nad drzwiami zegar. Wyraźnie chciała się pozbyć Leśniewskich i zająć swoimi obowiązkami. – Mamy pewne poszlaki, które łączą Yoshidę ze zniknięciem kilku innych kobiet. Do zaginięć dochodziło w rejonie Los Angeles w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Sylwią zatkało. Czuła się tak, jakby ktoś dał jej w twarz. Siedziała teraz bez ruchu, wbita w fotel słowami policjantki. Kuba natomiast wyprostował się i założył nogę na nogę.

– Chodzi o te zwłoki, które znaleźliście wtedy w tym parku? – spytał z ciekawością.

– Nic więcej nie mogę wam powiedzieć. – Claire wstała zza biurka i odruchowo obciągnęła ciemnogrnatową koszulę munduru. – Ze względu na dobro prowadzonego śledztwa nie mogę zdradzić żadnych szczegółów. Przykro mi. Ale na waszym miejscu nie liczyłabym na to, że Yoshida zostanie wypuszczony za kaucją. Jest winny, pogódźcie się z tym.

23 czerwca, sobota

– Pięć najlepszych filmów – rzucił Dante, pociągnawszy spory łyk budweisera. – Według ciebie.

– Nie wiem – odpowiedziała Sylwia. – Nigdy nie robiłam takiej listy.

Od momentu aresztowania Adama minął ponad tydzień, a sprawą zajmowali się prawnicy wynajęci przez Douglasa. Pogrzeb Juniora odbył się w poprzednią niedzielę w San Jose. Po ceremonii producent poleciał na Hawaje, a jego interesów i bieżących spraw pilnowała Lao oraz liczni asystenci. Wstępne ustalenia Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, która zajmuje się w USA badaniem wypadków lotniczych, za przyczynę wypadku wskazywały zasłabnięcie pilota.

Adama na razie nie udało się wyciągnąć z aresztu za kaucją. Sylwia była początkowo załamana, potem sfrustrowana, bo prawnicy powtarzali tylko, że robią wszystko, co w ich mocy, ale pewnych spraw nie da się przyspieszyć. Z Bostonu przyleciała matka Adama – krótko obcięta blondynka, typ rześkiej i przedsiębiorczej emerytki. Zrobiła na Sylwii dobre wrażenie; poznawszy ją, miało się

pewność, że będzie trzymać rękę na pulsie i zrobi wszystko, co się da, by uwolnić syna.

Rzeczywiście, dwa dni wcześniej udało się wywalczyć termin kolejnego przesłuchania, tak zwanego *bail hearing*, kiedy to sędzia będzie mógł zdecydować o wypuszczeniu Adama za kaucją. Prawnicy z kancelarii Grimm Woods Saunders zapewniali, że tym razem się uda, trzeba tylko poczekać jeszcze kilka dni.

Chcąc przegonić smutę związaną z ostatnimi zdarzeniami, Dante Alvarez zaprosił przyjaciół i znajomych na wieczór filmowy w swoim domu na plaży w Santa Monica.

Sylwia niespecjalnie miała ochotę na imprezę, ale uległa namowom brata. Kuba aż zaniemówił z wrażenia, kiedy toyota avalon z Rebeccą za kółkiem dowiozła ich na miejsce. Następnie przez dobrą godzinę oburzał się dysproporcją między standardem „ich stodoły, w której hoduje się pieczarki”, i „pałacu Alvareza”.

Nie chodziło już nawet o to, że dom Dantego był postawiony na linii brzegowej, więc miał kawałek prywatnej piaszczystej plaży, a z salonu i przestronnego tarasu wyłożonego szlachetnie spatynowanym białym drewnem rozciągał się widok na ocean. Nieruchomość robiła wrażenie również pod każdym innym względem. Tworzyły ją dwa białe przeszklone

prostopadłościanny, ustawione niesymetrycznie, jakby architekt nonszalancko rzucił jedną bryłę na drugą. Wnętrza były wykończone w luksusowym standardzie, ale surowo, bez tandetnych ozdób ani dekoracji. Nie było wątpliwości, że Douglas Clayton dbał o swoich twórców, ba! – wręcz ich rozpieszczał.

– A ty? Masz listę pięciu ulubionych filmów? – spytała Sylwia, spoglądając na ocean.

– Oczywiście. – Dante odstawił zieloną butelkę na stolik i splótł ręce na karku.

– To słucham.

– Ty pierwsza. Ja mam ją nawet spisana, nie chcę, żebyś się zasugerowała.

Sylwia uśmiechnęła się. Nie mogła oderwać wzroku od rdzewiejącej kuli Słońca, która hen daleko na horyzoncie dotknęła linii wody. Pierwszy raz od dłuższego czasu poczuła, że wewnętrzne napięcie odrobinę w niej zelżało. Cały czas martwiła się o Adama i przeżywała śmierć Chloe, Douglasa Juniora oraz zaginięcie Mandy, ale umęczony umysł domagał się czegoś dla równowagi. I rozmowa z Dantem na tarasie z widokiem na ocean tę równowagę pozwoliła jej odzyskać. Teraz Sylwia cieszyła się, że posłuchała brata i przyjechała z nim do Malibu.

– Na pewno *Fortepian* Jane Campion – zaczęła w końcu wyliczać. – *Kundun* Martina Scorsese.

Noce i dnie, ale o tym na pewno nie słyszałeś. *Okruchy dnia*, do którego scenariusz napisała Ruth Praver Jhabvala...

– *Noce i dnie*? Oczywiście, że słyszałem, a nawet oglądałem – Dante wszedł jej w słowo.

Sylwia zrobiła wielkie oczy. Pomyślała, że ponieważ przetłumaczyła tytuł na angielski *Nights and Days*, pewnie skojarzył się mu z jakąś amerykańską produkcją.

– Nie, niemożliwe. To jest polski film.

– Wiem. I to stary! – Dante uśmiechnął się prowokacyjnie. – Ale miał nominację do Oscara. A Jerzy Antczak był moim profesorem na UCLA.

– Gdzie?

– University of California, Los Angeles.

Sylwia była pod wrażeniem. Pomiedzy nimi na chwilę zapadła cisza. Oboje wpatrywali się w horyzont. W stronę słońca podążała pojedyncza pierzasta chmurka, która zaczynała barwić się na różowo, jakby powoli zajmowała się ogniem.

– Zaimponowałem ci, przyznaj! – Dante dał Sylwii żartobliwego kuksańca w łokieć. Zapewne tak samo, tylko trochę mocniej, szturchał swoich kumpli.

– A twoje ulubione filmy? – sprytnie uniknęła odpowiedzi.

– *Chłopcy z ferajny* Scorsese, wiadomo,

męskie gangsterskie kino jest mi bliskie, ale *Kundun* też...

– Nie wierzę.

– Po co miałbym cię wkręcać? Stary, dobry Marty Scorsese kiedyś kręcił hit za hitem. Dalej *Solaris* Soderbergha, może to nie jest arcydzieło, ale mam sentyment...

– A wiesz, że to adaptacja powieści polskiego pisarza? – teraz Sylwia mu przerwała. – No i pokaż tę swoją listę w wersji spisanej, to uwierzę.

W odpowiedzi posłał jej spojrzenie pełne wyrzutu.

– Mogę się przyłączyć? – usłyszała nagle za plecami.

Na tarasie pojawił się Artur. Ścisnął w rękę identyczną zieloną butelkę, co Dante.

– Jasne – odruchowo odparła Sylwia.

Reżyser wyciągnął przed siebie piwo, żartobliwie zachęcając Artura do stuknięcia szkłem o szkło. Dźwięk był odrobinę za głośny, jakby któryś z panów – albo obaj – włożył w ten gest za dużo siły.

– Wpadłeś w oko mojej byłej żonie – rzucił Dante zaczepnie.

Sylwia pomyślała, że podobnie jak Kuba, lubił prowokować i mówić, co myśli.

– Nic nowego – odparł Artur, po czym pociągnął łyk piwa. – Jestem przyzwyczajony

do tego, że wpadam w oko.

– No tak, śliczniutki jesteś...

Sylwia pomyślała, że gdyby Kuba to usłyszał, natychmiast zastrzygłby uszami. Ale ona nie pierwszy raz spotkała się z tym, że najbardziej heteroseksualni mężczyźni czują się dość pewnie ze swoją męskością, żeby wypowiadać podobne uwagi. To raczej ci skrywający kompleksy albo niepewność wystrzegają się jak ognia tego typu prowokacji.

– Mówię całkiem serio – kontynuował Dante.

– Pasowalibyście do siebie.

– Ale ja nie jestem stanu wolnego – powiedział niezgrabnie Artur, którego angielski był na poziomie komunikatywnym, ale nadal dalekim od prowadzenia swobodnej konwersacji.

W głowie Sylwii zapaliło się światełko ostrzegawcze. Nie chciała dopuścić do tego, żeby doszło tu do jakiejś bezsensownej walki kogutów.

– A ten film w końcu będzie? – spytała. Ze względu na swoje umiłowanie spokoju i harmonii była mistrzynią gaszenia konfliktów w zarodku. – Czy skończymy, grając w kalambury?

– Tylko nie kalambury, na miłość boską. Flavia! – krzyknął Dante w stronę domu. – Co z tym filmem?!

Nie czekając na odpowiedź, poderwał się.

Sylwia też wstała i całą trójką weszli przez rozsuwane szklane drzwi do domu, w którym była żona reżysera kończyła przygotowania do projekcji filmu. Pomagali jej Kuba oraz ciemnoskóry operator współpracujący z Dantem, Doug King, a także Cuba Krasinski, którego przywieźli Leśniewscy. W domu kręciło się jeszcze kilkoro znajomych reżysera. Gospodarz wszystkich ich sobie na początku przedstawił, ale Sylwia nie miała pamięci do imion.

Kiedy projektor, ekran i kino domowe były już podłączone, długo i zżarcie spierali się o wybór filmu. Nie było takiego obrazu, którego ktoś z towarzystwa już nie widział. Sylwia i Kuba bardzo chcieli zobaczyć debiut fabularny Dantego, *Los Robados*, ale reżyser oraz Flavia, która pisała do niego scenariusz, odparli, że „jeśli już mają rzygać tego wieczoru, to tylko od nadmiaru tequili”.

Stało na tym, że zamiast oglądać film, będą bawić się rzeczywistością wirtualną DoDo Gamez. „Żeby posmakować tego, co nas zabije” – jak podsumowała Flavia, która żywiła głębokie przekonanie, że gry komputerowe prędzej czy później wyprą kino. Kuba przyklasnął jej ochoczo i choć odezwały się też głosy sprzeciwu, to dalsza część wieczoru wyglądała już tak, że jedna grupka,

zgromadzona wokół szklanego stołu, rozmawiała i jadła, a druga, w kącie, uwijała się wokół konsoli.

W przeciwieństwie do brata Sylwia nie przepadała za grami komputerowymi i nigdy nawet nie miała na głowie gogli rzeczywistości wirtualnej. Ale to było coś, nad czym pracował Adam. Jego Lava VR miała być kolejną generacją systemu, którym firma Douglasa konkurowała z wiodącymi producentami konsol. Postanowiła więc spróbować.

W udziale przypadł jej program przedstawiający realia starożytnego Rzymu. Aż krzyknęła z wrażenia, kiedy zobaczyła przed oczami trójwymiarowe i niezwykle wierne odwzorowanie Kapitolu i kierujące się na wzgórze postacie w togach. Dotąd była przekonana, że ta technologia jest jeszcze w powijakach; tymczasem wirtualne widoki zapierały dech w piersiach.

Czy jeśli wszystko pójdzie źle, to za parę lat film i telewizja naprawdę umrą, wyparte przez rozrywkę dostarczającą silniejszych bodźców?

Dość szybko zakręciło jej się w głowie. Albo od tych silniejszych bodźców, albo miała bardzo wrażliwy błędnik. Istniała jeszcze trzecia możliwa przyczyna – Sylwia wypła za dużo wina, którego na wyścigi dolewali jej Artur i Dante.

Impreza przeciągnęła się do późnej nocy, prawie świtu. Było tak ciepło, że większość gości, zamiast jechać do domu, pozasypiała na leżakach na plaży, na tarasie albo w pokojach gościnnych Dantego.

Sylwia źle spała, budziła się kilkakrotnie. Zawsze tak miała w nowym miejscu, a spore ilości wina tylko pogarszały sytuację. Kieliszek, dwa i spałaby jak zabita. A tak wierciła się w wielkim łóżku w jednym z pokoi gościnnych, a w głowie kołatały jej natrętne myśli. Martwiła się o Adama, potem jeszcze stresowała się przepychankami Artura z Dantem, przez które przez cały wieczór czuła się jak na szpilkach. W rezultacie kiedy kolejny raz obudziła się o brzasku, wiedziała, że lepiej już dać sobie spokój z przewracaniem się z boku na bok.

Wstała i na palcach zeszła do kuchni. Wszyscy jeszcze spali i w domu panowała upojna cisza. Sylwia bała się, że obudzi ich hałas ekspresu, ale luksusowy gadżet AGD wyprodukował kawę bez szemrania. Uzupełniła ją mlekiem migdałowym, które znalazła w lodówce.

Postanowiła pójść na spacer. Do ich kalifornijskiego domu było daleko, ponad trzydzieści kilometrów. Musiała czekać, aż Kuba, Cuba i Artur wstaną; wtedy razem wezwą kierowcę. Wyszła przez taras na plażę

i minawszy śpiących gości, ruszyła w kierunku mającej w oddali betonowej ostrogi, która wrzynała się w ocean. Kojarzyła to molo. W jednym z nagrań, które pokazał jej Adam, Mandy siedziała na Santa Monica Pier i grała na gitarze. Było to jedno z pięciu jej ulubionych miejsc w Los Angeles. Sylwia pamiętała, że kiedyś Adam zaproponował taką zabawę i Mandy, obok obserwatorium astronomicznego Griffith, Getty Center i Farmers Market, wymieniła właśnie molo w Santa Monica.

Po dwudziestu paru minutach spaceru pogrążona w myślach Sylwia dotarła na miejsce. O tak wczesnej porze po molo krążyli nieliczni spacerowicze, było paru biegaczy, ktoś wyprowadzał dwa labradory na smyczy. Oceanarium i park rozrywki z charakterystycznym diabelskim młynem były jeszcze zamknięte. Nagle Sylwia przystanąła.

Zupełnie jakby poraził ją piorun.

W oddali zobaczyła drobną kobiecą sylwetkę; wyglądała znajomo. Po molo spacerowała zaginiona dziewczyna Adama, Mandy Powell.

44

Sylwia nie miała stuprocentowej pewności, bo nigdy nie widziała Mandy na żywo, a jedynie na tych kilku zdjęciach i filmikach, które udostępnił jej Adam. W dodatku idąca wzdłuż molo dziewczyna miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, które zasłaniały jej pół twarzy. Ale ta drobna, dziewczęca sylwetka... Energiczne ruchy rąk... Długie, falujące włosy w kolorze rudego blondu...

Sylwię najpierw poraziło, a potem przez chwilę stała jak wryta, zastanawiając się, jak powinna postąpić. Czas uciekał, ponieważ sylwetka w pomarańczowej letniej spódniczce i czarnej bluzce bez rękawów, ze sporych rozmiarów płócienną torbą przewieszoną przez ramię, schodziła już na plażę.

– Mandy! – zawołała z całych sił Sylwia.

Dziewczyna odwróciła się natychmiast. Sylwii jeszcze mocniej zabiło serce.

To ona! To naprawdę ona!

Ruszyła w jej kierunku. Ale wtedy Mandy, która przez moment rozglądała się nerwowo w poszukiwaniu tego, kto ją zawołał, odwróciła się z powrotem i ruszyła przed siebie, przyspieszywszy kroku.

Sylwia stała nadal, zaskoczona, ale tylko trochę. To było raczej do przewidzenia, bo przecież Mandy z jakiegoś powodu się ukrywała.

Bała się, ale kogo? Swojego męża? Tego, że na jaw wyjdzie jej romans z Adamem? Czyli jednak ten esemes był

prawdziwy?

A może po prostu przestraszyła się, bo nie miała pojęcia, kto ją zawołał. Nie wiedziała, kim jest Sylwia, nie знаły się. Odwróciwszy się, Mandy szukała pewnie znajomej twarzy. Bo przecież kto inny wołałby ją po imieniu? Dwie starsze kobiety, jedna siwa, druga szpakowata? Bezdomny, który grzebał w śmietniku? Para czarnoskórych joggerów, którzy truchtali spokojnym tempem po molo? Niczym się niewyróżniająca kobieta w okolicach trzydziestki? Może nie było w tym nic dziwnego, że Mandy poczuła się zdezorientowana i postanowiła nie reagować na wołanie, tylko jak najszybciej się ulotnić?

Sylwia ruszyła za nią, wyciągając jednocześnie komórkę. Uwolnienie Adama nagle wydawało się tak bliskie... Bez tabunu drogich prawników, bez kaucji, bez użerania się z wymiarem sprawiedliwości. Wystarczy, że Mandy zgłosi się na policję i wyjaśni, że Adam nie zrobił jej nic złego.

Ręce trzęsły się Sylwii ze zdenerwowania. Zastanawiała się, czy nie zacząć biec, by dogonić Mandy, ale nie chciała jej przestraszyć. Miała pewność, że idąc szybkim krokiem, nie straci jej z oczu. Jednocześnie wybierała numer Kuby.

Brat odebrał dopiero po piątym sygnale, kiedy już miała się rozłączyć. Był zaspany, zachrypnięty, ale otrzeźwiał w mgnieniu oka, kiedy wyjaśniła mu, co się stało.

– Ja pierdziu! Nie zgub jej! Błagam cię, nie zgub! – ekscytował się. – W filmach w takiej sytuacji zawsze podejrzanemu udaje się zgubić ogon.

– Nie panikuj, nie jesteśmy w filmie – odpowiedziała Sylwia.
– Przyjdźcie. Tak na wszelki wypadek. Zagadam ją, ale coś boję się, że może chcieć uciec. Wtedy muszę mieć wsparcie. To niecały kilometr, molo widać z tarasu. Chodźcie, szybko!

– Jasne! Budzę ich. O raju, oni śpią razem... Ale nie przejmuj się, to nic zdrożnego. Wykopali sobie dołki w piasku na plaży obok siebie, no wiesz, prawie jak w Muminkach...

- Kuba! To naprawdę poważna sprawa! - zgromiła brata Sylwia i zakończyła rozmowę. Bała się trochę o stan baterii telefonu, bo nie ładowała jej od wczorajszego poranka.

W kiepskim filmie na pewno w kluczowym momencie rozładowałyby się komórka...

Mandy minęła oceanarium i weszła na przejście dla pieszych przecinające Ocean Avenue. Sylwia starała się utrzymać stałą odległość stu kilkudziesięciu metrów, co wcale nie było takie proste, bo Mandy pędziła jak po olimpijskie złoto w chodzie. Skręciła w lewo, przeszła dwie przecznice, skręciła w Colorado Avenue i kilkadziesiąt metrów dalej zniknęła w drzwiach kilkunastopiętrowca. Sylwia, która w tym momencie prawie już ją dogoniła - była niecałe dwadzieścia metrów za nią - przytomnie zdążyła jeszcze włączyć aparat w komórce i nagrać krótki filmik.

Kiedy dopadła do przeszklonych drzwi ze błyszczącymi zawiasami i fantazyjnie wygiętą klamką, odczuła ulgę.

Ptaszek jest w złotej klatce. I już nie ucieknie.

Przez szybę zobaczyła kontuar recepcji po lewej stronie, a na końcu korytarza dwa szyby wind. Tknęło ją, że może Mandy jednak mieszka w tym eleganckim apartamentowcu razem z mężem. I że dotąd po prostu prowadziła podwójne życie, udając aspirującą aktorkę i wynajmując drugie mieszkanie z Chloe. Czy to możliwe, żeby ta zagadka miała aż tak prozaiczne rozwiązanie?

Nie, to niedorzeczne... Co to za mąż, który by się nie zorientował? Chyba że myślał, że jego żona pracuje jako na przykład stewardessa i co jakiś czas znika na parę dni, bo pracuje?

Stop! Nie ma sensu pisać teraz scenariusza. Jak jest naprawdę, okaże się już niebawem...

Sylwia weszła do środka. Otyły mężczyzna w błękitnej koszuli, który przysypiał na półleżący na fotelu za kontuarem recepcji, obrzucił ją znudzonym wzrokiem. Nie wyciągnął

białych słuchawek z uszu, opuścił oczy i wrócił do wpatrywania się w film, który odtwarzał na ekranie komórki. W dusznym lobby unosił się zapach jedzenia, środków czystości i rozgrzanego kurzu.

Po Mandy nie było śladu, ale Sylwia była spokojna. Dziewczyna na pewno tu weszła, więc z pewnością pojechała windą do jednego z apartamentów. Była kilometr, może półtora od domu Dantego. Kuba i pozostali powinni tu być za kilka minut. Sylwia wysłała bratu esemesem dokładny adres.

Choć serce waliło jej jak młotem, postanowiła cierpliwie poczekać na posiłki. Rozwiązanie wielkiej zagadki i uwolnienie Adama było tylko kwestią czasu.

45

Do przyjazdu trzech dżentelmenów Sylwia warowała w lobby apartamentowca niczym pies myśliwski przed króliczą norą. Kuba, Dante i Artur pojawili się po pół godzinie. W tym czasie wydarzyło się niewiele. Ochroniarz, rzuciwszy Sylwii ze dwa badawcze spojrzenia, wrócił do gapienia się w ekran komórki. Tęga pięćdziesięciolatka wyprowadziła na spacer równie otyłego golden retrievera, który ze względu na tuszę i zaawansowany wiek z trudem stawiał łapy i dyszał jak miech kowalski.

Ciszę niedzielnego poranka zmaćcił dopiero podekscytowany Kuba. Sylwia wstała z podniszczonej, ale wciąż całkiem eleganckiej kanapy i zrelacjonowała przybyłej trójce pościg za Mandy. Na potwierdzenie swoich słów wyciągnęła komórkę i pokazała filmik, który udało jej się nagrać.

– Jesteś pewna, że to ona? – Brat wpatrywał się w ekran. – Niewiele tu widać. Sorry, Silwano, ale Rogerem Deakinsem w spódnicy to ty nie jesteś.

– Na żywo widziałam więcej – Sylwia weszła mu w słowo. – Jestem pewna, że to ona. To molo jest jednym z jej ulubionych miejsc w Los Angeles. Poza tym zareagowała na imię „Mandy”.

– No wiesz... W USA Amand jest tyle, co mrówek.

Miała ochotę palnąć brata, choć wiedziała, że deprecjonuje jej odkrycie z zazdrości. Gdyby to on trafił na ślad Mandy, nie miałby żadnych wątpliwości.

Dante wziął na siebie trud porozmawiania z recepcjonistą,

ale niewiele wskórał. Facet obrzucił go niechętnym spojrzeniem i za żadne skarby świata nie chciał powiedzieć, pod którym numerem mieszka dziewczyna, która przeszła przez recepcję pół godziny wcześniej. Nie pozwolił im też nawet podejść do wind; zagroził, że jeśli to zrobią, on zadzwoni na policję.

Leśniewscy wyręczyli go. Zadzwonili do Claire, ale policjantka nie odbierała. Postanowili się rozdzielić. Artur i Dante zostali w lobby, żeby być na miejscu, gdyby Mandy postanowiła wyjść na miasto albo po prostu uciec. Sylwia i Kuba pojechali na posterunek policji, żeby – jeśli zajdzie taka potrzeba – siłą ściągnąć tu funkcjonariuszy.

Sylwia nadal miała nadzieję, że jeszcze dziś Adam opuści areszt. Ale jak to w prawdziwym życiu bywa, nic, na czym nam zależy, nie dzieje się ot tak.

– Czy jest pani pod wpływem alkoholu?

Tak brzmiało pierwsze pytanie policjanta, kiedy Sylwia opisała mu poranne natknięcie się na Mandy Powell.

– Oczywiście, że nie jestem.

– Ale zeznała pani, że zobaczyła Amandę Powell o siódmej rano, po całonocnej imprezie, podczas której spożywała pani alkohol.

– No tak, ale... – Sylwia niemal poczuła, jak wizja Adama na wolności rozplywa się. – Musicie to sprawdzić. Szybko!

– Niech pani zrozumie... – Policjant, wymoczkowaty blondyn po czterdziestce, obrzucił ją protekcyjnym spojrzeniem. – Szybko to my musimy wyciągnąć ciało, które dzieciaki rano znalazły w kanałach burzowych w North Tustin. Sprawdzimy pani zeznanie, ale proszę nie ustawiać nam priorytetów.

Sylwia próbowała się jeszcze wykłócać, po kilku minutach jednak wyszła z pokoju przesłuchań sfrustrowana i podłamana. Na korytarzu czekał Kuba. Spróbowali jeszcze raz skontaktować się z ich znajomą, ale Claire nadal nie

odbierała komórki.

– Nie denerwuj się – powiedział Kuba. – Będziemy pilnować wejścia, a oni w końcu przyjadą i to sprawdzą. Będziemy siedzieć na ten zakichanej recepcji do skutku. Będzie dobrze, zobaczysz...

Jorge czekał na nich oparty plecami o maskę samochodu i dyskretnie popalał elektronicznego papierosa. Zapewne nie wolno mu było tego robić, bo na ich widok się spieszył. Sylwia uspokoiła go. Z bolącą głową – zaczynała odczuwać skutki wczorajszego wina – wsiadła do limuzyny. Wrócili do apartamentowca przy Colorado Avenue.

Sylwia nie miała pojęcia, kiedy policja sprawdzi przedstawiony przez nią trop, ale obawiała się, że do tego czasu Mandy może zniknąć, uciec, wyjechać do Paryża albo Honolulu. Zdawała sobie przecież sprawę, że ktoś ją rozpoznał na molo. Z drugiej strony, raczej nie było możliwości, że ich przechytrzy i ucieknie. Panowie skrupulatnie pilnowali lobby. Sylwia i Kuba, jeszcze zanim pojechali na posterunek policji, sprawdzili, czy w budynku nie ma drugiego wyjścia ani podziemnego garażu. Nie było.

– Nie wychodziła – powiedział Artur, kiedy Leśniewscy zjawili się ponownie w lobby.

– Poznałbyś ją?

– Nie wychodziła żadna kobieta poniżej czterdziestki. To miejsce mi wygląda na apartamentowiec spokojnej starości – dodał Dante.

– Może ona rzeczywiście ma za męża starego dziada i czekając, aż wykituje i zostawi jej mieszanko, umilała sobie czas, romansując z Adamem – powiedział Kuba po polsku. – A teraz boi się, że wszystko wyjdzie na jaw i dziadzio ją wydziedziczy? W tym szaleństwie jest...

– Mówcie po angielsku! – obruszył się Dante. – Mam kaca, łeb mi pęka od tego waszego szeleszczenia.

– Nie rozumiem. Jakim cudem policja natychmiast się tym

nie zainteresowała? – zapytał Artur.

– W końcu kogoś tu przyślą, no przecież nie mogą być aż tacy beztroscy – powiedziała Sylwia, siadając na kanapie. – Ja na pewno będę tu czekać aż do przyjazdu policji, ale wy nie musicie.

Nikt nie zrejterował. Kuba zawsze i bezwarunkowo wspierał siostrę, a Artur i Dante najwyraźniej uznali, że to kwestia męskiego honoru.

Minęła jedna godzina, a potem druga, która zaczęła podkopywać wcześniej niewzruszoną pewnością Sylwii, że Mandy jest w budynku. Co, jeśli tak bardzo zafiksowała się na ratowaniu Adama, że coś jej się uroiło?

Kolejni mieszkańcy wchodzili i wychodzili, ale żaden z nich nie był Mandy. Jednak kiedy detektywi amatorzy zaczęli już tracić nadzieję, a Kuba posunął się nawet do tego, żeby głośno wyrażać swoje zniechęcenie, z windy na końcu korytarza wyszła pomarańczowa spódnica i czarna bluzka bez rękawów, z płócienną torbą przewieszoną przez ramię.

– To ona!

Sylwia poderwała się z kanapy. W okamgnieniu poczuła falę adrenaliny, która sprawiła, że serce zaczęło jej bić dwa razy szybciej. Postać powoli wynurzyła się z półmroku, stukając obcasami o marmurową posadzkę.

Sylwia zamarła. Kobieta, która szła w ich stronę, nie była Mandy.

W tym samym momencie skrzypnęły drzwi wejściowe. Do lobby weszła Claire w towarzystwie drugiego policjanta.

Rok później – Warszawa
17 października, czwartek

Sylwia z trudem panowała nad emocjami, uczestnicząc w ślubie, który nie był jej ślubem. Przed ołtarzem stał Artur, niezmiennie plasujący się w pierwszej dziesiątce polskich amantów – w ciemnografitowym, dopasowanym garniturze, który podkreślał jego szerokie barki. Obok niego Marysia Możejko w skromnej sukni z białego szyfonu, bardziej wieczorowej niż ślubnej, bez żadnych koronek, marszczeń, falbanek i tiulów.

Byli piękną parą, a ich widok zapierał dech w piersiach wszystkim zgromadzonym w kościele pod wezwaniem Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży.

Tak naprawdę silne emocje Sylwii nie ogniskowały się na Arturze. Jej poruszenie miało swoje źródło gdzie indziej. Oto za chwilę do przeszłości przejdzie pisany przez nią od siedmiu lat serial.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Nic nie trwa wiecznie. Historia zatoczyła koło. Niecałe pięć lat temu przed tym samym ołtarzem stała urna, a w niej domniemane prochy Palomy, czyli Pauliny Gadomskiej, które najpierw

wysłały ich na Reunion, potem na Teneryfę, a na koniec do Los Angeles. A teraz wrócili do punktu wyjścia.

Małeńka Hania zaczęła płakać. Sylwia złapała rączkę nosidełka. Przewidując, że niemowlę długo nie wytrzyma w spokoju, stała na tyłach kościoła, tuż przy bocznych drzwiach. Pospiesznie wyszła, ścigana przez podniosłe tony marsza weselnego.

Długo z bratem naradzali się, jak zakończyć *Stój, bo strzelam!*. Stacja nalegała na *happy end*, ale ani Sylwia, ani Kuba nie lubili cukierkowych rozwiązań. Z drugiej strony – prawdziwe życie prędzej czy później daje w kość bez wyjątku każdemu, więc Leśniewscy chcieli swoimi scenariuszami zaoferować widzom choć trochę wytchnienia.

Na zewnątrz przywitała Sylwię jesienna słota. Było szaro, a z niskich, burych chmur zacinała chłodna mżawka.

Muzyka organów raptownie ucichła, urwała się dosłownie w pół taktu. Pewnie skończyło się ujęcie i zaczęły przygotowania do kolejnego dubla. Sylwia cofnęła się, szukając schronienia pod wspartym na korynckich kolumnach portykiem. Wyjęła płaczącą córeczkę z nosidełka i zaczęła ją kołysać. Hania szybko się uspokoiła. Po chwili z kościoła znów dobiegł marsz weselny, który przebijał się przez ruch

uliczny. Autobus 503 ruszył z przystanku na wysokości Instytutu Głuchoniemych i wjechał w Nowy Świat. Muzyka wzmogła się. Sylwia obróciła głowę. Drzwi kościoła otworzyły się i stanął w nich Kuba.

– Pomóc ci?

– Już się uspokoiła.

Sylwia nie mogła się nadziwić, jak bardzo jej brat zmienił się w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Psychicznie też, ale przede wszystkim fizycznie. Wziął się za siebie i zaczął chodzić na siłownię. Regularnie, co już było ogromną zmianą w jego rozedrganej, niespokojnej naturze.

Sprawnie zbiegł po stopniach świątyni. Mocno zeszcupłał, również na twarzy. Może wyglądał przez to starzej, niż gdy prezentował światu okrągłą buzię trzydziestoletniego chłopca, ale wyraźniej zarysowane kości policzkowe i pionowa zmarszczka na czole dodawały mu powagi i głębi.

Sprawił wrażenie szczęśliwego i bardziej wyluzowanego. Od dłuższego czasu był w udanym związku. Sylwia zastanawiała się, co takiego ma jego obecny partner, czego nie mieli wcześniejsi. Paradoksalnie odpowiedź brzmiała – nic. To Kuba musiał zmienić się i dojrzeć, a razem z tłuszczkiem pozbyć się narcystycznej skazy.

– Nie chce mi się tam już wracać – powiedziała, wskazując ruchem głowy na kościół.

– To chodźmy.

Jako scenarzyści nie mieli obowiązku warować na planie. Przyszli tak naprawdę ze względów sentymentalnych. Kręcona była ostatnia scena ostatniego odcinka ich serialu.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Aż na Jazdowie.

– Jezu! – Kuba przewrócił oczami, po czym wyciągnął rękę po nosidełko z dzieckiem. – Daj.

Zeszli zebra z wysepki na środku placu, na której stał kościół. Minęli Sheraton i weszli w Wiejską. Przez skrzyżowanie z Górnośląską przebiegli na migającym zielonym świetle. Po prawej mieli jeden z najpiękniejszych budynków Warszawy – modernistyczną, nie tak dawno odnowioną Ambasadę Francji, po lewej solidną, choć nieurzekającą Ambasadę Niemiec, a dalej park Tadeusza Mazowieckiego.

– Robi się podobna do ojca – powiedział Kuba, zaglądając do nosidełka. Hania spała, ale Sylwia wiedziała, że zaraz będzie musiała ją nakarmić.

– Myślisz?

Przez chwilę szli w milczeniu przez skąpany w jesiennych brązach Jazdów. Minęli drewniane domki fińskie i wreszcie doszli do

samochodu. Sylwia otworzyła pilotem bagażnik i wyjęła z niego wózek.

– Jeszcze kawalek? – zaproponowała.

Przeszli kładką nad Trasą Łazienkowską i usiedli w Qchni Artystycznej, na tyłach Zamku Ujazdowskiego. Na tarasie był jeszcze rozstawiony letni ogródek, ale ze względu na pogodę, a raczej jej brak, weszli do środka.

– I co, to by było na tyle? Co dalej? – Kuba zdjął okulary, które zaparowały w ciepłym wnętrzu, i przetarł je serwetką.

– No przecież za miesiąc ruszają zdjęcia do *Końca scenarzystów*...

– Ale ja pytam, co potem. Co po końcu, jak by to ujął filozof.

– Chyba potrzebuję przerwy. Ty nie?

– A nie chcesz wrócisz do Los Angeles? Nie chcesz wiedzieć, kto się czai za Górą Prawdy?

– Teraz bardziej korci mnie, żeby dojść do tego, co się czai za tym, że Hania ma kolkę...

– No tak. Podobno tak jest z kierowcami rajdowymi, że jak urodzi im się dziecko, przestają ryzykować. I zaraz idą w odstawkę.

– Ale ja nie chcę ryzykować. Boję się, Kuba. Wyraźnie nam powiedzieli, żebyśmy przestali wtykać nos w nieswoje sprawy. I tak nie wiem, czy ich nie wkurzymy *Końcem scenarzystów*.

– Jak chcesz, możesz przywrócić wersję z wózką. Tylko że Dante miał rację. Była

słabsza. Ale może rzeczywiście, jak uderzymy w stół, to odezwą się nożyce?

– Nie wariujemy. – Sylwia zaczęła przeglądać menu, upewniwszy się, że Hania spokojnie śpi.

– Sama zaczęłaś! To nie jest żadne wariactwo. Kurczę, może masz rację! Pamiętasz, jak było z Kubrickiem?

– To, że zmarł tuż przed premierą? To plotki. Całkowicie przypadkowy zbieg okoliczności...

– Żadne plotki. Masoni go zaciukali, mówię ci! Bo ujawnił za dużo...

Sylwia знаła historię związaną z ostatnim filmem Kubricka, ale uważała ją za teorię spiskową. I była pewna, że tak naprawdę Kuba też nie bierze jej na serio.

Ale jednak trochę się bała. Że nożyce się odezwą.

Kilka godzin później odbył się bankiet z okazji zakończenia zdjęć do *Stój, bo strzelam!*. Paloma Bis przygotowała go na ostatnim piętrze biurowca stacji telewizyjnej. Sylwia zastanawiała się, czy by sobie nie darować i zostać w domu, przecież miała na głowie niespełna półroczne dziecko, ale tradycyjnie namówiona przez brata postanowiła pojawić się choć na chwilę.

– Kochani, wy musicie zacząć coś dla mnie pisać! Natychmiast, bo przecież wam pióra zwiędną od nieużywania! – mówiła Paloma Bis,

ale ledwo ją było słyszeć, bo jednocześnie machała turkusowo-złotym jedwabnym wachlarzem, przez co naręcza metalowych bransolet dzwoniły niczym Zygmunta na rezurekcję. – I ja wiem już nawet co.

– Taaak? – spytała zaskoczona Sylwia.

Kuba milczał, pochłaniając tort bezowocny. Wolną ręką producentka przywołała kogoś z tłumu kłębiącego się przy stołach z cateringiem.

– Wybicka Prodakszyns rusza na podbój Hollywood! Marko, opowiedz im...

Podszedł do nich reżyser, Marek Piasecki, były chłopak Sylwii. Trzymał w ręku talerzyk, na którym piętrzyła się sarta sushi.

– No więc tak – zaczął z marszu. Widać było, że już wcześniej przygotował sobie całą mowę.

– Tytuł „Her Name Was Skłodowska”, czyli *Nazywała się Skłodowska*. Dobrze, co?

– Serio? – Kuba się skrzywił.

– Będziemy walczyć z zakłamaniami, że ona niby była Francuzką. Połowę środków wyłoży fundacja, w ramach rozśławiania imienia Polski w świecie oraz na morzach i oceanach... Już prowadzimy negocjacje, żeby główną rolę zagrała Meryl Streep...

– Ale nie uważasz – Sylwia weszła mu w słowo. – Że jednak w takim filmie główną rolę powinna zagrać Polka?

Podobnie jak Kubie, pomysł filmu wydał się jej bzdurny. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Marek Piasecki, po fiasku filmu o Koperniku *Wstrzymał Słońce*, chciał wylansować się na kolejnej produkcji patriotycznej.

– Co się czepiasz? Tak się składa, że Meryl Streep świetnie mówi po polsku – fuknął Marek. – Obejrzyjcie sobie *Wybór Zofi!*

– A Chopin? – wtrąciła Paloma Bis, wymawiając nazwisko kompozytora tak jak się je pisze. – Potem możemy zrobić drugą część o Chopinie. Jak on się naprawdę nazywał? Szopen, prawda? „Her Name Was Szopen”...
Dobre!

Rok wcześniej – Los Angeles
26 czerwca, wtorek

Kuba z najwyższym niepokojem połączył w logiczną całość dwa fakty. Po pierwsze – jechał autem, którego prędkościomierz dobijał właśnie do stu mil na godzinę. Po drugie – za kierownicą siedziała szlochająca i roztrzęsiona Dżolanta. Jeden nieuważny ruch kierownicą... Na samą myśl zrobiło mu się gorąco. Ledwie kilka miesięcy wcześniej uratował się z podobnej opresji. Cudem i w ostatniej chwili uciekł z auta, które kilkaset metrów dalej wypadło z zakrętu i roztrzaskało się na dnie przepaści.

– Może zwolnij trochę... – zasugerował, siląc się na niezobowiązujący ton... – To nie kabriolet, żeby czuć wiatr we włosach.

– Jak on mógł! Jak mógł mi to zrobić?! O maj gad. Ha!?! – Dżolanta była czerwona na twarzy i rozmazana. Policzki i obszar wokół oczu dziwnie jej napuchły. – Dyzaster!

Kuba przestraszył się, że może to wypełniacze, z pomocą których walczyła ze zmarszczkami, zagotowały się w wyniku wzburzenia i zaraz zaczną wypływać razem ze łzami. I przesłonią jej pole widzenia. Wtedy będzie można mówić o „dyzaster”...

– Spokojnie, no... Nie denerwuj się tak. Wiesz, co mówią... Złość urodzie szkodzi...

– Dlatego jadę ratować te resztki mojej bjudy, które się jeszcze ostały! Powiedz mi: Dlaczego ja?!

– Może jednak zrezygnujmy – zaproponował Kuba, łapiąc się z przerażeniem uchwytu przy podsufitce. Autem zarzuciło, kiedy Dżolanta próbowała zjechać na sąsiedni pas i w ostatniej chwili zorientowała się, że jest zajęty przez inny samochód. – Innym razem tam pojedziemy... Teraz powinnaś się wyciszyć, nie sądzisz? Albo może jednak porozmawiaj z Bobem. Lepiej nie działać pochopnie...

– Jakim innym razem?! Czy ty wiesz, ile się czeka na wizytę u doktora Carvera?! – wrzasnęła Dżolanta. – Poza tym teraz, jak zostałam sama jak palec, muszę o siebie zadbać. I to fast! No kto mnie zechce, jak będę wyglądać jak obwisły chomik?

Kuba z niepokojem zerkał na drogę, którą biała toyota prius Dżolanty pożerała w zastraszającym tempie. Palmy rosnące wzdłuż pobocza zwały się niemal w żywopłot. Asfalt opalizował w oślepiającym słońcu i Kubie cały czas wydawało się, że gdzieś przed nimi rozciąga się plama rozlanego oleju i za chwilę wpadną w poślizg, po czym zakończą żywot na metalowej barierce oddzielającej pasy

ruchu.

– On naprawdę ma na nazwisko Carver? – spytał Kuba, któremu aż nie chciało się wierzyć, że nazwisko słynnego w całym Hollywood chirurga plastycznego oznacza ni mniej, ni więcej, tylko „nóż rzeźnicki”.

– Coorver, ale przecież nie będę mówić, że ciął mnie Coorver.

Kuba westchnął. Przeklinał w myślach dzień, w którym zgodził się towarzyszyć Dżolancie podczas wizyty w klinice medycyny estetycznej. Przekonywała go, że w ofercie AC Premium Beauty & Health też znajdzie coś dla siebie, smęciła, aż w końcu się zgodził.

Owszem, kusila go perspektywa idealnej sylwetki. Marzył o niej od dawna, niemal od momentu kiedy zaczął dojrzewać i rosnać, a dziecięcy tłuszcz nie zamienił się, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w masę mięśniową. Cóż, niektórzy po prostu nie są stworzeni do tego, żeby nosić na brzuchu kaloryfer. A doktor Coorver, jeśli wierzyć zapewnieniom Dżolanty, podobno jak nikt potrafi odessać tłuszcz zewsząd.

Tylko że medycyna estetyczna... Od zawsze była przedmiotem żartów jego i Sylwii.

– Zobaczysz, będziesz zachwycony, odzyskasz talię – chlupała Dżolanta. – U Coorvera kosztuje to forczyn, ale moja znajoma chciała

zaoszczędzić i poleciała do Panama, żeby jej odessali. Wróciła w worku! Jeszcze podobno nerkę jej ukradli...

Szloch przeszedł w ryk.

Kiedy wsiadali do samochodu kwadrans wcześniej, Dżolanta jeszcze jako tako się trzymała, a zapłakane oczy skrywała pod wielkimi okularami przeciwsłonecznymi nabijanymi kryształkami. Jednak ledwie przejechali dwie mile, wybuchła płaczem i zaczęła relacjonować Kubie, jak poprzedniego dnia przyłapała swojego męża na zdradzie. To, co podejrzewała od jakiegoś czasu, stało się faktem.

– Wszyscy faceci są tacy sami – Dżolantę załapała nowa fala szlochu. – Nienawidzę was! To się zawsze tak kończy. Dlaczego?!

– Skoro wszyscy faceci są tacy sami, to Bob nie jest jakoś szczególnie winny... – Kuba próbował erystycznych sztuczek.

– Ja mu tego nie daruję, ja go zabiję! Jeszcze nie wiem jak, ale ja przekręcę jego życie w mizery...

Kuba ochoczo potakiwał. Była szansa, że ogarnięta żądzą mordy Dżolanta skupi się na wprowadzeniu swojego planu w życie i nie skończą tego dnia wbici w barierkę energochłonną, ewentualnie w tył któregoś z jadących przed nimi aut.

Pół godziny później dotarli cali i zdrowi do kliniki, która mieściła się w Beverly Hills, w luksusowej willi obłożonej białym marmurem. W poczekalni kliniki doktora Coorvera Kubie przeszła ochota na odsysanie tłuszczu. Rzut oka na ekskluzywnie wykończone wnętrze utwierdził go w przekonaniu, że dobry doktor wyswie mu przede wszystkim zawartość portfela. Bo przecież te futurystyczne, obłe lampy, kolorowe witraże w wielkim przeszklonym dachu i chude, choć jednocześnie jakimś cudem wygodne kanapy nie wzięły się z IKEA ani Castoramy.

Może chwilowo uległ zaczadzeniu wszechobecnym w Los Angeles kultem pięknego ciała, może dopada go już kryzys wieku średniego, ale przecież jeśli ma znaleźć prawdziwą miłość, to musi to być ktoś, kto pokocha go takiego, jakim jest, z boczkami i wałeczkami, a nie jego zubożoną, jakąś odessaną wersję.

Kiedy tak prowadził z samym sobą dialog o wartościach, Dżolanta snuła plany rewanżu na Bobie, przeplatane marzeniami o poznaniu intrygującego, a jednocześnie zmysłowego mężczyzny na poziomie, najlepiej ognistego Latynosa. Kuba poradził jej, żeby celowała w bossa jakiegoś kartelu narkotykowego, który

mógłby za jednym zamachem załatwić obie sprawy – ukarać i usunąć Boba oraz wypełnić lukę po nim. Jeszcze by zaoszczędziła na sprawie rozwodowej.

Nie rozumiała żartu, a jemu nie chciało się już tłumaczyć. Był zmęczony jej paplaniną. Zastanawiał się, po kiego grzyba marnuje to przedpołudnie na towarzyszenie pustej i zepsutej kobiecie, która zmienia się powoli w plastikowego potwora nie tylko o twarzy, ale i IQ lalki Barbie. A najlepsze w tym wszystkim było to, że Dżolanta – tracąca czas i pieniądze na medycynę estetyczną – wyglądała na zadbaną czterdziestkę, a tak naprawdę miała dopiero trzydzieści trzy lata.

Na szczęście kilka godzin później okazało się, że przedpołudnie u „Noża Rzeźnickiego” nie poszło na marne. Sylwia, wysłuchawszy opowieści brata, zrobiła kolejny krok, by wyjaśnić zniknięcie Mandy.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczaiła się do korzystania z limuzyn i kierowców. Przypomniał jej się film *Wożąc panią Daisy* o relacji czarnoskórego szofera, którego grał Morgan Freeman, i tytułowej bohaterki, starej kobiety granej przez Jessicę Tandy. Zgarnął cztery Oscary, w tym za najlepszy film i scenariusz. Ale Sylwia była młoda, w pełni sił. Mogłaby spokojnie poruszać się po mieście, korzystając z autobusów lub metra. Nie potrafiła z czystym sumieniem pławić się w przywilejach i spalać paliw kopalnych, dlatego wierciła się niespokojnie na tylnym siedzeniu auta, wypatrując Kuby.

– Na pewno zaraz będzie – powiedziała do kierowcy. – Dzwonił, że już wracają.

– Nie ma problemu. – Jorge posłał je we wstecznym lusterku uspokajające spojrzenie.

Choć od spotkania rzekomej Mandy minęły już dwa dni, Sylwia nie mogła przestać myśleć o swojej pomyłce. Oprócz skromności jej drugą zaletą, a czasem wadą, była pokora. Uznała, że tak, popełniła błąd i wzięła obcą dziewczynę za Mandy. Choć w głębi serca czuła, że jakimś cudem jednak miała rację.

Z zamyślenia wyrwało ją energiczne otwarcie drzwi samochodu.

– Przepraszam – wymamrotał Kuba, gramoląc się do auta. Sylwia złapała torebkę i zaczęła przesuwać się, żeby zrobić mu miejsce.

Tego dnia ruszały zdjęcia do *I Love Buddha*, komedii

romantycznej produkowanej przez Lao Pam i DoDo Pictures, napisanej i reżyserowanej przez Flavię. Historia Amerykanki, która szukając ukojenia po rozstaniu z chłopakiem, wyjeżdża do klasztoru buddyjskiego w Tybecie. Jako pierwsza miała być kręcona ostatnia scena – ślub pary głównych bohaterów. Lao Pam wpadła na pomysł, żeby wszyscy współpracownicy DoDo Pictures pojawili się w tle jako statyści. Chodziło jej o swego rodzaju odbicie się od niedawnej ceremonii pogrzebowej, która wciąż kładła się smutnym cieniem na Douglasie, jego rodzinie i wszystkich współpracownikach.

– Co ci się stało? – Sylwia z trudem powstrzymała okrzyk strachu, spoglądając na brata.

– Nic. – Kuba obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

– Jak to nic? Poparzyłeś się? Ktoś cię pobił?

– Aż tak widać? Ja pierdziu!

Kuba wyciągnął komórkę, włączył przedni aparat i próbował przejrzeć się w ekranie telefonu. Jorge w tym czasie ruszył wąską uliczką wzdłuż bungalowu, ustawiając jeszcze coś w nawigacji.

– Kalifornijska masakra piłą mechaniczną! – jęknął Kuba na widok swojego oblicza.

Sylwia cierpliwie czekała na wyjaśnienia. Oczywiście było, że brat już dziś w żadnej scenie nie wystąpi. Całą twarz miał czerwoną jak podczas balu karnawałowego w przedszkolu, kiedy mama przebrała go za Winnetou. Zamiast komedii romantycznej wyszedłby horror.

– Dałem się namówić na peeling chemiczny.

Sylwia parsknęła śmiechem.

– Ciesz się, że tylko tyle, bo Dżolanta próbowała zaciągnąć mnie na odessanie tłuszczu i wstrzyknięcie kolagenu.

– Gdzie? – spytała Sylwia.

Kuba machnął tylko lekceważąco ręką, skupiając się na ekranie komórki. Jęcząc, że nie może w takim stanie pokazać się ludziom, opowiadał siostrze o wyprawie do kliniki doktora

Coorvera, którą zdominował kryzys w małżeństwie ich rodaczki.

– Przy czym jestem święcie przekonany, że ona to wszystko zmagistrowała. Całą tę akcję z Bobem – mówił Kuba, próbując delikatnie dotknąć twarzy opuszkami palców.

– Ale jak?

– Bardzo prosto! Ona normalnie ma jakąś obsesję, żeby pozbyć się tego biednego Kloppa. Widziałaś go przecież. Ta pierdoła nie przygruchałaby sobie nawet dmuchanej lali. Więc gdyby Dżolanta nie podsunęła mu swojej cycatej koleżaneczki, do niczego by nie doszło. Wodzenie na pokuszenie tak nachalne, że każdy by się w końcu złamał.

– Ale jak to, czekaj... Jak to: Dżolanta mu podsunęła?

– Słuchaj. Może ja powinienem pojechać na pogotowie? – Kuba nagle zmienił temat. – To nie powinno być takie czerwone, to jakiś stan zapalny przypadkiem nie jest? Może mi się wdała sepsa?

– Raczej głupota ci się wdała. Nic ci nie będzie. Do wesela się zagoi, tylko nie tego dzisiaj. Wyjaśnij lepiej, co zrobiła Dżolanta.

– Klasyczny numer. Wynajęła jakąś niewydarzoną aktoreczkę, swoją koleżankę zresztą, żeby ta wodziła Boba na pokuszenie. Też taką blacharę, blondynę, identyczny typ urody, żeby prędzej pękł. No i ta Dżolanta Bis wodziła, wodziła, aż w końcu uwiodła. I wtedy Dżolanta wpadła do pokoju hotelowego, w którym miało dojść do skonsumowania romansu...

Sylwia była zaskoczona determinacją ich rodaczki, ale właściwie... Wszystkiego można się było po niej spodziewać.

– No wiesz... To trafił swój na swego – powiedziała po chwili milczenia. Ona jest stuknięta, ale... On też ma swoje za uszami. Mógł trzymać portki na tyłku.

– Każdy ma swoją granicę. A pamiętaj, że ta cycata przyjaciółeczka Dżolanty to była aktorka. Beznadziejna,

beztalencie, ale jak dostała do odegrania rolę uwodzicielki, to zrobiła to z wirtuozerią. Rola życia, że tak powiem. Cóż, lajfy brutal...

Kuba zaśmiał się i zerknął na siostrę, licząc na to, że ona również doceni jego błyskotliwe nawiązanie do kaleczenia języka w wykonaniu Dżolanty. Ale Sylwia złapała akurat typową dla siebie zawieszkę i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni.

– Myślę, że z Mandy ktoś zrobił to samo – powiedziała w końcu niemal szeptem.

– Z jaką Mandy? O czym ty znowu mówisz?

– Wtedy, w tym apartamentowcu. Ja naprawdę na molo zobaczyłam Mandy... A później ktoś podstawił aktorkę. Może nawet trochę podobną. Ubrał ją tak samo, ale...

– No nie... Kto niby? Kobieto, zejdź na ziemię!

– Nie mam pojęcia, ale to wszystko wyjaśnia. Teraz jestem pewna, że na molo widziałam Mandy! A przynajmniej inną dziewczynę niż ta, która wysiadła z windy. W tym samym ubraniu, w tym samym miejscu, z tą samą torbą na ramieniu, ale to nie była ona! Do budynku weszła Mandy, ale wyszła z niego dublerka. Mandy Bis, w ciuchach tej pierwszej!

Kuba był oszołomiony. Otworzył usta, ale przez dłuższą chwilę nie był w stanie nic powiedzieć.

Do swoich przebiegłości Sylwia podchodziła ostrożnie. Lata spędzone na pisaniu scenariuszy serialu kryminalnego zrobiły swoje. Jej wybujała wyobraźnia czasami sufłowała rozwiązania tyleż efektowne, co nieprawdopodobne. Dlatego chciała wszystko ostrożnie opukać młoteczką logiczną i choć trochę zweryfikować.

– Ktoś ostrzegł Mandy i kazał jej się nie wychylać z apartamentu. A my jak głupi warowaliśmy w lobby – tłumaczyła swoją teorię bratu, wyglądając przez okno pędzącej limuzyny.

– Czekał, ja nic z tego nie rozumiem – odparł Kuba.

– Wiem, że to się wydaje naciągane, ale w tym czasie, kiedy siedzieliśmy na dole, ktoś podesłał tam aktorkę, która jako tako przypominała Mandy. Tę, która potem wyszła w jej ciuchach.

Kuba skrzywił się i pokręcił głową.

– Przecież byśmy ją zauważyli. Jak wchodzi na górę.

– Skupialiśmy się na ludziach, którzy wychodzili z windy. Poza tym ta podstawiona mogła być ucharakteryzowana. Na staruszkę w kapeluszu. Ile takich osób wchodziło tam tego dnia? Na górze ta podstawiona wzięła ubrania od Mandy i zjechała na dół ucharakteryzowana już na nią. I wtedy uznaliśmy, że musiałam się pomylić. Bo wyszła dziewczyna w rudej spódniczce, czarnym topie i z burzą blond włosów. I wszyscy byliśmy przekonani, że coś mi się przywidziało. Ale ja na molo widziałam prawdziwą Mandy!

Kuba znów umilkł, trawiąc rewelacje siostry.

– Strasznie to pokomplikowane – powiedział w końcu. – Ale co, myślisz, że nadal tam jest? Że tam mieszka?

– Wątpię. Myślę, że skutecznie ją wystraszyliśmy, skoro przeprowadziła taką akcję. Chociaż policja mogłaby to sprawdzić. Kto tam mieszka. Na kogo jest mieszkanie.

– Jezu, dobra, założmy, że masz rację i rzeczywiście widziałaś Mandy – Kuba odruchowo chciał się podrapać po zaczerwienionej twarzy, ale zaraz syknął z bólu. – Tylko dlaczego jej tak zależy na tym, żeby za wszelką cenę siedzieć w ukryciu? Aż tak bardzo, że posunęła się do tego, żeby wynająć dublerkę? To jest strasznie naciągane...

– Wiem, ale ktoś jej musiał pomóc. To wszystko zmontować. Może tu się toczy gra o jakąś większą stawkę, niż ukrycie romansu przed mężem.

Samochód podskoczył na nierówności drogi.

– No tak! – Kuba z wrażenia aż zerwał czapkę z głowy, po czym przecesał włosy. – Skoro ktoś posunął się do tego, żeby

uciszyć Chloe i Juniora... Zaczynamy ostro grać, Silwano. Nie mów potem, że cię nie uprzedzałem!

– Pytanie też – powiedziała Sylwia, poprawiając okulary, które zaczęły zsuwać jej się z nosa. – Skąd Mandy wiedziała, że musi załatwić sobie dublerkę...

– No przecież wystraszyłaś ją. Zawołałaś po imieniu.

– Tak, ale to było na molo. Raczej nie mogła się zorientować, że szłam za nią aż do mieszkania.

– No chyba że się zorientowała.

– Ja jednak myślę, że ostrzegł ją ktoś, kto wiedział, że czatujemy na nią w lobby.

– Czyli że co? Sugerujesz, że Dante to zrobił? Bo chyba nie Artur.

– Kilka osób o tym wiedziało albo dowiedziało się w miarę szybko – odparła Sylwia, próbując sobie przypomnieć, kto z uczestników wczorajszej imprezy został na noc w domu na plaży. Możliwe, że po tym, jak zadzwoniła z recepcji apartamentowca, Kuba, Artur i Dante przed wyjściem rozmawiali o odnalezieniu Mandy. I ktoś postronny mógł to usłyszeć.

Operator filmów Dantego? Cuba Krasinski? A może Flavia?

49

Po statystowaniu na planie *I Love Buddha* Sylwia wczesnym wieczorem spotkała się z Arturem. Przyjęła jego zaproszenie na kolację, bo poprzednia rozmowa pozostawiła ich w zawieszeniu. Czas płynął, ale trzeba było postawić kropkę nad i, a może raczej na końcu zdania... Następnego dnia Artur wracał do Polski, na plan zdjęciowy *Stój, bo strzelam!*, więc to był ostatni dzwonek, żeby załatwić sprawę, jak należy – twarzą w twarz.

Tylko że jak na złość głowę Sylwii zaprzętały myśli o tym, kto podstawiał aktorkę w miejsce Mandy. Chciała skupić się na Arturze, ale ciągle wyświetlał się jej gnijący w areszcie Adam. Oskarżony o morderstwo Mandy, która przecież żyła! Może ktoś chciał zrobić jej Małego Księcia? Jej? Nie jej! Po prostu Małego Księcia, który nie powinien spędzić za kratami ani chwili dłużej.

– Co cię łączy z tym całym Dantem? – z zamyślenia wyrwał ją głos Artura.

Siedzieli w restauracji Sage Vegan Bistro przy Sunset Boulevard – Bulwarze Zachodzącego Słońca. I słońce właśnie zachodziło. Dla niektórych po raz pierwszy, dla innych – ostatni. Sylwia odruchowo wyprostowała się na białym ażurowym krześle. To pytanie zbiło ją z pantałyku.

– Pracujemy razem. Przecież wiesz.

Artur zachnął się. Sylwia była zaskoczona. Myślała, że jeśli będzie zazdrosny, to o Adama. Przecież wie, że się całowali. Prawie poszli do łóżka. A z Dantem... Nie łączyło jej nic.

– Co się akurat na niego uwzięłaś? On... Właściwie to może być jeden z podejrzanych – dodała pośpiesznie w bezsensownym odruchu usprawiedliwiania się. Nawet gdyby meksykański reżyser zaprzętał jej myśli od rana do wieczora, nie musiała się przecież tłumaczyć.

– Dante? – spytał zdziwiony Artur. – Ale dlaczego uważasz, że on jest podejrzany? Bo wiedział, jak ta dziewczyna ma na imię?

Sylwia już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale słowa Artura kopnęły ją niczym prąd. Przypomniało jej się, jak na początku pobytu w Los Angeles Dantemu wysnęło się imię „Mandy”, mimo że nie mógł znać imienia zaginionej dziewczyny Adama. Sylwia skonfrontowała się z nim wtedy, ale on utrzymywał, że usłyszał niechcący jej rozmowę podczas imprezy na jachcie. Sylwia opowiedziała o tym Arturowi, bo wtedy jeszcze prawie codziennie rozmawiali przez telefon.

Ależ on ma pamięć!

Czy to w ogóle było możliwe, żeby Dante usłyszał wtedy jej rozmowę z Adamem? Znowu szczegół – głupi, mały szczegół – ale Sylwia uświadomiła sobie, że łatwo uwierzyła w tłumaczenia meksykańskiego reżysera. Za łatwo. A potem zapomniała o całej sprawie.

Artur zmienił temat. Sylwia od razu wyczuła, że robi podchody pod naprawianie ich relacji, bo mówił o tym, jak męczy się już w roli komisarza Miłobędzkiego i ma nadzieję, że bieżący sezon serialu będzie ostatnim. Naprawdę ostatnim, bo przecież wiadomo, że serial święci triumfy, więc znajdą się tacy, którym żal będzie uśmiercać kurę znoszącą Złote Kamery.

Sylwia odchyliła się na krześle. Przy sąsiednim stoliku siedziały trzy osoby – dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy w okolicach czterdziestki. Dość dokładnie słyszała ich głosy, dawała radę je rozróżnić, ocenić ton, nastrój i intonację, ale

absolutnie nie była w stanie wychwycić słów.

Podobnie Dante nie mógł usłyszeć imienia „Mandy”. Czy na tym można się oprzeć? Poszłaka tak mglista, że nikt by chyba w nią nie uwierzył. Ale dla własnego świętego spokoju mogłaby spróbować to sprawdzić. Czy już popada w paranoję? Co by nie mówić, Dante był w Mount Veritas, ciągle krążył wokół Adama, nie ukrywał nawet, że za nim nie przepada. Z Douglasem Juniorem niby kumpłował się, ale... Kuba powtórzył niedawno zasłyszana od Dżolanty plotkę, że ponoć małżeństwo Dantego i Flavii rozpadło się przez jej gorący romans właśnie z Juniorem. Sylwia też miała wrażenie, że tych dwoje coś łączy. Więc tak naprawdę Dante, jeśli był mściwy, to miał motyw, żeby zabić Juniora... Niby rozgłaszał na prawo i lewo, że rozstał się z żoną w przyjaznej atmosferze, ale może to było tylko fałszywe alibi, które miało przykryć krwawą intrygę rozwścieczonego południowca...

– I tak to wygląda – z zamyślenia wyrwał ją Artur. W jego głosie Sylwia wyczuła pretensję.

– Słucham? – Pospiesznie się wyprostowała.

– No właśnie chodzi o to, że mnie nie słuchasz.

– Przepraszam. Na moment się zamyśliłam...

– Nie, ty tym żyjesz naprawdę. Pisaniem serialu kryminalnego i rozwiązywaniem kryminałów w rzeczywistości. Chciałaś, żebym przemyślał nasz związek i to... Że dałem plamę. I ja odrobiłem pracę domową. Ale czy cię to w ogóle obchodzi?

Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Zapadł już zmrok. Kelnerka zabrała talerze i zaproponowała deser. Ani Artur, ani Sylwia nie byli jednak w nastroju; nie mieli ochoty na nic więcej, zamówili tylko kawę. W oczekiwaniu na nią Sylwia wymknęła się do łazienki. Tak naprawdę przede wszystkim po to, żeby ochłonać.

Było gorąco. Przemyła twarz zimną wodą i patrzyła w swoje odbicie w lustrze.

Pięgi na nosie, kurze łapki powoli łapiące kąciki jej oczu. Miała trzydzieści parę lat, zaraz stuknie jej czterdziestka, a potem już z górki. Historie, które wymyślała, trochę przesłoniły jej własną opowieść.

– Jest boski – usłyszała nagle z lekka schrypnięty głos. – Gratuluję.

Przy umywalce obok pochylała się szczupła, na oko pięćdziesięcioparoletnia kobieta, o twarzy dość mocno zniszczonej od opalania się. Miała włosy do ramion w kolorze platynowego blondu, spłowiałego od słońca, oraz efektowną wieczorową suknię mieniającą się srebrnymi i złotymi nitkami.

– Słucham? – zapytała grzecznie Sylwia.

Sąsiadka poprawiała kredką i tak już mocno zaznaczony kontur oczu. Dla efektu zwlekała z odpowiedzią. Wyszarpnęła papierowy ręcznik, złożyła go i usunęła nadmiar barwnika.

– W której agencji dają takie cuda? Madame Giselle? Top Hunqz?

Sylwię zatkało. Odruchowo zabrała ręce spod kranu. Uruchamiana fotokomórką woda lała się jeszcze przez kilka sekund.

– O czym pani mówi?

– O twoim towarzyszu na ten wieczór... Zaiste *Belle du Jour*...

Pięćdziesięciolatka zaśmiała się chrapliwie. Sylwia poczuła, jak po jej twarzy rozlewa się ciepło. Rzut oka w lustro potwierdził jej przypuszczenia. Czerwieniła się. Ze wstydu? Bardziej ze złości i upokorzenia.

– On... Nie jest z żadnej agencji.

– Freelancer? Ile bierze za wieczór? – Sąsiadka z umywalki obok zabrała się za poprawienie błyszczyka na ustach.

– To nie jest żaden chłopiec do towarzystwa! – Sylwia niemal krzyknęła ze złością, czując, jak palące upokorzenie wędruje po jej twarzy, aż dociera do koniuszków uszu.

To była kwintesencja jej związku z Arturem. Wszyscy

uważali, że jest za przystojny, żeby być z nią ot tak po prostu, z miłości.

A jeśli ona sama storpedowała ich związek, zastanawiając się bezustannie, czy jest dla niego wystarczająco atrakcyjna?

Nagle poczuła, że Adam, o którego tak się martwiła, który fascynował ją swoim intelektem, ale też osobowością, to jakiś sztuczny konstrukt, którym zajęła się, żeby uciec od problemów i wątpliwości, z którymi borykała się w związku z Arturem. Może podświadomie zmęczona jedną trudną relacją, próbowała uciec w inną, która przecież – choćby z powodu nieprzystosowania społecznego Adama – okazałaby się takim samym wyzwaniem jak związek z celebrytą?

– To nie jest żaden żigolo. To mój chłopak – powiedziała z dumą w głosie. – Jesteśmy ze sobą już prawie cztery lata.

27 czerwca, środa

– Czy ty zwariowałaś? Czy znowu jesteś pijana? – Kuba stanął w drzwiach pokoju siostry i patrzył, jak Sylwia kończy się ubierać.

– Ale o co ci chodzi?

– Jeśli podejrzewasz Dantego, to ostatnia rzecz, którą powinnaś robić, to leżeć gdzieś z nim sam na sam. Gdziekolwiek! A już na pewno nie na pokład jachtu! A ja ci, moja droga, nie pomogę w chwili trwogi. Mam randkę! Zaraz muszę się szykować.

– Nie dramatyzuj.

– Jak mam nie dramatyzować? Turnus mija, a ja niczyja...

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie ma żadnego zagrożenia ze strony Dantego. On wie, że powiedziałam wszystkim, że się z nim umówiłam. Nie będziemy sami na tym jachcie. No naprawdę, nie byłby na tyle głupi, żeby aż tak ryzykować...

– Ale po co w ogóle robić ten eksperyment śledczy? To jakaś groteska.

– Wiem, ale to on się uparł. Obraził się, że go podejrzewamy, i chce mi teraz udowodnić, że naprawdę usłyszał wtedy, jak rozmawiam z Adamem o Mandy. Wiesz, jaki on jest...

– Zawzięty? Uparty? No i co z tego. To ta latynoska krew, lepiej przejść nad nią do porządku dziennego, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Ty weź lepiej odwieź Artura na lotnisko...

– Może odwiozę. Ale musimy też z Dantem trochę popracować. Chcę w końcu skończyć *Koniec scenarzystów!*

To był duży skrót myślowy. Tak naprawdę pisanie scenariusza jeszcze się nawet nie zaczęło. Z meksykańskim reżyserem Sylwia pracowała teraz nad drabinką. Był to, punkt po punkcie, zarys wszystkich scen filmu, ale w większości jeszcze bez dialogów. Zawsze jednak miała poczucie, że od momentu domknięcia historii, kiedy widać już było koniec, wszystko szło z góry.

Potem do gry wchodził Kuba, który szybko rozpisywał dialogi, i w ten sposób powstawała pierwsza wersja scenariusza, tak zwany *vomit draft*. Kilkanaście wersji później scenariusz był kierowany do produkcji, ale fabuła filmu krystalizowała się już w momencie domknięcia drabinki.

W przypadku *Końca scenarzystów* brakowało dosłownie kilku ostatnich punktów i istniała szansa, że podczas dzisiejszego spotkania z Dantem je wymyślą.

A Artur... W salonie stała już jego spakowana

walizka, a on sam miał zdjęcia próbne do jakiegoś filmu kina akcji, do którego poleciła go Flavia Alvarez. Scenariusz był słaby, a rólka nieduża, ale Artur był realistą. Wiedział, że z polskim akcentem i startując od zera, nie ma szans na prawdziwą karierę w Hollywood, gdzie twarzy równie urodziwych jak jego było na pęczki.

Poprzedniego dnia w knajpce przy Bulwarze Zachodzącego Słońca nie doszli z Sylwią do porozumienia, więc potem też do niczego nie doszło... Ona była już bliska dania im szansy, ale coś ją w ostatniej chwili zablokowało. Po kolacji przespacerowali się wokół jeziora Echo Park, po czym wrócili do bungalowu jako para, ale starych przyjaciół.

Będzie jeszcze szansa na domknięcie sprawy – pomyślała Sylwia. Jak to zwykle bywa w komediach romantycznych, czyli w ostatniej chwili na lotnisku.

Założyła jasną letnią sukienkę przed kolana, do niewielkiego plecaczka spakowała laptopa i wezwała samochód. Dante zadzwonił do niej, kiedy wysiadła z limuzyny w Marina del Rey. Przeprosił, tłumacząc, że chwilę się spóźni. Nie było problemu, bo tym razem nie musieli korzystać z motorówki, żeby dostać się na pokład jachtu. „The Moon” cumował przy nabrzeżu. Dostępu na trap pilnował bodyguard

Lao Pam. Bez słowa skinął głową i wpuścił Sylwię, która wcześniej trochę nakręcona czarnowidztwem brata, teraz znów poczuła się bezpieczniej.

Lao stała na głównym pokładzie blisko dziobu i patrzyła na zachodzące słońce. Sylwia podeszła, żeby się przywitać. Żona Douglasa odwróciła się dość raptownie. Była zaskoczona.

– A co ty tu robisz?

Sylwia przystanęła niepewnie.

– Myślałam, że wiesz. Ustaliliśmy to z twoim asystentem.

– Z Jasonem? – Lao uniosła brwi.

– Z Xanderem.

Żona Douglasa pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Już dawno powinnam go zwolnić.

– To nie ma sprawy, nie będziemy ci przeszkadzać.

Lao delikatnie ujęła Sylwię za ramię, a na jej twarz wrócił ciepły i spokojny uśmiech. Zaczęła przekonywać, że nic się nie stało i że zawsze są mile widziani na pokładzie „Księżyca”.

– Jak się czuje Douglas? – spytała Sylwia, bo wydawało jej się, że żona producenta mimo swojego łagodnego stoicyzmu wygląda na przybitą.

– Załatwia coś w San Jose – odpowiedziała Lao. – Rzucił się w wir pracy, może akurat to

dobra metoda, żeby... Jakoś to wszystko przetrwać.

Sylwia pokiwała głową. Zobaczyła, że na nabrzeże zajechało czarne audi; wysiadł z niego Dante. Obrócił się w stronę jachtu. Widząc Lao i Sylwię, podniósł rękę w geście powitania.

– A co właściwie będziecie tu robić? – spytała Lao, machając zapraszająco do Dantego.

– Trochę scenariusz, a trochę to nasze śledztwo...

Żona Douglasa spoglądała na nią z zaciekawieniem, ale Sylwia wstydziła się opowiedzieć o eksperymencie, jaki chciała przeprowadzić na pokładzie jachtu. Naraz poczuła, że to kompletnie idiotyczny pomysł. Może będą mogli wykorzystać go w scenariuszu, bo do filmu pasował, ale w prawdziwym życiu nie dało się go wziąć na poważnie.

Wizja Dantego, który miałby być zamieszany w zniknięcie Mandy, teraz wydała jej się kompletnie niedorzeczna. Ale to on z uporem maniaka obstawał przy tym, że chce się oczyścić w jej oczach, udowodnić swoją niewinność.

– Tu, na jachcie, będziecie prowadzić śledztwo? – Żona Douglasa wpatrywała się w Sylwię z ciekawością.

– To nic istotnego, naprawdę nieważne...

– Rozumiem, każdy jest podejrzany, więc ja również... – uśmiechnęła się Lao.

Sylwia odwzajemniła uśmiech i już miała wyjaśnić, że tak naprawdę chodzi o oczyszczenie z podejrzeń Dantego, ale w tym momencie na pokładzie pojawiła się buńczucznie zadarta czupryna meksykańskiego reżysera. Jej właściciel energicznie wbiegł po trapie i podszedł się przywitać.

Jak zwykle uśmiechnięty, otwarty, tryskający energią. Typowy sangwinik. Miał na sobie czarne dopasowane spodnie, sportowe czerwone buty za kostki i opinającą klatkę piersiową, czarną jedwabną koszulę z wyhaftowanym realistycznie pyskiem zielonookiego tygrysa. Sylwia pomyślała, że wykorzysta też okazję i przyjrzy się jego interakcji z żoną Douglasa. Może uda jej się potwierdzić albo zaprzeczyć podejrzeniom, że Dante podkochuje się w Lao.

– Jak zdjęcia do „Buddy”? – zapytał, wciskając dłonie w kieszenie, jakby było mu zimno. – Widziałem się wczoraj ze Stevenem, cisnął mnie i wypytywał.

– Widziałeś się ze Stevenem? – Lao posłała mu żartobliwe karcące spojrzenie. – Źle ci u nas? Chcesz nas zdradzić? Uciec od nas?

– Nic z tych rzeczy. Wpadliśmy na siebie

przypadkiem – Dante zaśmiał się, unosząc ręce w obronnym geście. – Jego trener personalny to mój pierwszy agent.

– Sądząc po tężyznie Stevena, gość jest równie dobrym trenerem personalnym, co agentem...

Oboje zaśmiewali się, prowadząc przez chwilę small talk, w który Sylwia, mimo najszerszych chęci, nie potrafiła się włączyć ze względu na znikomą znajomość realiów Hollywood. Zastanawiała się, o jakim Stevenie rozmawiają. Spielbergu?

– No dobrze, nie przeszkadzam wam – powiedziała w końcu Lao i poklepała Dantego po ramieniu. – Może chcecie coś do picia? Dawajcie znać.

Kiedy zostali sami, Sylwia zakomunikowała mu, że chce się wycofać z eksperymentu śledczego.

– Nie, zrobimy to. – Dante był stanowczy, choć bez zapiekłości. – Skoro już tu przyjechaliśmy, chcę doprowadzić to do końca. Tak to zawsze będziesz mnie o coś podejrzewać. Do końca życia będziesz miała wątpliwości...

Sylwia wyczuła w jego głosie lekki chłód. Czarujące przekomarzanie się z Lao było już jak odległe wspomnienie. Bez dwóch zdań uraziła go swoimi podejrzeniami i teraz już

jakakolwiek próba wycofania się tylko pogorszyłaby sprawę.

Poszli na tył jachtu, żeby stanąć w tych samych miejscach, co w dniu, kiedy się poznali. Szybko okazało się, że Dante ma rację. Bez problemu był w stanie usłyszeć rozmowę Sylwii i Adama.

Reżyser triumfował, a Sylwia poczuła się naprawdę głupio.

– Ale po co właściwie podsłuchiwałeś naszą rozmowę? – spytała, opierając się o reling. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nieprzebrany las masztów i wielkie czerwone słońce, które tonęło powoli w oceanie. Marszcząca się od lekkiego wiatru tafla wody sprawiała, że lustrzane odbicie jachtów było rozedrgane. Zamiast strzelistych masztów widać było kłębowisko wijących się węży.

– Nie podsłuchiwałem – Dante przewrócił oczami, podobnie jak miał to w zwyczaju robić Kuba. – Byłem zaintrygowany.

Sylwia obawiała się, że atmosfera pomiędzy nimi popsuka się na dobre. Wiedziała, że bywają ludzie, którzy chowają w sercu urazy, pielęgnują je. Sama nie obraziłaby się, gdyby wiedziała, że ktoś ją o coś podejrzewa. Podobnie jak Dante dążyłaby do tego, żeby sprawę wyjaśnić. Ale potem odpuściłaby, nie miałaby za złe, że były przesłanki, by

powątpiewać w jej uczciwość.

Dante wydawał jej się kimś, kto żyje raczej chwilą niż przeszłością, nie sprawiał wrażenia pamiętliwego, ale może się myliła... Zaproponowała, żeby wzięli się do pracy, bo późnym wieczorem miała odwiedzić Artura na lotnisko.

W milczeniu usiedli na górnym pokładzie, skąd rozciągał się piękny widok i na marinę, i na zatokę. Nic, tylko pisać scenariusz. Ale jakoś im nie szło. Domknięcie drabinki filmu jeszcze tego samego dnia stanęło pod znakiem zapytania.

Sylwia zastanawiała się, jak przerwać nieprzyjemną ciszę. Na szczęście na pokładzie pojawiła się Lao w towarzystwie bodyguarda, który niósł sporych rozmiarów tacę z wypolerowanego metalu. Stało na niej wiaderko z lodem, w nim butelka szampana, a obok dwa kieliszki.

– Skoro zamykacie dziś waszą historię, trzeba to uczcić – powiedziała Lao, biorąc z tacy kieliszki i wręczając je Sylwii oraz Dantemu.

– A ty się nie napijesz?

– Nie mogę! – Żona producenta powiedziała to tak wesoło, że Sylwia od razu domyśliła się powodu.

– Gratuluję...

– Czego? – zdziwił się Dante.

Lao spojrzała na nią prosząco. Sylwia odpowiedziała uśmiechem pełnym zrozumienia, ale reżyser i tak zaraz sam się domyślił.

– To wspaniała wiadomość! – żywiołowym gestem objął Lao i uniósł, na moment odrywając jej stopy od pokładu.

Sylwia ucieszyła się, że nabzdyczenie mu przeszło. Jeszcze raz się potwierdziło, że żona Douglasa ma wyjątkowy talent do wyczuwania konfliktów między ludźmi i smykałkę do ich rozwiązywania. To pojawienie się z szampanem... Mistrzowskie posunięcie.

Jednocześnie Sylwia pomyślała, że to chyba jednak niemożliwe, by Dante podkochał się w Lao. Gdyby tak było, nie ucieszyłby się tak szczerze z faktu, że ona i Douglas spodziewają się dziecka.

Chyba że... Nie, to niemożliwe. Gdyby to było jego dziecko, Lao powiedziała mu wcześniej. Nie przy Sylwii.

Już mi się to całe scenariopisarstwo rzuca na głowę – pomyślała. Wymyślam zwroty akcji jak z telenoweli.

Stuknęła swoim kieliszkiem o kieliszek Dantego. W ostatnich promieniach słońca wzniesli toast za ciążę Lao, za powodzenie zdjęć do *I Love Buddha* i za *Koniec scenarzystów*.

Douglas stracił syna, jedynaka, ale już

niedługo na świecie znów pojawi się jego dziecko. Trudno o bardziej hollywoodzkie zakończenie.

Zaraz potem Sylwia zorientowała się, że jej samej los zgotował finał jak z horroru. Poczowała, że dzieje się z nią coś dziwnego i bardzo, bardzo niepokojącego.

51

Chyba tak wygląda umieranie – pomyślała Sylwia. Czuła, jak gaśnie, mimo rozpaczliwych wysiłków, żeby zachować świadomość.

A potem kolejna myśl: Nie „chyba”. Ja naprawdę umieram... I konkluzja: szampan! Jej szampan był zatruty.

Jak w kiepskim filmie.

Początkowo zachowała jeszcze pełnię władz umysłowych i bogate słownictwo, którym była w stanie opisać sobie samej to, co się z nią dzieje. Senność, paraliż ciała i mgła albo wata stopniowo osnuwająca mózg. Zmysły słabły z każdą sekundą. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie była w stanie nic zrobić.

Oczy jej się zamykały; kurczyła się zdolność do trzeźwego formułowania myśli. Na świecie zapadał zmrok, ale i w jej umyśle robiło się coraz ciemniej. Przestały docierać do niej dźwięki.

Sylwia nigdy nie brała narkotyków – miała taką żelazną zasadę. Jedyne środki psychoaktywne, jakich w życiu doświadczyła, to alkohol, kawa i syrop Tussipect w dzieciństwie. Nie miała do czego porównać doznań, które teraz stały się jej udziałem, ale była pewna, że z szampanem było coś nie tak.

W ostatnim przeblasku świadomości dostrzegła jeszcze Lao, a obok niej Dantego, który stał wyprostowany na dziobie jachtu, w tych swoich butach za kostki. Odwrócił się i spojrzał na nią zimno. Jego wielkie, piękne oczy były ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, zanim osunęła się na

pokład, z największym trudem chroniąc się, by nie upaść z impetem na twarz i nie wybić sobie przy tym zębów.

I nie czuła już nic, niczego nie widziała ani nie słyszała. Odcięło jej wszystkie zmysły. Mimo to walczyła rozpaczliwie, próbując zachować świadomość, choć zdawała sobie sprawę, że jest skazana na przegraną.

Tak wygląda całe nasze życie. Trawimy je na zmaganiach, i nawet jeśli wygramy jakąś bitwę, to w ostatecznym wojennym rozrachunku zawsze i bez wyjątku ponosimy klęskę...

Sylwia nie miała pojęcia, kiedy się poddała. Tak jak nikt nie jest w stanie zarejestrować chwili, w której zasypia. I nie może być świadomy momentu swojej śmierci.

Może to nawet pocieszająca myśl. Nigdy tak naprawdę nie doświadczymy tej okropnej wiedzy, że umarliśmy. Ale nie było już jak się pocieszać. Sylwia straciła świadomość, bez nadziei, że kiedykolwiek jeszcze ją odzyska.

52

– Tak się stroisz, żeby mnie pożegnać? – spytał żartobliwie Artur.

Wszedł z salonu, niosąc swoją walizkę.

– Wyjeżdżasz? Nawet nie wiedziałem – odparł Kuba, również żartobliwie, przeglądając się krytycznie w dwumetrowym lustrze, które wisiało w przedpokoju. – Mam randkę.

– Trzymam kciuki.

Artur postawił walizkę przy drzwiach wejściowych bungalowu. Kuba na chwilę oderwał wzrok od swojego odbicia, ale zaraz znów począł je kontemplować. Wyglądał niemal jak rycerz w rynsztunku tuż przed bitwą. Niebieska czapeczka bejsbolowa z dużą żółtą literą „P” nad daszkiem pochodziła z jego ulubionego serialu *Friday Night Lights* i łatwo mogła służyć za wstęp do rozmowy o wielkim atucie Kuby, jakim była kariera scenarzysty filmowego. Koszulkę drużyny piłkarskiej Lazio Rzym wybrał, żeby podkreślić swoją europejskość, czyli wyjątkowość. W Stanach Zjednoczonych futbol, zwany tu „soccerem”, to nadal sport egzotyczny i niszowy. A w dzisiejszych czasach, jak zwykła twierdzić Paloma Bis, trzeba się wyróżniać z tłumu. Dodatkowo błady błękit oficjalnych barw Lazio wyjątkowo się Kubie podobał. Był jakiś taki męski, nieprzejęty.

– A ty w końcu jesteś nadal moim szwagrem czy nie? – spytał Kuba, ściągając bejsbolówkę, żeby przeczesać włosy.

Artur, który w międzyczasie przeszedł do otwartej kuchni i nalał sobie szklankę wody z kranu, zamyślił się nad

odpowiedzią. Powoli wziął kilka łyków, po czym odstawił szklankę na blat.

– Pewnie okaże się na lotnisku – powiedział w końcu. – Jak się będziemy żegnać.

Kuba posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Zagrałem to ostatnio w komedii romantycznej, więc może i w realu mi się uda. – Artur się uśmiechnął. – Żartuję.

O rany, co za suchar – pomyślał Kuba. Nagle dotarło do niego, że Artur jest najzwyczajniej w świecie nudny. Gdyby zerwać z niego tę etykietkę filmowego amanta i pozłotkę w postaci wyjątkowej urody, nikt by się za nim nie obejrzał. Taki poukładany, bez nutki szaleństwa czy łobuzerskiego sznytu. Bez wyrazu. Wymarzony zięć dla teściowych, ale niekoniecznie atrakcyjny facet w oczach ich córek. Przez te trzy lata, kiedy był z Sylwią, jego jedynym godnym zapamiętania numerem była ta zdrada po pijaku z blond lalą, koleżanką z planu filmowego. Nie żeby Kuba pochwalał skoki w bok, choć też nie był to dla niego grzech śmiertelny, ale gdyby w tym się znalazła jakaś ułańska fantazja chociaż...

Artur zwyczajnie nie pasował do jego siostry. Nic dziwnego, że Sylwia miała wątpliwości, czy kontynuować ich związek. Dla niej to był ostatni dzwonek, żeby znaleźć drugą połówkę na drugą połówkę życia...

– O której lecisz? – Kuba przykucnął i zaczął zakładać czarne tenisówki z granatowymi sznurówkami.

– Siedem minut po północy.

Kuba rzucił okiem na zegar na wyświetlaczu kuchenki mikrofalowej. Było kwadrans po dwudziestej pierwszej.

– To na co czekasz? Jedź! Amerykańcy mają pierdolca na punkcie kontroli bezpieczeństwa, przecież wiesz... Musisz być co najmniej dwie godziny przed...

– Myślałem, że Sylwia... – zaczął Artur, ale urwał w pół zdania.

– Miała cię zawieźć?

– Tak coś wspominała... Jak skończy pracować. Z Dantem
– wycedził aktor.

Kuba już wcześniej zorientował się, że Artur jest zazdrosny o meksykańskiego reżysera. Sam od dawna obserwował tych dwoje, ale nie dostrzegł żadnego iskrzenia. Siostra bardziej zafascynowała się analitycznym umysłem Adama Yoshidy. Zawsze tak miała. Pociągały ją tajemnicze, introwertyczne, zamknięte w sobie jednostki. Strategia o tyle ryzykowna, że gdy już uda się otworzyć pudełko, to nigdy nie wiadomo, co będzie w środku...

Kuba wyciągnął komórkę z kieszeni spodni i wybrał numer siostry.

– Nie odbiera.

Artur zasepił się, a Kuba poczuł lekki niepokój. Ale zaraz dostał od siostry ememesa: zdjęcie ekranu laptopa Sylwii, a obok niego kieliszek szampana. Pokazał fotografię Arturowi.

– No tak... – odparł Artur, wstawiając pustą szklankę do zlewu.

– Nie przejmuj się, ona tak ma, jak wpadnie w amok pisania. Sam wiesz... – próbował go pocieszyć Kuba. – Bierz ubera i popylaj na to lotnisko! Ona pewnie przyjedzie w ostatniej chwili. Będziesz miał swoją komedię romantyczną.

Obraz znów się zmienił. Sylwia była teraz zanurzona w wodzie. Ale nie było to przyjemne doznanie. Topiła się – w pełnej zdradzieckich wirów rzece Świder. Wskoczyła do niej, żeby ratować swoją kuzynkę, Elę, która nierozważnie i wbrew jej prośbom i groźbom zaczęła pluskać się przy brzegu i nim się spostrzegła, porwał ją nurt.

Obie walczą teraz o życie. Kuzynka młóci wodę rękoma, odwrócona do Sylwii plecami, potem półprofilem, a kiedy wir obraca ją w końcu przodem, okazuje się, że to nie Ela, tylko Mandy. Sylwia jest zaskoczona, ale wyciąga w jej kierunku rękę. Wie, że powinna postąpić inaczej, bo sama traci właśnie grunt pod nogami i kuzynka-Mandy pociągnie ją na dno. Utoną obie, ale Sylwia nie potrafi odmówić pomocy.

Tak jak nie potrafiła zrobić tego wtedy, kiedy miała dziesięć lat i Ela naprawdę zaczęła się topić. Sylwia nie wiedziała, jakim cudem udało się jej w końcu dotrzeć do brzegu, ciągnąc za włosy nieprzytomną kuzynkę. Była przekonana, że to już koniec, czuła potworny ból w płucach, do których wlewała się woda. A potem zrobiło jej się wszystko jedno i nie czuła już nic. Aż ocknęła się przy brzegu, kaszląc i plując wodą; Elą, którą wciąż trzymała kurczowo za włosy, targały torsje.

Sylwia próbuje podać rękę Mandy, miotającej się już pod powierzchnią rzeki, kiedy nagle słyszy co innego. Płacz dziecka. Zdumiona odwraca głowę i widzi, że na piaszczystym brzegu, pośród krzaków i zarośli, leży różowy kocyk, a na nim

białe zawiniątko. Kiedy spogląda z powrotem w stronę wartkiego nurtu, Mandy już nie ma. Została wciągnięta przez wir.

Sylwia chce ją zawołać, ale zachłystuje się wodą i gubi rytm nóg, których miarowy ruch utrzymywał ją na powierzchni. Tafla wody zamyka się nad nią.

Budzi się. Uświadamia sobie, że to był tylko sen. Teraz jest wczesne lato, Warszawa. Ona i Artur, oboje w szampańskich humorach. Urządzili sobie mikrowycieczkę. Wyszli z wytwórni filmowej na Chełmskiej i poszli w inną stronę niż zazwyczaj. Doszli aż nad Wisłę, mijając osiedla, domy, o których nie mieli nawet pojęcia, że istnieją. W krzakach nad rzeką ktoś porzucił starą kanapę obitą wypłowiałym welurem, który pewnie w czasach swojej świetności był intensywnie zielony.

Nie, teraz są w Ogrodzie Botanicznym w Alejach Ujazdowskich. Te krzaki to jakaś rzadka odmiana... dębu? Sylwia podchodzi bliżej, żeby przeczytać tabliczkę. Wtedy zauważa, że towarzyszy jej już nie Artur, ale Adam. Uśmiecha się do niej ciepło i spogląda w stronę budynku obserwatorium astronomicznego, który stoi przed bramą ogrodu. Adam jest bez koszulki, tylko w luźnych czarnych spodniach. Na jego szczupłej klatce piersiowej i ramionach odznaczają się biegnące pod skórą zielonkawe żyły.

Sylwia znów odwraca głowę, pochyla się i odczytuje tabliczkę. Miała rację. Dąb szypułkowy Mieszko I. Zdziwiona poprawia okulary. Niemożliwe, że są w ogrodzie botanicznym. Zna to drzewo, najstarsze na Mazowszu, jedno z najstarszych w Polsce. Przysadzisty dąb rośnie kilkaset metrów od jej domu. Zaskoczona podnosi wzrok i widzi, że nie towarzyszą jej ani Artur, ani Adam, ale Dante. Patrzy na nią tymi swoimi wyrazistymi oczami, uśmiecha się.

Tak, on pasuje do dębu. Silny i przysadzisty. Z bujną grzywką niczym korona drzewa. Sylwia chce mu to powiedzieć, tak żeby zabrzmiało to jak komplement, ale

orientuje się, że szybko zapada zmrok. Przegapiła cały wieczór i jest już za późno.

Ale na co?

FADE OUT, czyli ZACIEMNIENIE – magiczne hasło, które pojawia się na końcu scenariusza.

*

Sylwia ocknęła się. Tym razem miała pewność, że to nie jest sen w śnie, bo bolała ją głowa, a ramię, na którym leżała, było zdrętwiałe.

Nie miała pojęcia, czy minęły minuty, godziny, a może dni i tygodnie? Poczowała wielką ulgę, że żyje.

Kiedy otworzyła oczy, nie widziała nic. Tylko ciemność. Choć nie absolutną. Przełamaną z lekka fluorescencyjną, zielonkawą poświatą. Sylwia próbowała złapać rozbiegane myśli.

Co się stało? Gdzie jest?

Poświata pochodziła z przyklepionej na drzwiach plakietki formatu A4. Sylwia ostrożnie wstała i walcząc z mdłościami, na kołyszących się nogach podeszła do źródła światła. Okazało się, że to plakietka opisująca procedurę ewakuacji z jachtu. Powietrze w pomieszczeniu było gorące, a lekkie kołysanie nie ustawało. Sylwia zrozumiała, że to nie są zawroty głowy. Znajdowała się na pokładzie jachtu Douglasa. W tym samym miejscu, w którym niedawno zaczęła się jej przygoda z Hollywood. Sylwia odwróciła się i spojrzała na koję.

Nie była sama.

W mroku leżał ktoś jeszcze, plecami do niej. Sylwia podeszła i usiadła na koi, bo znów zrobiło jej się niedobrze. Od kołysania albo od resztek środka odurzającego, który wypijała z szampanem. Dotknęła ramienia leżącej postaci,

poczuła ciepło ciała. Jednocześnie przestraszyła się (kto to jest?!), ale i uspokoiła (nie trup!). Pomyślała, że poświeci sobie komórką, ale kiedy pomacała kieszenie, zorientowała się, że telefon został jej zabrany.

Walcząc z mdłościami, które podchodziły jej do gardła, podparła na chwilę twarz dłońmi. Głowa bolała coraz bardziej, w rytm przyspieszonego adrenaliną pulsu.

Sylwia odczekała kilkanaście sekund, a kiedy znów poczuła się na siłach, pochyliła się w stronę osoby leżącej na koi. We fluorescencyjnej poświacie dojrzała wywiniętą na Elvisa czuprynę.

Dante. Czarny charakter. Ale dlaczego jest nieprzytomny?

Sylwia przypomniała sobie, że on też pił szampana, którego podała im Lao. Może więc jednak nie był tym złym? Może nie tylko jej kieliszek został zatruty, a po prostu ona szybciej zareagowała na truciznę?

Potrząsnęła Dantego za ramię, ale na nic się to zdało. Spróbowała jeszcze raz, a potem zaczęła poklepywać go po policzkach, jednocześnie usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności kajuty, by wypatrzeć, czy gdzieś nie majaczy jakaś butelka z wodą.

Poderwała się z koi, ale świat wokół zawirował z takim momentem obrotowym, że musiała przykucnąć. Czuła się fatalnie. Na czworaka przypełzła do drzwi, na których wisiała fluorescencyjna plakietka. Złapała klamkę. Kajuta była zamknięta. Opierając się o drzwi, Sylwia ostrożnie wstała i majstrowała jeszcze chwilę wokół klamki, z nadzieją, że kajuta jest zamknięta od środka. W końcu poddała się i ostrożnie stawiając nogę za nogą, wróciła do koi.

Dante nadal był nieprzytomny. Przestraszona, zaczęła szukać pulsu. Najpierw na nadgarstku, potem na szyi. Nerwowo sprawdzała u siebie, gdzie w ogóle szukać tętnicy. Przeklinała w duchu wszystkie filmy, w których bohaterowie w trzy sekundy sprawdzają tętno rannym.

W końcu przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej, która pachniała cytrusową wodą kolońską. Coś tam kołatało.

Znów poklepała go po ciepłym, miękkim policzku. Wiedziała, że trzeba by przywalić mocno, może wtedy się ocknie.

Historia mojego życia w pigułce – pomyślała. Zawsze za mało przebojowa, za bardzo delikatna.

Trzymając w dłoniach twarz Dantego, Sylwia pomyślała, że ten świat należy do ludzi, którzy potrafią uderzyć z całej siły.

54

Kuba czuł, że świat należy do niego... Jest zdolny, przystojny, wciąż jeszcze młody i przebojowy... Je pyszną kolację we włoskiej restauracji o nazwie Bestia, a naprzeciwko niego siedzi anioł. W przenośni i dosłownie.

Angelo był Portorykańczykiem i choć rozmawiali dopiero od godziny, Kuba miał dziwne poczucie swojskości. W przeciwieństwie do siostry zawieranie znajomości go nie tremowało, choć poznawanie nowej osoby to jednak zawsze pewien proces. Początkowo obie strony sondują się, wysyłają rozmaite balony próbne, stroszą pawie ogony, próbują zaprezentować się jak najlepiej. Jest w tym coś z odgrywania roli „lepszego i atrakcyjniejszego ja”, a pilnowanie się na każdym kroku wprowadza element nienaturalnej sztywności.

Ale z Angelem śmiali się i wygłupiali, nim kelner zdążył przyjąć zamówienie.

Kuba nie mógł oderwać wzroku od idealnie równych i śnieżnobiałych zębów swojego rozmówcy, które ten co i rusz prezentował w szerokim uśmiechu. Sam od dawna miał pójść do ortodonta i obstałować aparat. Teraz z niepokojem myślał o swojej wadzie zgryzu. Nie była jakaś szokująca i Sylwia pukała się w głowę, kiedy Kuba zapowiedział, że chce z nią coś zrobić, ale może odstraszy urodziwego Latynosa? Gdy jednak prewencyjnie postanowił wytłumaczyć się ze swoich braków, Angelo od razu rozbroił jego lęki.

– Daj spokój, za stary jesteś na prostowanie zębów – zaśmiał się. – Poczekaj, zaraz ci wypadną, to sobie wstawisz

równiutką sztuczną szczękę.

Może to klisza i banał, ale Kuba miał wrażenie, jakby znali się z Anielem od dawna. To chyba dobrze wróżyło rodzącej się znajomości.

Była jedna łyżka dziegciu w tej jakże obiecującej beczce miodu... Kuba miał coś na kształt przeczucia. Może za długo robił w scenariuszach i dlatego gdzieś w odmętach mózgu mignęło mu czerwone światełko ostrzegawcze, które na moment oświetliło portret Sylwii.

Na pewno wszystko jest w porządku – uspokajał się, przytakując rozmówcy, choć coraz mniej słuchał tego, co tamten mówi.

Tylko że przeczucie Kuby nie było tak do końca irracjonalne. W końcu uświadomił sobie, skąd się wzięło. Był już bardzo późny wieczór, a on od czasu lakonicznego esemesa nie miał z siostrą kontaktu.

Niemożliwe, żeby tak długo pracowała z Dantem. A jeśli skończyła, zadzwoniłaby. Chyba że nie miała kiedy, bo zaraz po pracy pognęła na lotnisko pożegnać Artura? Może. Chcąc się uspokoić, Kuba wyciągnął komórkę i dyskretnie, pod stołem, napisał esemesa:

Jak eksperyment procesowy?

– I co sądzisz? – zapytał Angelo.

Kuba podniósł wzrok znad komórki. Na czas wysyłania siostrze wiadomości wyłączył się z rozmowy, więc nie miał pojęcia, w jakiej sprawie ma się wypowiedzieć, ale jako wybitny dialogista potrafił zaimprovizować zgrabną ripostę pasującą do każdego tematu.

– Sądzę... że zamówię jeszcze jedno wino.

– Przecież mamy...

– Dobry scenarzysta myśli kilka kroków do przodu. Jak przyniosą kolejną butelkę, tu już nie będzie ani kropli... –

powiedział Kuba i chcąc potwierdzić swe słowa, wyjął butelkę z wiaderka z lodem i napełnił swój kieliszek do pełna, a nawet więcej, z meniskiem, i ostatecznie rozlał trunek po blacie stolika.

Nachylił się i pospiesznie wysiorbał nadmiar z kieliszka. Przestraszył się, że może Angelo nie cierpi prostactwa, ale Portorykańczyk uniósł tylko nieznacznie brwi ze zdziwienia, po czym znów szeroko się uśmiechnął. Kuba odetchnął z ulgą. Czuł, że oryginalnością i odrobiną szaleństwa kolejny raz zapunktował.

Najlepsze randki przytrafiają się w momentach kryzysowych, bo nic tak nie rujnuje romantycznej atmosfery, jak wystudiowanie i strach przed tym, czy dobrze wypadniemy w oczach osoby, która nam się podoba.

Kiedy kelner odchodził od ich stolika z zamówieniem na kolejną butelkę *sauvignon blanc*, Kuba dyskretnie rozjaśnił ekran komórki.

Nic. Żadnej odpowiedzi od Sylwii. Kuba westchnął i już miał wsunąć telefon z powrotem do kieszeni, kiedy poczuł delikatną wibrację. Z nadzieją spojrzął na wyświetlacz, ale to tylko Dżolanta oznaczyła go w poście na Instagramie.

Nerwowo przełknął ślinę. Ta wariatka nagrała relację z wizyty w klinice Coorvera!

– Wszystko w porządku? – spytał Angelo.

– Przepraszam cię na chwilę, muszę zadzwonić.

Portorykańczyk zmarszczył czoło.

Przynajmniej nie stosuje botoksu! – pomyślał Kuba, posyłając mu uśmiech. Jego towarzysz chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie powstrzymał się od komentarza.

Kuba wstał od stolika i szybko wysłał Dżolancie esemesa: „usuń mój czerwony ryj z Insta, bo zajebię Alexandra”, po czym wybrał numer Sylwii. Po chwili w słuchawce usłyszał komunikat operatora sieci komórkowej. Abonent wyłączył telefon lub przebywa poza zasięgiem.

Kuba zaklął w myślach i wybrał numer Dantego. To samo. Jeszcze łudził się, że może zeszli pod pokład jachtu i dlatego ich komórki nie łapią zasięgu. Ale był zbyt odpowiedzialnym bratem, żeby tak zaklinać rzeczywistość. Nawet na potrzeby randki stulecia. Rzucił przelotnie spojrzenie w stronę stolika. Angelo podniósł właśnie kieliszek z winem do intensywnie czerwonych, pełnych i pięknie wykrojonych ust. Kuba aż zamarł na myśl o tym, co te idealne usta mogłyby działać. I zaraz jęknął bezgłośnie, bo Portorykańczyk rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie. Kuba położył rękę na sercu w przepaszająco-proszącym geście i wybrał numer Lao.

– Halo, Kuba – usłyszał w telefonie.

– Dzięki Bogu, że odebrałaś! Próbuję skontaktować się z Sylwią.

– A... Co się dzieje?

– Właśnie nie wiem. Ale ma wyłączony telefon. Miała pracować z Dantem na jachcie.

– Tak, byli tu u mnie.

– Byli?! – jęknął Kuba. – To gdzie są teraz?

– Nie wiem. A coś się stało? Zeszli na ląd jakieś pół godziny temu.

– Powiedzieli ci, dokąd idą?

– Chyba na kolację. Ale nie mam pojęcia. Kuba, coś się stało?

– Właśnie próbuję to ustalić. Nie wiesz, który kierowca po nich przyjechał?

– Postanowili, że zrobią sobie spacer.

Kuba podziękował Lao i rozłączył się. Nie mógł uwierzyć, że Sylwia zrobiła coś tak głupiego. Nawet jeśli eksperyment na jachcie zakończyłby się dla Dantego pomyślnie, to wcale nie oznaczało, że można mu ufać! Jego siostra zeszła z jachtu, na którym była bezpieczna, bo towarzyszyła jej Lao, i poszła gdzieś z Dantem bez żadnej obstawy?

Rany boskie!

Z człowiekiem, za którym ciągnęła się niejasna przeszłość, powiązania z gangami, co z tego, że w młodości! Przecież wiadomo, że gang jest jak udana dieta – to zobowiązanie na całe życie – nie można się z niego ot tak wypisać...

Jak Sylwia mogła zrobić coś tak głupiego? Jedyne wytłumaczenie, że kurdupel zaślepił ją tymi swoimi oczami jak z japońskiej kreskówki. Choć nie, w japońskich kreskówkach nie rysują chyba rzęs i brwi, a przynajmniej nie takie...

Wino, które Kuba wypił w trakcie wieczoru, w okamgnieniu wyparowało.

– Przepraszam, ale coś mi wypadło – zwrócił się do Angela, nawet nie siadając.

– Nie mówisz chyba poważnie.

– No niestety.

– Co ci wypadło?

– Sprawa rodzinna.

– Ale co? – Portorykańczyk nerwowym ruchem poprawił mankiety białej koszuli. – Potrzebujesz pomocy?

– Nie mogę ci powiedzieć. Muszę lecieć. Ale... Było miło, odezwę się.

Kuba wyciągnął rękę na pożegnanie. Angelo, wciąż zdumiony rozwojem sytuacji, podniósł się. Odepchnięte krzesło z jękiem przesunęło się po kamiennej posadzce. Angelo złapał Kubę za rękę i przyciągnął go do siebie.

Reakcja Latynosa zdumiała i nawet lekko przestraszyła Kubę.

– A nie pomyślałeś, że... – Angelo patrzył mu prosto w oczy.

– Może podświadomie, ale torpedujesz w ten sposób swoje związki? W momencie kiedy coś się zaczyna układać, coś zaklika...

– Nie, nie, naprawdę nie.

– A ja myślę, że tak. Nie masz się do czego doczepić, po

prostu znajdujesz inny sposób, żeby to zepsuć, bo tak naprawdę boisz się zaangażowania?

O ja pierdriu, domorosły psycholog, wiedziałem, że coś z nim nie tak... – jęknął w myślach Kuba.

Sylwia była przerażona. W kącikach oczu gromadziły jej się łzy. Nie była w stanie dobudzić Dantego. Drżącymi rękami szukała tętna, ale albo nie umiała tego zrobić, albo puls zanikł. Przyłożyła znów ucho do jego klatki piersiowej.

Nic!

Pospiesznie, choć z trudem ściągnęła Dantego z koi na podłogę kajuty i zaczęła rozpinać ciasną koszulę z wyhaftowanym łbem tygrysa. Działała intuicyjnie, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Być może Dante wypił więcej zatrutego szampana albo jego organizm gorzej metabolizował środek, którym ich uspieno.

Sylwia zrobiła trzydzieści uciśnień klatki piersiowej, a potem dwa oddechy metodą usta-usta. I potem znów uciśnięcia...

W końcu w ciemnej kajucie dał się słyszeć płytki wdech. Dante otworzył oczy, a Sylwia osunęła się z ulgą na podłogę.

Trwali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu. Minęła minuta, dwie, może więcej.

– Dobierałaś się do mnie? – powiedział w końcu Dante głosem tak słabym, że Sylwia ledwie go usłyszała. – No w końcu...

Zaśmiała się, ale wyszło z tego raczej łkanie. Otarła wierzchem dłoni mokre kąciki oczu, po czym złapała go za rękę. Patrząc, jak leży na podłodze, słaby i bezbronny, z rozchełstaną koszulą, zrozumiała nagle, jak bardzo przez te kilka tygodni przywiązała się do tego pewnego siebie,

zmysłowego, a jednocześnie męskiego faceta, który zrobił na niej najgorsze pierwsze wrażenie na świecie.

Kiedy Dante powoli dochodził do siebie, Sylwia jeszcze raz próbowała otworzyć drzwi kajuty. Bezskutecznie. Przez chwilę waliła w nie i nawoływała pomocy, choć w sumie jasne było, że ktokolwiek ich uspił i zamknął pod kluczem, nie przyjdzie im teraz na ratunek.

Znalazła włącznik światła i zlokalizowała zaopatrzone minibarek. Wyjęła z niego butelkę wody Aquafina o objętości około jednej trzeciej litra, czy raczej 12 fl oz, jak głosił napis na etykiecie. Po chwili wahania wzięła też puszkę energetyka. Skoro zostali uspieni, kofeina może być dobrym antidotum. Na razie Sylwia odkręciła wodę i podała Dantemu, podtrzymując mu jednocześnie głowę.

Za czymś, co wyglądało na drzwi szafy, odkryła przylegającą do kajuty maciupenką łazienkę. Sylwia z ulgą zrobiła siku, po czym umyła ręce w mikroskopijnej umywaleczce.

– Żyjesz? – spytała, kiedy wyszła z szafy-łazienki.

W odpowiedzi reżyser kiwnął głową, po czym odkaszlnął.

– Żyję – wychrypiał. – Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Ale... Wszystko wskazuje na to, że tak nas urządziła Lao! I w takim razie myślę, że to ona jest zamieszana w zniknięcie Mandy Powell.

– Lao? Lao Pam? – Dante z trudem łapał powietrze. – To buddyjskie dziewczę, które wygląda tak, jakby od dwóch lat nie piło kawy?

– Pozory mylą.

– Ale jaki ona ma w tym interes?

– Właśnie też zachodzę w głowę... – Sylwia potarła twarz rękoma. – Nie mam pojęcia. Przez chwilę myślałam, że to ty za wszystkim stoisz.

– Ja?

Pół godziny, a może godzinę później, bo nie mieli jak tego

sprawdzić, Dante poczuł się na tyle silnie, żeby wstać i napić się energetyka, a po kilku minutach uszkodził sobie bark, próbując wyważyć drzwi kajuty.

Klnąc pod nosem po hiszpańsku (Sylwii ciarki przeszły po plecach), padł bezradnie na podłogę.

A wtedy jego wzrok spoczął na schowanej pod koją gaśnicy.

56

– Nie odleciałeś jeszcze?! – wykrzyknął Kuba do telefonu, wybiegając z Bestii.

– Właśnie miałem wyłączyć komórkę. Jestem już na pokładzie – głos Artura był przygaszony i brzmiał matowo. – Co się stało?

– Nie było Sylwii?

– Nie – odparł chłodno aktor.

– A miałeś z nią jakiś kontakt? Odezwała się?

– Nie.

– Musisz mi pomóc! Myślę, że ona ma kłopoty.

– Myślę, że po prostu podjęła decyzję. I...

– Ty ciągle o sobie! – Kuba wszedł mu w słowo. – Coś jest naprawdę nie tak! To nie jest komedia romantyczna! Jeśli już, to kryminał klasy B...

Na chwilę zapadło milczenie. Kuba usłyszał w tle charakterystyczny samolotowy gong, a po nim przytłumiony komunikat stewardessy.

– Oczywiście, że jej pomogę – powiedział w końcu Artur. – Tylko powiedz, co się dzieje. Ja muszę być jutro na planie... Inaczej Paloma Bis obciąży mnie kosztami.

Kuba zaklął w myślach, że może robi z igły widły i Sylwia zaraz się znajdzie, ale nie mógł przecież postąpić inaczej. Wyjaśnił Arturowi, dlaczego boi się o siostrę, po czym rozłączył się i zaalarmował Claire. Policjantka, o dziwo, wysłuchała go z uwagą i obiecała, że zaraz spróbuje zadziałać. Potem Kuba chciał jeszcze raz porozmawiać z Lao,

dopytać o więcej szczegółów, ale żona Douglasa nie odbierała telefonu.

Kuba stał na chodniku, zastanawiając się, czy zadzwonić po kierowcę, czy może szybciej mu pójdzie złapanie taksówki. Niejednokrotnie widział w amerykańskich filmach, że wystarczy zamachać ręką, a żółty samochód zmaterializuje się i zatrzyma.

– Pomóc ci jakoś? – usłyszał za plecami.

Odwrócił się i zobaczył Angela. Po szerokim i ujmującym uśmiechu Portorykańczyka nie było śladu, a mężczyzna patrzył na Kubę z troską.

28 czerwca, czwartek

Dante wziął gaśnicę i zaczął walić nią w klamkę, aż poszły iskry. Po kilkunastu razach masywne drewniane drzwi ustąpiły.

Za nimi stał ochroniarz Lao, ten sam, który na jej polecenie przyniósł zatrutego szampana. Tym razem jednak zamiast tacy trzymał w rękach pistolet. Sylwia krzyknęła ze strachu. Dante zachował spokój; zrobił krok w tył i powoli opuścił ręce, w których trzymał gaśnicę.

– Spokojnie, kolego – powiedział, wytrzymując spojrzenie ochroniarza.

– Zamknij się! – warknął Azjata.

Sylwia zdała sobie sprawę, że słyszy go po raz pierwszy. Zawsze dyskretny i niczym cień, pół kroku z tyłu, nigdy wcześniej się nie odzywał.

– No i co zrobisz? – Dantemu nie drgnęła nawet brew. – Zastrzelisz mnie?

– On to naprawdę może zrobić! – wtrąciła drżącym głosem Sylwia. – Oni zabili Chloe i Juniora!

– Kochanie, nie pomagasz. – Dante rzucił jej karcące spojrzenie.

Po czym niespodziewanie cisnął w ochroniarza gaśnicą. Zdezorientowany

mężczyzna uchylił się, tracąc przy tym ułamek sekundy, a w tym czasie Dante uniósł nogę i z całej siły złądował tym swoim ciężkim buciorem na jego klatce piersiowej.

Padł strzał, ochroniarz poleciał do tyłu, wciąż jednak kurczowo trzymając w ręku broń. Gdzie się podziała prawda z tych wszystkich filmów sensacyjnych, w których przy każdej wymianie ciosów pistolet wypada oprawcy z ręki? A dalej malowniczo toczy się na skraj przepaści, burty albo chociaż w miejsce, do którego obie walczące strony będą próbowały się dostać?

Sylwia była przekonana, że ogłuchła. W uszach jej dzwoniło i krztusiła się od zapachu spalonego prochu. Nim ochroniarz zdążył się ponieść, Dante dopadł go i obiema rękami złapał dłoń z pistoletem, naciskając jednocześnie stopą na krtań przeciwnika. Facet wił się jak piskorz. Uniósł nogi i chciał złapać Dantego w nożyce, ale Sylwia przygwoździła jego stopy z powrotem do podłogi, kładąc się na nich całym swoim ciężarem.

Po chwili ochroniarz zaczął charczeć pod naciskiem buta reżysera.

– Puść! – krzyknął Dante przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna w końcu posłuchał go i puścił pistolet. Dante sprawnym ruchem porwał broń, podniósł stopę i wykonał półobrót.

Wyprostował się; mierzył teraz w głowę napastnika.

– Sylwia, stań za mną – powiedział, siląc się na spokój, ale jego hiszpański akcent, na co dzień ledwie wyczuwalny, stał się wyraźniejszy, tak jakby Dante pod wpływem nerwów przestał go kontrolować.

Ochroniarz złapał się obiema rękami za szyję, krztusząc się i charcząc, próbował łapać oddech, posyłając im jednocześnie nienawistne, zimne spojrzenie. Sylwia czuła, że trzęsą jej się nogi. Dobrze, że skorzystała z mikroskopijnej łazienki w kajucie, bo pewnie zsikałaby się teraz ze strachu.

Szybko się jednak opanowała i pomogła Dantemu zamknąć ochroniarza w sąsiedniej kajucie. Reżyser kazał mu zdjąć marynarkę i odrzucić ją w ich kierunku. Sylwia zaczęła sprawdzać kieszenie: znalazła między innymi kartę magnetyczną, z pomocą której zatrzasnęli zamek elektroniczny, przezornie zabierając wcześniej spod koi gaśnicę.

Wyszli na pokład, łapczywie wciągając świeże powietrze. Znajdowali się na pełnym morzu, ale poświata Los Angeles była doskonale widoczna. Wiatr targał rozczochraną fryzurą Dantego.

– Gdzie ty się tak... – Sylwia urwała, bo pod wpływem emocji trudno jej było sklecić zdanie.
– Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłeś?

– Jakbyś się wychowywała na przedmieściach Mexico City... – Dante wzruszył ramionami, zabezpieczając broń i wsuwając ją sobie za pasek spodni, na plecach, na wysokości kręgosłupa. – Ale uprzedzając od razu następne pytanie, nie umiem żeglować.

– Ja też nie.

– Tu gdzieś na pewno jest radio – powiedział Dante, siląc się na spokój. – Nie martw się. Wezwiemy pomoc...

– Albo sprawdźmy jeszcze kajuty, może znajdziemy nasze komórki – zasugerowała Sylwia. – Może nie wyrzucili ich za burtę.

Dante spojrzał na Sylwię z uznaniem.

Skierowali się na naszpikowany elektroniką mostek kapitański i zatrzymali silnik jachtu. Znaleźli też nadajnik radiowy. Metodą prób i błędów udało im się go uruchomić. Dante połączył się z LAPP – policją portową Los Angeles – i wezwał pomoc.

Następnie, w poszukiwaniu swoich komórek, jeszcze raz przeszli przez trzy pokłady, otwierając po kolei wszystkie drzwi kartą magnetyczną, którą zabrali ochroniarzowi.

W jednej z kajut znaleźli Mandy Powell, zaginioną dziewczynę Adama.

58

Kobieta była nieprzytomna, a jej twarz i dłoń, których dotknęła Sylwia, były zimne. W pierwszej chwili pomyśleli więc, że mają przed sobą trupa. Drobną postać leżała na wznak na koi. Miała na sobie letnią sukienkę, nogi skrzyżowane, a ręce wiotko ułożone wzdłuż ciała, nadgarstkami do góry.

A jednak tliło się w niej życie. Oddech był – płytki, ledwie wyczuwalny. Sylwia, po traumatycznych przejściach z ratowaniem Dantego, z ulgą ustąpiła mu pola. Reżyser sprawdził puls, fachowo przyciskając dwa palce do tętnicy szyjnej. Sylwia w tym czasie otworzyła minibarek. Był w dużej mierze opróżniony, ale została się jeszcze jedna butelka Aquafiny. Niestety na niewiele się zdała. Mandy była cały czas nieprzytomna, nie udało się jej ocucić mimo klepania po policzkach i polewania twarzy wodą. Na szczęście jej puls i oddech były stabilne. Być może dostała fachowo odmierzoną dawkę środka usypiającego, co zdawały się sugerować ślady po ukłuciach igły, które Dante i Sylwia odkryli w zgięciu ramienia.

Zostawili nieprzytomną Mandy na koi i ostrożnie sprawdzili pozostałe kajuty. Nie znaleźli nikogo więcej, po ich telefonach komórkowych nie było śladu. Sylwia bardzo się bała i zaproponowała, żeby poczekać na policję na górnym pokładzie, w jego otwartej części. Obawiała się, że ochroniarz Lao będzie próbował się wydostać. Ale z kajuty, w której go zamknęli, nie dochodziły żadne dźwięki.

Kiedy tak stali na pokładzie, chłodzeni przez nocną bryzę, w Sylwii coś pękło. Zaczęła płakać i cała drżeć, jakby trawiona gorączką. W pierwszym odruchu zasłoniła rękoma twarz, ale zaraz potem przytuliła się do Dantego. Nic nie powiedział, tylko objął ją mocno.

Dante tulił Sylwię tak długo, aż dreszcze przeszły. Ona też go objęła; wyczuła twardej metal broni zatkniętej za pasek jego spodni.

Po chwili przerwali uścisk, podeszli kilka kroków bliżej burty i usiedli na leżaku z egzotycznego drewna. Czekali.

Po jakichś dwudziestu minutach dopłynęła do nich motorówka policji portowej. Na pokład weszli trzech funkcjonariusze i lekarz, który natychmiast zbadał Mandy. W tym czasie Sylwia i Dante relacjonowali policjantom, co zaszło. Dowódca patrolu polecił im, by przeszli na pokład motorówki. Nieprzytomna Mandy została przeniesiona na noszach i jednostka natychmiast ruszyła w stronę Marina del Rey. Z daleka było już widać, że na nabrzeżu migoczą błękitne światła ambulansu oraz samochodów policyjnych.

Na pokładzie policyjnej motorówki Sylwia poczuła ogromną ulgę. Rozluźniona, złapała i uścisnęła dłoń Dantego.

– Dziękuję – wyszeptała.

Reżyser wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz na jego zmęczonej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– To ja dziękuję. Gdyby nie ty... Nie, to głupio zabrzmiało, ale chciałem ci powiedzieć...

Sylwia milczała, bo czuła, że zaraz padną ważne słowa. Nagle wielkie i ciemne tęczęwki Dantego rozbłysły ogniem, cała twarz rozświetliła się. Rozległ się potworny huk, a podmuch gorącego powietrza omal nie zdmuchnął Sylwii z pokładu motorówki. Na szczęście Dante nadal trzymał jej dłoń, a drugą ręką kurczowo chwycił się krawędzi siedzenia.

Kierujący motorówką funkcjonariusz na chwilę stracił nad nią panowanie, bo przerażony falą uderzeniową odruchowo

skulił się, skręcając przy tym kierownicą. Zszokowana Sylwia odwróciła głowę. Nad jachtem Douglasa dogasała kula ognia. „The Moon” płonął.

Policjant opanował się po dłuższej chwili. Poderwał się i klnąc, patrzył z niedowierzaniem na płonący jacht, który powoli zaczął tonąć. Sylwia zwróciła uwagę na to, że policjant jest bardzo młody. Mimo krótkiej brody, która dodawała mu powagi, miał nie więcej niż dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć lat. Miotał się, jakby nie wiedział, co robić, ale widząc jej wzrok, wyprostował się, wyrównał kurs i przyspieszył, próbując jednocześnie wywołać kogoś przez radio.

– Powinniśmy wrócić – zasugerował spokojnym głosem Dante. – Może trzeba komuś pomóc.

Funkcjonariusz zawahał się, zwolnił. Zaszczekało radio, więc z ulgą zajął się rozmową. Sylwia biegle mówiła po angielsku, ale dźwięk dochodzący z radia był tak słabej jakości, tak trzeszczał, że nie była w stanie niczego zrozumieć. Młody policjant prowadził rozmowę jeszcze przez chwilę, po czym odmeldował się.

Zawrócili. Podpłynęli do płonącego jachtu, okrążyli go dwukrotnie, ale nikt nie dawał znaku życia. Po kilku, może kilkunastu minutach, pojawiły się dwie inne jednostki – jedna policyjna, a druga wojskowa – na burcie widniał napis „U.S. Coast Guard”.

Kiedy Sylwia zeszła na nabrzeże, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Dante zauważył to i wsparł ją ramieniem. Pojechali radiowozem prosto na przesłuchanie. W samochodzie Sylwia poprosiła jednego z funkcjonariuszy o pożyczenie telefonu.

– *Hallo?* – Kuba odezwał się po angielsku, a w jego głosie pobrzmiwały desperacja i niepewność.

– To ja.

– *Toya? Who the fuck is Toya?! La Toya Jackson?*

Sylwia nie miała pojęcia, czy brat się zgrywa, czy naprawdę

nie rozpoznał jej po głosie.

– Kuba, to ja, Sylwia...

– Matko Boska, gdzie ty jesteś?! Całą noc cię szukam! Zrujnowałem sobie najbardziej obiecującą randkę, na jaką poszedłem w XXI wieku!

– Przepraszam... – też chciała odpowiedzieć żartem, ale umysł miała pusty jak polskie ulice w trakcie meczu reprezentacji. Może w ten sposób jej mózg odreagowywał stres.

– Tylko nie mów, że się gziłaś z tym pieprzonym Latynosem! Powiedz, że twoje życie było w niebezpieczeństwie, bo ja dla ciebie zawałem randkę, a Artur zdjęcia! Nie mówiąc o tym, że dojeżdżamy właśnie, żeby zrobić rozpiarduchę w Górze Prawdy – Kuba jak zwykle odreagowywał silne emocje słowotokiem.

– Moje życie było w niebezpieczeństwie – odpowiedziała cicho Sylwia.

– Co się stało?!

– Tak naprawdę jeszcze nie mam pojęcia. Ale znalazłam Mandy.

59

Dochodziła szósta rano, ale Sylwia nie czuła znużenia – adrenalina robi swoje. Kiedy po złożeniu zeznań wyszła na korytarz, czekali tam na nią Kuba i Artur. Dante po zbadaniu przez lekarza zeznawał jeszcze w pokoju obok, widziała go przez przeszklone drzwi. Rodzeństwo padło sobie w ramiona. Sylwia zaczęła martwić się, że Arturowi przepadł lot, ale on zapewniał ją, że nic się nie stało i dzięki różnicy czasu rozmawiał już przez telefon z produkcją w Polsce. Paloma Bis okazała miłosierdzie i nie obciąży go kosztami za stracony dzień zdjęciowy. Zaraz przebukuje sobie bilet i w ogóle nie ma o czym mówić, jej życie i zdrowie są najważniejsze.

Po chwili pojawił się też Fausto, kierowca, który wiozł ich pierwszego dnia po przylocie do Los Angeles. Poprosił, żeby Sylwia pojechała z nim do siedziby DoDo Pictures, bo Douglas Clayton, który przyleciał z San Jose, chce z nią pilnie porozmawiać.

– Nie ma mowy. Idziemy spać – zaprotestował Kuba. – A ona w ogóle powinna jechać do szpitala.

– Wy idźcie spać – powiedziała Sylwia, poklepując brata po ramieniu. – Ja pojedę. I tak już bym oka nie zmrużyła.

Kuba i Artur chcieli jej towarzyszyć, ale próbowała przekonać ich, że nie ma takiej potrzeby. A Douglas i tak pewnie będzie chciał porozmawiać z nią w cztery oczy.

– Wykluczone! – powiedział Kuba. – Zważywszy na te wszystkie kretyńskie zwroty akcji, nie zdziwię się, jak się okaże, że za tym wszystkim stoi właśnie Douglas, który

w dodatku jest jaszczurem i wyznawcą teorii o płaskiej Ziemi. Nie puszczę cię tam samej!

Sylwia była przekonana, że nie zmruży oka, a jednak ukołysana mrużeniem diesła zasnęła na tylnym siedzeniu limuzyny. Za oknem słońce z trudem wstawało i próbowało przebić się przez poranną mgłę. Leśniewscy już się zorientowali, że o tej porze roku, późną wiosną i wczesnym latem, w Los Angeles bardzo często tak właśnie zaczyna się dzień. Zjawisko to doczekało się nawet swojej nazwy: *June Gloom* – ponury czerwiec, *May Gray* – szary maj, *No Sky July* – lipiec bez skrawka nieba, a nawet *Fogust* – mglisty sierpień.

Sylwia spała ledwie kilka chwil i płytko, ale kiedy się ocknęła, nie czuła już zmęczenia. Ani bólu głowy, ale to dzięki tabletkce advilu, którą dał jej Fausto.

Wjechali na podziemny parking. Fausto wręczył Sylwii kartę magnetyczną, dzięki której uruchamiało się windę. Chwilę później we trójkę frunęli na ostatnie piętro biurowca.

Douglasa widziała pierwszy raz od czasu pogrzebu Juniora. Postarzał się. Rysy szczupłej twarzy wyostrzyły się, oczy straciły blask. Oprócz niego w gabinecie byli prawnik, którego Sylwia kojarzyła z podpisywania umowy, oraz jeden z asystentów producenta. Wszyscy mieli poważne miny i sprawiali wrażenie niewyspanych, tak jakby marynarki i spodnie od garniturów narzucili na piżamy.

– Dziecko, jak ty wyglądasz – powiedział Douglas, spoglądając na Sylwię z troską. – Chcesz kawy?

– Nie jestem zmęczona – odpowiedziała, zastanawiając się, czym aż tak przestraszyła producenta. Ma podkrążone oczy? Włosy w nieładzie? Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zarwała noc.

Znów zaczęła relacjonować zdarzenia, do których doszło na jachcie. Douglas słuchał w milczeniu; ręce miał splecione tak mocno, że aż mu bieleły kłykcie. Po kilku minutach do gabinetu wszedł Dante. Po nim w ogóle nie było widać, że ma

za sobą nieprzespaną noc oraz próbę reanimacji.

Imprezowe geny – pomyślała Sylwia.

Ponieważ nie było już wolnych krzeseł, reżyser przysiadł na oparciu szarej materiałowej sofy, która stała pod ścianą.

– Gdzie jest Lao? – spytał.

– Sam chciałbym to wiedzieć – zachnął się Douglas. – Oczywiście nie odbiera telefonu. Wy tłumaczcie mi, proszę, co tu się dzieje. Błagam! To jest jakiś koszmar!

Sylwia i Dante wymienili spojrzenia. Producent zaczął zadawać pytania, na które nie znali odpowiedzi. W pewnym momencie do gabinetu wszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie czarny garnitur. Leśniewscy kojarzyli go z widzenia. „Man in black” był szefem ochrony Douglasa, oficerem jakiejś służby na emeryturze. Podeszedł do producenta i szepnął mu coś na ucho, pochylając się lekko. Opadająca poła marynarki odsłoniła na moment kaburę z bronią. Douglas zmarszczył czoło i pokiwał głową.

– W porządku, Ralph – powiedział do ochroniarza, po czym zwrócił się do nich. – Lao jest na lotnisku.

Przesłuchanie zostało przerwane. Douglas poderwał się i w asyście ochroniarza, asystenta oraz prawnika wyszedł z gabinetu i ruszył w kierunku wind.

Leśniewscy, Artur i Dante popatrzyli po sobie.

– Słuchajcie, co tu się dzieje? – zapytał Kuba.

– Jak jest na lotnisku, to pewnie ucieka – powiedziała Sylwia, po czym z trudem stłumiła ziewnięcie. Napięcie znów zaczynało z niej schodzić i ustępować miejsca zmęczeniu.

– No, ale co on... zamierza ją łapać? Własnoręcznie? Chyba tam są jakieś służby?

Sylwia, Kuba, Dante i Artur wyszli z gabinetu i zjechali na parking podziemny. Limuzyna Douglasa właśnie wyjeżdżała z piskiem opon. Przez chwilę zastanawiali się, co zrobić. Ostatecznie podeszli do Fausto, który stał obok samochodu i bawił się telefonem.

– Zawieziesz nas na lotnisko?

Kierowca bez słowa otworzył drzwi auta. Gdy tylko wyjechali z garażu podziemnego, w samochodzie dał się słyszeć przenikliwy dzwonek komórki. Kuba wyciągnął ją z kieszeni, zerknął na wyświetlacz, po czym zdumiony pokazał go Sylwii, która siedziała obok. Dzwonił Adam albo przynajmniej ktoś korzystający z jego telefonu. Kuba odebrał połączenie i włączył głośnik.

– Cześć... – powiedział niepewnie.

– Dzwoniłem do Sylwii, ale ma wyłączony telefon...

Sylwia nie mogła uwierzyć, że znów słyszy ten senny głos marzyciela. Adam był może bardziej zmęczony, odrobinę przygaszony, ale nie stracił nic ze swojego spokoju.

– Wypuścili cię?! – wyrwało się jej. – Komórkę straciłam, opowiem ci potem.

– Właśnie mnie wypuszczają – głos Adama brzmiał płasko. Nawet tak radosną nowinę podawał bez żadnego rozedrgania, bez emocji. – Dostałem też informację ze szpitala. Potwierdzili tożsamość Mandy.

– To wspaniale! – Sylwii trudno było opanować drżenie w głosie. – Jak ona się czuje?

– Nadal jest nieprzytomna. Jak tylko stąd wyjdę, jadę tam.

– My jedziemy na lotnisko. Lao Pam próbuje uciec z kraju.

– Lao? Co ona ma z tym wspólnego?

– Nie wiemy, ale zdaje się, że wszystko – wtrącił Kuba.

Fausto dogonił limuzynę Douglasa dopiero przed terminalem Tom Bradley International. Dante, Artur i Leśniewscy również wysiedli, a samochody odjechały, żeby czekać w gotowości na parkingu.

Chwilę trwało, nim w ogromnym terminalu odlotów, pod falującym dachem, wśród stanowisk, kiosków, tablic świetlnych i tabunów podróźnych znaleźli Douglasa. Stał otoczony przez swoją świtę – ochroniarzy, prawników i innych współpracowników, których liczba wzrastała z każdą

chwilą.

Douglas miał marsową minę. Ręce splótł na piersi, ale wyglądał na spokojnego. Stojący obok prawnik jedną ręką trzymał komórkę, drugą przesłaniał mikrofon i relacjonował coś producentowi. Leśniewscy, Artur i Dante podeszli bliżej. Douglas zauważył ich.

– Zatrzymali ją – powiedział z zimną satysfakcją. – Już po wszystkim. Mają ją.

60

Czekając na rozwój sytuacji, Leśniewscy i Dante kupili kawę w Starbucksie. Artur poszedł szukać biura linii lotniczych, żeby przebukować bilet. Douglas ze swoją świtą pobiegł ustalać coś z policją, która zatrzymała Lao; podobno wywlekli ją już z samolotu.

Nikt nadal nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Tybetanka więziła dziewczynę Adama na jachcie. Bo Sylwię i Dantego kazała odurzyć i zamknąć w kajucie zapewne ze strachu, że ją zdemaskują. A potem postanowiła uciec. Ale czy była zamieszana w śmierć Chloe i swojego pasierba? O co w tym wszystkim chodziło?

Leśniewscy usiedli na wysokich krzesłach barowych przy panoramicznym, choć trochę przybrudzonym oknie z widokiem na kołujące w kierunku pasa startowego samoloty. Sylwia zastanawiała się kiedyś, jak przetłumaczyć na polski słowo *lounge*. „Poczekalnia” nie oddawała tej co najmniej odrobiny komfortu, jakim *lounge* się cechowało. „Salonik VIP” był znów o oczko za wysoko. Eteryczna muzyka, której gatunek często określa się tym samym terminem – *lounge* – wydobywała się z podwieszonych pod sufitem białych głośników i koła nerwy.

W normalnych okolicznościach Sylwia mogłaby spędzić tu cały dzień wypełniony fascynującymi obserwacjami. Z jednej strony szaleńczy pęd współczesnego świata – rzeka pasażerów przemierzających halę odlotów, prawdziwe morze ludzi wielu narodowości, starych, młodych, w garniturach,

w kolorowych sari, w turbanach na głowie, z dreadami, w kowbojskich kapeluszach, którzy podążali we wszystkich kierunkach; jedni prawie biegli, inni człapali krok za krokiem, ciągnąc walizki i swoje niesforne dzieci, pchając wózki na bagaże, wózki ekip sprzątających, wózki inwalidzkie. Z drugiej, za szybą, kolejka odlatujących maszyn – wszystkie precyzyjne, majestatyczne, jak w zegarku kołujące na kraniec pasa startowego.

Średnio co trzy minuty stalowy kolos zatrzymywał się na moment, po czym włączał pełen ciąg silników, przyspieszał i unosił się w powietrze. Właśnie wzbiła się maszyna Delta Airlines, po niej Emirates, potem rozpędzać zaczął się kolejny boeing Deltę, a następny w kolejce był samolot Lufthansy, na którego pokładzie, według słów szefa ochrony Douglasa, chciała uciekać Lao.

– Życie to jednak każdego scenarzystę bije na głowę – powiedział sentencjonalnie Kuba, siorbiąc resztkę kawy. – Bo ja nadal nie umiem tego złożyć w logiczną całość.

– Ja też nie.

– Co ona odwaliała? I po co?

– Zaraz się pewnie dowiemy – odpowiedziała Sylwia.

– Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem, moglibyście się zlitować i mówić po angielsku. – Dantego, choć na pewno też padał ze zmęczenia, nadal stać było na ironię.

Sylwia odwróciła się do reżysera i posłała mu przepaszający uśmiech. Kątem oka zauważyła, że team Douglasa ponownie pojawił się na horyzoncie, wyraźnie poruszony i podniecony. Pewnie już coś wiedzieli. Sylwia i Dante wzięli do ręki kubki z kawą i wraz z Kubą ruszyli w kierunku grupki, w centrum której stał producent. Był czerwony na twarzy i gwałtownie gestykulował.

Kiedy podeszli, Douglas już znów odchodził gdzieś szybkim krokiem. Obok niego truchtali szef ochrony i prawnik, a za nim szło dwóch ochroniarzy i dwóch asystentów, których

imion Leśniewscy nigdy nie byli w stanie zapamiętać; grupę zamykali kierowcy. Dante zagadał Fausta. Po chwili kręcąc z niedowierzaniem głową, odwrócił się do Leśniewskich. W tym czasie Douglas i jego towarzysze zaczęli biec.

– Wykiwała ich – powiedział reżyser.

– Jakim cudem? – Kuba zrobił wielkie oczy. – I kogo wykiwała? Policję?

Okazało się, że kobieta, która została zatrzymana z paszportem na nazwisko Lao Pam, była podstawiona. Wywleczono ją z samolotu, ale szef ochrony Douglasa, który się tam zakręcił, nie rozpoznał jej.

– Czy on chce zatrzymać startujący samolot? – spytał Kuba, patrząc za oddalającą się switą producenta.

– Facet jest zdeterminowany... – odpowiedział Dante.

– Ale skąd pewność, że prawdziwa Lao jest na pokładzie? – wtrąciła przytomnie Sylwia.

Podeszli do szklanej ściany w miejscu, w którym widać było koniec pasa startowego. Stalowy kolos z rysunkiem białego żurawia na ciemnoniebieskim ogonie zakończył kołowanie i zatrzymał się na moment, by za chwilę ryknąć całą mocą silników i rozpocząć mozolne nabieranie prędkości, aż do momentu, kiedy już nic nie będzie mogło zatrzymać go na ziemi.

Leśniewscy i Dante w napięciu obserwowali ten triumf myśli technicznej, który w każdej sekundzie na jakimś lotnisku na Ziemi podrywa tony stali i setki ludzi na pokładzie w podniebną podróż. Spodziewali się, że służby i Douglas doprowadzą do tego, że rozpęd zostanie przerwany w ostatnim momencie, a samolot nie poderwie się, tylko z wściekłym wyciem zacznie wytracać prędkość. Że Lao Pam zostanie zatrzymana i wreszcie ta dziwna zagadka, która rozpoczęła się miesiąc wcześniej podczas imprezy na pokładzie jachtu, zostanie wyjaśniona.

Sylwia miała wrażenie, że ryk silników zelżał, ale było to

tylko złudzenie. Maszyna Lufthansy oderwała się od pasa i uniosła się w powietrze.

– Może zawrócą? – spytał Dante.

– Moim zdaniem jej w ogóle nie ma na pokładzie – powiedziała Sylwia.

– Nie znacie się – prychnął Kuba. – To niemiecki samolot. Amerykanie nie mają tam jurysdykcji.

– Jesteś pewien? – Sylwia zmarszczyła brwi, przez co odrobinę zsunęły jej się okulary. – Chyba mogą go zawrócić?

– W momencie, kiedy oderwał się od ziemi, to już tylko Angela Merkel może go zawrócić – pokręcił głową Kuba. – I Bóg. Choć myślę, że i On musiałby spytać Angelę o zgodę.

Na pasie startowym pojawiła się następna maszyna Delt, przygotowująca się do startu. Douglasa i jego ludzi nigdzie nie było.

Nagle zabrzmiał sygnał przychodzącego esemesa. Kuba sięgnął do kieszeni, wyciągnął komórkę, zerknął na wyświetlacz, po czym zamarł.

– Co się stało? – spytała Sylwia, do której w tym momencie dotarło, że po stracie komórki przez dłuższy czas będzie odcięta od świata.

– Jezus Maria... – wydukał w końcu Kuba.

Sylwia wiedziała, że nawet w momencie największego wzburzenia emocjonalnego brat lubi i potrafi nabudować dramaturgię. A kiedy uda mu się skupić na sobie uwagę wszystkich wokół, tak łatwo jej nie odda.

– No mów! – Dante nie znał jeszcze Kuby dość dobrze albo zwyczajnie nie miał cierpliwości do jego teatralnych zagrań.

– To... Adam – obwieścił w końcu Kuba grobowym głosem. – Napisał, że Mandy nie żyje.

61

– I właściwie to my ją zabiliśmy.

– Nawet tak nie żartuj – odpowiedziała Sylwia, ale w głębi serca musiała przyznać bratu rację. Gdyby nie jej dociekliwość i upór w dążeniu do prawdy...

Fausto zawiózł ich do Kaiser Foundation Hospital. Musieli zostawić Artura, który ugrzązł w załatwianiu jak najszybszego powrotu do Polski, z Palomą Bis wiszącą mu na telefonie i jęczącą, że produkcja się wali, wciągają ją ruchome piaski, a rzesze nienawistników już tańczą na grobie, do którego wpędza ją Artur.

Znaleźli Adama siedzącego w kącie, w lobby szpitala. Trudno było powiedzieć, co bardziej odbiło się na nim: pobyt w areszcie czy wydarzenia ostatnich godzin. Kulił się na niebieskim krzeselku przy ścianie. Wzrok miał jeszcze bardziej nieobecny niż zazwyczaj. Był nieogolony, blady, co dodatkowo podkreślała czarna bluza. Na widok Leśniewskich i Dantego zmrużył podkrążone oczy.

Sylwia, jak to scenarzystka, wyobrażała sobie wcześniej moment ich spotkania po wyjściu Adama z aresztu. Wiedziała, że on nie będzie potrafił okazać emocji. Będzie po prostu stał, może chociaż uśmiechnie się na jej widok. A ona? Rzuci mu się na szyję? Przytuli go? Scenariusze scenariuszami, ale życie dyktuje własną historię.

Sylwia przykucnęła i popatrzyła na Adama z troską. To wszystko. Miała mętlik w głowie, a ich pocałunek sprzed kilkunastu dni, choć pełen napięcia, teraz wydawał się

już tylko snem.

Dziewczyna, którą Sylwia i Dante odnaleźli na jachcie Douglasa, nie umarła. Tak naprawdę czuła się całkiem nieźle, a lekarze bez trudu ją wybudzili.

Kuba opacznie zinterpretował esemes od Adama, który napisał, że „nie ma Mandy”. Nie chodziło o to, że umarła, tylko że ktoś taki po prostu nie istnieje. Nigdy nie istniał. Dziewczyna, z którą nawiązał kontakt i w której zakochał się programista, została sztucznie wykreowana. Adam wytłumaczył im to spokojnym, cichym i opanowanym głosem, tak jakby opowiadał ostatnio przeczytaną książkę albo film, który obejrzał wczoraj. Ale Sylwia była przekonana, że słyszy w jego słowach niewypowiedziany dramat.

– Rozmawiałem z nią. Z Mandy... To znaczy z Margaret. Ona tak naprawdę nazywa się Margaret Ward i przyjechała z Australii. Jest aspirującą aktorką i została wynajęta do odgrywania tej roli.

– Stary, co ty mówisz? To jakiś total! – Wszystkie emocje, których nie był w stanie wyrazić Adam, doskonale oddawał Kuba. – Przez kogo? Jesteś pewien?

– Rozmawiałem z nią. Do wszystkiego się przyznała. Przeprosiła mnie... Oczywiście Lao Pam ją wynajęła. Do spotkań ze mną.

– No dobrze... – Sylwia próbowała jeszcze racjonalizować całą sytuację. – A te wszystkie rozmowy, które z nią prowadziłeś?

– Nie z nią. Z nią tylko się spotykałem. A te wszystkie rozmowy prowadziła ze mną Lao. To znaczy pisała do mnie, a ja jej odpisywałem. Ale kiedy chciałem ją zobaczyć, spotkać się na żywo... Wtedy zaczęła wykorzystywać wizerunek tej dziewczyny... Przysyłała zdjęcia, filmiki. A w końcu wynajęła ją, żeby się ze mną spotkała. Zapłaciła jej...

Sylwia zamarła. Zrozumiała, jak blisko była rozwiązania zagadki, kiedy zdziwiło ją, że Mandy zna zawiłości języka

tybetańskiego.

– I nie czułeś, że to jest inna osoba? – drażył Kuba.

– Trochę tak. Ale myślałem, że tak to bywa, jak się kogoś poznaje przez internet. Wydawało mi się, że ona jest onieśmielona tym spotkaniem. Ja też byłem. Miałem nadzieję, że z czasem ten rozdźwięk minie, jak już się oswoimy...

Sylwię zmroziła ta współczesna wersja Cyrana de Bergeraca. Pamiętała, że jednym z pierwszych pytań, które zadała Adamowi, było to, czy jego znajomość z Mandy jest realna. Od razu wyczuła specyficzny typ osobowości, który reprezentował. Introwertyk, który lepiej czuje się w rzeczywistości wirtualnej. Kuba przezywał go nerdem, maniakiem komputerowym. Sylwia miała swoje podejrzenia dotyczące tego, że znajomość Adama z dziewczyną rozgrywała się na płaszczyźnie komunikatorów internetowych, a nie w realu. Tyle jest przecież przykładów fałszywych tożsamości w internecie... A nawet tragedii, do których dochodziło, kiedy oszustwo zostawało w końcu demaskowane.

Ale wtedy Adam przyznał, że choć znajomość z Mandy przez długi czas rozgrywała się w rzeczywistości wirtualnej, w końcu spotkali się naprawdę. To uspiło czujność Sylwii. Spotykali się kilkakrotnie, poszli nawet do łóżka. Na imprezie na jachcie Douglasa mieli spotkać się kolejny raz. Ale Mandy już się nie pojawiła. Zniknęła, wyłączyła telefon.

To już zupełnie rozwiało wątpliwości Sylwii, bo nie spodziewała się aż tak perfidnej mistyfikacji. Prawie wszystko było jasne. Początkowo znajomość z Adamem rozpoczęła Lao, posługując się zmyśloną tożsamością „Mandy Powell”. Ale kiedy już nie dało się dłużej utrzymać tej relacji tylko w rzeczywistości wirtualnej, Lao wynajęła aspirującą aktorkę, która dawała Adamowi złudzenie tego, że Mandy jest osobą z krwi i kości...

W kim właściwie zakochał się Adam? W Lao Pam czy

w Margaret Ward? W intelekcie i duszy żony Douglasa, czy może ładnej buzi i seksownym ciele aktoreczki? Jego dziewczyna okazała się chimera, konstruktem.

Lao pewnie poznała Margaret podczas jednej z pierwszych imprez w Mount Veritas, na której dziewczyna była hostessą. Prawdopodobnie żona Douglasa, która pojawiła się tam z mężem pierwszy i ostatni raz, nawiązała kontakt z Margaret i postanowiła za sositą opłatą wynająć ją do odegrania dziwacznej roli.

W końcu jednak młoda aktorka pewnie się zbuntowała i nie chciała dłużej brnąć w tę maskaradę. Może po spotkaniu z Adamem zrobiło jej się go żal? Albo po prostu zażądała za dużo pieniędzy? Choć to ostatnie niekoniecznie, bo Lao zapewne dalej płaciła jej za utrzymanie tajemnicy. Wynajęła Margaret apartament przy Colorado Avenue. A kiedy Sylwia przypadkiem natrafiła na ślad intrygi, podmieniła ją szybko na inną aktorkę.

Nie... To wszystko wydało się Sylwii jednak mało prawdopodobne. Bo przecież idąc dalej tym tropem, żona Douglasa musiała uciszyć współlokatorkę Margaret, a potem swojego pasierba. Nawet tak bogata i wpływowa kobieta nie byłaby w stanie dokonać czegoś takiego...

I dlaczego w takim razie nie próbowała zabić Margaret? I Leśniewskich? Kiedy grunt palił się Lao pod nogami, uwięziła aktorkę na jachcie i otumaniała ją narkotykiem. Podobnie jak Sylwię z Dantem. Ale przecież nie byłaby w stanie więzić ich w nieskończoność.

I to wszystko z jakiego powodu? Romansu? Bo tak całą sprawę interpretowała sobie Sylwia. Znudzona żona bardzo, bardzo bogatego człowieka zaczyna internetowy flirt z pracownikiem jej męża, w który brnie, a potem próbuje zatrzeć ślady? Nie, to bez sensu, nie klei się. Sylwia spotkała się z sytuacjami, w których niewinne początki dawały opłakane i rozdmuchane skutki. Na przykład *Fargo* – film

oparty na prawdziwych wydarzeniach, w którym podupadający biznesmen porywa własną żonę, żeby wyciągnąć kasę od bogatego teścia, co kończy się jatką.

Czuła jednak, że w historii Adama i Lao Pam stawka musi być wyższa.

29 czerwca, piątek

Jak zwykle najlepiej poinformowana okazała się Dżolanta.

– O maj gad! Ona nie była żadna Tybetanka. Ona była chińskim szpiegiem. Hare Kriszna z Krainy Deszczowców. Its krejzy! – emocjonowała się, machając dłońmi i rozcapierzając palce, na których połyskiwały tipsy.

Sylwia z zainteresowaniem słuchała trajkotania Dżolanty, jednocześnie myśląc, że teraz wszystko nabiera sensu. Jeśli za całą tę operację odpowiedzialna jest nie jedna kobieta, ale służby specjalne światowego mocarstwa... Mogli uciszyć i współlokatorkę Mandy, i Douglasa Juniora.

Czyli nie chodziło o romans znudzonej żony bogacza. Choć Sylwia, przypominając sobie dziesiątki rozmów tych dwojga, których zapisy przeczytała na komputerze Adama, była pewna, że Lao w którymś momencie wpadła we własne sidła. Dla oszukanego, upokorzonego producenta był to z pewnością dodatkowy cios.

– A jak się trzyma Douglas? – spytała Sylwia.

– W ogóle się nie trzyma. Rzucił to wszystko i wyjechał.

– Dziwisz się? – wtrącił się Kuba. – Dostał na wszystkich frontach. O ja cię, teraz to już mu naprawdę rzuci się na mózg.

Leśniewscy czekali na Adama, który kolejny raz składał zeznania.

– A wydawała się taka miła – powiedziała Dżolanta.

– Nie była miła – odparł stanowczo Kuba. – Ja od razu wyczułem, że jak taka miła, to na pewno ma coś za uszami. Ja wiedziałem...

Sylwia postąpiła bratu zdziwione spojrzenie.

– Tak, uszy! – ekscytowała się Dżolanta. – Masz rację. Te uszy rzeczywiście miała paskudne. Ofu! Jak jeszcze rozpuściła włosy, to okej, ale jak upięła, od razu jej powiedziałam: idź kochana do doktora Coorvera, bo masz uszy jak słonik Dżambo, on ci je zmniejszy...

Policji i chmarze prywatnych śledczych wynajętych przez Douglasa szybko udało się zrekonstruować działania i motywy Lao Pam.

Wszystko zaczęło się już trzy lata wcześniej. Douglas Clayton, który był znany ze swoich sympatii i działań na rzecz niepodległości Tybetu, poznał piękną Lao, która dzieciństwo spędziła w obozie dla uchodźców. Ale tak naprawdę była agentką podstawioną przez chińskie służby.

– Od początku czułam, że to dziwne, że ona

chce robić film o buddyjskim mnichu, który zakochuje się w dziewczynie i porzuca dla niej... Całą swoją tradycję – powiedziała Sylwia. – To raczej przekaz w drugą stronę. Nie zachęca Tybetańczyków do zachowania tożsamości.

– O to to, właśnie! – podniecił się Kuba. – Ja też czułem, że coś jest nie tak. Patrz, i jeszcze specjalnie napuściła nas na tę Górę Prawdy, bo wiedziała, że dzięki temu nie będziemy jej podejrzewać.

– No właśnie z Górą Prawdy to nie byłabym taka pewna... – powiedziała cicho Sylwia. – Oni wyraźnie dawali nam wskazówkę...

– Jaką?

– Żeby rozwiązania zagadki szukać na wschodzie... Pamiętasz?

– Aż za bardzo – westchnął Kuba. Przypomniał mu się karaibski bożek, który naskoczył na niego w kawiarni. – A ciekawe czy Flegmia była z nią w zмовie...

– Jaka Flegmia? – Dżolanta zaczęła mrugać mocno umalowanymi oczami.

– Żona Dantego – wyjaśnił Kuba.

– Była żona – odruchowo sprostowała Sylwia.

– Może ona też była podstawiona... – Kuba snuł swoją teorię. – Ale Dante przynajmniej się zorientował i puścił ją w trąbę.

– O maj gad! – wykrzyknęła Dżolanta. – To

Bob też może był podstawiony!

– Bob? – skrzywił się Kuba. – No co ty.

– Jesteś siur?

– Tak, jestem mega siur!

– Its hypnotajzin!

Sylwia powoli przestawała słuchać coraz bardziej absurdalnej wymiany zdań między bratem a Dżolantą. Ale nowe informacje sprawiły, że prawie wszystkie puzzle były już na miejscu i tworzyły spójny obraz. Lao Pam nie kochała Douglasa; dostała jedynie zlecenie, żeby się do niego zbliżyć. A potem, kiedy była już jego żoną, otrzymała misję rozpracowania genialnego programisty. Tym razem chodziło o szpiegostwo przemysłowe albo i wojskowe. Stawką była Lava VR – przełomowy system rzeczywistości wirtualnej, którą Adam opracowywał dla DoDo Gamez, a który mógł mieć zastosowania nie tylko komercyjne, ale i militarne.

I niestety udało się jej. Kiedy Adam siedział w areszcie, Lao udawała, że chce pomóc, a tak naprawdę jej wyszkoleni współpracownicy wykorzystali ten czas, by złamać zabezpieczenia i wykraść jego dorobek intelektualny, z którym Lao ostatecznie uciekła do Hong Kongu.

Brutalna prawda była taka, że zarówno Sylwia i Dante, jak i Margaret alias Mandy,

zginęliby, gdyby operacja przeprowadzana przez Lao Pam nie zmierzała do szczęśliwego finału. Żona Douglasa oszczędziła ich, bo następnego dnia i tak miała już zaplanowaną ucieczkę ze Stanów. Obudziliby się na jachcie, kiedy ona byłaby już bezpieczna na pokładzie samolotu.

Więcej szczegółów poznali, kiedy kilka dni później Lao przysłała Adamowi nagranie wideo.

– Wiem, że nie jestem w stanie zmienić tego, że uważasz mnie za potwora – zaczęła, patrząc prosto w kamerę. – Ale nawet potwór może mieć swoją rację i mam nadzieję, że chociaż przez zwykłą ciekawość jej wysłuchasz.

Adam natychmiast przesłał nagranie i policji, i Douglasowi, i Leśniewskiemu, którzy obejrżeli je w swoim bungalowie. Lao mówiła spokojnie i rzeczowo. Usprawiedliwieniem jej działań był brat, który rzekomo został osadzony w więzieniu za działania na rzecz niepodległości Tybetu. Miał zostać wypuszczony na wolność, jeśli Lao dostarczy mocodawcom Lava VR.

Sylwia była w stanie uwierzyć, że to prawda. Pamiętała nostalgię, z jaką żona Douglasa opisywała jej swoje dzieciństwo spędzone w obozie dla uchodźców i brata, który się nią wówczas opiekował.

Nagranie trwało dokładnie minutę

i dwadzieścia trzy sekundy. Kiedy się skończyło, na ekranie wyświetlała się rozmazana stopklatka – piękna twarz Lao Pam, naznaczona smutkiem. Pełna spokoju, ale już nie łagodności, którą żona Douglasa prezentowała w Los Angeles. Teraz biła z niej twardość, trudno powiedzieć, czy wrodzona, czy nabyta. Ale choć wszystkich wykiwała, dopięła swego i nie dała się złapać, to w jej postawie nie było ani krzty triumfu.

– No dawaj – powiedział Kuba, zatrzasnąwszy laptopa. – Teraz możesz zacząć go pocieszać.

– Kogo?

– Adama. Nie ma żadnej Mandy, droga wolna... Możesz wyleczyć go z tej beznadziejnej miłości do chińskiego szpiega...

Nad Venice Beach zachodziło słońce. Palmy na jego tle wydawały się czarne. Niebo miało tę nienaturalną, różowawą poświatę jak w filmie *Vanilla Sky*. Było tak pięknie, że Sylwia poczuła przyływ euforii, jakby właśnie wypić podwójne espresso. Wody zatoki Santa Monica były spokojne, nie mącił ich najłżejszy wietrzyk.

I nagle wszystko zniknęło. Przed oczami miała ciemność. Zdjęła z głowy gogle. Lava VR, która nadal znajdowała się dopiero w fazie developmentu, biła na głowę znajdujący się w sprzedaży system rzeczywistości wirtualnej, którym bawili się podczas imprezy w domu Dantego.

Kuba testował gogle trzy razy dłużej niż siostra. Podekscytowany krzyczał i skakał, ciągle prosił Adama o pokazanie mu nowych możliwości. Kiedy wreszcie pożegnali się z programistą i wyszli ze studia doświadczalnego na siódmym piętrze wieżowca DoDo Gamez, Kuba był szczęśliwy, ale zmachany na tyle, że miał siłę tylko uśmiechać się z zadowolenia i z niedowierzaniem kręcić głową.

– Ja pierdziu, Silwano – powiedział tylko jedno zdanie. – Żyjemy w przededniu rewolucji technologicznej, która zdmuchnie nas wszystkich wraz z przyległościami.

W milczeniu zjechali windą i wyszli z budynku.

Pół godziny później byli już w Venice Beach. Tym razem naprawdę. Szli deptakiem Ocean Front Walk. Minęli leżącą pod palmą skrzynkę z nieheblowanymi deskami, w której leżało

kilka nadpsutych pomarańczy. Kilkadziesiąt metrów dalej potknął się wrotkarz i cudem odzyskał równowagę.

Zeszli na plażę i zaczęli się bacznie rozglądać. Mijali grupki turystów pod kolorowymi parasolami, surferów dzierżących pod pachą deski, hałaśliwych nastolatków z głośnikami na bluetooth. Przeszli obok przewróconego metalowego wózka na zakupy wyniesionego z jakiegoś z supermarketu. Kilkadziesiąt metrów dalej dojrzelili znajomą czuprynę à la Elvis.

Dante siedział w czerwonych kąpielówkach na wielkim plażowym ręczniku w różnych odcieniach brązu i patrzył na ocean. Kiedy Leśniewscy dosiedli się, otworzył lodówkę samochodową i wyciągnął dwie puszki Dr. Peppera.

– Może my też jesteśmy tylko rzeczywistością wirtualną? – spytała po dłuższej chwili Sylwia.

– Już nie świruj, no błagam! – Kuba położył się na brzuchu i zaczął grzebać palcami w piasku. – Jak zwykle zaczynasz to swoje filozofowanie.

– Ale sam powiedziałaś, że żyjemy w przededniu rewolucji. Więc to jak najbardziej realna perspektywa. Może gdzieś teraz, właśnie w tej chwili, w Chinach odpalili algorytm Adama. I mają tam swoją Venice Beach, a na niej nas...

– Sylwia ma rację. – Dante zgniótł pustą puszkę i wrzucił ją do lodówki, po czym wyciągnął się w pozycji pólężącej i zamyślony patrzył na Leśniewskich. – Nie sądzę, żeby teraz było to możliwe. Ale za pięć, dziesięć albo dwadzieścia lat... Przecież ta technologia będzie się rozwijać. Zabije nas, filmowców, zabije Hollywood. Zobaczycie, będziemy na starość łązić tu, po plaży, i wygrzebywać puszki z piachu, żeby sprzedać je potem dwa centy za sztukę w skupie złomu.

– No chyba ty! – obruszył się Kuba. – Ja się ładnie uśmiechnę do Adasia i zostanę scenarzystą gier komputerowych. Mam już nawet pierwszy pomysł. Takie coś, że na zmianę pojawiają ci się gęby Palomy i Lao Pam i musisz

do nich strzelać. Dwie najgorsze jędze mojego życia!

Dante parsknął śmiechem i wyciągnął z lodówki kolejną puszkę. Sylwia melancholijnie pokiwała głową.

– Lao Pam... – Nie daje mi to spokoju – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż chłopaków.

– No cóż, wykiwała nas i tyle – odparł Kuba.

– Nie o to chodzi. To imię...

Sylwia zmarszczyła czoło.

– Lao Pam to anagram – powiedziała cichym głosem.

– Co? – spytał Kuba.

– Anagram. Po przestawieniu liter wychodzi coś innego.

– Wiem, co to jest anagram!

– To pomieszaj litery w Lao Pam. Wyjdzie ci... Paloma.

Kuba zakrztusił się napojem. Tak mocno, że Dante musiał walnąć go w plecy.

– O co chodzi? Kim jest Paloma? – zapytał reżyser.

Kuba na przemian łapał powietrze, kłął chrapliwym głosem i pokasływał.

– O ja pierdziu!

– Paloma. Ksywa naszej producentki, od której wszystko się zaczęło – wyjaśniła Sylwia.

– Zwariowałaś? To... nie wiem... To jest jakiś kosmiczny zbieg okoliczności! – wycharczał Kuba.

– Czyli *spisek scenarzystów* – odparła kpiącym tonem Sylwia. – No może... Albo bardziej pesymistyczna wersja. Nie istniejemy naprawdę. Jesteśmy częścią symulacji, wirtualnej rzeczywistości. Paloma kiedyś wyjdzie z więzienia... Kupi grę i wcieli się w postać Lao Pam, żeby nas przechytrzyć i wziąć rewanż. Pewnie wypuszczą ją za tyle lat, że system opracowywany przez Adama znajdzie się w masowej produkcji. Ludzie nie będą już oglądać filmów, jak sam powiedziałeś. Rozrywką będzie rzeczywistość wirtualna.

– Tak powiedziałem. – Dante pokiwał z niedowierzaniem głową, po czym usiadł na plażowym ręczniku i wyprostował

się, jakby ktoś szturchnął go mocno w plecy. – Ale twoja bujna wyobraźnia nie przestaje mnie zaskakiwać.

– Dajcie spokój, jesteśmy jak najbardziej realni! – Kuba wreszcie przestał kaszleć i odzyskał głos. – Silwano, od dziecka prześladowałaś mnie strasznymi opowieściami i pewnie dlatego jestem, jaki jestem. Mam ci przypomnieć, jak mi wmawiałaś, że jak się przeżegnám na odwrót, to w nocy przyjdzie po mnie diabeł?

– Ja? Nic takiego sobie nie przypominam. Ale przepraszam.

– Chwileczkę... Ta producentka, która występuje w *The Plotters* – wtrącił zdezorientowany Dante. – Ta, co chcemy, żeby zgrała ją Meryl, naprawdę miała na imię tak samo jak Lao Pam?!

– Jesteśmy realni! – wydarł się Kuba.

– Jaki masz na to dowód? – odpowiedziała spokojnie Sylwia.

Kuba przez chwilę stukał się nerwowo palcem wskazującym w usta, próbując zebrać myśli.

– Jesteśmy zbyt zwyczajni – zawyrokował, przechodząc na chwilę na język polski. – W filmach, serialach i powieściach kryminalnych bohaterowie zawsze mają dziwaczne nazwiska. Kompletnie nierealne. Jakieś Moki, Sroki, Mordki, Uchyłki i Szadzie. Oraz imiona w stylu Ebenezer. A my jesteśmy zwyczajni Leśniewscy. Sylwia i Kuba.

– To nie jest żaden dowód.

– Jesteśmy prawdziwi!

Dwa lata później – Cannes
17 maja, niedziela

– Jesteśmy prawdziwi!

Tak brzmiała ostatnia kwestia w filmie *Koniec scenarzystów*. Wypowiedział ją Cuba Krasinski wcielający się w rolę Kuby Leśniewskiego. Potem nastąpiło już tylko to, co w scenariuszu opisuje się jako FADE OUT, czyli ZACIEMNIENIE. Na ciemnym ekranie wyświetlił się prosty, biały napis: „The End of Screenwriters”. Po czym ostatnie słowo wyparowało i zostało już samo „The End”.

Koniec Końca scenarzystów.

Sylwia, która siedziała w pierwszym rzędzie tuż przed ekranem, czuła, jak mocno bije jej serce. W kinie panowały ciemność i grobowa cisza. Podobno w momencie zagrożenia życia albo w ostatnich jego chwilach przed oczami wyświetlają się wszystkie najważniejsze momenty. W przypadku Sylwii byłby to prawie rok pracy nad filmem. Harówki, która za moment może zostać przekreślona, strącona w niebyt, zamknięta na trzy spusty za drzwiami z tabliczką „klapa”.

Dopiero po kilku sekundach, kiedy z głośników zaczęła płynąć niespokojna muzyka, a na ekranie pojawiły się napisy

końcowe, sala zatrzęsała się od braw.

Na widowni powoli rozbłysły przytłumione światła, oszczędzające szoku związanego z przejściem z sennej rzeczywistości filmu do realności. Brawa trwały, a wręcz wzmożyły się. Sylwia zerknęła w lewo. Kuba uśmiechnął się do niej z uznaniem, oklaskując bez krępacji własny scenariusz. Siedzący fotel dalej Cuba Krasinski potarł go czułym gestem po włosach, po czym poderwał się, włączając się w owację na stojąco. Sylwia popatrzyła w prawo. Siedzenie obok niej było puste.

– Daliśmy czadu – powiedział Kuba, nachylając się jej do ucha.

Mijały kolejne sekundy, potem minuty, a brawa nie milkły. Sylwii film też się podobał, choć widziała go już w niezliczonych wersjach montażowych. Jako scenarzystka zawsze odczuwała mniejszy lub większy dysonans, patrząc, jak jej pomysły i wizje zmaterializowały się na ekranie. Przyzwyczała się już do rozczarowań, ale w przypadku *Końca* było ich zdecydowanie najmniej w całej jej karierze.

Wreszcie na scenie Pałacu Festiwalowego pojawiła się elegancko ubrana para prowadząca wieczór: aktorzy Julie Dutreil i Caspar Jerome. Oboje też bili brawo, a kiedy owacja w końcu przycichła, sięgnęli po

trzymane pod pachami mikrofony i zaprosili rodzeństwo Leśniewskich.

Znów rozległy się brawa, a potem pojawiły się bukiety kwiatów. Dyskusja, rozmowa z twórcami filmu mogła rozpocząć się dopiero kilka minut później. Obsługa techniczna wniosła na scenę cztery fotele. Leśniewscy dostali do rąk mikrofony. Aromat lilii i róż, który stał się jeszcze intensywniejszy w ciepłe reflektorów, był odpychający, ale Sylwia grzecznie usiadła, trzymając kwiaty. Nie lubiła krzyżować nóg, nawet w elegancki sposób, żeby układały się równolegle. Ściśnięte kolana, ukryte pod błękitną sukienką, odchyliła w bok.

Powoli schodziły z niej emocje związane z pokazem i dobrym – chyba nawet bardzo dobrym – przyjęciem filmu przez festiwalową publiczność: srogą, bo złożoną w większości z krytyków i ludzi z branży.

Kuba czuł się jak ryba w wodzie, a Sylwia najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Niestety moderatorzy dyskusji z uporem maniaka pilnowali parytetu i zadawali im pytania na zmianę.

– Hollywood umiera, głosi wielu, coraz większa rzesza obserwatorów... Ta kwestia pada też w waszym filmie – mówiła Dutreil, posyłając Sylwii zatroskany uśmiech. – Filmie, który jest niewątpliwie głosem w dyskusji na

temat tego, jaką rolę odegra w przyszłości rzeczywistość wirtualna. Dodam, że głosem niepokojącym.

– Sprawdziłem to. Już kilka lat temu zyski branży gier komputerowych przerosły dochody z filmów – wtrącił Jerome. – Proszę państwa, ja jestem aktorem, żyję z grania, więc jest się czego bać!

Przez widownię przebiegł szmer śmiechu.

– Aha i jeszcze jedno pytanie: Czy naprawdę uważacie, że żyjemy w symulacji?

– Ja na pewno jestem prawdziwy – wtrącił Kuba, prowokując kilka głośniejszych wybuchów wesołości.

– Mam wrażenie, że ja też! – Jerome zwrócił się w stronę partnerki. – Ale na wszelki wypadek dotknij mnie, Julie.

– To najgorszy podryw, jaki słyszałam od czasów liceum. A dodam, że do szkoły średniej chodziłam w Paryżu, w dziewiętnastej dzielnicy...

Sylwia uśmiechnęła się. Miała wrażenie, że para moderatorów spokojnie mogłaby sama poprowadzić dyskusję. No cóż, aktorzy. Oni zawsze szukają okazji, żeby popisać się przed publicznością. W końcu Dutreil i Jerome przestali przerzucać się błyskotliwymi ripostami.

– *Koniec scenarzystów* jest fikcyjną

opowieścią – zaczęła nieśmiało Sylwia. – Choć rzeczywiście do pewnego stopnia... Opartą na faktach to za duże słowo. Inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami.

Sylwia przyznała się, że na potrzeby filmu zmienili pewne szczegóły. Przede wszystkim wszystkie personalia i nazwy własne. Przy tym najistotniejsze było zastąpienie Dolkar, bo tak w rzeczywistości miała na imię tybetańska żona producenta, na Lao Pam.

– Nawiązanie do producentki, od której wszystko się zaczęło, czyli do Palomy, było inwencją scenarzystów – wyjaśniła Sylwia. – Chcieliśmy dodać kolejne dno, jeszcze jedną warstwę interpretacji, żeby lepiej pokazać myśl przewodnią filmu.

– A jest nią... – Jerome był zaczepny i uwodzicielski, ale jasne było, że to tylko kreacja aktorska na potrzeby rozmowy z twórcami filmu.

– Pytanie o rzeczywistość – wtrącił Kuba. – Czym ona jest i czy jeszcze istnieje. Postaci w filmie, które widzieliśmy przed chwilą na ekranie, nie są prawdziwe. Więc kiedy orientują się, że imię producentki to przerażający anagram, który da się wytłumaczyć tym, że sami są wytworem rzeczywistości wirtualnej... To tak naprawdę przesłanie dla nas. Może i my nie jesteśmy

realni...

– Zaraz, chwileczkę. Czyli bohaterowie filmu są tak naprawdę nieprawdziwi? – dążył Francuz. – Są częścią symulacji stworzonej przez tę kobietę, o której napisali scenariusz?

– Można tak to interpretować – powiedziała Sylwia. – Równie dobrze i my nie musimy być prawdziwi. Być może jesteśmy tylko częścią czyjejs opowieści.

– Bardzo to skomplikowane. Nie obawiacie się, że widzom pomiesza się w głowach? – Dutreil wcieliła się w rolę słodkiej idiotki. – Albo uznają, że to trochę przeintelektualizowane i film okaże się klapą?

– Jestem przekonana, że odbiorcy naszej historii są inteligentnymi ludźmi.

Na widowni rozległy się oklaski.

– A jaką rolę w tym wszystkim odegrało to tajemnicze miejsce, zwane Mount Veritas? – zapytał Jerome. – I kto odpowiada za morderstwo tych kobiet, o które w pewnym momencie zostaje oskarżony Adam?

– No cóż – powiedział Kuba. – Jedno i drugie to takie typowe fałszywe tropy. Kiedy podczas pobytu w Los Angeles pisaliśmy ten scenariusz, zrobiliśmy research, na policji, i tak dalej. To nieco mroczna strona Miasta Aniołów, ale tam naprawdę zdarzają się zabójstwa, nie tylko młodych kobiet, które

nigdy nie zostają wyjaśnione... Z naszego bohatera rzeczywiście w którymś momencie próbuje się zrobić kozła ofiarnego, ale świadomie nie domknęliśmy tego wątku, żeby pokazać, że tak właśnie bywa w prawdziwym, realnym życiu. Nie wszystko znajduje swoje wybrzmienie.

Moderatorzy zeszli na bardziej przyziemne tematy, zadawali kolejne pytania. Na końcu sali przez moment błysnęło jaśniejsze światło. Ktoś otworzył drzwi, wszedł do środka i zaczął powoli zbliżać się do sceny. Krok po kroku, schodził po schodach biegnących wzdłuż widowni. Męska sylwetka, ze sporą torbą przewieszoną przez ramię. Przybysz trzymał coś w ramionach.

Po kilku sekundach oczom Sylwii ukazał się najbardziej rozczulający widok na świecie – jej obchodząca dziś pierwsze urodziny córeczka śpiąca w ramionach swojego ojca.

65

INT. PAŁAC FESTIWALOWY. SALA KINOWA. NOC

Wszystkie miejsca na widowni są zajęte. Kuba i Sylwia schodzą ze sceny, odprowadzani brawami.

KUBA (ŻARTOBLIWIE, DO SYLWII)

Nawet do twarzy mu z tymi pieluchami.

Sylwia uśmiecha się do Kuby, po czym przenosi wzrok na Dantego, który idzie powoli wzdłuż rzędów foteli. Z przodu ma przytroczone nosidełko, w którym śpi roczne dziecko. Przez ramię ma przewieszoną torbę.

DANTE (ANG.)

Już w łazience słyszałem tę owację. Przewijam Hanię i czekam, aż skończą. Chusteczka, zasypka, pielucha, a tam nadal klaszczą...

Sylwia i Kuba zatrzymują się pod sceną. Uśmiechnięty, radosny Dante podchodzi do Sylwii i całuje ją w usta.

DANTE (ANG., CICHO)

Gratuluję.

Kuba klepie Dantego po plecach.

KUBA (ANG.)

Dobra robota, panie reżyserze.

Podchodzi Cuba, wyciąga do Dantego rękę.

CUBA (ANG.)

Nieźle, chyba przez moment miałem łzy w oczach. I to nie była alergia...

Obaj śmieją się. Publiczność zaczyna opuszczać salę kinową.

SYLWIA (ANG.)

Trochę mi szkoda, że ominęły cię te brawa...

Dante rozkłada ręce w żartobliwym geście bezradności.

DANTE (ANG.)

Rok temu ominęło mnie coś ważnego, bo utknąłem w górach, a teraz – bo utknąłem w łazience. Takie życie!

KUBA (ANG., ŻARTOBLIWIE)

Trzeba było nie papugować po jej chłopaku. Najpierw przejąłeś jego hobby, potem dziewczynę! Czy odwrotnie?

Dante śmieje się i daje Kubie przyjacielskiego kuksańca.

KUBA

Ała, nie w szczepionkę!

DANTE (ANG., ROZBAWIONY)

Co?!

Sylwia kontrolnie pochyla się w stronę nosidełka, które trzyma Dante. ZBLIŻENIE: śpiące dziecko.

SYLWIA (ANG., DO DANTEGO)

Naprawdę, zasłużyłeś na ten splendor.

KUBA (ANG.)

Dokładnie. Choćby dlatego, że nie spieprzyłeś naszego scenariusza. To już coś!

DANTE (ANG.)

Ty jesteś całym moim splendorem.

Dante wpatruje się w Sylwię. W jego oczach widać miłość i pożądanie.

KUBA (ANG.)

Oj, już dajcie spokój, bo się porzygam od tych słodkości.
(PAUZA) À propos, jestem głodny. Idziemy na kolację? Coś?

Od strony widowni podchodzi Kobieta (50), korpulentna, w ciemnozielonej sukni wieczorowej, obwieszona złotą biżuterią.

KOBIETA (ANG.)

Przepraszam, mogę? Gratuluje! Piękny film.

Kobieta ściska rękę Sylwii.

SYLWIA (ANG.)

Dziękuję.

Za Kobietą pojawia się Dziewczyna (20), podaje Kubie program festiwalowy i długopis.

DZIEWCZYNA (FR.)

Mogę prosić o autograf?

Kuba z zadowoleniem podpisuje się.

Mężczyzna (40), wysoki, szczupły, szpakowaty, który również nadszedł od strony widowni, ściska rękę Dantego.

MEŹCZYŻNA (ANG.)

Gratuluje.

Kuba przekazuje program festiwalowy i długopis Sylwii.
Kobieta zaczyna wspinać się do szczytu widowni, gdzie znajduje się wyjście z sali kinowej.

Mężczyzna zwraca się do Kuby:

MEŹCZYŻNA (ANG.)

Doskonały film, zapada w pamięć.

Sylwia, która składa właśnie autograf na programie, zamiera. Na jej twarzy pojawia się strach. Sylwia oddaje program Dziewczynie, która dyga.

DZIEWCZYNA (FR.)

Dziękuję.

Dziewczyna odchodzi w kierunku wyjścia z sali. Mężczyzna przesuwa się w stronę Sylwii.

MĘŻCZYŻNA (ANG.)

Gratuluję.

Mężczyzna spogląda na Sylwię znacząco, po czym puszcza jej rękę i odchodzi powoli w kierunku wyjścia z sali kinowej.

DANTE (ANG., Z TROSKĄ)

Wszystko w porządku?

Sylwia kiwa głową, ale bez przekonania.

DANTE (ANG.)

Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha.

SYLWIA (ANG.)

W pewnym sensie tak było.

Dante i Kuba spoglądają na nią z zaciekawieniem.

Podchodzi Fabio (29), szczupły, elegancko ubrany, z identyfikatorem przyczepionym do poszetki. Mówi z silnym francuskim akcentem.

FABIO (ANG.)

Wspaniale! Świetna dyskusja i w ogóle gratuluje! Quentin, powiem wam w wielkiej tajemnicy, był oczarowany i widzi w was mocnego kandydata...

Fabio podciąga rękaw marynarki, żeby zerknąć na zegarek.

FABIO (ANG.)

Kochani, za pół godziny uroczysta kolacja. Z Emmą, Quentinem, księciem, księżną i tak dalej. W Cove de Comte, wyrąbista restauracja. Przejdziecie na piechotę czy zamówić wam taksówki? To jakiś kilometr stąd, może ciutkę mniej. Deptakiem.

SYLWIA (ANG.)

Fabio, kim jest ten facet?

Sylwia wskazuje gestem Mężczyznę, który powoli, dystyngowanym krokiem wspina się do szczytu widowni.

FABIO (ANG.)

Ten w czarnym garniturze?

Fabio zaczyna przeglądać zadrukowane kartki, które trzyma w ręce.

KUBA

O co chodzi?

SYLWIA

To był Kardynał.

KUBA (PRZEJĘTY)

Żartujesz! Nasz czerwony śledź z Góry Prawdy? Jesteś pewna?

Sylwia kiwa głową. Kuba wygląda na autentycznie przestraszonego.

KUBA

Ja pierdziu, znaleźli nas!

SYLWIA

Nie panikuj.

KUBA

Co nie panikuj? Zaciukają nas, jak nic.

DANTE (ANG.)

Co się dzieje?

PALOMA BIS (OFF, GŁOŚNO)

I jak, kochani, będzie ta Złota Palma czy nie będzie?!

Sylwia i Kuba odwracają głowy. Schodami wzdłuż widowni zbiega w ich kierunku Paloma Bis, przytrzymując poły turkusowej sukni wieczorowej. Mijając Mężczyznę, kłania mu się i rusza dalej.

PALOMA BIS

Dostaliście mój kosz lilii? Wysłałam pocztą kwiatową... Mam nadzieję, że doszły! Jaki tu adres?

Paloma Bis dobiega do Sylwii i Kuby. Mówi porozumiewawczym szeptem:

PALOMA BIS

Widzieliście?! To Kirk Owens.

Paloma Bis całuje wciąż przestraszonego Kubę w oba policzki.

KUBA

Ty go znasz?!

SYLWIA

Kto to jest?

Paloma Bis robi krok w stronę Sylwii i ją również całuje na powitanie.

PALOMA

No jak to kto? Kirk Owens. Pisarz. Znany! Ceniony! Kupił

prawa do opisanie tego wszystkiego w książce. (ŚMIECH)
Będziemy sławni, napisze o nas powieść, a nawet trylogię...
Spisek scenarzystów, Zdradę scenarzystów i Koniec scenarzystów. Postanowione!

Sylwia spogląda w kierunku wyjścia z sali kinowej. Kirk Owens stoi przy drzwiach, zwrócony twarzą w ich stronę.

Widząc, że Sylwia spogląda w jego kierunku, kłania się uprzejmie. Odwraca się i wychodzi, gasząc za sobą światło.

W sali kinowej zapada ciemność.

FADE OUT

Podziękowania

Jestem wdzięczny Czytelnikom, którzy przebrnęli przez wszystkie tajemnice oraz zwroty akcji i dotarli do końca przygód Sylwii i Kuby. Mam nadzieję, że domyśliliście się, kim jest Kirk Owens (a jeśli nie, macie przed sobą jeszcze jedną zagadkę...).

Z listy osób, którym dziękowałem na zakończenie *Spisku scenarzystów*, na szczęście nikt nie wypadł. Wręcz przeciwnie, pojawiły się na niej nowe imiona: Max Kapłon z Paulą Jeronim, a także Urszula Heuwinkel. Serdecznie dziękuję pani Alinie Puchale i całemu zespołowi scenariuszowemu *M jak miłość*: Urszuli Kołodziej, Marcie Kuszewskiej, Kasi Terechowicz i Marcie Michalak.

Pisarz nie powinien dziękować recenzentom, ale muszę złamać tę zasadę i ukłonić się Grażynie Strumiłowskiej, twórczyni portalu *Książka Zamiast Kwiatka*, Karolinie Sosnowskiej, która prowadzi bloga *Tanayah Czyta*, a także Śląskim Blogerom Książkowym.

Specjalne podziękowania i wyrazy uznania kieruję do doktor Ireny Raczko, która opiekuje się Jasiem, oraz do doktora Łukasza Skomoruchy, dbającego o zdrowie żółwia Muna.

Dziękuję również mojemu Wydawnictwu i wszystkim jego pracownikom zaangażowanym w perypetie scenarzystów, a szczególnie utalentowanej i kreatywnej redaktorce Malwinie Błażejczak, która była ze mną od samego początku. Kiedy dwa lata temu *Czwarta Strona* zainteresowała się losami

Sylwii i Kuby, nie sądziłem, że przygoda rodzeństwa Leśniewskich będzie się toczyć aż przez trzy tomy. Pisanie ich było dla mnie czystą przyjemnością, a także uśmiechem losu, dlatego postanowiłem się nim podzielić i całe honorarium autorskie za *Koniec scenarzystów* przeznaczam na cele charytatywne. Dzięki Wam, drodzy Czytelnicy, ten koniec będzie naprawdę szczęśliwy.